



Stanisław Baranowski (1935-1978), geograf, glaciolog, klimatolog i badacz polarny. Studia geograficzne w Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu w latach 1951 - 1953, a następnie w Uniwersytecie Wrocławskim w latach 1953 - 1956, na specjalizacji meteorologia i klimatologia; doktorat (w 1964) oraz habilitacja (w 1976 roku) w Uniwersytecie Wrocławskim.

Od 1971 roku docent, kierownik Zakładu Meteorologii i Klimatologii Instytutu Geograficznego na Wydziale Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego. Uczestnik naukowych wypraw polarnych na Spitsbergen w latach: 1957-60 (w tym w wyprawie całorocznej 1957-1958), 1962 (wyprawa angielska), 1970, 1971, 1973, 1974. W roku 1977 uczestniczył w wyprawie na Wyspę Króla Jerzego w Antarktyce. W trakcie tej wyprawy zmarł w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

Staże naukowe w Scott Polar Research Institute w Cambridge i w szwedzkiej Stacji Glaciologicznej w Tarfala. Prace naukowe w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Anglii, Skandynawii, na Islandii i w Pamirze. Oprócz zajęć dydaktycznych w Uniwersytecie Wrocławskim, wykładał również na Politechnice Wrocławskiej i w Uniwersytecie Carleton w Kanadzie. Wraz z prof. Alfredem Jahnem był inicjatorem serii polskich wypraw naukowych na Spitsbergen w latach 1970-1975, czterema z nich kierował. Był też członkiem - założycielem Klubu Polarnego Polskiego Towarzystwa Geograficznego i jego sekretarzem. W latach 1976-1977 był wicedyrektorem Instytutu Geograficznego Uniwersytetu Wrocławskiego, redaktorem „Biuletynu Meteorologicznego” oraz współredaktorem serii „Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions”. Aktywnie uczestniczył w pracach Komisji Wypraw Geofizycznych PAN, Komisji Fizyki Atmosfery PAN, Komisji Nauk o Ziemi PAN. Był członkiem Rady Naukowej Wydziału Melioracji Akademii Rolniczej we Wrocławiu, Rady Naukowej Karkonoskiego Parku Narodowego, Rady Naukowej Wojewody Jeleniogórskiego, członkiem Zarządu Polskiego Towarzystwa Geofizycznego oraz członkiem Glaciological Society w Wielkiej Brytanii. Oprócz badań glaciologicznych i klimatologicznych obszarów polarnych, prowadził również prace naukowe w Sudetach, aglomeracji wrocławskiej oraz w Tatrach. Był inicjatorem i budowniczym Stacji Polarnej Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergenie, która od 1978 roku nosi Jego imię. Jego nazwiskiem zostały nazwane półwysep na Spitsbergenie i lodowiec na Wyspie Króla Jerzego w Antarktyce.

Magiczne miejsce „Baranówka”

Zbiór wspomnień w 40-lecie stacji polarnej
im. Stanisława Baranowskiego na Spitsbergenie

Magiczne miejsce – „Baranówka”



Magiczne miejsce „Baranówka”

Zbiór wspomnień w 40-lecie
stacji polarnej im. Stanisława Baranowskiego na Spitsbergenie

pod redakcją
Krzysztofa Migąły, Jerzego Pereymy i Jacka Piaseckiego



Uniwersytet
Wrocławski

Redakcja :

Krzysztof Migala, Jerzy Pereyma, Jacek Piasecki

Redakcja techniczna:

Magdalena Korzystka, Piotr Muskała, Tymoteusz Sawiński

Projekt okładki:

Magdalena Korzystka, Tymoteusz Sawiński

Zdjęcia na okładce:

Przód : Jozef Řehák jr, Tymoteusz Sawiński, Joanna Szafraniec, SPELEO – Řehák

Tył: Marek Górski

© Copyright 2011 by Instytut Geografii i Rozwoju Regionalnego Uniwersytetu Wrocławskiego

ISBN 978-83-62673-09-4

Wydawca:

Instytut Geografii i Rozwoju Regionalnego

Plac Uniwersytecki 1, 50-137 Wrocław

TOM II

HUS - BOOK



WERENHUS

Bratteggedalen 15 kwietnia 2003r.

Strona tytułowa jednej z kolejnych „książek stacji” z wpisami wyjść terenowych i wizyt
(fot. z arch. IGRR UWrocław)

Stacja Polarna im. Stanisława Baranowskiego, zwana kolokwialnie wśród badaczy Spitsbergenu „Baranówka”, od czterech dekad stanowi bazę wypraw naukowych pracowników Uniwersytetu Wrocławskiego. Jak mi powiedziano, jestem prawdopodobnie jedynym rektorem, którego akademickie włości sięgają tak daleko na północ od macierzystej uczelni. Niestety, nie miałem okazji osobiście odwiedzić Stacji i jej mieszkańców, jednakże wielokrotnie gościła ona uczonych i współpracowników zarówno z kraju, jak i z zagranicy, stanowiąc ważny punkt na mapie Spitsbergenu.

Pragnę złożyć podziękowania i wyrazy wdzięczności naukowcom, którzy z dala od domu, w surowych arktycznych warunkach prowadzą wielomiesięczne badania oraz obserwacje, dzięki którym coraz lepiej rozumiemy mechanizmy rządzące klimatem czy skomplikowane procesy geologiczne i glaciologiczne. W obliczu zachodzących w środowisku przemian badania te nabierają szczególnego, globalnego znaczenia. Jestem przekonany, że mają one realny wpływ na życie każdego z nas, nie tylko zaś na rozwój teoretycznej strony geofizyki czy klimatologii.

Jubileusz 40-lecia Stacji Polarnej im. Stanisława Baranowskiego – jak każda rocznica – stanowi doskonałą okazję do podsumowania lat minionej działalności, ale również do zaplanowania kierunków rozwoju na przyszłość. Mam nadzieję, że doprowadzą one do jeszcze pełniejszego rozkwitu nauk geologicznych, przyczyniając się do rozświetlenia zarówno Wydziału Nauk o Ziemi i Kształtowania Środowiska Uniwersytetu Wrocławskiego, jak i całej Uczelni wśród badaczy i entuzjastów przyrody Spitsbergenu.

JM Rektor Uniwersytetu Wrocławskiego

Prof. dr hab. Marek Bojarski

Zamiast wstępu...

Jubileusz 40-lecia badawczej stacji polarnej Uniwersytetu Wrocławskiego powinien być okazją do podsumowania naszych działań, choćby w formie konferencji naukowej i stosownego tomu prac. Postanowiliśmy jednak, że będzie inaczej. Napišemy książkę a Autorami będą ludzie, którzy żyli i pracowali w naszej „Baranówce”. Zaprosiliśmy do jej napisania wszystkich, którzy – nawet na krótko – odwiedzili „Baranówkę” i tak powstał zbiór wspomnień, książka, która jest o Was i dla Was, drodzy czytelnicy i bywalcy „Vaerenhusa”.

Wspomnienia zawierają bogactwo nastrojów, uczuć i emocji. Od uniesień estetycznych po goryczkę ocen i doświadczeń, a także fakty – czyste same w sobie, oraz opisy zdarzeń, które tworzą historię lub które decydowały nawet o losach niejednej z osób. To właśnie nasze emocje tworzą magię miejsca, które przyciąga, za którym tęsknimy, miejsca, gdzie chcemy być raz jeszcze albo nawet wszystko zacząć od nowa...

Dzięki tym wspomnieniom uratujemy pamięć o ludziach i zdarzeniach, a o dokonaniach naukowych niechże sprawiedliwie zaświadczy jedynie ostatni rozdział tej książki: „Bibliografia prac naukowych”.

Krzysztof Migąła, Jerzy Pereyma, Jacek Piasecki

Stanisław Baranowski

Z listów ze Spitsbergenu do żony i córki **(1971)**

26 czerwca 1971

Nasz bagaż pod lodowiec Werenskiolda udało się nam przetransportować w głąb zatoki jak najbliżej naszego obozu. Trzy kursy szalupą wystarczały, żeby zawieść cały ładunek elementów domku. Pozostał nam jeszcze paskudny transport łodem ponad kilometr. Najtrudniejsze będzie przewiezenie elementów domku. Jest ich 85. Prócz tego belki, pustaki betonowe, słoma, rury. Na razie poczekamy może Jasiowi Szymańskiemu uda się naprawić samochód. Wówczas sprawa jest do załatwienia w ciągu 2-ch dni. Jeśli się nie uda trzeba będzie wozić wózkiem. To zabierze nam z 10 dni ciężkiej pracy, ale jest do zrobienia...

31 lipca 1971

Wyobraź sobie, że już piszę z własnego, choć niedużego domku. Co za wygoda w porównaniu z namiotem. Ściany są proste, twarde, można stanąć na nogach normalnie, gotować na prymusie. Niby drobiazg, ale kiedy ich nie ma życie jest dużo uciążliwsze.

Z tymi elementami to był dobry pomysł. Niezależnie od tego co wyjdzie nam z właściwego domku, który wspólnie projektowaliśmy we Wrocławiu. Elementy 1x2 m są dość lekkie, żeby przeniósł to jeden człowiek jeśli trzeba. Łączenie ich na śruby jest szybkie i pewne. W miarę potrzeby i możliwości można z elementów budować domki mniejsze lub większe. Nasz obecny prowizoryczny ma 2x2 m. Na razie zupełnie wystarczy. Postawiłem go w ciągu jednego dnia. Drugiego dnia pokryłem dach papą i uszczelniłem. Teraz się sprawdza, bo pada właśnie deszcz. Oczywiście ani kropla nie zacieka. Jeszcze czeka go próba na wiatr. Trochę się jej boję, dopóki nie umocnię domu stalowymi odciągami. Muszę je przywieźć z bazy.

15 sierpnia 1971

Zaraz ruszam motorem do naszego obozu pod lodowiec Warenskiolda. Droga jest dobra, dość sucha. Teraz zadanie na najbliższe dni to przewiezenie elementów naszego domku i całego bagażu z przystani wewnętrznej do obozu. Na samochód nie ma co liczyć. Jasiu zajrzy do niego, ale ja boję się, że z tego nic nie wyjdzie. Po przewiezeniu bagażu do obozu zaczniemy budowę domku. Równocześnie trzeba będzie ciągnąć pomiary na lodowcu i przedpolu. Jeszcze sporo pracy zo-

stało. Większość prac wymaga co gorsza dobrej pogody. Mam nadzieję że druga połowa wyprawy będzie lepsza od poprzedniej.

Już w obozie pod moreną Werenskiolda. W małym, ciasnym, ale własnym domku. Jest za 15 minut 23. Leżę już w śpiworze i czekam na łączność. Jestem bardzo zmęczony, ale bardzo zadowolony. Motor spisuje się świetnie. Dojechałem z bazy w 65 min. Tundra jest znacznie suchsza. Zaraz po przyjeździe zabrałem się do wożenia elementów. Uchwyt do wózka, który wczoraj zrobiliśmy z Jasiem pasuje doskonale. Jednak wózek musiałem podwyższyć, żeby elementy leżąc płasko nie dotykały kół. Zrobiłem to tylko przy pomocy dwóch rurek żelaznych, które wygiąłem w kształcie ceownika. Na tym element leży doskonale. Mimo wszystko z emocją ruszałem z pierwszym bagażem. Bądź co bądź takie 2 elementy ciągnane po tej drodze, częściowo miękkiej i miejscami bardzo wyboistej, 2 ludzi dobrze się napracuje. Ale motor ciągnie jak szatan. Oczywiście cały czas na pierwszym biegu. W dwóch miejscach dobrze pod górkę, muszę schodzić z motoru i pomagać mu trochę, ale resztę 9/10 drogi jadę. Wprawdzie to nie jest łatwa jazda, ale ileż sił się oszczędza. Oby wytrzymał ten motor do końca zwózki całego bagażu. Byłoby świetnie. Motor ciągle nie jest jeszcze w pełni dotarty. Ma dopiero 200 km na liczniku. Ciekaw jestem do ilu dociągnie.

Jutro będzie ciężki dzień. Będę woził ile się da elementy. Bronek pomaga mi je ładować i mocować do wózka. Potem nie ma jak pomóc, bo musiałby biegać za motorem i to dobrze. Sam muszę więc pokonywać górki na drodze. Rozładowanie idzie już szybko, a zjazd w dół do brzegu z pustym wózkiem to żaden problem. Zaczęło się dobrze, ale po godzinie pracy pękł spaw na ramce wózka, Chwieje się koło, trzeba naprawiać. Na szczęście wcześniej przywiozłem z bazy wiertarkę, wiertła i kawałek płaskownika. Robię uchwyt, który dobrze trzyma ramę. Czy jednak następne spawy wytrzymają? Jeszcze są 4-y takie, które mogą pęknąć. Jeżdżę dalej. Ciągle motor świetnie pracuje. Chodzi jak wołek roboczy. Jak chcę wolno, że mogę iść koło niego i pomagać pod górkę. Gdy droga jest równiejsza jadę szybciej trzeba by dobrze biec, żeby zdążyć. Droga ciągle wymaga naprawy. Początkowo Bronek pomagał mi w załadowywaniu elementów, ale istotniejsza była jego ręka przy wyrównywaniu drogi. Zwłaszcza na podjazdach pod skarpy. Pracował solidnie i droga stawała się coraz równiejsza. Mimo to wózek pękł dalej. Urwały się 2 spawy ramy, a 3-ci też nie był pewny. Zaczęliśmy naprawę. Teraz okazało się, że mamy kłopoty z narzędziami. Wiertła stępiły się i nie chciały brać twardej stali płaskowników. W sumie 5 godzin naprawialiśmy wózek umacniając go na różne sposoby. Ale trud się opłacał. Wieczorem koło 22:30 mieliśmy już koło obozu 2/3 wszystkich elementów. Wieczorem postanowiłem wozić tylko po 1 elemencie na wózku. Więcej pracy, ale większe prawdopodobieństwo, że wózek wytrzyma do końca.

Konieczne jest przywiezienie nowych wiertel, płaskowników i śrub do naprawy wózka, który grozi złamaniem w każdej chwili.

17 sierpnia 1971

Od rana wożę elementy po jednym. Bronek naprawia górny odcinek drogi. Wózek spisuje się dobrze. Jak tak dalej pójdzie zwiozę wszystkie elementy. Rzeczywiście pracując bez przerwy, o 17-tej wszystko zwożę w pobliżu obozu. Bronek od południa znosi elementy przez rzekę do samego obozu. Już można by zacząć budować dom. Na brzegu przy przystani wewnętrznej, zostały tylko 4 pustaki i kilka belek i trochę rur. To w najgorszym razie można przenieść.

19 sierpnia 1971

Budzę się o 9-tej. Próbuje łączności, ale radio nadal nie działa. Narazie trzeba wozić resztę rzeczy z brzegu do obozu. Muszę naprawić podnożki w motorze i wózek. Potem ruszam po pustaki. Każdy z nich waży 60 kg. Potem rury stalowe, maszty, słoma, węgiel i trochę drobiazgów. Zrobił się wieczór. O 20-tej na brzegu zostały już tylko długie bele drewna dryftowego do konstrukcji domu. Wąż po 100–200 kg. Czort wie jak je wozić. Na dzisiaj dość.

Budowa zajmie nam chyba ze 2 tygodnie. Prace na lodowcu trochę na tym ucierpią, ale trudno. To co ważniejsze pewnie zdążymy zrobić. Zostało nam jeszcze 5 tygodni do przyjazdu Turlejskiego...

(1973)

Czerwiec 1973, Gåshamna

Minęła północ. Zaczął się 19 czerwca. Stoimy „Janem Turlejskim” w Gåshamnie na kotwicy. Przedwczoraj wyładowaliśmy ze statku cały sprzęt przeznaczony dla bazy w Isbjørnhamna w idealnych warunkach pogodowych. Chcieliśmy od razu rozładować w Hyttevici to, co było przeznaczone dla naszej stacji przy Lodowcu Werenskiolda. Ale tam, na otwartym ku północy odcinku wybrzeża, wiatr był silny i fala zbyt wysoka. Wróciliśmy więc w głąb fiordu, żeby wyładować sprzęt alpinistów pod lodowcem Koerbera. Cudnie w pełnym słońcu wygląda wnętrze fiordu. Szalupą statkową zrobiliśmy piękną wycieczkę aż pod Lodowiec Horn. Tam ciągle jeszcze trzyma się tafla lodu zimowego, na której wygrzewają się w słońcu setki fok.

Teraz, mimo że to środek nocy, dalej świeci słońce. Cisza zupełna. Jaka pogoda w stronę otwartego morza – nie widać. Prognoza jest obiecująca. Nadal ma być wyż, a więc słońce i zmienne słabe wiatry. Jest więc szansa, że i ten wiatr z północy, koło Hytteviki do jutra osłabnie. Zatem stoimy tu spokojnie do 8-mej rano. Jeśli morze będzie łaskawe, w Hyttevici mamy pracy na 3–4 godziny. Jeśli nie, wracamy do Isbjørnhamny. Będziemy musieli radzić sobie z przewiezieniem całego sprzętu sami. Damy sobie radę. Statek odpływa od nas dziś późnym wieczorem. Będzie okazja żeby dokończyć listy.

19 czerwca, godzina 23, Isbjørnhamna

Już za kilkanaście minut muszę odesłać ten list ostatnią szalupą na statek. O północy „Jan Turlejski” wychodzi na morze.

Dziś mieliśmy trochę emocji. Jak planowaliśmy, rano wyruszyliśmy z Gåshamny w kierunku Hytteviki. Zdawało się, że i tam będzie cisza, ale na otwartej ku północy części wybrzeża znowu był ostry wiatr i wysoka fala. Kapitan Gorządek i oficerowie bali się ryzykować opuszczanie szalupy. Trochę ich podpuszczałem, ale w końcu zgodziłem się wyładować wszystko w Isbjørnhamna. I tak marynarze zrobili dla nas bardzo wiele. Ruszamy więc do bazy. Nagle pojawiły się nad nami dwa czerwone helikoptery. Leciały na południe. To Rosjanie. Wiedziałem, że lecą do Sørkappland, aby zostawić tam grupę terenowa geologów. Powinni niedługo wracać. Może zdążymy dojechać do bazy. Zanim jednak dobiliśmy szalupą do brzegu, oni już siedzieli przed naszym domem. Po powitaniach od razu zapytaliśmy ich, czy nie zabraliby naszego sprzętu pod Lodowiec Werenskiolda. To przecież dla nich po drodze do Barentsburga. Ile tego? – pytają. No, będzie z 1000 kg. Dawajcie. Poczekali, aż dobiła druga szalupa ze skrzyniami. Wpakowaliśmy do helikopterów prawie połowę skrzyń, które tam miały jechać. Zostały jeszcze materiały budowlane i węgiel. To będę musiał wozić łodzią. Wypiliśmy za przyjaźń. Pojedzie z nimi Marian Pulina i Jurek Pereyma, wrócą pieszo w nocy lub jutro. Ciekaw jestem w jakim stanie zastaną zbudowany przez nas 2 lata temu domek stacji. Ale to inna sprawa. Polecieli. Poważny problem z głowy.

Gorzej z radiostacją. Oficerowi radiowemu z Turlejskiego, przy próbie jej uruchomienia nie udało się nawiązać łączności ze statkiem. Będzie z tym musiał sobie sam poradzić Jasio Szymański. Na pewno sobie poradzi. Zapewne ze sprzętem będziemy mieli trochę kłopotów. Po prostu dużo tego mamy. Najważniejsze jednak, żeby ludzie wytrzymali. Jestem optymistą.

25 czerwca, Isbjørnhamna

Sześć dni minęło od wyjazdu Turlejskiego. Wyprawa rozkręciła się na dobre. Szczęśliwie pierwszych kilka dni było pogodnych, co ułatwiło nam organizację życia w bazie i uruchomienie prac w terenie. W zespole jest kilku bardzo dobrych ludzi, na których można w pełni polegać. To stwierdzenie dla mnie, kierownika wyprawy, ma zasadnicze znaczenie.

„Jan Turlejski” odjechał zgodnie z planem o północy 19.VI. Jeszcze do wpół do dwunastej marynarze siedzieli u nas w bazie popijając. Byli zadowoleni. Zostawili nas całych na brzegu. Teraz do Norwegii mają z wiatrem, i jak mówią z góry, bo do domu. W ostatniej chwili radiooficer Ryszard Maciejewski z Jasiem Szymanskim uruchomili radiostację. Żegnamy ich serdecznie.

Pierwszego dnia pobytu o własnych siłach sporo zrobiliśmy wokół bazy. Pogoda sprzyjała. Kazio Pękala pomagał Jasiowi Szymańskiemu przy samochodzie, bo coś tam nie działało, potem z Jasiem Żyszkowskim rozłożyli wodociąg – rurę gumową do najbliższego jeziorka powyżej bazy. Od razu odczuliśmy to jako wielką

wygodę. Teraz kolej na prawdziwą wygodkę. Postanawiamy uruchomić, dotychczas nieużywaną latem ubikację w budynku bazowym. Będzie o wiele kulturalniej, a okoliczne skałki pozostaną bez charakterystycznych ozdóbek. Problemem będzie jedynie wywożenie nieczystości i śmieci. W tym szczególnie liczymy na pomoc samochodu.

Nad ranem wrócili spod lodowca Werenskiolda Marian Pulina i Jurek Pereyma. Do obiadu odsypiają noc., Dojechali helikopterami szczęśliwie na miejsce. Nasz domek w stacji po dach prawie zasypany śniegiem, ale trzyma się świetnie. Uruchomili rejestracje temperatury i wilgotności na morenie. Ja montuję teraz termohigrograf i aktynograf w bazie. Ruszają obserwacje meteorologiczne. Jurek Fabiszewski i Zbyszek Jakubiec porządkują magazyn. Sporo pozostawionych wcześniej przez naszą wyprawę i traperów produktów żywnościowych trzeba będzie wyrzucić.

Andrzej Karczewski i Edek Wiśniewski urzędują w kuchni. Tego dnia śniadanie i obiad robimy niezależnie od alpinistów, ale kolacja jest już wspólna, a następne dni umawiamy się, że dyżur w kuchni będzie miał jeden od nas i jeden z ich grupy. Chłopaki wyrazili gotowość włączenia się do prac remontowych w bazie. Przy stole ledwie się mieścimy, ale jest wesoło. Sympatyczni chłopcy. Nie palą się do wyjazdu na drugi brzeg, chcą trochę pożyć życiem bazowym, które ma uroki. Ja straszę ich jednak, że pogoda może się popsuć i zatrzymać ich na dłużej po tej stronie fiordu. Dzisiaj próbowali uruchomić swój silnik do łodzi. Była jakaś wada fabryczna, bo korbowód urwał się i rozwalił cylinder. Cały silnik nie do użytku, najwyżej na części zamienne do nowego, tego samego typu. Alpinisci są w kłopotach. Mają dużą dobrą łódź i zostali bez silnika. Na wiosłach nie radzę im ruszać. Postanawiamy, że duża łódź zostawią w bazie. W zamian proponuję im jedną z naszych lekkich, plastikowych łódek, jak je nazywamy „mydelniczek” i jeden z naszych małych silników. Oczywiście oznacza to, że będę ich musiał zawieźć dużą łodzią pod lodowiec Koerbera, a pod koniec lata przywieźć z powrotem do bazy. Musimy jutro zrobić próbę naszych silników. Poza tym korzystając z tego, że dużo ludzi jest w bazie, planujemy z Jasiem Szymańskim remont zachodniej połowy dachu nad bazą.

Dzisiaj jest 11 lipca 1973. Domek pod lodowcem Werenkiolda

Jest wcześniej rano, właściwie noc, tyle że całkiem widno, chyba koło 2:30. Leżę w śpiworze w naszym domku. Za ścianą szumi potok, teraz to rwąca rzeka. Wczoraj od południa pada deszcz i woda wzrosła tak, że musieliśmy postawić zaporowy wał z kamieni, żeby woda nie chciała zbyt bystro płynąć pod naszym domkiem. Poziom wody dotarł już do wału kamiennego, ale deszcz przestał padać i chyba w czasie snu powódź nam nie zagraża. Przedwczoraj w nocy Jurek Pereyma był tu sam i poziom wody był wyższy, niemal chciało nam zalać chatkę. Zaczął budować wał zaporowy z kamieni. Zabrało mu dwie belki z mostka. Na szczęście obie znaleźliśmy dalej, jedna 300 m niżej, a druga prawie kilometr niżej na dolnym

brzegu rzeki. A w domku niemal luksus. Ciepło, sucho i wygodnie. Dzisiaj założyliśmy w miejsce starego żelaziaka, który tylko prowizorycznie postawiliśmy przed 2 laty, nowy piecyk. Zabrałem go z bazy z pokoju trapera. Już nie będzie tam zimował, a poza tym piecyk zżerała rdza, bo traper nie umiał uszczelnić komina i lała się tam woda prosto do pieca. Tu w domku pasuje świetnie i co najważniejsze doskonale grzeje. Właśnie wczoraj po południu Jasiu obciął mu nogi dopasowując wysokość tak aby rurę tego piecyka można było przepuścić przez nasz stary żelaziak z kolumną wodną. Będzie służyła jako kaloryfer, bo woda powinna się dobrze nagrzewać od rury. Poza tym będzie ciepła woda w kranie i oczywiście prysznic. Nasze plany sprzed 2 lat, żeby tu zrobić maksymalne udogodnienia teraz zaczynają się realizować. Wczoraj zainstalowaliśmy też prowizorycznie agregat prądowy benzynowy, już zaczął pracować. Daje 15 kilowata, co wystarcza na dobry grzejnik i oświetlenie chatki. A w bazie czeka na transport bateria akumulatorów, która pozwoli na racjonalną gospodarkę prądem. Prócz tego nie zapominamy o projekcie małej elektrowni wodnej na strumieniu, który huczy zaledwie 3 metry od mojego łóżka teraz. To wszystko będziemy oczywiście mogli zainstalować dopiero za kilkanaście dni, bo teraz w pierwszym rzędzie musimy dokończyć instalację instrumentów. Większość zresztą już pracuje. Pozostał nam jeszcze bilansograf i teletermograf tu na morenie i ablatograf u czoła lodowca.

Bardzo mi brakuje radiostacji do kontaktu między naszym domkiem i bazą. Bardzo niepokoję się o ludzi, którzy wyruszają w teren.



Fot. 1. S. Baranowski w drodze do celu. W zatoce Nottingham, rok 1970 (fot. M. Górski)



Fot. 2. Zanim powstał dom pod moreną lodowca (fot. M. Górski)



*Fot. 3. 1971r – S. Baranowski. Transport elementów konstrukcyjnych „Baranówki”
(fot. M. Górski)*



*Fot. 4. Rok 1971, budowa stacji – powstają fundamenty
(fot. S. Baranowski)*



*Fot. 5. Dalsze prace konstrukcyjne. W tym czasie w „Baranówce” zamieszkała też Anulka
(fot. S. Baranowski)*



*Fot. 6. Krystyna Baranowska – projektant stacji. Wczesne lato 1974 r.
(fot. S. Baranowski)*



Fot. 7. Jan Szymański (fot. R. Czajkowski)



*Fot. 8. Stanisław Baranowski
(fot. R. Czajkowski)*



Fot. 9. Uczestnicy II Wyprawy UW. Od lewej: J. Romer, A. Martini, A. Szponar, M. Górski, S. Baranowski, B. Głowicki (fot. M. Górski)



Fot. 10. Stanisław Baranowski i Kasia Lucerska – przystanek pod Hytteviką w drodze z „Baranówki” do Hornsundu (fot. J. Klementowski)



Fot. 11. Jurek Pereyma, Janek Krzemiński i Marian Paulina, wrzesień 1983 (fot. S. Misztal)

Jerzy Pereyma

Stacja Polarna im. Stanisława Baranowskiego Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergenie

Położenie: 77°04' N; 15°11' E; 16,7 m n.p.m., Ziemia Wedel Jarlsberga

Stacja zlokalizowana jest u podnóża wału moreny czołowej lodowca Werenskiolda, na prawym brzegu rzeki Brategg, w środkowej części jej biegu. Rzeka rozpoczyna swój bieg w górskiej, słabo zlodowaconej dolinie Brategg, a kończy wraz z rzeką lodowcową, w morskiej Zatoce Nottingham. Oddziela obszar przedpola lodowca Werenskiolda, od kwarcytowej równiny Kvartsitts. Obiekt Stacji usytuowany jest na wychodni skalnej nad około 3-metrowym wodospadem. Stacja meteorologiczna położona jest kilka metrów wyżej, na wierzcholinie moreny czołowej. Od czoła lodowca Werenskiolda, objętego ciągłymi badaniami, jest oddalona o ok. 1,5 km. W bliskiej okolicy położone są masywy górskie, ze szczytami: Gulliksen (578 m n.p.m.), Angell (591 m n.p.m.), JensErik (576 m n.p.m.), Tone (945 m n.p.m.). Dolinę Brategg, z kilkoma jeziorkami polodowcowymi oraz niewielkim lodowcem, zamyka od SE górska grań Brateggia (ok. 600 m n.p.m.). Górskie i równinne otoczenie Stacji stanowią głównie amfibolity, zieleńce, kwarcyty i serycyty oraz łupki formacji Hecla Hoek. Rozległe przedpole lodowca Werenskiolda stanowi w przewadze, równina moreny dennej z licznymi jeziorkami i skałkami, otoczona wałem moren czołowych i bocznych (w przewodzie z jądrem lodowym). Charakterystyczne są tam zjawiska termokrasowe z kilkoma dużymi wypływami wód powierzchniowych, wewnętrznych i dennych lodowca, a w okresie zimowym z rozległymi polami naledziowymi. Znakomita większość obszaru przedpola, odwadniana jest przez dużą rzekę lodowcową, przełamującą wał moreny czołowej w odległości około kilometra od Stacji. Na północ od przełomu znajduje się rozległa równina sandrowa Elve, ograniczona dolinami rzek Vimsa i Iskant. Za nimi znajduje się morska Zatoka Skodde oraz, klifowe w przewodzie, czoło lodowca Torella. W kierunku południowym rozpościera się tundrowe wybrzeże Morza Grenlandzkiego.

Historia Stacji

Obiekt Stacji powstał latem 1971 roku. Stacja meteorologiczna – rok wcześniej. Wyprawy okresu 1970–1975 organizowane przez Uniwersytet Wrocławski wraz z Instytutem Geofizyki PAN z Warszawy, nawiązywały częściowo do programu polskich wypraw na Spitsbergen z okresu III Międzynarodowego Roku Geofizycznego i dalszych w latach 1957–1960. Program glaciologiczny wypraw III MRG, obejmował głównie lodowce Werenskiolda i Hansa. Stacją podstawową dla badań glaciologicznych, kierowanych przez prof. dr hab. Aleksandra Kosibę, był namioto-

wy obóz położony na dolnym obrzeżeniu pola firnowego lodowca Werenskiolda, w pobliżu linii równowagi masy lodowcowej (380 m n.p.m.). Na przedpolu lodowca w odległości ok. 10 km od pola firnowego, ulokowano stację dolną.

Inicjując serię tzw. wypraw „wrocławskich” w 1970 roku, prof. dr hab. Alfred Jahn oraz ich kierownik dr Stanisław Baranowski, postanowili, że głównym celem niewielkich, około 10-osobowych grup, będą badania glaciologiczne, geomorfologiczne i geofizyczne. Były one realizowane we współpracy z innymi ośrodkami naukowymi w Polsce, głównie z Instytutem Geofizyki PAN w Warszawie. Trzy lata później włączono do programu badania biologiczne, a następnie oceanologiczne, geologiczne i paleontologiczne. Od początku wypraw „wrocławskich” przeprowadzono remonty Stacji Polarnej PAN w Hornsundzie, i zabezpieczono zabytkowe, małe domki traperskie (husy) w Zatokach Hytte i Gås, na półwyspach Gnål i Wilczek.

Z inicjatywy kierownika wypraw, glaciologa dr Stanisława Baranowskiego przygotowano we Wrocławiu, składane drewniane elementy niewielkiego domku glaciologów (projekt mgr inż. Krystyny Baranowskiej, żony Staszka). Elementy przewieziono statkiem „Jan Turlejski” należącym do Wyższej Szkoły Morskiej z Gdyni, następnie łodzią i na końcu pieszo, z pomocą motocykla, wózka ręcznego, uruchomionego po kilkunastu latach samochodu terenowego GAZ, do miejsca obecnej lokalizacji. Jako podstawę konstrukcji wykorzystano belki drewna dryftowego oraz betonowe pustaki.

Budowniczymi byli glacioklimatolodzy: Stanisław Baranowski i Bronisław Głowicki oraz elektronik Jan Szymański – „złota rączka” wielu polskich wypraw polarnych. Aktywnie pomagali w transporcie i budowie: geomorfolodzy: Stefan Kozarski (UAM) i Jerzy Cegła (UWr.) oraz geofizycy: Ryszard Czajkowski, Jan Uchman i Jerzy Wehr (IGF PAN). Pierwszy moduł stacji glaciologicznej o rozmiarze 4 m² postawiono w 12 godzin. Pod koniec 3,5 miesięcznej ekspedycji całość liczyła 28 m². Jako ocieplenie podłogi posłużyły maty słomiane, przywiezione do eksperymentu glaciologicznego „sztucznej moreny”. Materiały budowlane (ponad 4 tony), przewożono do Zatoki Hytte, a następnie płaskodenną łodzią do wnętrza Zatoki Nottigham, do ujścia rzek Brattegg i Lodowcowej. A później już „tylko” około kilometra tundra, przez skałki, torfowiska, potoki. Jednocześnie w pełni realizowano program badawczy.

W roku 1972 glacioklimatolodzy Jerzy Pereyma i Jacek Piasecki uszczelnili dom i pokryli papą. Pomagali im Marian Pulina, Jerzy Bieroński i Jacek Jania. Stacja glaciologiczna ogrzewana była piecykiem typu „koza”, umieszczonym w kuchni, z kominem zaokiennym.

Zasadnicze zmiany przyniósł rok 1973. Do istniejącego trzonu stacji dobudowano pomieszczenie przeznaczone na saunę (obecnie łazienka i magazyn żywnościowy). Całość ścian zewnętrznych uszczelniono i docieplono płytami pilśniowymi miękkimi i twardymi. W celu zmniejszenia zawilgocenia ścian, płyty owinięto plastikową folią. Zainstalowano zespół kuchенно-grzewczy złożony z norweskiej

kuchenki z piekarnikiem, przywiezionej z ruin husa na Palffyodden. Do kuchenki podłączono „kozę” ze zdjętą pokrywą. W miejsce pokrywy zainstalowano przywieziony z kraju 60 litrowy bojler wodny (pionowa kolumna). Przez bojler przechodziła rura kominowa odprowadzająca dym z kuchenki. W ten sposób uzyskiwano ciągły zapas ciepłej wody. Można też było bardzo szybko zagrzać wodę, paląc pod bojlerem. Istniejąca już instalacja wodociągowa uzyskała strumień ciepłej wody. Za przepierzeniem zainstalowano kabinę prysznicową. Stacja uzyskała też wykonane na miejscu, dopasowane meble. Całość pomalowano zieloną farbą olejną. W pracach uczestniczyli: Stanisław Baranowski, Jan Szymański, Kazimierz Pękała, Jerzy Pereyma, Marian Pulina.

W 1974 roku na stoku moreny, kilka metrów od stacji, wybudowany niewielki domek gospodarczy z przeznaczeniem na agregatornię. Głównymi budowniczymi byli Janusz Szajna i Stanisław Baranowski. W wyprawie uczestniczyli również Jan Klementowski i Katarzyna Jankowska oraz Jerzy Bieroński. Stację odwiedzili jej twórcy – inż. Krystyna Baranowska oraz Jan Szymański.

Podczas ostatniej ekspedycji z cyklu „wrocławskiego” (lato 1975 r.) w Stacji pracowali oraz dbali o jej stan techniczny mgr Magdalena Morawska oraz mgr Jerzy Sacewicz – klimatolodzy z UW.

Po trzyletniej przerwie, w 1978 roku, wznowiono kontynuację prac w Stacji Uniwersytetu Wrocławskiego. W skład ekipy letniej Wyprawy PAN weszli Jerzy Pereyma i Józef Liebersbach. Jako glacioklimatolodzy kontynuowali program nakreślony przez doc. dr hab. Stanisława Baranowskiego. Niestety, już bez Niego. W wyniku zatrucia ogrzewaniem gazowym w nieużytkowanym domku w okolicy Stacji im. Arctowskiego w Antarktyce, Staszek nie odzyskał świadomości i zmarł 27 sierpnia, po przewiezieniu do Polski. Wiadomość tę przekazano przez radio do Hornsundu. W wyniku uzgodnień z prof. Alfredem Jahnem oraz władzami Uniwersytetu Wrocławskiego, stacji wrocławskiej nadano nazwę: „Stacja Polarna im. Stanisława Baranowskiego Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergenie.” Z białych kwarcytów usypaliśmy kopczyk przed stacją i zatknęliśmy na jego wierzchołku czekan z wyrytym napisem „Stanisław Baranowski Memory”. Wyrzeźbiliśmy na deskach dwie nazwy „Baranówka” oraz „Värenhus”. Ta ostatnia nazwa była swobodnym połączeniem nazwy „baran” (w sensie zodiakalnym) oraz domku. Wydawało się, że pasuje do norweskich nazw na Spitsbergenie, lecz nie przyjęła się, z uwagi na bliskość fonetyki i pisowni z domem handlowym. W następnych latach przyjęła się nazwa „Werensus”, jako nawiązująca do pobliskiego lodowca Werenskiolda, również po norwesku nieprawidłowa, ale o swojskim, lokalnym brzmieniu. Zaistniała jako nazwa wywoławcza dla rozmów radiowych z bazą w Hornsundzie oraz statków i helikopterów. Stacja została odświeżona i pomalowana ponownie na zielono.

Wyprawa letnia Uniwersytetu Wrocławskiego w 1979 roku dokonała zasadniczej modernizacji Stacji Baranowskiego. Rozebrano całkowicie dach, podniesiono go, uzyskując formę dwuspadową, charakterystyczną dla regionu sudeckiego. Nic

dziwnego – głównym autorem przebudowy był karkonoski góral, „złota rączka” – Krzysztof Szelest. Prace wykonywali z wielkim zapałem wszyscy uczestnicy wyprawy wrocławskiej. Stacja uzyskała dodatkowe, styropianowe ocieplenie ścian i podłóg, podwyższenie dachu dało dodatkowo 4–6 wygodnych miejsc do mieszkania. Ściany wewnętrzne wyłożono boazerią i uszczelniono. W pracach uczestniczyli (poza wspomnianym wyżej): Jerzy Pereyma (kierownik), Janusz Kida, Andrzej Karkowski, Mieczysław Sobik, Henryk Chmal i Jacek Chachaj.

Wykonana modernizacja umożliwiła wykorzystanie Stacji do całorocznych prac badawczych. W czasie zimowania w 1979/80, Jerzy Pereyma oraz Marian Pulina – kierownik wyprawy PAN w Hornsundzie 1979/80 – w oparciu o stację prowadzili badania z zakresu bilansu rocznego masy lodowca Werenskiolda.

Latem 1980 roku kolejna wyprawa wrocławska dobudowała bardzo użyteczne pomieszczenie przedsionka. W wyprawie uczestniczyli: doc. dr hab. Jerzy Cegła (kierownik), dr Janusz Kida (główny budowniczy), dr Anna Szczepankiewicz-Szmyrka, mgr Magdalena Morawska-Jacewicz, mgr Bogusław Horwath. W wyprawie uczestniczyli też: prof. Leszek Szerszeń oraz prof. Tadeusz Chodak – gleboznawcy z Akademii Rolniczej we Wrocławiu.

Kolejne, niewielkie grupy wrocławskie wykonywały w latach 80-tych i 90-tych bieżące remonty. W wyprawach uczestniczyli: prof. Alfred Jahn, dr Henryk Chmal, dr Dariusz Krzyszkowski, dr Andrzej Traczyk, mgr Tadeusz Bryś, dr Piotr Migoń, dr Jan Klementowski, dr Zdzisław Jary, dr Janusz Kida, Jan Szymański.

Jako istotne działania naukowe należy wymienić współpracę z Uniwersytetem Śląskim, która rozpoczęła się w 1983 roku. Realizowano wspólny program koordynowany przez prof. Mariana Pulinę z UŚ. Z UW. uczestniczyli w wyprawie dr Jerzy Pereyma oraz dr Jacek Piasecki. Następnie w stacji pracowali badacze śląscy kierowani przez prof. Jacka Janię.

W 1985 roku odbyła się wspólna wyprawa badawcza z zespołem Uniwersytetu w Brnie (prof. Pavel Prosek, prof. Rudolf Brazdil, prof. Milan Konecny). Uczestniczył w niej również prof. Adolfo Eraso z Madrytu. Z Wrocławia: dr Jan Klementowski, dr Anna Szczepankiewicz-Szmyrka, Jan Szymański, dr Jacek Piasecki, prof. Tadeusz Chodak (Akademia Rolnicza).

Działalność Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergenie znacznie osłabła w latach 90-tych. Rozpoczęła się natomiast aktywna działalność glacijspeleologów czeskich, kierowanych przez Josepha Rehaka – legendarnego Pepę. W sposób istotny przyczynili się oni do przetrwania Stacji Baranowskiego. Podnieśli cały domek, oddalając zmore powodzi rzeki Brattegg. Z zakupionych przez Uniwersytet Wrocławski materiałów budowlanych, pokryli dach blachą, malując ją na czerwono. Dokonali naprawy nadpalonej podłogi w spiżarni. Wprowadzili wiele udoskonaleń w wyposażeniu Stacji Baranowskiego. W stacji wrocławskiej pracowali też polarnicy z Uniwersytetu Śląskiego, głównie profesorowie Marian Pulina i Jacek Jania z zespołem.

Nową serię wypraw polarnych Uniwersytetu Wrocławskiego rozpoczęto latem 2000 roku. Trwają one do chwili obecnej. Realizują programy w zakresie gla-

cjoklimatologii, geomorfologii, geologii i hydrologii, gleboznawstwa, ichtiologii, botaniki. W wyprawach Uniwersytetu Wrocławskiego oraz ekspedycjach PAN w latach 2000 – 2010 uczestniczyli z Instytutu Geografii i Rozwoju Regionalnego klimatolodzy: dr hab. Krzysztof Migala, dr Jerzy Pereyma, dr Sebastian Sikora, dr Anetta Drzeniecka, mgr Marek Kowalczyk, mgr Tymoteusz Sawiński, mgr Tomasz Nasiółkowski, mgr inż. Piotr Modzel. Geografowie fizyczni i geomorfolodzy: dr Jan Klementowski, dr Bartosz Korabiewski, dr Agnieszka Latocha, dr Krzysztof Parzóch, dr Sylwia Horska-Schwarz, dr Piotr Owczarek W tym okresie w Stacji UW. przebywali dość często studenci (magistranci) i doktoranci z IGRR. Na wyprawach spitsbergeńskich pracowali geolodzy i hydrogeolodzy z Instytutu Nauk Geologicznych: prof. dr hab. Stanisław Staśko, dr hab. Henryk Marszałek, dr hab. Robert Tarka, dr Tomasz Olichwer, dr Mirosław Wąsik, dr Anna Kowalska, dr Magdalena Modelska, dr Sebastian Buczyński, mgr Michał Rysiukiewicz.

Z Wydziału Nauk Biologicznych w wyprawach lat 2003–2010 pracowali: prof. dr hab. Andrzej Witkowski, dr Jan Kuśnierz, dr Jan Kotusz.

Z ekspedycjami wrocławskimi współpracowali m.in.: płk dr Jan Ciećkiewicz, Zastępca Komendanta Wyższej Szkoły Oficerskiej we Wrocławiu, prof. dr hab. Jan Matuła i dr hab. Bronisław Wojtuń – botanicy z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, prof. dr hab. Wojciech Ciężkowski z Politechniki Wrocławskiej, dr Cezary Kabała – gleboznawca oraz dr Marcin Popiołek – mikrobiolog, obaj z Uniwersytetu Przyrodniczego.

Uniwersytet Wrocławski współpracuje naukowo i logistycznie na Spitsbergenie ze Stacją im. Stanisława Siedleckiego w Hornsundzie Instytutu Geofizyki PAN w Warszawie. Niejednokrotnie Stacja Baranowskiego bywa miejscem pobytu i odwiedzin polarników polskich i zagranicznych. Nieoceniona jest pomoc i przychylność Instytutu Geofizyki PAN, a szczególnie kierownika Zakładu Badań Polarnych prof. dr hab. Piotra Głowackiego oraz uczestników wypraw PAN do Hornsundu. Również pomoc logistyczna załogi i statków Akademii Morskiej w Gdyni „Horyzont II”, a poprzednio „Jan Turlejski”, przyczyniła się wydatnie do istnienia naszej Stacji.

Naukowo wyprawy Uniwersytetu Wrocławskiego współpracują z Uniwersyteciem Przyrodniczym we Wrocławiu, Politechniką Wrocławską oraz Uniwersyteciem Śląskim i Instytutem Geofizyki PAN w Warszawie. Niejednokrotnie przebywają i współpracują z nami badacze polarni z rozmaitych ośrodków naukowych polskich i zagranicznych: Norwegii, Luksemburga, Wielkiej Brytanii i Rosji. Poprzednie oraz aktualne nazwy Stacji i innych obiektów geograficznych, związane z Wrocławiem, zostały wprowadzone na mapy wydane przez Polskę i Norwegię. Specyfiką wypraw wrocławskich jest szeroki wachlarz dyscyplin naukowych w zakresie nauk o ziemi oraz biologii. Rezultat naukowy to wiele publikacji krajowych i międzynarodowych, w tym trzy o charakterze monografii.

Wyprawy Uniwersytetu Wrocławskiego wiele zawdzięczają władzom uczelni w całym, długim okresie (od 1957 roku) działalności. Uniwersytecka społecz-

ność polarna składa podziękowanie J. M. Rektorowi prof. dr hab. Markowi Bojarskiemu oraz poprzednim Magnificencjom – prof. dr hab. Zdzisławowi Latajce i prof. dr hab. Leszkowi Pacholskiemu, za patronat nad polarną działalnością naukową oraz Stacją Polarną im. Stanisława Baranowskiego na Spitsbergenie – odległą i trudnodostępną placówką naszego Uniwersytetu.

Jerzy Pereyma

Książki Stacji im. Stanisława Baranowskiego

W dniu 24 września 1971 roku, w nowo wybudowanym domku glaciologów wrocławskich, w zwyczajnym szkolnym zeszycie, na jego pierwszej stronie, pojawił się odręczny wpis po angielsku, autorstwa Stanisława Baranowskiego: „ *The hut has been set.....*”.

„Domek został wybudowany wyłącznie dla celów naukowych. Mam nadzieję, że będzie używany do przezimowania. Zapraszam do skorzystania z domku w razie potrzeby. Jednak nie wynosć nic z chaty, chyba, że znajdziesz się w niebezpiecznej sytuacji. Stanisław Baranowski”

Na okładce brulionu z trudem można odczytać; „*Werenskioldbreen, Spitsbergen 1971*”. W tym właśnie roku, 24 września zakończono pierwszy etap budowy Stacji Glaciologicznej na przedpolu lodowca Werenskiolda (77,04 N, 15,11 E, 16,7 m n.p.m.). Zdarzenie to miało miejsce podczas II Wyprawy Naukowej Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergen. Miejsce zostało wybrane rok wcześniej i nie było przypadkowe. Lodowiec Werenskiolda w latach 1957–60, był przedmiotem intensywnej eksploracji grupy glaciologicznej III Międzynarodowego Roku Geofizycznego, kierowanej przez Aleksandra Kosibę, profesora Uniwersytetu Wrocławskiego, a w okresie międzywojennym uczestnika, organizatora i kierownika wypraw na Grenlandię, Islandię i do Płn. Skandynawii. We wszystkich polskich wyprawach okresu 1957–60, włącznie z zimowaniem w Hornsundzie 1957/58 i następnie w angielskiej wyprawie w 1962 roku, brał udział młody, wybijający się glaciolog-klimatolog Stanisław Baranowski. On to pokierował cyklem tzw. „wrocławskich wypraw na Spitsbergen 1970–1975”, zainicjowanych m. in. przez prof. Alfreda Jahna z Uniwersytetu Wrocławskiego. Współorganizatorem wypraw wrocławskich był ówczesny Zakład Geofizyki PAN z Warszawy, a całości patronował Komitet Wypraw Geofizycznych PAN. Za pośrednictwem ówczesnego Zakładu Oceanologii PAN z Sopotu, trudu transportowania wypraw na Spitsbergen podjęła się Wyższa Szkoła Morska w Gdyni, a konkretnie statek szkolny „Jan Turlejski”, dowodzony przez nestora polskich marynarzy kpt. Wiktora Gorządka. Wyprawy były niewielkie 6–12 –osobowe. Pracowały głównie w Hornsundzie w oparciu o Stację PAN z wypraw 1957–60. Dla glaciologów wrocławskich było to „daleko do pracy”.

Lodowiec Werenskolda był badany w poprzednim cyklu wypraw przez ekipę prof. Kosiby, bazującą w namiotowej stacyjce ok. 10 km od czoła lodowca na wysokości ok. 380 m n.p.m. Mieszkanie i praca na lodowcu, w namiotach, było ogólnie określając, „dalekie od komfortu”. W 1970 roku Staszek Baranowski to odmienił.

Przeniósł stację podstawową na tundrowo-skałkowe przedpole lodowca, a w 1971 powstał tam drewniany domek o powierzchni 26 m², nazwany wówczas Stacją Glacjologiczną. W budowie domku i transporcie materiałów uczestniczyli głównie: Stanisław Baranowski, Jan Szymański i Bronisław Głowicki.

Następny wpis w zeszycie powstał dopiero po 3 latach, 6 września 1974 roku. Wpisujący Staszek Baranowski odnotował w nim 3-letnie już dzieje domku. Dowiedzieliśmy się o początkach budowy w 1971 roku, a następnie o rozbudowie i modernizacji w sezonach letnich 1973 i 1974. Szczególnie istotne były inwestycje z 1973 roku. Do istniejącego trzonu domku dobudowano ok. 5 m² przybudówki, z przeznaczeniem na saunę i toaletę, później przekształcone w łazienkę i magazynek żywności. Cała chatka została ocieplona i wyposażona w instalację wodociągową oraz elektryczną. Głównymi budowniczymi byli: Stanisław Baranowski, Jan Szymański i Kazimierz Pękala. W 1974 roku agregat prądowórczy uzyskał osobne pomieszczenie (autorzy: Janusz Szajna i Staszek Baranowski), oddalone kilka metrów od domku. Przez stację przewinęło się kilkanaście osób, z których każdy pozostawił swój wkład w tworzeniu infrastruktury oraz swoistej „wrocławskiej”, niezwykle przyjaznej atmosfery. W latach 1974 i 1975, a następnie do 1978 roku pojawiły się również wpisy gości stacji, odwiedzających Stację, pracujących w niej i wypoczywających. Byli to głównie uczestnicy wypraw z Trójmiasta i Warszawy. Na krótko Stację odwiedzili w 1974 roku Krystyna Baranowska (projektant) oraz Jan Szymański (konstruktor). Wpis Staszka Baranowskiego z końca lata 1974, został śladem Jego ostatniego pobytu na Spitsbergenie. Wśród wpisów pojawiły się też notki polarników z Rosji, Norwegii i Stanów Zjednoczonych.

W 1978 roku Instytut Geofizyki PAN z Warszawy przystąpił do generalnej przebudowy Stacji w Hornsundzie. Do wrocławskich uczestników wyprawy PAN dotarła wiadomość o śmierci Stanisława Baranowskiego, poniesionej wskutek tragicznego zatrucia gazem podczas II Wyprawy Antarktycznej. W dniu 16 września w imieniu władz Uniwersytetu Wrocławskiego oraz wszystkich polskich badaczy polarnych, mieliśmy zaszczyt (Józef Liebersbach i Jerzy Pereyma), nadać Stacji Glacjologicznej imię Staszka, z popularną nazwą „Baranówka” lub „Værenhus”. Ułożyliśmy z jasnych kwarcytów kopczyk z zatkniętym czekanem. Pojawili się pierwsi zimowi goście, coraz bardziej popularnej „Baranówki”/„Werenhusa”.

W następnym, 1979 roku Uniwersytet Wrocławski wysłał ekipę naukową z jednoczesnym zadaniem modernizacji Stacji Baranowskiego. Niziutki, istniejący stryszek, podniesiono i przekształcono w obszerną sypialnię. Pomysłodawcą i głównym konstruktorem dwuspadowego, sudeckiego dachu był Krzysztof Szalest ze Szklarskiej Poręby. Podczas zimowania 1979/80 znaczną część programu, realizowali w oparciu o Werenhusa, Marian Pulina i Jerzy Pereyma. Z uwagi na zwiększone niebezpieczeństwo w okresie zimowym, wpisy w książce Stacji coraz częściej miały charakter informacji poszukiwawczych, podobnie jak w schroniskach górskich: 26.05.80 r.: „Ostatni raz, skuterem spod Stacji, wyjeżdżamy poprzez Bergskardet, Vrangpeisbreen, Torellbren, Bøygisen na Amundsenisen. Powrót

podobnie lub przez Nornebrene około 1.06.". Powróciliśmy (Marian Pulina i Jerzy Pereyma), lecz kilkanaście dni później. W „miedzyczasie” badania na Plateau Amundsena, nagła wyprawa ratunkowa na Raudfjellbreenie. Zwiezienie rannego Sławka do bazy. Powrót po Mariana na środek Torella, awaria skutera, wędrówka na nartach z Wrangpeisa i powrotna z naprawionym wahaczem do bazy, a następnie ... lody puściły, śniegi stopniały i łodzią do Werenhusa. I już nowy wpis w książce: „4.7.1980. Z okazji wizyty w najpiękniejszej placówce polskiej nauki..., Kapitan i załoga m/s Antoni Garnuszewski”. Większość ostatnich stron pierwszego zeszytu książki Stacji wypełniają wpisy z wyprawy wrocławskiej 1980 roku, dokonywane przez jej kierownika Jerzego Cegłę oraz konstruktora przedsięwzięcia Janusza Kidę.

Kolejna książka Werenhusa liczy zaledwie kilkanaście trudno czytelných kartek. Resztę skonsumował podczas nocy polarnej 1988/89 intruz w postaci misia polarnego. Poniszczył też mocno obiekt stacji. Wśród zapisków z 1980 roku zachowała się notka „eks-mieszkańca Bronisława Głowickiego” – jednego z budowniczych stacji w 1971 roku. Zachowała się też informacja Krzysztofa Migały i Mieczysława Sobika z 21.09.1981: „Jeszcze tydzień temu, będąc na Jego przełęczy robiliśmy obserwacje, o które nas prosił. Dziś trafia do nas smutna wiadomość. W sobotę, 19.09.81 zmarł prof. ALEKSANDER KOSIBA”.

Brakuje (sprawka żarłocznego misia) opisu ważnej naukowo wyprawy wrocławsko-brzeńskiej z 1985 roku oraz wyprawy Uniwersytetu Wrocławskiego i Śląskiego z 1983 roku.

Trzecia książka Werenhusa, jak poprzednie w postaci zwykłego szkolnego brulionu, została założona po niedźwiedzych szkodach w kwietniu 1989 roku. Liczne zapisy w niej trwały do marca 2003 roku. „Niedźwiedzie” szkody naprawili uczestnicy XI Wyprawy PAN, kierowanej przez Piotra Głowackiego. Nowi mieszkańcy przeplatają się z dawnymi: Marianem Puliną, Jackiem Janią, Jerzym Pereymą (wyprawa 1972 r.). Wpisy wrocławian przeplatają się głównie z „sąsiedzkimi” – wypraw AGH do Hytteviki, a od 1986 glacijspeleologów czeskich pod wodzą Josepha Réhaka. Jest krótkie wspomnienie o Staszku Baranowskim, autorstwa prof. Krzysztofa Birkenmajera. Są wpisy Norwegów, Kanadyjczyka prof. Schrödera, wpis chiński, amerykański, Uniwersytetu Śląskiego i wiele, wiele innych. Nie ma niestety opisu podniesienia i renowacji domku dokonanej przez czeskich glacijspeleologów, ale ich działanie techniczne zapobiegły zalewaniu domku podczas dużych wezbrań rzeki Bratteg.

Na ostatniej stronie III książki Werenhusa, ktoś wpisał w 2003 roku „Koniec c.d.n.”. Ciąg dalszy nastąpił latem 2003 roku, w momencie wznowienia cyklu wypraw Uniwersytetu Wrocławskiego. Do chwili obecnej kontynuowane są prace badawcze polarników z Wrocławia i innych ośrodków polskich oraz zagranicznych. Na półce, w jadalni Stacji Polarnej Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergenie im. Stanisława Baranowskiego leży IV książka, w której dokonywane są aktualne wpisy.

We wszystkich czterech Werenhusbookach znajdują się wpisy o rozmaitym charakterze. Od informacji o kolejnych wyprawach i grupach, poprzez krótkie

wpisy o wyjściach, do osobistych, nawiązujących do wrażeń i emocji z pobytu. Są pełne refleksji, wpisy Ani Kowalskiej, ale też brakuje wpisów osób (m.in. Jana Klementowskiego i Jacka Piaseckiego), które pozostawiły trwały wkład w istnienie Stacji Polarnej Uniwersytetu Wrocławskiego im. Stanisława Baranowskiego.

Marek Górski

Baranówka – Hornsund 1970

Nie wiem, czy gdy w czerwcu 1970 wypływaliśmy z Gdyni na Spitsbergen w głowie Staszka Baranowskiego, kierownika naszej sześciuosobowej wyprawy, rysowała się już idea utworzenia stałego laboratorium badawczego pod Werenskioldem. Natomiast wiem z pewnością, że kiedy we wrześniu opuszczaliśmy Hornsund, Staszek miał konkretną wizję wieloletniego laboratorium, zwanego później „Baranówką”, „Werenhusem” czy, też ostatecznie Stacją Polarną im. Stanisława Baranowskiego.

Wyprawa 1970, pierwsza z kolejnych corocznych letnich wypraw do Hornsundu, była zorganizowana w oparciu o umowę z Wyższą Szkołą Morską w Gdyni, która zapewniała coroczny transport na Spitsbergen kilkusobowej grupy badaczy w ramach rejsów szkoleniowych statku „Turlejski”. Niezapomniany „Turlej” przewiózł również mnóstwo sprzętu, w tym oczywiście wszystko, co było niezbędne do powstania „Baranówki”.

Idea corocznych letnich wypraw badawczych narodziła się w Instytucie Geofizyki PAN w Warszawie. Był to projekt badań zjawisk sejsmicznych generowanych przez lodowce. Autor projektu, profesor Roman Teisseyre, po raz pierwszy zarejestrował te zjawiska w roku 1962, prowadząc badania na lodowcu Hansa wraz z profesorem Stanisławem Siedleckim. Niestety nie udało się na ten projekt uzyskać odpowiednich funduszy. Zawarto kilkuletnią umowę z Wyższą Szkołą Morską w Gdyni, zapewniającą transport naukowych grup badawczych na Spitsbergen. Zakład Geofizyki PAN (obecnie Instytut Geofizyki PAN) realizował badania zjawisk sejsmicznych tylko w ramach własnych, bardzo ograniczonych środków. Stacja Morska PAN w Sopocie (obecnie Instytut Oceanologii PAN), podczas rejsów statku „Turlejski”, zrealizowała wieloletni cykl badań morza. Rejsy szkoleniowe statku „Turlejski” zostały w pełni wykorzystane przez badaczy z wszystkich polskich ośrodków zajmujących się polarystyką; badania rozpoczął Uniwersytet Wrocławski. W błyskawicznym tempie, wiosną 1970, Stanisław Baranowski współpracując z Maciejem Zalewskim z IGF PAN, organizuje pierwszą wyprawę. Na początku lipca 1970 wylądowała w Hornsundzie sześciuosobowa grupa. Jej celem były następujące prace:

- badania glaciologiczne w rejonie lodowców Werenskiolda i Hansa (Stanisław Baranowski – kierownik wyprawy, Bronisław Głowicki);
- badania geomorfologiczne w rejonie Isbiornhamna i obszarach przyległych (Adolf Szponar, Andrzej Martini);

- badanie zjawisk sejsmicznych generowanych w lodowcu Hansa i pomiary całkowitej zawartości ozonu w atmosferze (Marek Górski).

Nad całością prac technicznych czuwał Jan Romer.

Działania rozpoczęliśmy od gospodarskich prac przygotowawczych. Stacja w Hornsundzie („Baza”) zbudowana w ramach Międzynarodowego Roku Geofizycznego 1957–58 nie pracowała już od ponad 10 lat (okresowo mieszkał tam traper) i wymagała elementarnego przystosowania do naszych działań. Drugim podstawowym zadaniem było przetransportowanie sprzętu i materiałów niezbędnych do prowadzenia badań w rejonie lodowca Werenskiolda. W pracach tych wzięli udział wszyscy uczestnicy wyprawy. Były to pierwsze dokonania związane z budową „Baranówki”. Przed moreną Werenskiolda powstała „Baranówka 1970” – namiot z płacht brezentowych, jedną ze ścian stanowiła skała, obok postawiono namiot – sypialnię. Brezentowy domek zapewniał nie tylko niezbędne warunki do egzystencji, ale był jednocześnie miejscem pracy; planowano tam i przygotowywano badania terenowe, opracowywano wstępnie ich wyniki, przechowywano i kalibrowano precyzyjną aparaturę geodezyjną i profesjonalny sprzęt fotograficzny.

Transport pod Werenskiolda odbywał się łodzią; była to przywieziona przez nas z kraju duża łódź desantowa „Krab”. Niestety silnik przyczepny, który udało się zdobyć w Polsce miał tylko 5 KM i był bardzo zawodny. Rejs z „Bazy” w zatoce Isbjornhamna do rejonu Werenskiolda (ok. 25 km) trwał 8 godzin w jedną stronę. Od wybrzeża sprzęt transportowaliśmy na dwukołowym wózku. Niezapomniany widok to transport „Krabem” mat słomianych, które później były użyte jako sztuczna morena na powierzchni lodowca – po fiordzie płynie łódź, a na niej na dwumetrowej kopie słomy siedzi Staszek, z tyłu przy silniku siedzi Jachoń, czyli Jan Romer, który nic nie widzi spoza słomy, Staszek wpatrzony w fiord kieruje z bocianiego gniazda. Udało się nam również naprawić i wykorzystywać popękaną łódź łowiecką „Delfin”, używaną w czasie Międzynarodowego Roku Geofizycznego przez profesora Siedleckiego. Niedawno widziałem ją w „Bazie” (oczywiście jako zabytek) myślę, że jest tam jeszcze. Ostatni transport do stojącej już „Baranówki 1970” odbył się przez przełęcz Kosiby. Sanie ciągnęliśmy wszyscy. Jeszcze stosunkowo niedawno widziałem zrobione przez Staszka zdjęcie jak ciągniemy te sanie. Zdjęcie wisiało na korytarzu w UWr.

„Baranówka 1970” funkcjonowała przez całe lato, Staszek i Bronek większość czasu poświęcali na prace w rejonie Werenskiolda współpracując jednocześnie z pozostałymi w „Bazie” czterema uczestnikami wyprawy. We wrześniu brezentowe laboratorium zostało rozebrane. Na lodowcach pozostały różnego typu markery niezbędne do kontynuacji badań w następnych latach.

Mimo pionierskich warunków, wyprawa przyniosła wartościowe wyniki będące podstawą szeregu publikacji i początkiem dalszych badań.

Ryszard Czajkowski

Wyruszyłem na Spitsbergen...

Muszę się przyznać, że zawsze marzyłem o Spitsbergenie. Jednak dopiero cztery lata po wyprawie na Antarktydę załapałem się na Spitsbergen. Cieszyłem się i jednocześnie byłem stremowany. Przeczytałem wszystko, co dostępne, nawet sprawozdania z wcześniejszych wypraw. Organizacja takich wypraw wtedy była czymś skomplikowanym, ale na ile – to chyba już dziś nikt nie pamięta. Pierwszy raz spotkałem się ze Staszkiem, który był szefem wyprawy. Pamiętam, jak mi mówił „mężczyzna powinien zbudować dom i fabrykę”, coś tam jeszcze, ale to nie warto wspominać. Żona Staszka, Krystyna zaprojektowała dom, ja zdobyłem w obserwatorium geofizycznym w Belsku deski. Zdobyłem to dobre słowo, ale używam w opowiadaniach swoich też słowa ukradłem, bo tak naprawdę to nikogo o to czy mogę te deski wziąć nie pytałem. Z tych desek stolarz w pobliskim Grójcu zrobił według rysunków Krystyny elementy i zawieźliśmy je do Gdyni na statek. Kombinowałem by wziąć wszystko co może być potrzebne. Kupiłem w Warszawie śnieżny skuter firmy Johnson, ponton Nautilus dostosowany do przyczepnych silników i wprost z fabryki w Nowej Dębie silnik DE-25 i DE-6. DE-25 wyposażony był nawet w rozrusznik elektryczny. Zabraliśmy w 5 litrowych butlach gaz. Zdobyłem samochodowe zestawy krótkofalowej łączności radiowej. Mały, jak na tamte czasy, 1,3 KW agregat prądotwórczy dostałem z wojska, ważył zaledwie 72 kg i wiele ułatwiających życie polarnika udogodnień. Specjalista od powozów Pan Buholc z okolic Poznania zrobił nam sanie nansenowskie na podstawie wzoru z pierwszego zimowania. Buty zrobiła fabryka w Wałbrzychu. Sprzęt puchowy robiła nam inwalidzka spółdzielnia krawiecka, a namioty fabryka w Legionowie. Chwilami czułem, że Staszek się z mojej zapobiegliwości uśmiecha, był zwolennikiem surowych traperskich wypraw. Tak, tak, były to czasy kiedy nie można było tego wszystkiego po prostu kupić. Może trudno w to dziś uwierzyć. I pewnie bym o tym nie pisał, ale to przygotowanie wymagało wiele energii, wkładu pracy i pomysłowości. Już nie będę opowiadał o zdobywaniu jedzenia, no może z wyjątkiem chleba. Piekł go dla nas, można powiedzieć tradycyjnie, piekarz z Marwoja. Potrzebował do tego spirytus. Pytaliśmy go czy to, aby nie dla niego, by podnieść walory produktu, ale on twierdził, że to taka technologia. Wzięliśmy też beczkę kwaszonej kapusty. Trzeba było zabrać papę, smołę, lepik, farby, i to nie tylko na ten nasz nowy dom, ale i na reperację domu w Hornsundzie, który był w bardzo złym stanie. Powoli poznawałem innych członków wyprawy: z Warszawy Jan Uhman i Jerzy Wehr z Poznania Stefan Kozarski z Wrocławia poza Staszkiem Baranowskim, Bronek Głowicki i Jurek Cegła.

I wtedy zaczął się drugi Etap wyprawy. Statkiem szkolnym *Jan Turlejski* z Gdyni do Hornsundu. Poznałem kapitan statku Wiktora Gorzadka, właściwie historię polskiego rybołówstwa dalekomorskiego. Wspaniałego gawędziarza i wielkiego znawcę mórz i oceanów. Jego oficerów i kucharza. Sympatyczni byli też studenci. Ta podróż to prawie oddzielne opowiadanie. Na morzu sztorm. Moglibyśmy schować się w fiordach, a tu ze względów politycznych, nas wyrzucają. Statek jest państwowy, państwa z obszaru Paktu Warszawskiego, a Norwegia to NATO. Mamy uszkodzoną maszynę sterową, wchodzimy do Hammerfestu. Kapitan otwiera statek dla zwiedzających, moc gości, również dziennikarze. Atmosfera łagodniejsza, nawet specjaliści nie mają zastrzeżeń, że nie jesteśmy statkiem szpiegowskim, a już z pewnością nie wojennym. Dla nas pobyt w fiordach to też wielkie przeżycie. Spuszczamy nasz ponton i ruszam ze Staszkiem na przejażdżkę. Ruszam fantazyjnie, z możliwie dużą prędkością. W zakrętach pochylałem ponton efektownie – Staszek na takich łodziach nie pływał. Urosłem do stanowiska autorytetu od pływania motorówką i tak już na resztę wyprawy pozostało. Nasz Kapitan zakochany był w Wyspie Niedźwiedziej, więc chowamy się za nawietrzną stronę wyspy i odpoczywamy. Było to dla nas zbawienne, bo niezbyt dobrze znosiliśmy kiwanie *Turlejskiego*.

Na horyzoncie ostre postrzępione góry, zbliżamy się do Spitsbergenu. Wchodzimy do fiordu. Naszymi łodziami przenosimy kilka ton naszego sprzętu do Isbjørnhamny, w sąsiedztwie stacji. Nie zawsze były to wody wolne od lodu w tym sezonie mieliśmy szczęście.

Statkiem popłynęliśmy za Dunöyane w rejon Hytteviki. Na płaskodennej plastikowej łodzi przewoziłem elementy domu. Załadowaliśmy ich tyle, że musiałem stać za elementami by widzieć dziób łodzi. Płynąłem pod kątem do fali i niepokoiłem się, że tak obciążona łódź nabierze wody. Udało się, lądujemy na kwarcytowym wybrzeżu. Położyłem się na ciepłych, pokrytych porostami, jasnych skałach. Piękne seledynowe morze. Kwarcytowe skały o różnych odcieniach, zieleni, brąz porostów, trawy, malutkie kwiatki, białe, żółte i fioletowe skalnice. Nade mną skały, a wyżej ośnieżone szczyty. Wszystko czego mi potrzeba do szczęścia. Jeszcze kilka kursów, ale już ze znacznie mniejszym zdenerwowaniem. Wróciliśmy do Bazy. Statek odpłynął. W ciągu kilku dni uruchomiliśmy nasze obserwacje. Razem ze Staszkiem, Bronkiem i Jerzym przejechaliśmy skuterem ciągnącym sanie przez przełęcz Kosiby na lodowiec Werenskiolda i założyliśmy meteorologiczną stację automatyczną w miejscu gdzie w pierwszej wyprawie zbudowano mały domek i grupa prof. Kosiby w której działał Staszek, prowadziła stałe obserwacje. Myślę, że ta działalność Staszka spowodowała, że chce on właśnie u czoła lodowca Werenskiolda postawić dom.

Kilkakrotnie, wspólnie z Wehrem odwiedzaliśmy budowę. Przewoziliśmy wtedy wózkami na kołach od motoroweru po kilka elementów domu z Husa na Kwarcytowym Wybrzeżu do moreny czołowej lodowca Werenskiolda. Udało nam się też przewieźć część elementów wodą. Było to jednak dość skomplikowane,

bo Zatoka Notinghambukta nadawała się do wpłynięcia tylko w najwyższej wodzie i przez bardzo krótki czas. Trzeba było starannie dostosowywać się do przypływów. W środku naszego pobytu, pewnie po dwóch miesiącach przyszliśmy pomagać w kryciu domu papą. Wtedy już mogliśmy spać w pięknym wnętrzu. Bez względu na wielkość udziału w budowie byliśmy dumni z naszego dzieła. Siadaliśmy w pobliżu okna i rozważaliśmy nasze prace a przede wszystkim marzyliśmy o przyszłych wyprawach. Dom z wyprawy na wyprawę się rozbudowywał. Powstała agregatornia i sauna. Drewniana podłoga przed wejściem stanowiła taras.

Cały czas tuż obok głędoczka leżało ponad dwumetrowe koło, które miało być naszą elektrownią. To ta fabryka, o której wspomniałem na początku. Ale chociaż to koło było wielkie i ciężkie to jednak ulegało deformacji i nie udało się nam go nawet zainstalować. Dopiero pod koniec wyprawy w 1973 roku zrobiłem nowe koło z kół motocyklowych. Jako łopaty, zastosowałem płytki spod sejsmografów i doprowadziliśmy do tego, że koło się kręciło. To było moje zobowiązanie w stosunku do Staszka. Zastrzegłem się jednak, że już prądnicy nie zainstaluję. Oczywiście odbyła się potem wielka uroczystość, w której brała udział nasza koleżanka meteorolog. Trzeba przyznać, że wszyscy mieszkańcy w kolejnych wyprawach bardzo dbali o dom, który właściwie od powstania był domem Staszka. Od początku nazywaliśmy go Baranówką, czasami nieco zmieniając to słowo.

Mnie osobiście wielką radość sprawiała sauna. Pierwszy raz myślałem, że się nie zanurzę w głędoczku. Okazało się, że jak się jest tak bardzo wygrzanym to niska temperatura lodowcowej wody nie sprawia wielkiego wrażenia i pozwalaliśmy sobie nawet na kąpiele i pływanie, ograniczone wprawdzie do kilku ruchów.

Pierwsza wyprawa z 1971 roku była istotną wyprawą w moim podróżniczym życiu. Zauważyłem, że w tych organizowanych przez Staszka wyprawach tak naprawdę nie było szefa. On pełnił tę funkcję przy kontaktach z gubernatorem, z PAN, a między nami okazywało się to niepotrzebne. Wśród nas pojawiły się autorytety i każde działanie było uzgadniane z właściwą osobą. Robiłem nawet eksperyment, że nie trzeba było uzgadniać dyżurów w kuchni, a jeżeli chciał ktoś zmywać to musiał usiąść w strategicznym miejscu.

Już później w wyprawach, w których nie było Staszka nie musiałem organizować malowania ścian domu, można powiedzieć, że malowały się same.

Minęło wiele lat i wiele różnych wypraw. Tamtą wyprawę stale pamiętam i właściwie wszystkie z nią porównuję. Wiele tych osób już nie ma między nami, ale myślę, że dalej jestem ich przyjacielem.

Krzysztof Birkenmajer

Z wizytą na Stacji Baranowskiego

W zbudowanej przez Staszka Baranowskiego niewielkiej stacji badawczej na morenie Lodowca Werenskiolda w Ziemi Wedel Jarlsberga na Spitsbergenie byłem kilka razy. Stacja ta, popularnie zwana „Baranówką” lub „Werenhusem” (od nazwy lodowca z dodatkiem *hus* – dom), służy przede wszystkim badaniom glaciologicznym i rozpoznaniu jaskiń lodowych, kierowanym przez Uniwersytet Wrocławski, ale i zaprzyjaźniony geolog znajduje tu dobrą bazę dla badań proteozoicznych masywów skalnych obrzeżających Lodowiec Werenskiolda.

Aby dostać się do „Baranówki” należy naprzód dopłynąć łodzią lub zodiakiem ze Stacji Siedleckiego w Hornsundzie do zatoczki Hyttevika na zachodnim wybrzeżu Ziemi Wedel Jarlsberga. Tutaj znajduje się licząca już ponad sto lat traperska *hytta*, ulubione miejsce pobytu różnych polskich grup naukowych od czasu pięcioposobowego rekonesansu wysłanego w 1956 r. przez Polską Akademię Nauk dla rozpoznania terenu badań, które miały być prowadzone w ramach III Międzynarodowego Roku Polarnego (1957–1958).

Pięćdziesiąt pięć lat temu czterech uczestników tego rekonesansu: S. Siedlecki (kierownik), K. Birkenmajer, M. Kuczyński i J. Piotrowski przywędrowało tutaj wybrzeżem z Zatoki Białego Niedźwiedzia (Isbjørnhamna) w Hornsundzie, gdzie w obozie namiotowym pozostał piąty uczestnik – S. Rafałowski. Po noclegu w domu traperskim poszliśmy przez malownicze wybrzeże Kvartsittsletta u podnóża kwarcytowego masywu Gulliksenfjellet na Lodowiec Werenskiolda, by po przejściu przełęczy pod Skålfjellet (nazwanej przeze mnie później Przełęczą Kosiby) zejść na Lodowiec Hansa (Hansbreen) i powrócić do obozu w Zatoce Białego Niedźwiedzia. Pod Gulliksenfjellet przez pewien czas towarzyszył nam jazgot tysięcy gnieźdzących się tutaj traczyków. Gdy jednak weszliśmy do doliny Bratteggdalen, którą płynął bystry strumień, a następnie wspinaliśmy się na kolejne garby Lodowca Werenskiolda, jazgot traczyków rozpułnął się w oddali, a wokół zapanowała majestatyczna cisza tego lodowca, którego czoło znajdowało się wówczas znacznie dalej na zachód niż obecnie.

Podobnych wrażeń doznawałem wielokrotnie, gdy w drugiej połowie ubiegłego stulecia wykonywałem tutaj badania geologiczne, mieszkając albo w traperskim domku Hyttevika, albo też korzystając z gościny w nowo zbudowanej chacie „Baranówki”.

Pierwszy raz odwiedziłem tę urokliwą chatę w towarzystwie jej budowniczego, Staszka Baranowskiego w 1974 roku. Staszek zmierzył wielkość ablacji lodowca na swoich stanowiskach pomiarowych, mnie zaś interesowały nowe odkrywki skał

proterozoicznych, które odsłoniły się spod lodowca wskutek znacznego cofnięcia się jego czoła. Wieczorem upichciliśmy obiad, Staszek skądś wyciągnął dwie puszki norweskiego piwa, potem nagrzałiliśmy się solidnie w saunie, a po wypoceniu się w niej, nago wskoczyliśmy do „głęboczka” wypełnionego lodowatą wodą potoku Bratteggdalelva. Pod względem kondycji fizycznej obaj byliśmy wówczas w szczytowej formie.

Był to czas, gdy w Stacji PAN w Hornsundzie nie było stałej polskiej załogi naukowej. W 1970 r., dzięki współpracy Uniwersytetu Wrocławskiego i Instytutu Geofizyki PAN w Warszawie udało się nam jednak wznowić letnie wyprawy naukowe do Hornsundu, a zbudowana przez nas w 1957 r. Stacja w Isbjørnhamna, po niewielkich naprawach, w dalszym ciągu nadawała się do zamieszkania. We dwóch ze Staszkiem Baranowskim byliśmy wówczas najbardziej aktywnymi polskimi polarnikami, którym na sercu leżała kwestia przywrócenia jej do całorocznej działalności naukowej. Tutaj jednak na przeszkodzie stawał brak odpowiednich, a znacznych kredytów, których Polska Akademia Nauk nie była w stanie zabezpieczyć. Co prawda, dla wielu zespołów naukowych, w tym geologicznego i paleontologicznego, badania w okresie zimowym nie były potrzebne, natomiast dla meteorologii, klimatologii, peryglacjologii, glaciologii, rejestracji trzęsień ziemi i pomiarów zmienności ziemskiego pola magnetycznego – badania całoroczne były niezbędne.

Sytuacja poprawiła się, gdy w wyniku badań dwóch wypraw morskich (1975, 1976) na Ocean Południowy, zorganizowanych przez Instytut Ekologii PAN i Wyższą Szkołę Rybołówstwa Morskiego, został przez Komitet Badań Polarnych PAN przygotowany pięcioletni plan polskich badań polarnych w Antarktyce i Arktyce, zatwierdzony następnie na szczepku rządowym. W 1977 r. kierownik wyprawy doc. S. Rakusa-Suszczewski otworzył zbudowaną przez tę wyprawę Stację Antarktyczną PAN im. H. Arctowskiego w Zatoce Admiralicji na Wyspie Króla Jerzego w antarktycznym archipelagu Szetlandów Południowych, która od tej pory pracuje w cyklu całorocznym. W ślad za tym, Stacja Spitsbergeńska PAN w Zatoce Białego Niedźwiedzia, będąca w gestii Instytutu Geofizyki PAN, od 1978 r. mogła wznowić swoją całoroczną działalność.

Na polskim statku wiozącym na Antarktydę II Wyprawę na Stację im Arctowskiego (1977/1978), kierowaną przez dr. M. Zalewskiego, w dwuosobowej kabinie pomieszczono starych przyjaciół, współpracujących ze sobą od dwudziestu już lat: doc. Stanisława Baranowskiego i piszącego te słowa. Byliśmy jedynymi przedstawicielami nauk o Ziemi w tej wyprawie, której głównym zadaniem było dokończenie budowy stacji naukowej. Nie mając nikogo do pomocy nie mogliśmy jednak przeprowadzić własnych badań naukowych na szerszą skalę, zwłaszcza, że stacja była wówczas słabo jeszcze wyposażona w środki pływające, których zaburtowe motory, przystosowane do pływania po wodach słodkich, nie sprawdzały się w warunkach antarktycznych. Naszym zadaniem stało się zatem możliwie szerokie rozpoznanie warunków pracy na lodowcach (Staszek) oraz stanu odsłoneń

skał i występujących w nich skamieniałości zwierzęcych i roślinnych (ja). Niestety badania te mogły tylko w części zostać zrealizowane, wskutek wypadku jakimś obaj ulegliśmy, a który dla Staszka zakończył się tragicznie. Z jego śmiercią nauka polska poniosła bolesną stratę, a badania glaciologiczne tak dobrze rozwijające się pod jego kierunkiem zostały poważnie osłabione.

Przez wiele lat z końcem ubiegłego wieku uczestniczyłem prawie co roku w kolejnych wyprawach naukowych na Stację im. Arctowskiego, a następnie w morskich wyprawach geodynamicznych organizowanych przez Instytut Geofizyki PAN, prowadząc własne badania i kierując pracami grupy geologicznej i paleontologicznej. Wraz z wyprawą brazylijską, w której również brałem udział, było to osiem wypraw antarktycznych, z których najdłuższa obejmowała pół roku. Jest zatem zrozumiałe, że moja naukowa działalność na Spitsbergenie uległa osłabieniu, aż do lat dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy mogłem powrócić do czasowo przerwanych studiów w tym rejonie Arktyki.

W latach 1993 i 1995 udało mi się zorganizować dwie niewielkie wyprawy geologiczne do regionu Hornsundu, które część czasu mogły poświęcić także na prace terenowe u czoła Lodowca Werenskiolda. Była to dla mnie okazja, by ponownie odwiedzić Stację im. Baranowskiego, choć – niestety – pozbawioną jej projektodawcy i głównego budowniczego. W drugiej połowie lata polarnego w 1993 r., wraz z moimi asystentami – Władysławem Danowskim i Iwem Birkenmajerem, poszliśmy pieszo wybrzeżem do Hyttevika, gdzie zatrzymaliśmy się na ponad tydzień. Pracując na Vimsodden przeprawialiśmy się przez bystrą rzekę u czoła moreny Lodowca Werenskiolda po moście linowym założonym tam przez dwóch czeskich speleologów, którzy badali termokras na Lodowcu Werenskiolda, mieszkając w Stacji Baranowskiego.

Stację Baranowskiego zastałem w dobrym stanie także w 1995 r., kiedy wraz z synem Iwem i wnuczką Bereniką odwiedziliśmy ją w drodze na Jens-Erikfjellet. Cieszę się, że nadal służy ona nauce, realizując testament jej twórcy.

Janusz Kida

Magiczne miejsce w Arktyce

Moja polarna przygoda zaczęła się na początku lat siedemdziesiątych, gdy jako studenci pomagaliśmy przy organizacji wypraw polarnych Instytutu Geograficznego na Spitsbergen. Kierownika i duszę tych ekspedycji, docenta Staszka Baranowskiego, znaleźmy z zajęć seminaryjnych oraz obozów naukowych w Zieleńcu. Imponowała nam Jego pasja naukowa i sposób, w jaki przekazywał wiedzę polarną studentom, a potem (jak pokazało życie) swoim współtowarzyszom wypraw. Możliwość uczestniczenia w organizacji kolejnych ekspedycji (najczęściej w charakterze pomocników fizycznych) oraz osobisty kontakt z tak znanymi polarnikami, jak prof. dr hab. Alfred Jahn, prof. dr hab. Aleksander Kosiba, wspomniany już doc. dr hab. Stanisław Baranowski, doc. dr hab. Jerzy Cegła, prof. dr hab. Marian Pulina, bardzo nas dowartościowywała i pozytywnie motywowała. Jest w tym również zasługa naszych starszych kolegów (dr Bronisław Głowicki, dr Józef Liebersbach, dr Andrzej Martini, dr Janusz Czerwiński, Jurek Pereyma i Jacek Piasecki, Kaśka Lucerska, Jan Szymański), którzy poprzez codzienne kontakty (zarówno naukowe, jak i towarzyskie) wdrażali nas w atmosferę polarnej działalności. Od tamtych czasów datują się moje przyjaźnie i serdeczne więzi z koleżankami i kolegami z naszych „polarnych ścieżek”.

Pierwsza możliwość wyjazdu na Spitsbergen nadarzyła się, gdy byłem na czwartym roku studiów geograficznych. W 1971 r. dyrekcja Instytutu Geograficznego UWr ogłosiła wtedy, że zaprasza do udziału w letniej ekspedycji jednego studenta, którego wskaże Koło Naukowe Geografów. Zarząd Koła zaproponował dwie kandydatury – Jacka Janię oraz moją osobę (miałem przyjemność studiować z Jackiem na jednym roku). Na Spitsbergen pojechał wtedy Jacek, a jego wyjazd zaowocował pracą magisterską z geomorfologii peryglacjalnej. Tak się złożyło, że w późniejszych latach kilkakrotnie mijaliśmy się z Jackiem na tym pięknym skrawku Arktyki, bez możliwości osobistego spotkania. Udało się to dopiero po dwudziestu latach – w Hornsundzie, na Wielkanoc 1992 roku – bardzo mile i z wdzięcznością wspominam Jacku to spotkanie.

Bakcył polarny nie dawał nam jednak spokoju – na ostatnim roku studiów zaczęliśmy w gronie kolegów czynić starania o wyjazd na Grenlandię, śladem przedwojennej wyprawy naszych mistrzów – Profesorów A. Kosiby i A. Jahna. Zamiar udało się zrealizować dopiero w 1973 roku, gdy świeżo upieczonym magistrów geografii władze duńskie przyznały wizy na uczestnictwo w (sic!) Studenckim Rekonesansie Naukowym na Grenlandię. Półtoramiesięczny pobyt na Grenlandi (pod kierunkiem doc. dr hab. Jerzego Cegły) był dobrą szkołą i zaprawą przed

przyszłymi badaniami na Spitsbergenie. W Studenckim Rekonesansie Naukowym, oprócz Jurka Cegły i mojej osoby, wzięli również udział koledzy ze studiów – Wiesiek Gazdowicz i Janusz Szajna, a także Staszek Anioł (himalaista), Wojtek Jonak (lekarz-himalaista) oraz filmowiec Andrzej Szajkiewicz.

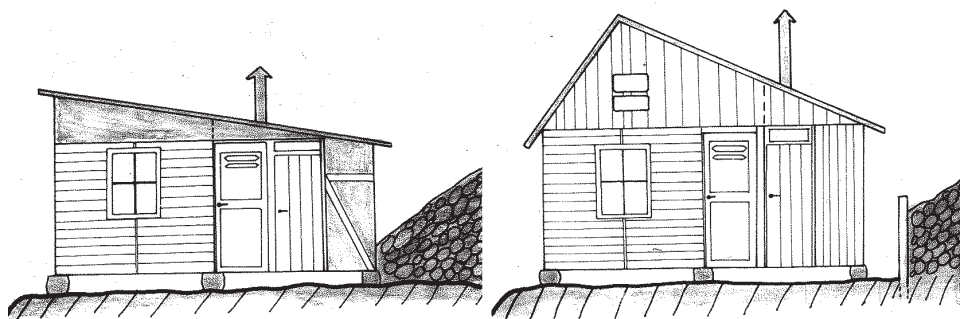
Na Spitsbergenie byłem czterokrotnie, chociaż wybierałem się tam pięć razy. Były to pobyty letnie w 1979 i 1980 roku, nie uczestniczyłem natomiast w wyprawie polsko-czeskiej (z Katedrą Geografii UJEP w Brnie) w 1985 r., chociaż miałem być kierownikiem tej ekspedycji i w jej organizację włożyłem dużo serca i zapału. Niestety, na plaży w Hornsundzie wylądował jedynie mój bagaż i sprzęt badawczy, ja pozostałem w kraju nie otrzymawszy wtedy paszportu. Dwukrotnie zimowałem w Hornsundzie, w sezonach 1987/88 i 1991/92, realizując program środowiskowy Instytutu Geofizyki PAN oraz własny program badawczy (procesy eoliczne i niweo-eoliczne) – byłem również podczas tych pobytów zastępcą kierownika obu wypraw centralnych.

Każdy z wyjazdów na Spitsbergen był inny, lecz te dwa pierwsze, związane z „Baranówką” szczególnie zapisały się w mojej pamięci. Złożyła się na to ugruntowana już wtedy mocno ranga naukowa wypraw wrocławskich (wspierana mocno autorytetem prof. prof. Jahna i Kosiby, doc. doc. Baranowskiego, Cegły i Puliny), niezwykle interesujący program badawczy, realizowany przy współudziale kolegów z rodzimego Instytutu oraz świadomość posiadania własnej stacji naukowej w Arktyce – bardzo już wtedy popularnej wśród „północników” (polarników arktycznych, zwłaszcza spitsbergeńskich). Na dodatek mieliśmy w latach 1979 i 1980 konkretne zadanie techniczne, tj. przebudowę i usprawnienie funkcjonalności „Baranówki” – zadanie o tyle interesujące, że pierwotnie stacja ta miała być schronieniem na 2–3 sezony letnie, bez zamiaru nadania jej trwalszej konstrukcji. Wykorzystywanie jej w kolejnych sezonach letnich (po 1970 r.) oraz rozwijający się program naukowy skłonił dyрекcję Instytutu Geograficznego UW do podjęcia decyzji o nadaniu „Baranówce” bardziej trwałego charakteru. Te zasadnicze zmiany dokonały się właśnie podczas dwóch wymienionych wyżej sezonów.

W 1979 roku pojechałem na Spitsbergen w grupie kierowanej przez Henryka Chmala. W grupie byli również Jacek Chachaj, Andrzej Karkowski, Mietek Sobik oraz Krzysiek Szelest. W tym samym czasie na Spitsbergen przybyli również Marian Pulina, Jurek Pereyma i Jan Szymański, którzy jako członkowie grupy zimującej w Hornsundzie wspierali nasz „team” wrocławski, zarówno w zakresie badań naukowych, jak i prac technicznych.

Lato 1979 roku było znaczącym okresem w funkcjonowaniu „Baranówki”. Przeszła ona wtedy gruntowną przebudowę, zmieniając istotnie swój wygląd zewnętrzny, jak i układ pomieszczeń wewnątrz stacji

Prace budowlane poprzedziła faza przygotowawcza w kraju, gdzie uczestnicy wyprawy przygotowali budulec (dostateczna ilość elementów drewnianych określonych gabarytów). Osobnym i bardzo trudnym zadaniem logistycznym było dostarczenie budulca na miejsce (trasa: Wrocław – Gdynia – Hornsund – Hyt-



Ryc. 1 Rok 1979 – wygląd „Baranówki” przed i po przebudowie.

tevika – Nottinghambukta – Bratteggdalen), co odbywało się w bardzo ciężkich warunków wyładunku na pełnym morzu oraz trudnościach transportu na lądzie (przewóz elementów pod „Baranówkę” za pomocą wózka ogrodniczego).

Odrębnym problemem była konieczność udzielania pomocy grupie centralnej (zimownikom z Instytutu Geofizyki PAN), podyktowana trudnymi warunkami lodowymi we fiordzie Hornsund. Każdy dzień trwającego dłużej czarteru generował ogromne opłaty, obciążające także budżet naszej wyprawy – w interesie wszystkich było więc jak najszybsze rozładowanie statku (tym bardziej, że bagaż naszej ekspedycji miał być rozładowany na końcu). W dniu 30 czerwca 1979 r., po dotarciu do Hornsundu, rozpoczął się rozładunek statku – ostatecznie zakończyła się ta operacja dopiero 26 lipca, a dzień później „Kapitan Ledóchowski” odpłynął w stronę kraju. Wszystko to bardzo opóźniło przybycie całej grupy do „Baranówki”, a tym samym zamierzone prace budowlane. Potrzebne było jeszcze przetransportowanie budulca z Hytteviki do Nottinghambukty, w czym wydatnie pomagali nam koledzy Gdańszczanie (m.in. Marcin Węslawski, Wojtek Moskal i pozostali Oceanografowie z Uniwersytetu Gdańskiego). W przerwach pomiędzy badaniami trwały już prace we wnętrzu stacji, m.in. przebudowa prysznic (nowa kabina) oraz powiększanie pomieszczenia kuchennego kosztem nieco mniejszego warsztatu.

17 sierpnia 1979 r., w bezdeszczową pogodę rozpoczęła się rozbiórka dachu, przerywana jednak pod wieczór obfitym opadem. W domku wszystko zamokło, mimo sporządzenia prowizorycznego brezentowego okrycia dachowego. Rozbiórka całego dachu oraz części ścianek poszła, mimo wszystko, dość szybko, co bardzo nas ucieszyło, zważywszy, że ścigaliśmy się z pogodą, która nie zawsze sprzyja pracom tego typu. Następnego dnia rozbiórka dachu mogła być kontynuowana, co połączono z równoczesnym montażem sufitu w nowej części kuchni. Dnia 19 i 20 sierpnia położono cały nowy dach „Baranówki”, również poprawiono w kuchni podłogę (resztki nadpalonej podłogi z czasu pobytu Kaśki Lucerskiej) – położono też nowe linoleum. Następnego dnia ustawiono w nowym miejscu

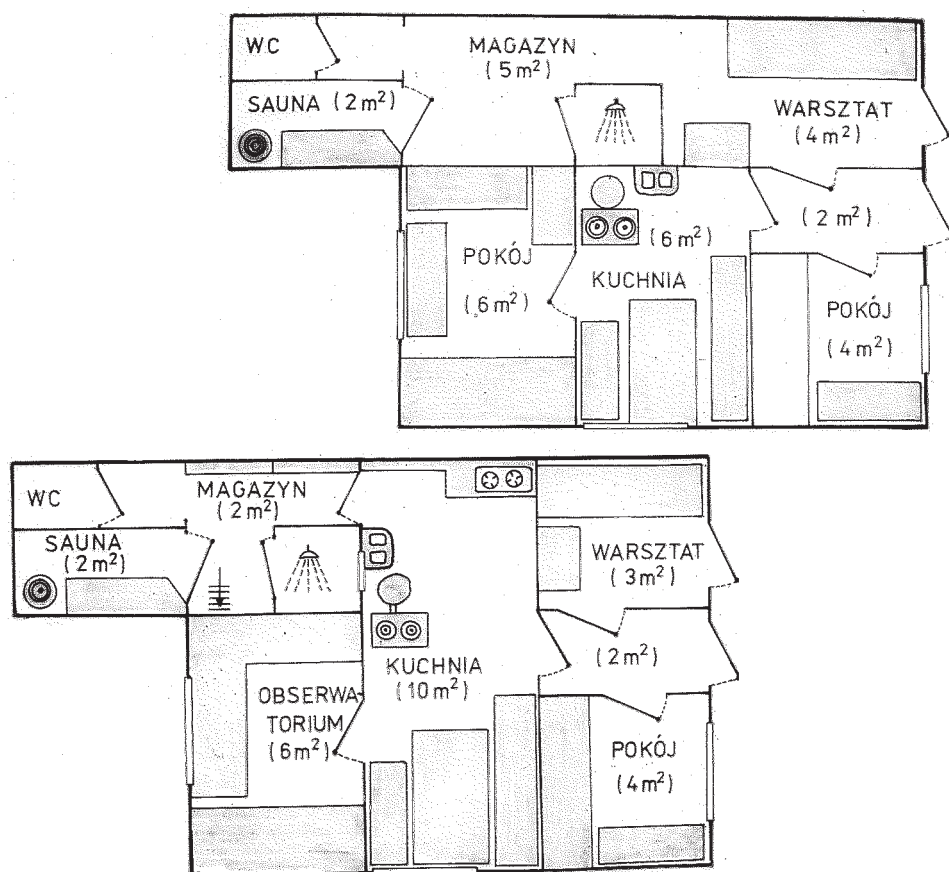
piec traperski oraz bojler do prysznica. Do 22 sierpnia przeciągnęły się prace przy montażu ścian szczytowych domku, wykonanie drzwi do korytarzyka wewnętrznego – pomiędzy kuchnią a prysznicem i wejściem na część strychową. Pomiedzy 23 a 25 sierpnia wykonano pokrycie dachowe z papy – dach „Baranówki” lśnił z oddali lustrem papy aluminiowej, zabezpieczając stację przed dokuczliwościami deszczowej pogody. W tym samym czasie zamontowano okno strychowe od strony Nottinghambucky, a dalsze prace polegały głównie na położeniu nowej podłogi na strychu (do 7 września 1979 r.), uszczelnianiu i ocieplaniu domu, założeniu izolacji papowej na ścianie z tyłu „Baranówki”, skąd uprzednio usunięto napierający na domek materiał morenowy. Wtedy też wykonano niezbędne naprawy agregatorni, zwłaszcza jej tylnej ściany. Prace te trwały do 12 września.

Wykonana w 1979 r. przebudowa „Baranówki” to niewątpliwie zasługa naszego sudeckiego górala – Krzysia Szelesta, który bez skomplikowanych przyrządów mierniczych, pokazał kunszt sztuki ciesielskiej. Umiejętnie zorganizowane prace techniczne nie kolidowały z realizacją programu badawczego, co pozwalało każdemu z uczestników na czynne włączenie się w prace modernizacyjne. Możliwa też była kontynuacja przebudowy wnętrza stacji – swój metraż zmieniła kuchnia i warsztat, zaś wystrój zmieniło pomieszczenie obserwatorium oraz pokoiik mieszkalny (Ryc. 2). Duże pomieszczenie sypialne powstało na strychu, wraz z długotrwałą, ale mile wspominaną „prowizorką”, jaką była drabinka wejściowa na wspomniany strych.

Jak wspomniałem wcześniej, podczas całego pobytu mogliśmy liczyć na niezawodną pomoc naszych Przyjaciół z Hytteviki – studentów oceanografii Uniwersytetu Gdańskiego pod kierunkiem Marcina Węślawskiego. Wielu nazwisk już nie pamiętam, ale zawsze będę mile wspominał wspólne przeprawy łodziowe wykonywane z Wojtkiem Moskałem, Jackiem Jezierskim, Sławkiem Kwaśniewskim. Nie mogę także pominąć osoby Ryśka Czajkowskiego – uznanego podróżnika i polarnika. Jego osobowość, entuzjazm, pogoda ducha i aktywna pomoc w każdej polarnej działalności bardzo nam pomagały w tym codziennym polarnym życiu, kiedy łączyć trzeba pracę naukową z pracą fizyczną. Odmienność charakterów poszczególnych członków wyprawy nie zawsze ułatwiała życie, a Rysiek był często wtedy najlepszym i nieodzownym „katalizatorem” postaw.

Przez całe lato do „Baranówki” gromadnie podążali na weekend mieszkańcy stacji PAN w Hornsundzie, doceniający urok tego miejsca i wspierający „domowników” wszelaką pomocą. Niezapomniane pozostaną wielogodzinne rozmowy, pogawarki i dyskusje, zwłaszcza wtedy, gdy pogoda nie dopisywała, a przybyli goście wprowadzali, niewątpliwie, elementy odmiany codziennego dnia. Podczas zimy „Baranówka” pełniła funkcję podstacji bazy z Hornsundu i często była miejscem, do którego „urywali się” zimownicy, by odetchnąć od hornsundzkiej codzienności.

Modernizacja „Baranówki” była kontynuowana w następnym, pamiętnym 1980 roku. W stacji zamieszkała wtedy kolejna grupa wrocławska, pod kierunkiem doc. dr Jerzego Cegły. W zespole badawczym był także prof. dr hab. Leszek



Ryc. 2. Rok 1979 – pomieszczenia Baranówki przed i po przebudowie

Szerszeń, gleboznawca z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu (wtedy Akademii Rolniczej). Koleżanki z Instytutu Geografii, Ania Szczepankiewicz-Szmyrka i Magda Jacewicz, prowadziły badania z zakresu meteorologii i klimatologii, zaś Boguś Horwath- świeżo upieczony geomorfolog swoje szlify doskonalił pod okiem Leszka Szerszenia. W bazie Instytutu Geofizyki wspierał nas mocno Bronek Głowicki, nasz klimatolog w gronie nowych zimowników. Mnie, oprócz badań terenowych realizowanych we współpracy z Jurkiem Cegłą oraz Marianem Puliną (kontynuacja obserwacji hydrologicznych w basenie lodowca Werenskiolda) przypadła rola koordynatora prac technicznych.

W pierwszym okresie pobytu zajęliśmy się przede wszystkim dokończeniem wystroju wnętrza „Baranówki”. Najważniejszym zadaniem było wtedy ocieplenie dachu, oraz położenie boazerii sufitowej na strychu. Wykonano także cegla-

ny murek przy piecu traperskim, naprawiono podłogi w kuchni (podniesienie zapadniętych partii, co wiązało się z koniecznością wczolgiwania pod domek), zainstalowano też nowy zlewozmywak. Stację pomalowano również z zewnątrz, w czym nie mała zasługa Ani Szmyrkowej oraz Magdy Jacewicz. W kolejnym etapie prac remontowych (w drugiej połowie lipca) dobudowaliśmy do „Baranówki” przedsionek (z pawlaczami we wnętrzu), zmieniając nieco w ten sposób kształt Stacji (Fot. 6.). Istniejąca do tej pory przybudówka oraz ganek, to efekt trzydniowych prac Jurka Cegły i autora niniejszych wspomnień, przy bardzo wydatnym wsparciu całej grupy. Całość budulca pomocnicy „ekipy budowlanej” przywozili pod „Baranówkę” dwukołowym wózkiem, z odległości ok. 800 metrów – z przystani w Nottinghambukta.

Oczywiście, prace techniczne nie przerywały badań i obserwacji – grupa działała niezwykle sprawnie i kompetentnie. Oprócz obserwacji terminowych wykonywano również badania terenowe na Kapp Borthen, na przedpolu Torellbreen oraz Dunoyane.

Wszystkie działania grupy wrocławskiej wspierali koledzy z Hytteviki, a więc oceanolodzy z Gdańska pod kierunkiem Józka Wiktora (ponownie Wojtek Moskal i Jacek Jezierski, oraz Sławek Kwaśniewski i Sławka Gromisz). Jak zwykle niezawodny okazał się Rysiek Czajkowski, który tym razem przybył na Spitsbergen z córką Anią oraz geofizykiem, doc. dr hab. Andrzejem Lizoniem. Bardzo sympatyczną i wielce pomocną kompanię stanowili Jurek Giżejewski, Waldek Roszczynko i Michał Gruszczyński (geolodzy z Warszawy – z Jurkiem i Waldkiem miałem jeszcze okazję współpracować w sezonie 1991/92). Wtedy poznałem Staszka Dąbrowskiego, geodetę, z którym zimowałem i współpracowałem w zakresie kierowania Polską Wyprawą Polarną w sezonie 1987/88. Barwną postacią był Olgierd Różycki – ichtiolog ze Szczecina, oferujący nam wyśmienite wątróbki z preparowanych na miejscu i uprzednio przebadanych ryb. Miłymi gośćmi byli profesorowie Leszek Lindner, Andrzej Kostrzewski, Andrzej Karczewski oraz Kazimierz Pękala, Zdzisław Czeppe oraz jedyna w swoim rodzaju Wiesia Krawczyk – hydrochemik z Uniwersytetu Śląskiego, gwarant solidnej roboty, przyjacielska i łagodząca obyczaje.

Rok 1980 był szczególnym rokiem w kraju, docierały do nas szczątkowe informacje o strajkach robotniczych i związanych z tym niepokojach – nie sprzyjało to spokojnej pracy. Budziło wręcz lęki o nasze rodziny, a nawet obawy co do powrotu ekspedycji do kraju – strajkowało wszak Wybrzeże i dochodziły do nas wieści o wstrzymaniu żeglугi morskiej.

18 września otrzymaliśmy radiem informację, że po naszą wrocławską grupę przyleci rosyjski helikopter – stało się to dopiero 20 września, całą grupę przewieziono do Barentsburga. Rozpoczęło się czekanie na odlot do Longyearbyen, by stamtąd odlecieć samolotem do kraju. Bardzo gościnnie zajęli się nami geolodzy z zespołu prof. Siemiewskiego, którzy gościli wcześniej u nas w „Baranówce” –

z ich pobytem łączy się niezapomniany wieczór pieśni Władimira Wysockiego (zm. 25 lipca 1980 r.) w wykonaniu Dimy Barchatowa.

W stronę kraju wylecieliśmy 24 września, poprzez Murmańsk i Moskwę – w Warszawie byliśmy dnia następnego, we Wrocławiu dopiero około godz. 20.

Dwa pobyty całoroczne (sezon 1987/88 i 1991/92) były jedynie okazją do częstszego odwiedzania „Baranówki” – niestety, program badań tylko częściowo obejmował okolice Lodowca Werenskiolda, co stwarzało mniej okazji do odwiedzin stacji. Częstsze wizyty w okresie letnim były też niemożliwe z racji dużej popularności wrocławskiej stacji wśród innych polarników, którzy prowadzili w okolicy badania. Często były to weekendowe (lub dłuższe) pobyty zimowników, mające charakter rekreacyjny (tzw. husowanie) – „Baranówka” była więc traktowana niekiedy wyłącznie jako miejsce noclegowe. Z tych powodów można było czasami zaobserwować brak należytej troski o kondycję „Baranówki” – często jedynie zgłaszano mi, że jest coś jest do naprawienia w domku, że coś się popsuło, że przydałoby się wykonać określone prace techniczne w stacji. Na tym często kończyła się „troska” niektórych bywalców „Baranówki” o stan techniczny naszej stacji.

W miarę możliwości czasowych (i pogodowych) docieraliśmy do „Baranówki” przy każdej nadarzającej się okazji (również podczas nocy polarnej), by naprawiać powstające co jakiś czas uszkodzenia (zwłaszcza dachu, usunąć szkody i skutki niedźwiedziej wizyt), przewietrzyć pomieszczenia, czy wreszcie dostarczyć zapas opału i żywności. Do dzisiaj pamiętam kilkudniową pracę z Jankiem Klementowskim, gdy w warunkach wrześniowej śnieżycy łataliśmy poszycie dachowe. Rok później podobne naprawy wykonywaliśmy wspólnie ze Zbyszkim Miturskim. Za każdym razem, gdy opuszczałem „Baranówkę”, to gdzieś w myślach przelatywało pytanie: co z nią będzie dalej, kto wykona dalsze niezbędne naprawy, czy tu jeszcze wróć? Był to bowiem okres, w którym na Spitsbergen nie docierały żadne ekspedycje wrocławskie, dające szanse na dalsze pomyślne funkcjonowanie „Baranówki”, z własnym programem naukowym. Cieszy więc, że od kilku lat „Baranówka” ponownie tętni życiem wrocławskich polarników.

Często sięgam do książki Anety Augustyn (1999) pt. „Magiczne miejsca – Wrocław”, będącej zbiorem „magicznych listów” nadsyłanych przez czytelników do redakcji „Gazety Wyborczej”. Ich treść, jak zaznacza we wstępie redaktorka, dotyczy zarówno miejsc znanych, jak i nieznanych, przywołujących dzieciństwo, przeszłość i czasy współczesne, chwile i zdarzenia pamiętne, wzniosłe i radosne, ale również często i te smutne, bardzo prywatne i intymne. Miejsca magiczne to nie tylko jakaś konkretna przestrzeń, ale również i magiczni ludzie w tej przestrzeni żyjący, nadający jej niepowtarzalny, magiczny wymiar i koloryt.

Moim zdaniem, powyższa uwaga ma wiele wspólnego z „Baranówką”. Każdy kto był w niej chociaż raz uzna to miejsce za nie mniej magiczne, jak z książki o Wrocławiu. Gospodarzami „Baranówki” są wrocławscy geografowie, mający

macierzysty Instytut w Gmachu Głównym Uniwersytetu Wrocławskiego. W Wieży Matematycznej tego gmachu znajduje się w podłodze linia 17 południka. Tam też prowadzone były pierwsze obserwacje meteorologiczne, nieodłączny element większości polarnych programów badawczych. Tak się na dodatek złożyło, że spitsbergeńska „Baranówka” jest położona jest niedaleko południka wrocławskiego. Jej długość geograficzna to $15^{\circ}11'30''\text{E}$, co zważywszy na rozciągłość Wrocławia z zachodu na wschód, świadczy o bliskim sąsiedztwie tych miejsc.

Można na powyższe przemyślenia patrzeć z przymrużeniem oka – ja w każdym razie widzę „magiczne związki” pomiędzy tymi miejscami. Z rozrównieniem wspominam urok i atmosferę „Baranówki” i okolicy tak, jak ciepło wspomina się ulubione górskie schronisko, czy swój rodzinny dom. Jest to bowiem miejsce, o którym zazwyczaj mówi się ciepło, które przywodzi wiele wspaniałych wspomnień o chwilach, zdarzeniach i ludziach – miejsce za którym się tęskni i do którego chce się wracać.

*Fot. 12. Lato 1979 – przy-
miarka do przebudowy,
widoczny zarys kształtu
dachu (fot. J. Kida)*



*Fot. 13. Początek przebu-
dowy Stacji – od lewej:
Krzysztof Szelest i Jacek
Chachaj, na dachu Janusz
Kida (fot. M. Sobik)*



*Fot. 14. Początek rozbiórki
– tyłem stoi K. Szelest, na
dachu J. Kida
(fot. M. Sobik)*





Fot. 15. Końcowa faza rozbiórki – od lewej: K. Szelest, J. Kida i A. Karkowski (fot. M. Sobik)



Fot. 16. Przybudówka i ganek „Baranówki” w marcu 1992 r. (fot. Z. Miturski)



Fot. 17. 1979 r. – „Baranówka” po przebudowie (fot. J. Kida)

Fot. 18. Stacja „przygotowana” do zimy 1972/73. Po lewej J. Piasecki, tyłem stoi J. Jania (fot. J. Pereyma)



Fot. 19. Przed „Baranówką”. Od lewej: A. Lizoń, M. Pulina, J. Pereyma (fot. R. Czajkowski)



Fot. 20. W „Baranówce”. Od lewej: M. Pulina, J. Pereyma, A. Lizoń (fot. R. Czajkowski)





Fot. 21. Imieniny Ani. Od lewej: J. Kida (z gitarą), A. Czajkowska, J. Cegła („Kafel”), M. Gruszczyński, B. Horwath
(fot. R. Czajkowski)



Fot. 22. Przy stole imieninowym przed „Baranówką” (fot. R. Czajkowski)



Fot. 23. A. Szmyrka kroi „polarny” tort
(fot. R. Czajkowski)



Fot. 24. H. Chmal i J. Kida, w środku uczestnik gdańskiej wyprawy studenckiej (fot. z arch. J. Kidy)



Fot. 25. Krótki relaks w pracy. Od lewej: J. Pereyma, J. Kida, B.J. Kapuściński – „Bolex”, A. Karkowski (fot. J. Zygmunt)



Fot. 26. A. Szmyrka podczas pomiarów katatermometrycznych – stanowisko pomiarów meteo na morenie za „Baranówką”, rok 1980 (fot. z arch. J. Kidy)



Fot. 27. Janusz Kida i Jan Klementowski podczas prac dekarskich (fot. z arch. J. Kidy)



Fot. 28. M. Jacewicz mierzy wiatr w ogródku meteo (fot. z arch. J. Kidy)



Fot. 29. W miłym towarzystwie. Od lewej: S. Misztal – „Hwiej”, J. Karkoszka, J. Pereyma, C. Lipert (fot. J. Zygmunt)



Fot. 30. J. Karkoszka i R.W. Schramm 6 września 1983 (fot. S. Misztal)



Fot. 31. W sypialni, wrzesień 1983 (fot. S. Misztal)



Fot. 32. B.J. Kapuściński („Bolex”), w „baranówkowej” kuchni, Nowy Rok 1986 (fot. S. Misztal)

Jacek Piasecki

1972 – wspomnienia neofity

Jest czerwiec 1972 roku. Wokół Zakładu Klimatologii i Meteorologii na ulicy Cmentarnej 8 (dzisiaj A. Kosiby) rozchodzą się dziwne zapachy. W ogrodzie przed budynkiem piętrzą się jakieś skrzynie, pudła, jakieś sprzęty, masa różnych drobiazgów. Wszędzie kręci się tłumek ludzi. Co chwilę ktoś przyjeżdża, odjeżdża. Słysząc nawoływania, głośne rozmowy:

- podaj to!, a to pójdzie gdzie indziej...
- ta skrzynia jest za ciężka, musimy ją przepakować,
- co z żywnością?, kielbasy pojadą w wiadrach – musimy poczekać, aż dziewczyny zaleją je smalcem!

Rozwikłana zostaje zagadka tych niecodziennych zapachów, które delikatny wiaterek rozwiewał wokół budynku.

W tym pozornym bałaganie jest jakaś myśl i porządek, choć na pierwszy rzut oka wydawać się może, że nikt nad tym nie panuje. Przyjechał Marian Pulina i Jurek Bieroński. Z samochodu wyładowują, starannie opakowane pudełka, podłużne pakunki i wiele, wiele innych rzeczy. Po chwili zjawia się Jacek Jania z tobołem nowej porcji czegoś tam jeszcze potrzebnego do zapakowania. Jasiu Juskiewicz, w wielkim plecaku, którego używał w czasie wyprawy himalajskiej, przywiózł części do radiostacji, narzędzia i inne „drobiazgi”, niezbędne do zabezpieczenia łączności radiowej. Wydał kilka poleceń, jak i co ma być zapakowane i znowu gdzieś pojechał. Wszyscy w Zakładzie zaangażowani są w to wielkie pakowanie. Kobiety przygotowują żywność. Patent na zapewnienie jej trwałości został już opracowany wcześniej. Łatwo psujące produkty muszą przetrwać w stanie nadającym się do spożycia przez najbliższe cztery miesiące. Smażą więc, topią, zalewają smalcem i jeden Pan Bóg wie co tam jeszcze robią. Nie jest to całkiem prawda – nie Pan Bóg – już dwukrotnie robiły to wcześniej pod okiem szefa – Stanisława Baranowskiego. Trwa pakowanie III Wyprawy na Spitsbergen Instytutu Geograficznego Uniwersytetu Wrocławskiego.

Niewielu dziś pamięta tę niepowtarzalną atmosferę, emocje, napięcie i zaangażowanie towarzyszące przygotowaniu wrocławskich wypraw polarnych. Zakup żywności w Baltonie, załatwiania wszelkich formalności i wielu, wielu innych działań, niezbędnych by wyprawę doszły do skutku.

Cztery miesiące wcześniej. „Jurku, Jacku – zgadzacie się na wyjazd na Spitsbergen? ” – to pytanie Baranowskiego zmieniło nasze dalsze losy na długie lata. Zaskoczenie, wątpliwości, szybka decyzja. Jedziemy. A więc ... i tu długi wywód Szefa, co nas czeka, jakie są plany itd., itd. Formalnym kierownikiem wyprawy

jest prof. Szupryczyński z Torunia. Drugim uczestnikiem wyprawy spoza naszego Uniwersytetu został Antoś Olszewski, współpracownik szefa wyprawy. Z Wrocławia jadą: Marian Pulina, Jurek Pereyma, Jasiu Juskiewicz (metrolog z Politechniki Wrocławskiej), ja i dwaj studenci: Jacek Jania i Jurek Bieroński. Ha! – wyprawa nowicjuszy. Jeżeli dobrze pamiętam, tylko kierownik wyprawy miał polarne doświadczenie, dla pozostałych członków wyprawy będzie to pierwsze spotkanie z prawdziwą Arktyką. Co prawda wszyscy mają spore doświadczenie: Jasiu – himalaista, taternik; Marian i Jurek Biedrona – speleolodzy, taternicy; Jackowi Jani i Jurkowi Pereymie – góry też nie są obce; ja – po Tatrach chodzę od 6 roku życia – nie mają dla mnie tajemnic. Z Jurkiem Pereymą przeszliśmy też dobrą szkołę w Obserwatorium na Szrenicy (gdzie te czasy). Ale! Baranowski nie ukrywa, że jest trochę zaniepokojony jak się nam powiedzie. Nie ma co się dziwić. Pod lodowcem zbudował domek – Werenhusa – to jego dziecko, wyprawy są spełnieniem marzeń. I jeszcze ta odpowiedzialność. Dobrym radom, ostatnim instrukcjom nie ma końca. Włącza się w to jeszcze Bronek Głowicki, już „pełną gębą” polarnik.

Koniec pakowania. Wyjazd do Gdyni. Ostatnie zakupy w Baltonie. Ta szynka w puszkach, to mięso, te konserwy – delicje, o których na co dzień można tylko pomarzyć i owoce, świeże owoce. Załadunek. Supertraller Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni „Jan Turlejski” cumuje przy Skwerze Kościuszki, obok Dar Pomorza. Co za łupina! Na nadbrzeżu sporo ludzi przyszło pożegnać. Trochę bliskich, znajomi, rodziny marynarzy i adeptów szkoły, wielu gapiów. Gdynia żegna „Turleja” w burzy.

Wy płynąmy. Bałtyk był łaskawy. Morze Norweskie już zdecydowanie mniej. Sztorm postanowił nauczyć nas pokory. Kapitan Gorządek (legenda mórz) prowadzi statek do fiordów. Koledzy (niemal wszyscy), uczniowie – alumni zawodu marynarskiego – odetchnęli z ulgą. Harstad, wycieczka na Nord Kapp. Lofoty na zawietrznej. Wyspa Niedźwiedzia. Morze Barentsa sztormowo. Mgła, deszcz, wiatr, zimno i duża fala. Maszyny stopują, statek staje w dryfie. Fiord Hornsund. Gdzie te piękne polarne krajobrazy znane ze zdjęć?

W notesie-pamiętniku zanotowałem:

– mamy trudności z przybiciem do brzegu. Już w odległości 5 metrów piętrzą się stosy kry, paku, tarasujące dostęp do brzegu. Nie będzie łatwo wyładować łodzie. Pierwszy oficer, teraz dowódca i sternik łodzi, próbuje przebić się przez lodowy zator. My rozpychamy bosa-kami i wiosłami lód na boki. Syzyfowa praca. Coraz nowe jego porcje szturmują burty łodzi, jakby chciały zgnieść ją na miazgę. Trzeczczą burty, śruba klinuje się między bryłami lodu, ręce omdlewają. Wreszcie brzeg. Przerzucamy trap. Dwu z tyłu łodzi musi cały czas pilnować żeby łódź ustawiała się prostopadle do brzegu. Wyskakujemy z łodzi. To wreszcie stały ląd. Nie ma czasu się rozglądać, już podają skrzynie, plecaki, broń. Łódź wraca na statek...

Wyładunek trwał kilka godzin. Czujemy się totalnie ogłupiali. Chwila twardego snu i znowu jestem z Jurkiem Pereymą na statku. Odpływamy do Hytteviki. Tam nas wyładują z bagażami do Werenhusa. Pogoda dobra, widoki zapierające dech, tylko ta fala. Próby lądowania spełzły na niczym. Wracamy do Hornsundu. Jutro następna próba. Jeżeli się nie uda, rozpakowanie w Hornsundzie. „Neptunie bądź łaskawy” – cicha modlitwa. Jeżeli wyładunek się nie uda program wyprawy jest zagrożony. Wysłuchał, no może nie do końca. Z trudnościami, ale wylądowaliśmy. Na brzegu burzowym piętrzą się stosy bagażu. Trzeba będzie przetransportować go pod Werenskiolda. Herbata, krótki odpoczynek w traperskim husie Rubacha. Już go polubiłem. Bagaże musimy przenieść poza wał burzowy. Zrobione. Plecaki załadowane niezbędnymi rzeczami, ruszamy pod lodowiec, do naszego domku.

Nie będę opisywał drogi, widoku i natłoku wrażeń. Każdy kto przeszedł tę drogę, szczególnie po raz pierwszy, doznał tych emocji równie dużo co my.

Jak na pierwszy raz przesadziliśmy trochę z plecakami. „Droga łatwa, maksymalnie godzinka marszu, trzymajcie się tylko śladów zostawionych w poprzednich latach” – to słowa Baranowskiego i Bronka. No to zapakowaliśmy. Nie docenialiśmy tundry – pierwsze polarne doświadczenie za nami...

Zapisałem:

... Klniemy Bronka na czym świat stoi. Bliziutko – coś się biedakowi poplątało...

Wychodzimy z za skał. Przed nami roztacza się widok na płaski fragment tundry, za nim wznosi się szary grzbiet moreny, a jeszcze dalej biel lodowca, otoczonego grzbietami gór i nunataków. U podnóża wału morenowego mały domek, z daleka wygląda jak zamknięty „kiosk z warzywami”. Gdyby nie to, że znamy jego prawdziwy wygląd ze zdjęć, skojarzenie to było by całkiem uzasadnione. W porównaniu z husem w Hyttevice, nie robi imponującego wrażenia. Jak dalece zmieniło się to wrażenie po trzech miesiącach ... „Werenhusie przyjąłeś nas i my cię nie opuścimy. Hytte pięknie, ale u ciebie piękniej”.

...Jeszcze dwa mokradła, pas skał i stajemy nad rzeką. Wartki nurt, strome brzegi, jak tu się przedostać na drugi brzeg?. Zostawiamy cały dobytek i bierzemy się za budowanie mostku. Ściągamy bale dryftowego drewna i z przygodami przerzucamy przez rzekę na przeciwko domku. Wreszcie gotowe. Nie wygląda imponująco, raczej jak mosty w Nepalu. Przejść można, ale po jednej tylko grubej belce. Obok leżący drugi bal posłuży jedynie jako podpórka podczas przeciągania skrzyń. Balansując na głównej belce zrobimy próbę. Uda się skutecznie, skrzynia wyląduje na drugim brzegu, ale to później. Teraz możemy iść oglądać dom...

W międzyczasie, nim z Hornsundu przyплыnęli Jacek Jania i Jurek „Biedrona”, którzy mieli pomóc nam w transporcie ładunków z Hytteviki do **naszego** domku, głównym środkiem transportu był wózek do rozwożenia mleka i nasze plecy. Opis przygód z dzielnym wózkiem to temat na osobne opowiadanie.

Mamy pomocników, a więc do roboty.

... Teraz już z samym wózkiem droga do Hytte miją nam szybko. Łodzi ze statku jeszcze nie ma i pewnie nie przybędzie, bo od morza nadciąga mgła. Wracamy do domu. Mały rekonesans w powrotnej drodze doprowadza nas do przystani „Okunia”, łodzi którą będziemy wozic morzem skrzynie z Hytte do jednego z przylądków w zatoce Nottingham, skąd już dużo bliżej do Werenhusa. Obok przystani odkrywamy osiem szkieletów niedźwiedzi. To robota Rubacha podczas ostatniego sezonu polowań.

Po powrocie do domku, kolacja, przegląd prasy (statkowej) i układamy się spać. Jurek i Jacek na łózkach, ja z Biedroną, w śpiworach na podłodze.

Rano ze zdwojoną energią zabieramy się do roboty. Mamy kłopot ze spuszczeniem „Okunia” na wodę. Zapieramy się, aby najpierw przewrócić go stępką na dół...

(„Okuń” – to była płaskodenna, szeroka i duża łódź, w zielonym kolorze, o płaskim, prostokątnym dziobie, zbudowana z wielu warstw włókna szklanego sklejonych i sprasowanych. Bardziej przypominała amfibie niż łódź. Była bardzo ciężka, ale idealna do transportu ciężkich skrzyń i innych wielkogabarytowych materiałów. Świetnie trzymała się na fali. Mało bezpieczna, kiedy fale wlewały się do środka szybciej, niż udawało się wylać wodę. Sprawdziliśmy to z Jurkiem, kiedy we dwóch wieźliśmy skrzynie z Hytte, przy wzburzonym morzu. Szczęśliwie).

...Zapieramy się, przewracamy na stępkę i pocąc się, centymetr po centymetrze spychamy łódź na wodę. Są tylko dwa wiosła, będziemy więc musieli wiosłować na zmianę. Wygląda to arcyzabawnie. Dwu chłopów przykładą się do wiosła ile się da, a rezultat taki, że zamiast do przodu, kręcimy się w kółko. Wiosła wyskakują z dulek, trą o ich ostre krawędzie.

– „Biedrona słabiej, Piachu mocniej”!

Przez moment łódź płynie równo, ale za chwilę Jurek znowu strofuje:

– „Biedrona przytóż, chłopcy daleko tak nie popłyniemy”.

Ruszają koncepty. Najbardziej nieprawdopodobne pomysły. Wreszcie Biedrona odkrywa, że można przecież przywiązać wiosła liną do dulek. Nie będą wtedy wyskakiwały. Teraz już idzie sprawniej. Po godzinie manewrowania wśród skał pieniących się wodą, wśród szkiełów, dobijamy do plaży koło Hytte. Ładujemy skrzynie i w drogę. „Okuń” to skarb. Ma płaskie dno jak dziecięca wanienka, szeroki i pojemny, łagodnie kołysze się na całkiem niezłej fali. Dopływamy do Nottinhambukty. Zaczął się odpływ, wszędzie gdzie spojrzeć, wylaniają się z wody skały. Coraz bardziej utrudnia to pływanie. Na zmianę, jeden na dziobie podaje kurs, drugi sonduje wiosłem, pozostali dwaj wiosłują. Tak posuwając się noga za nogą docieramy do połowy zatoki. Odpływ jest coraz większy i obok skał wylaniają się ławice mułu nanoszonego przez rzekę lodowcową. Wpadamy na skałki. W mętnej wodzie, ten na oku nie zauważył ich. Z trudem przepychamy się przez przeszkodę, szorując dnem i zaraz znowu grzęzniemy na następnych. Zaaferowani jak tym razem wybrnąć z opresji, nie zauważamy, że Jacka (Jani) nie ma w łodzi. W trójkę krzyczymy z radości, znowu się

udał! Łódź płynie do przodu. Jeszcze nikt się nie zorientował co jest tego przyczyną. Wraz z Biedroną wiostując z rozmachem. Jurek podaje kurs. Nie musi na nas krzyżeć. „Okuń” płynie jak po sznurku. Wreszcie któryś obraca się i wybucha śmiechem. Teraz już wszyscy pokładamy się od histerycznego chichotu. Niestety podczas tego kursu tylko Jacek miał wysokie wodery i musi pracować za pozostałych. Brodząc niemal po pas w wodzie, popychał łódź, która teraz znacznie łatwiej prześlizgiwała się ponad skałkami i płycznami. Dobijamy do brzegu. Wyładunek i w powrotną drogę do Hytte. Nauczeni doświadczeniem, teraz już wszyscy w woderach, brniemy w wodzie i pchamy łódź do miejsca, gdzie znowu będzie można sięść za wiostami. Kolejny kurs przed nami. Nie jedna skrzynka na wózku przywiązany linami do pasa i ciężki szpej na plecach, ale kilka i to za jednym razem.

Jak Jurek z Jackiem (Piachem) prostowali dobę.

Pomimo, że rytm doby wyznaczały nam obserwacje meteorologiczne prowadzone, co 6 godzin, 4 razy na dobę, utrzymanie rytmu dnia okazywało się nierealne. Zgodnie z poleceniem Szefa Staszka Baranowskiego, dopóki nie zejdzie śnieg z większej części lodowca i dopóki go dobrze nie poznamy, na lodowiec mieliśmy chodźć we dwójkę. To ze względu na bezpieczeństwo. Przez miesiąc stosowaliśmy się do polecenia. Na ogół któraś obserwacja musiała „spaść”. Pomiary w klatkach meteo, pomiary ablacji wzdłuż otyczkowanych profili, dobijanie duraluminiowych tyczek (bardzo korzystnie wpłynęło to na rozwój naszych mięśni ramion, klatki piersiowej i brzucha) z reguły zajmowało kilka godzin. Potem już chodziliśmy pojedynczo. W tym czasie drugi wykonywał obserwacje w stacji na morenie, w rzece Lodowcowej i Brattedze. Zawsze też było coś do zrobienia w domku. Nie nudził się. Przeważnie obowiązek pomiarów na lodowcu spoczywał na mnie. Jeżeli trasa prowadziła na pole firnowe, szliśmy razem. A jeszcze wypadły w nieodległą okolicę. Noc była dniem, dzień nocą. Pogoda regulatorem rytmu prac i wyjść.

Dzień 22 VIII 1972, wtorek. W notesiku zapisałem – „odsypianie zaległości”. Od dłuższego już czasu staramy się „naprostować dobę”. Najpierw niepowodzenia zrzucało się na konieczność transportu, potem nie mówiło się przezornie o żadnych koniecznościach, teraz z powodu braku wytłumaczenia, czyni się w tym kierunku pewne starania. A wygląda to mniej więcej tak:

Godzina 6:30 rano, wściekły budzik dzwoni pobudkę. Dzisiaj kolej na Jurka. Z łózka nade mną słyszę tłumienie się. Z błogim uśmiechem w półśnie, współczuję mu wstawania. Skok – jest na dole, a ja zasypiam spokojnie dalej. Mija pół godziny. W pokoju ruch. To Jurek wrócił pomierzyszyszy wszystko co się da. Zmarznięty klnie, lub nie, wiatromierze. Przezornie otwieram tylko jedno oko i pytam:

- „Koleś, jak tam pogoda? ” (w duchu będąc pewien, że wstrętna – obłudnik)
- „franca z dwójką” (skala ostrości – wyjątkowo wstrętna), słyszę w odpowiedzi
- „cholera to ci pech, znowu nigdzie nie pójdziemy (a wewnątrz coś mi mówi – oh! jak dobrze pośpię słodko) ”

— mowy nie ma, Tone nie widać i pada
— a jak tam wiatraki? (to pytanie żeby sprawić biedakowi przyjemność)
— ... (niecenzuralne) znowu daje zwarcie. Trzeba wymienić też baterie, a przecież dopiero wczoraj była zmieniana. Jak tak dalej pójdzie to nam ich nie wystarczy do końca wyprawy. Rozkręciłem go i wiesz ... (Tu następuje dokładny opis czynności, jakie "szczęśliwy obserwator" był poczynił, aby wszystko grało. Wywód kończy znów kilka niecenzuralnych słów, na które jak echo, z dolnego łóżka pada odzew. To dla wsparcia kolegi, a na pohybel wiatrakom. Można zapaść w usługne ramiona Morfeusza. A Przyjaciół? Przyjaciół walczy z wiatrakami jeszcze chwil kilka. Odnosi druzgocące zwycięstwo i znowu gdzieś spod sufitu odzywa się skrzypienie, po czym pokój zalega cisza.)

Około 12:30 rozlega się ponownie budzik i z małymi różnicami powtarza się sytuacja opisana wyżej. Okazuje się, że po naprawie, wiatrak owszem chodził sprawnie przez dwie, trzy godziny, a potem nawalił ku rozpacz obserwatora drugi raz wyrwanego z przyjemnego snu. Biedak pędzi teraz do klatki, wiatraków, pluwin. Mierzy poziomy wody, stawia repery w limnigrafach, mierzy temperaturę jezior i około 14:30 wraca do husika, gdzie drugi człowiek przeciąga się w spłocze.

— Jak tam pogoda, poprawiła się trochę? — pytam
— gdzie tam, francia jak była tak jest. A wiesz, wiatrak znowu itd, itd.
— wyspałeś się? — pytam Jurka
— gdzie tam — odpowiada — nie mogłem zasnąć do jedenastej. Potakuję głową, jakże taki gest podnosi na duchu, nawet jeśli jest nieszczer. Świntuch, sam słyszałem jak chrapał już po dziewiątej, a teraz mi chce wmówić, że biedak zasnął dopiero po jedenastej. Ale między bogiem a prawdą, czy ja też tak nie czynię?

Potem z ociąganiem prostujący dobie Jacek wstaje, je śniadanie i coś się tam dalej dzieje. Przeskoczmy czas do wieczora. Godzina 23. Kolacja i kolacyjne rozmowy.

— no Jureczku, dzisiaj wieczorem idę wcześniej spać. Umyję się, siusiu i jak wrócisz z obserwacji już będę w łóżeczku

— ja też — odzywa się Jurek — zaraz sobie wszystko przygotuję i po powrocie idę spać.

Plany poczynione, zadowolenie z siebie absolutne. Ząbki umyte. Mija 1 w nocy, wraca Jurek:

— dobra, wszystko gra, wiatraki działają i trochę się przejaśnia

— herbatkę? — pytam

— dobra, wyjmij jeszcze jakieś ciasteczka. Tylko wypijemy i spać.

Pół godziny miłej rozmowy przy herbatce.

— napijesz się jeszcze jedną?

— z przyjemnością — odpowiada rozluźniony już Jurek.

Po godzinie

— wiesz, zjadłbym coś — na przykład grzanki

— czemu nie!

Po dwóch godzinach — „Koleś to już trzecia godzina, chodźmy spać.

A rano Jurek spi. Dzwoni budzik. Z ociąganiem wstaje Jacek. Co myśli ten drugi — śpiący? Zapewne to samo co wczoraj myślał ten pierwszy. A dalej — na pewno będzie

o prostowaniu doby. No jeszcze o wiatromierzach, o francowej pogodzie, może o groźbie powodzi w husiku, jeżeli Brattega będzie dalej wzbierać. A jak się zmieni pogoda? – w teren, w teren miły bracie. Temat prostowania doby może poczekać.

Wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia. Wybrałem te dwa z wielu, wielu przyjemnych i tych wspaniałych związanych z doznanymi przeżyciami, zawartymi przyjaźniami, z ludźmi, których spotkałem, z którymi dzieliłem radości, czasem niepowodzenia. A w tle, w tle był Werenhuss- Baranówka. Świadomie pominąłem te z nutą dramatyzmu jak to, kiedy z własnej nieostrożności i „lenistwa” chciałem się utopić w morenie dennej Werenskiolda, jak chcieliśmy z Jurkiem odpłynąć „Okuniem” na Grenlandię, jak pokonywałem „na kota” most śnieżny nad szczeliną na czole lodowca Torella – ku wielkiej radości Hwieja Misztala i Boleksa Kapuścińskiego i wielu innych. Każdy kto był na Spitsbergenie doświadczył mniej lub bardziej (czasem zbyt) dramatycznych przeżyć. Po latach z przyjemnością się je wspomina, o nich opowiada, z tym drobnym już dreszczem emocji. A Werenhuss? Werenhuss był domem do którego się wraca, za którym się tęskni i uczucie to zostaje, jest trwałe. Werenhuss jest wymagający, oczekuje opieki, napraw, dbałości. A co daje w zamian? Dał mi ciepło, poczucie bezpieczeństwa, niepowtarzalną atmosferę. Dał też pamięć o Baranowskim, Pulinie, Pepie i innych kolegach, którzy odeszli do innej „polarnej rzeczywistości”.

Wiesława Ewa Krawczyk

Najpiękniejsze miejsce na Spitsbergenie

Od chwili, w której zobaczyłam maleńki domek przyklejony do szarej moreny lodowca Werenskiolda, on i jego okolica stały się dla mnie najpiękniejszym miejscem na Spitsbergenie.

Pierwsze spotkanie miało miejsce latem 1979 roku. Znalazłam się wtedy po raz pierwszy w krainie ostrych gór, jako uczestniczka III Wyprawy Polarnej na Spitsbergen Uniwersytetu Śląskiego, oddelegowana do pracy w laboratorium Polskiej Stacji Polarnej w Hornsundzie. Byłam asystentką docenta Mariana Puliny, który kierował całoroczną II Wyprawą Instytutu Geofizyki PAN na Spitsbergen. O lodowcu Werenskiolda, wyprawach Uniwersytetu Wrocławskiego w latach siedemdziesiątych oraz prowadzonych podczas nich badaniach słyszałam już wiele od Szefa. Lato 1979 roku zaznaczyło się wyjątkowo trudnymi warunkami do rozładunku. Późno więc rozpoczęliśmy badania w zlewni Fuglebekken i dopiero pod koniec sierpnia udało się znaleźć kilka wolnych dni na wyjście do Werenhusa.

Wyruszyliśmy tam 23 sierpnia wieczorem trasą wzdłuż wybrzeża, z Szefem, docentem Andrzejem Rózkowskim i Jurkiem Pereymą. Do plecaków dopakowaliśmy woreczki z gwoździami i rzeczami potrzebnymi przy remontowaniu Werenhusa, zamówionymi przez pracujących tam Wrocławiaków. Doktor Marian Doraczyński dołożył nam jeszcze trochę żywności, w tym mrożone mięso. Szliśmy niespiesznie, zatrzymaliśmy się na chwilę w Hyttevice, która była bazą wyprawy gdańskich oceanografów. Wojtek Moskal wyciągnął pudełko z kruchymi ciasteczkami, które nazywali tam „moskalikami” i ucieszył bardzo Szefa – łasucha. Posiedzieliśmy chwilę w domku, w którym w oknie wisiały jeszcze białe firaneczki, a na półce leżał stos „świerszczyków” – pozostałości po poprzednim mieszkańcu, traperze Rubachu. Do Werenhusa dotarliśmy już sporo po północy. W domku trwał duży remont polegający między innymi na postawieniu spadzistego dachu i wykorzystaniu powstałego poddasza na sypialnię. Ocieplane były też ściany i próbowano przystosować domek do mieszkania w nim podczas zimy. Marian i Jurek planowali prowadzenie całorocznych badań na lodowcu Werenskiolda i zamierzali pomieszkiwać w Werenhusie.

Uczestnicy wyprawy Uniwersytetu Wrocławskiego sprawnie łączyli badania naukowe z pracami budowlanymi. Panowała tam bardzo sympatyczna atmosfera. Następnego dnia postanowiliśmy wyruszyć w teren, żeby nie przeszkadzać w pracach remontowych. Ale okazało się, że przyniesione przez nas mięso jest kaczką, która zdążyła się już rozmrozić i należałoby ją upiec. Wszyscy oczekiwali, że dokona tego kobieta. A moja wiedza o pieczonych kaczkach ograniczała

się do hasła „kaczka z jabłkami” nie popartego jednak żadnym szczegółowym przepisem kuchennym. Szczęśliwie udało mi się znaleźć na półce słoik kompotu z jabłek oraz paczkę majeranku. Przygotowałam kaczkę i wstawiłam do piekarnika prosząc pozostających w domku kolegów o dokładanie do pieca i dopilnowanie jej pieczenia. Wyruszyliśmy na lodowiec, pobieraliśmy próbki, szukaliśmy miejsc wypływów subglacialnych. Szef obserwował zmiany, które zaszły na przedpolu lodowca od roku 1973, kiedy był tam po raz ostatni. Na lodowcu spotkaliśmy speleologów – Staszka Misztala i Alka Chruściela, którzy eksplorowali studnie lodowcowe. Zapomniałam o kaczce i obawach, czy nadawała się do zjedzenia. Późnym wieczorem wracaliśmy do domku. Niektórzy mieli ochotę na pieczone mięsko. Jednak z kaczki zostały tylko kostki. Podobno była dobra. Odetchnęłam z ulgą, że nie zapiszę się w historii Werenhusa jako kiepska kucharka.

Z tego pierwszego pobytu zapamiętałam jeszcze wycieczkę do Doliny Bratnegg i przepiękne barwy kolejnych jezior. Doszliśmy aż do szczątkowego lodowczyka Bratnegg. Woda w jeziorze u jego czoła była mętna i brunatna. Wzięliśmy oczywiście próbki wody i wykonując potem ich analizy w Bazie jeszcze raz zobaczyłam jeziora: Brunatne, Szmaragdowe i Zielone. W uroczym domku nad potokiem Bratnegg czas mijał bardzo szybko. Bardzo chciałam się przyczynić do tych wszystkich zmian zachodzących w Werenusie. Jurek zaproponował, żebym uszyła firanki do okna w kuchni. Dostałam kawałek kwiecistego lnu i wieczorami ściboliłam firaneczki. Miło się potem czytało w listach Mariana wysyłanych podczas zimowania „Byliśmy z Jurkiem w Werenusie. Pobraliśmy próbki z wypływów z na lodowcu. Firanki w Werenusie pięknie wyglądają”.

Kiedy 27 sierpnia wracaliśmy z lodowca zauważyłam, że Jurek rozgląda się wokół i podnosi ładny kawałek białego kwarcytu. Poszłam w jego ślady. Usłyszałam, że to na kopczyk upamiętniający Stanisława Baranowskiego zmarłego dokładnie rok wcześniej. Dochodząc do domku skręciliśmy w stronę kopczyka z wystającym czekanem, tuż przy maszcie flagowym. Zrobili go rok wcześniej Jurek i Józek Libersbach po otrzymaniu wiadomości o śmierci założyciela Stacji Glacjologicznej. Zapaliliśmy świece. Tak powstała miła tradycja upamiętniania Dobrego Ducha Werenhusa.

Wracaliśmy do Bazy w Hornsundzie przez Przełęcz Kosiby. Z ciekawością oglądałam wystający ponad powierzchnię lodu płócienny dach domku postawionego tam podczas pierwszego zimowania w Hornsundzie (1957/8). Dochodząc do Przełęczy zauważyłam różne odcienie śniegu, które bardzo czytelnie wskazywały przebieg szczelin lodowcowych. Związaliśmy się liną. Przydały się moje górskie doświadczenia. Na lodowcu Hansa toniliśmy w śniegowym błocie. Schodząc do Bazy wiedziałam, że na pewno będę chciała powrócić na Spitsbergen, a szczególnie do Werenhusa.

I udało się to już w roku następnym. Wróciłam do Hornsundu w czerwcu 1980 roku, żeby kontynuować badania Szefa nad denudacją chemiczną w zlewniach Fuglebekken i Werenskiolda, tym razem jako uczestniczka III Wyprawy Instytutu

Geofizyki PAN na Spitsbergen (1980/81). Już w połowie lipca udało mi się popłynąć łódką do Nottinghambukty i zawieźć laboratorium terenowe. Wcześniej wysłałam tam konduktometr, którym Janusz Kida wykonywał pomiary oporności właściwej w Rzece Lodowcowej Werenskiolda. Spoglądałam z podziwem na coraz piękniejszy domek. Janusz Kida dobudowywał przedsionek, na dachu lśniła srebrzysta papa.

W ekipie wyprawy wrocławskiej były aż dwie kobiety – Ania Szczepankiewicz-Szmyrka i Magda Jacewicz. Wewnątrz domku widać było kobiecą rękę, a na stole często pojawiały się różne smakołyki. Również w pobliskiej Hyttevice dzielnie sobie radziły dziewczyny – Ania Czajkowska i Sławka Gromisz. Najwyraźniej kończyły się czasy kiedy uważano, że kobiety nie mogą brać udziału w wyprawach polarnych.

Na dłuższe badania wybrałam się 14 sierpnia. Szliśmy znowu wzdłuż wybrzeża, razem z profesorem Zdzisławem Czeppe i Adamem Krawczykiem z wyprawy Uniwersytetu Jagiellońskiego. Profesor opowiadał o swoim zimowaniu w Hornsundzie ponad 20 lat wcześniej. Po przyjeździe do Werenhusa zabrałam się za analizy pobieranych od 18 lipca przez Janusza Kidę próbek z Rzeki Lodowcowej i Bratteggi. Mierzyłam opór wody konduktometrem słuchawkowym i przeklinałam swój słuch daleki od absolutnego. Wartość oporu odczytywało się ze skali w momencie zaniku dźwięku w słuchawkach. W przypadku wód o bardzo niskich stężeniach jonów, i tym samym bardzo dużym oporze, było to całe morze wątpliwości, którą wartość uznać za prawidłową. Odczyn wód określałam przy pomocy skali kolorymetrycznej. Zawiesina w Rzece Lodowcowej utrudniała prawidłowe rozpoznanie barwy.

Korzystając z ładnej pogody rozłożyłam laboratorium na tarasie przed domkiem. Szklane kolbki po zmiareczkowanych próbkach płukałam w lodowatej wodzie Bratteggi. Obserwując zmiany barwy wskaźników już po dodaniu jednej kropli odczynnika wymyślałam, jak zmienić nasze przepisy analityczne, żeby udało się analizować również te bardzo słabo zmineralizowane wody.

W ramach relaksu po miareczkowaniach podziwialiśmy, siedząc z Magdą w łódce, płetwonurków Jurka Giżejewskiego i Waldka Roszczyńko zanurzających się w specjalnych strojach w wodach zatoczki. Przeżywaliśmy też bardzo zaginięcie grupy, która udała się łódką na Wyspy Puchowe. Zawiadomieni przez nas Gdańszczanie pod wodzą Józka Wiktora wyruszyli swoją szarą łodzią na ich poszukiwania. Już na wyspie dowiedzieli się, że przyływ zabrał zbyt słabo przymocowaną łódkę. A najlepszym traperem w grupie okazał się profesor Czeppe – w swojej torbie miał wszystko, co niezbędne do przetrwania na bezludnej wyspie. Siedzieliśmy z Magdą w husie w Hyttevice czekając na powrót wyprawy ratunkowej. Z kąta dobiegało chrapanie Olgierda, który „dusił komarkę”. Szybko minął ten tydzień w Werenhusie. Wychodząc w drogę powrotną do Bazy wiele razy odwracałam głowę, żeby po raz ostatni spojrzeć na domek.

Ale wkrótce okazało się, że nie było to jeszcze pożegnanie. Zgadaliśmy się z zimownikiem i uczestnikiem wcześniejszych wypraw wrocławskich Bronkiem

Głównym, że musimy być 27 sierpnia przy kopczyku. I poszliśmy, przez Revdalen i Angelissen, i dalej w dół po lodowcu Werenskiolda. Zapaliliśmy świeczki. Jurek Cegła powiedział kilka słów. W końcu sierpnia wieczorami słońce sporo się już obniżało. Tego wieczoru ozłociło wody Zatoki Nottingham. Jurek Cegła zawołał mnie do laboratorium. Wskazał na widok za oknem. Powiedział „Popatrz jak tu pięknie. Masz ten widok na pożegnanie”. Następnego dnia wpadłam na krótko do Hytteviki bo obiecałam Wojtkowi pomierzyć jego próbki wody. W nocy wróciliśmy do Bazy znajomą mi już trasą przez Przełęcz Kosiby. Zaczęło się pakowanie, wkrótce miała przyplłynąć „Łużyca” i zabrać letnią ekipę do kraju. Udało się jednak wyrwać 5 września na kilka godzin do Werenhusa, znowu przez Angelissen. Wracaliśmy przez Hyttevikę. Po raz kolejny żegnałam Werenhus i okolice. Nie wiedziałam jednak na jak długo. Wyplłynęliśmy z Hornsundu 8 września, zatrzymaliśmy się na dzień w Hammerfście, do Szczecina przyplłynęliśmy 22 września.

W kwietniu 1981 organizowaliśmy V Sympozjum Polarne. Zaprosiliśmy profesora Geoffreya Boultona z University of East Anglia. Prof. Boulton gościł przez kilka dni w Hornsundzie latem 1979 roku. Rozpoczęły się rozmowy na temat wspólnych badań na Spitsbergenie. Na pytania znajomych polarników, czy będę tamtego lata w Hornsundzie odpowiadałam z żalem, że niestety nie. Trzeba było opracować wyniki z poprzednich wypraw. Przygotowywaliśmy kolejne „niedźwiadki” ze sprawozdaniami oraz tomy „Wypraw Polarnych UŚ” z artykułami. Artykuły przedstawiające przebieg denudacji chemicznej w obu badanych przez nas zlewniach ukazały się w „*Polish Polar Research*” dopiero w roku 1984, stan wojenny opóźnił ich publikację.

We wrześniu 1981 roku poleciliśmy z Jackiem Janią do Anglii, na Sympozjum Glaciologiczne i spotkanie brytyjskiego oddziału International Glaciological Society, organizowane przez prof. Boultona na University of East Anglia w Norwich. Miałam tam okazję poznać m.in. dr Dave Collinsa, który był znanym specjalistą od chemii alpejskich wód lodowcowych. Dostałam duży plik jego prac i szczególnie zainteresowały mnie wyniki rejestracji przewodnictwa wód lodowcowych. Zaczęłam rozważać możliwość przeprowadzenia takich badań w zlewni lodowca Werenskiolda. W Norwich kontynuowaliśmy dyskusję na temat wspólnej wyprawy, zapisywałam kolejne kartki w notatniku szczegółowymi ustaleniami. Niestety rozpoczęły dwa miesiące później stan wojenny zniweczył te wszystkie plany.

Ale polarny wirus był aktywny. Jacek Jania z Leszkiem Kolondrą wybrali się do Hornsundu już w sierpniu 1982. Do Mariana Puliny zgłosili się speleolodzy z Klubu Górskiego w Szczyrku z propozycją wyprawy w roku 1983. Rozpoczęły się przygotowania, planowanie, gromadzenie sprzętu. Wyprawa miała być wspólna, uniwersytetów Wrocławskiego i Śląskiego oraz Klubu Górskiego. UWr reprezentowali klimatolodzy: Jurek Pereyma i Jacek Piasecki. W grupie speleologów znaleźli się Staszek Misztal zwany Hwiejem, Bolek Kapuściński i Bolek Walawski. UŚ reprezentowały dwie grupy: fotogrametryczna Jacka Jani, z Leszkiem Kolondrą i Elżbietą Bukowską-Janią oraz glaciohydrologiczna Mariana Puliny, ze mną i Pio-

trem Głowackim. Dołączył do nas także Janusz Karkoszka, dziennikarz ze śląskiej „Trybuny Robotniczej”. Naszą bazą miał być głównie Werenhus. Jacek z zespołem miał prowadzić pomiary na lodowcu Hansa więc planowali pobyt w Stacji Polarnej. Ze względu na plany eksploracji studni i jaskiń lodowcowych wybraliśmy dość nietypowy, późniejszy niż zwykle termin wyprawy.

Wyruszyliśmy 25 lipca samolotem z Warszawy, przez Moskwę i Murmańsk do Longyearbyen, potem holownikiem „Szachtior” do Barentsburga. Marian i Jurek mieli do nas dołączyć pod koniec sierpnia. Po krótkim pobycie w Barentsburgu 29 lipca przylecieliśmy helikopterem do Hornsundu. Tam właśnie skończył się rozładunek „Perkuna”, który transportował żywność i sprzęt do Stacji Polarnej. W domku na Wilczku przepakowaliśmy nasze plecaki i wyruszyliśmy do Werenhusa drogą wzdłuż wybrzeża. W domku zastaliśmy uczestników wyprawy z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Zgodnie ze wcześniejszymi ustaleniami przenosili się do Hyttewiki. Rozejrzeliśmy się po domku i zaczęliśmy sprzątanie kuchni i obserwatorium. Ściągnęliśmy zawilgocone materace ze stryszku i suszyliśmy je na słońcu. Wymyliśmy ściany i podłogi. Cała nasza wyprawowa żywność była jeszcze w Hornsundzie i czekaliśmy na sprzyjającą pogodę, żeby przetransportować ją łódką. Na początek mieliśmy to, co udało się przynieść w plecakach i stare zapasy z poprzednich wypraw.

Zaczęliśmy organizować nasze badania. Dalej nie było warunków do pływania więc wyruszyliśmy pieszo do Bazy żeby przynieść niezbędne przyrządy. Rozpoczęły pracę samopisy w ogródku meteorologicznym na morenie. W przełomie Rzeki Lodowcowej i nad Brattegą stanęły limnigrafy. Jacek Piasecki nauczył mnie prowadzić obserwacje meteorologiczne i wspólnie staraliśmy się zapewnić ciągłość pomiarów meteorologicznych i hydrologicznych. Wzorem ubiegłych lat codziennie pobierałam próbki wody z Rzeki Lodowcowej i Bratteggi, mierzyłam pH i przewodnictwo oraz wykonywałam analizy podstawowego składu jonowego. Sączyłam też próbki wody z Rzeki Lodowcowej w celu określenia stężenia materiału zawieszonego. Czasem przy silnym wietrze, siedząc okrakiem na belce pomostu limnigrafu, z duszą na ramieniu wymieniałam pasek. I bardziej niż o siebie spadającą do wody, bałam się o pasek, zawierający dane tygodniowych rejestracji. Śmiesznie też musiałam wyglądać, kiedy siedząc na tejże belce, tym razem w ulewnym deszczu, próbowałam osłaniać ten drogocenny pasek parasolem.

Z niecierpliwością oczekiwałam na przybycie Piotra Głowackiego, z którym mieliśmy przeprowadzić rejestracje parametrów fizykochemicznych w Rzece Lodowcowej. Spędziliśmy z Piotrem wiele godzin w naszym laboratorium w Sosnowcu przygotowując cały zestaw przyrządów do rejestracji. Wykorzystaliśmy nasze polskie mierniki „zdobyte” w MERA-ELWRO we Wrocławiu oraz mechaniczne rejestratory z fabryki KFAP w Krakowie. W tamtych czasach nie wystarczało posiadanie odpowiednich środków. Trzeba było przeskoczyć kolejkę oczekujących na zakup. Pomagało nam hasło „Spitsbergen” oraz pieczętka rządowego programu badawczego na zamówieniu. W podobny sposób zdobyliśmy też akumulatory za-

sadowe, które zapewniły zasilanie naszego zestawu rejestrującego oraz oświetlenie studni lodowcowych podczas kręcenia filmu. Akumulatory należało napełnić roztworem wodorotlenku potasowego i odpowiednio sformować. Szkoda było marnować na to czas na Spitsbergenie. Rozstawiłam sto akumulatorów na stole w laboratorium i rozpoczęłam zabawę. Otworki do napełniania były bardzo małe i nie ustrzegłam się poparzenia palców zasadą. Ale udało się wszystko przygotować i wysłać statkiem do Hornsundu. Teraz czekało to w Werenhushie. Brakowało tylko Piotra, który okazał się być „złotą rączką” i specjalistą od naprawiania silników do łodzi. Wspomagał więc grupę glaciologiczną w Hornsundzie.

Na lodowcu nie było jeszcze warunków do eksploracji i speleolodzy wyruszyli na rekonesans terenowy. Jacek Piasecki od dawna spoglądał na Tonefjellet i 25 sierpnia, przy okazji wymiany pasków w samopisach na przedpolu Werenskiolda, ruszyliśmy pod górę. Siedząc na przełęczy widzieliśmy unoszącą się mgłę, która szybko przesłoniła piękne widoki. Niezła początkowo pogoda szybko się popsuła. Wyżej zaczęły się nam spod nóg osuwać liczne kamienie. Było tak kruch, że podjęliśmy decyzję o odwrocie.

Dwa dni później zawitali do nas uczestnicy wyprawy Uniwersytetu Jagiellońskiego. Skończyli badania w rejonie Palfyodden i wrócili do Bazy, czekając na transport do Barentsburga postanowili zwiedzić północne wybrzeże Hornsundu. Był z nimi Kazek Pękala, uczestnik wypraw wrocławskich w latach siedemdziesiątych, który dwa lata później zorganizował pierwszą wyprawę Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej na Spitsbergen. Pięknie odnowione budynki osady w Calypsoben w Bellsundzie zostały bazą kolejnych wypraw Lubliniaków. Ponieważ minął już okres ochronny dla kaczek edredonowych wybraliśmy się łodzią na Wyspy Puchowe (Dunöyane). Oglądaliśmy puste kaczę gniazda i kępki ptasiego puchu rozwiewane przez wiatr.

Wkrótce w domku zrobiło się tłoczno. Przylecieli z Barentsburga Marian z Jurkiem, z terenu wrócili speleolodzy. Piotr zainstalował przyrządy na brzegu rzeki lodowcowej i ruszyły rejestracje. Czekalam na interesujące mnie wody wypływające z wnętrza lodowca. Podczas opracowywania wyników analiz chemicznych Rzeki Lodowcowej z dwóch poprzednich wypraw zwróciłam uwagę na wysokie stężenia jonów po ustaniu ablacji na lodowcu, we wrześniu i październiku, w pojedynczych próbach pobieranych przez Mariana podczas zimowania 1979/80. Tymczasem przyszedł fen, po nim intensywne opady deszczu. Spłukały czoło lodowca, które stało się czyste jak lustro. Ucieszyło to fotogrametrów, którzy postanowili wykonać zdjęcie czoła Werenskiolda w tych bardzo sprzyjających warunkach. Do Werenhusha przyłączyli Cezary Lipert i Janek Cisak z Wyprawy PAN. Przy pomocy speleologów przetransportowali na przedpole potrzebne przyrządy i wykonali pomiary.

Siedzieliśmy wieczorami wokół stołu, słuchaliśmy opowieści Cezarego o wyprawach w latach pięćdziesiątych, opowiadaliśmy kawały. Janusz Karkoszka czytał nam fragmenty swoich korespondencji, które wysyłał do kraju. Wtedy też Piotr wyrecytował w śląskiej gwarze wierszyk o Uwem i Willim, tłumaczenie po-

wszechnie wtedy znanego wierszyka o Pawle i Gawle, którzy mieszkali w jednym domu. I od tego czasu Piotr został Uwem.

Miłą niespodzianką była wizyta ekipy Profesora Ryszarda Schramma kończącej rejs wokół Spitsbergenu na łódkach, rozpoczęty w roku 1980. Przyszli do nas z Bazy, przez lodowce. Po drodze złapał ich deszcz i byli kompletnie przemoczeni. Napaliliśmy mocno w piecu i wkrótce w domku było jak w łaźni. Opowieści o rejsie ciągnęły się długo w noc. Następnego dnia wyruszyliśmy z Profesorem, Tomkiem, Jurkiem i Mirkiem na Vimsodden do obozu rosyjskiego geologa Saszy Tiebenkowa. Wspomnienia z tego krótkiego pobytu u nas znalazły się w książce Profesora *Dwa długie dni* opisującej ich rejs na bezpokładowych łódkach z doczepianymi silnikami.

Speleolodzy rozpoczęli eksplorację studni lodowcowych. Dołączyli do nich Uwe i Marian. Wnosili na lodowiec sprzęt, założyli obóz, dopracowywali techniki asekuracji w lodzie. Ja najczęściej zostawałam w domku, bo zawsze były jakieś próbki do przesączenia i przeanalizowania. Przy okazji zajmowałam się gotowaniem. Nasze zapasy żywności nie były zbyt urozmaicone. Czasem Stanek Misztal, który opiekował się naszą spiżarnią wyciągał jakiś rarytas w postaci puszki salcesonu. Najwięcej mieliśmy jednak kaszy gryczanej. Duży pięćdziesięciokilogramowy worek z kaszą przyniósł na plecach Uwe z portu w Zatoce Nottingham. Przygotowany rano garnek kaszy wędrował do śpiwora i czekał na nasz powrót z terenu. Potem tylko pozostawało podgrzać jakąś konserwę i otworzyć puszkę marchewki z groszkiem. Cieszyłam się bardzo, kiedy do kucharzenia włączał się Jurek Pereyma. Tym bardziej, że stołowników ciągle było dużo. Nasza ośmioosobowa ekipa oraz zawsze mile witani goście.

W połowie września, kiedy temperatura spadła poniżej zera wybraliśmy się łódkami na morenę środkową lodowca Torella. Chcieliśmy zbadać źródła termalne pod Raudfjellet, opisane przez Krzysia Migalę i Mietka Sobika po ich eksploracjach lodowca Torella w kwietniu 1982 roku. Na wodzie było bardzo zimno, naszą jedyną ochroną były pomarańczowe ceratowe sztormiaki. Silniki z trudem pokonywały silny prąd rzeki lodowcowej Zachodniego Torella. Wkrótce przybiliśmy do brzegu, wyładowaliśmy bagaże, wyciągnęliśmy i zabezpieczyliśmy łódki. Szybko ruszyliśmy w kierunku masywu Raudfjellet, żeby rozgrzać się marszem. Po zamrożonym materiale morenowym szło się jak po asfalcie. Tuż przy krawędzi lodowca Wschodniego Torella zobaczyliśmy źródelka. Zmierzyłam temperaturę i pobrałam próbki. Z przyjemnością zanurzałam ręce w ich „ciepłej” wodzie. Przy mroźnej pogodzie nawet 12°C dawało uczucie ciepła. Ciepła woda ze źródeł wpływała pod lodowiec i zwiększała jego topnienie w tym miejscu. Szef zachwycił się formami termokrasowymi. Potem bliżej masywu Raudfjellet znaleźliśmy jeszcze kolejną grupę źródeł, o jeszcze wyższych stężeniach jonów ale o niższej temperaturze. Następne próbki wyładowały w plecaku.

Wracając zboczyliśmy w stronę lodowca Zachodniego Torella. Podziwialiśmy bramę rzeki lodowcowej odprowadzającej wody z tego lodowca. Była olbrzymia,

wyglądała jak tunel, z którego mógłby wyjechać pociąg. Wyobrażaliśmy sobie, ile wody z niej wypływało w pełni lata, podczas intensywnej ablacji na lodowcu. Dzień się kończył, trzeba było pomyśleć o noclegu. Mieliśmy ze sobą namioty, ale mroźna pogoda zniechęcała do ich rozbijania. Nie chcieliśmy jeszcze wracać do Werenhusa, teren był fascynujący. Zdecydowaliśmy, że popłyniemy na Vimsodden, do obozu Saszy Tiebienkowa. Siedzieliśmy w ciepłym kapszu, piliśmy gorącą herbatę, odpoczywaliśmy po długiej wędrówce. Sasza zaproponował nam nocleg w ich namiocie ze sprzętem. Była to zwykła „pałatka”, trochę dziurawa, ale dla nas było to optymalne rozwiązanie. Ubrana we wszystkie ciepłe ciuchy, w kurtce puchowej i czapce na głowie, zagrzebana w śpiworze starałam się zatrzymać choć trochę ciepła. A przez te dziury w namiocie zobaczyłam moją pierwszą zorzę polarną.

Potem od Jurka Pereymy dowiedzieliśmy się, że temperatura powietrza spada tej nocy poniżej minus 10°C. Ta mroźna pogoda utrzymywała się przez kilka dni i już po powrocie do Werenhusa mogłam podziwiać w pełni to wspaniałe widokowo wirujących na ciemnym niebie zielonkawych świateł. Wtedy też powstał „przepis” na oglądanie zorzy. Brzmiał on następująco: „Kiedy nadejdą już ciemne noce i temperatura powietrza spadnie poniżej -10°C ubierz się ciepło i wyjdź na morenę nad domkiem. Spójrz w niebo i nie zapomnij wrócić”.

Wyprawa do źródeł pod Raudfjellet zaowocowała referatem wygłoszonym na seminarium u Profesora Alfreda Jahna we Wrocławiu. Było mi bardzo miło, kiedy Profesor pochwalił moją prezentację i zaprosił do przygotowania artykułu o źródłach do „*Acta Universitatis Wratislaviensis*”. Była to moja pierwsza samodzielna publikacja.

Rankiem 20 września przylecieli helikopterem z Barentsburga hydrogeolog Igor Postnov oraz jego asystentka Marina. Powrotnym lotem wrócili do Longyearbyen Jacek i Jurek. Naszych gości umieściliśmy w „zielonym pokoiku” przy wejściu a ja przeniosłam się do obserwatorium. Z zainteresowaniem oglądali oni nasze mierniki, laboratorium, stację rejestrującą nad rzeką. Uczylałam Marinę wykonywania pomiarów i analiz wody.

Zbliżał się koniec naszej wyprawy. Mieliśmy zarezerwowany lot do Moskwy na 5 października. Ale dotarły do nas wiadomości o zestrzeleniu koreańskiego samolotu przez rosyjski myśliwiec. To odległe od nas wydarzenie mogło wpłynąć na nasze plany. Lotniska na świecie zostały zamknięte dla radzieckich samolotów. Również lotnisko w Longyearbyen przyłączyło się do tej akcji. Bardzo ucieszyła nas możliwość przedłużenia wyprawy. Na holownik „Zaria”, który przyplłynął po nas 4 października zaokrętowali się tylko Igor z Mariną. My postanowiliśmy poczekać na otwarcie lotniska.

Teraz, kiedy nadeszła zima można było eksplorować wnętrze lodowca. Speleolodzy zeszli na głębokość poniżej 100 metrów w studni Skilryggaven. Wszyscy pasjonowali się tym rekordem. Do pomocy przy eksploracjach chętnie włączał się zimujący w stacji magnetyk Grzegorz Gregorczyk. W wolnych od stacyjnych

obowiązków chwilach przychodził do Werenhusa. Wnosił zawsze dużo radości i zapału. Pewnego wieczoru zaproponował, że upieczemy ciasto. Pilnując pieca przegadaliśmy kawałek nocy. Babka była pyszna.

Bolex kręcił film o naszej wyprawie i znaczną jego część poświęcił dokumentacji wnętrza lodowca. W ciasnej studni nie zawsze były warunki do nakręcenia planowanych sekwencji. Pewnego dnia wybraliśmy się więc do Bratteggdalen aby wykonać kilka „dokrętek” w poziomej jaskini śnieżnej. Hwiej w rakach i z czekaniem atakował śnieżną ściankę, ja ukryta za rogiem oświetlałam go reflektorem. Film zatytułowany „*Zimny Ląd*” pokazywano w telewizji. Lektorem był Jerzy Rośołowski. Czytając tekst o trudnych polarnych warunkach, mrozach, śnieżycach, niedźwiedziach stwierdził, że zapewne popełniono pomyłkę dodając literkę „a” do męskiego imienia. Skorygował więc ten błąd i w króciutkim fragmencie pokazującym laboratorium w Werenusie pomiary wykonywał mgr Wiesław, długowłose „mężczyzna” bez brody. Od tej chwili zaczęłam używać obu moich imion, drugie imię Ewa nie powinno pozostawiać wątpliwości, że jestem kobietą.

Wyprawa przeciągnęła się aż do 14 października. Kiedy odblokowano lotnisko w Longyearbyen przyleciały po nas do Hornsundu dwa pomarańczowe „migi”. Potem wszystko przebiegało bardzo szybko. Serdeczne pożegnanie w Bazie i towarzyszące mu myśli „wróć tu znowu”. Pobyt w Barentsburgu, załatwianie rezerwacji biletów lotniczych do Moskwy, wycieczka na lodowiec Aldegonda. Lot do Moskwy z pięknymi widokami zachodzącego słońca. Na ostatni odcinek podróży nie mamy rezerwacji, rejsy do Warszawy są zapewnione. Uwe zdobywa dla nas nocleg w hotelu Akademii Nauk. Spacerując ulicami Moskwy spotykam profesora z Kubańskiej Akademii Nauk, który gościł u nas w Sosnowcu kilka miesięcy wcześniej. Jestem zaskoczona, że mnie poznał, po tych kilku miesiącach z dala od cywilizacji. Spotykają się z Szeferem w hotelu, efektem rozmów jest propozycja współpracy i kilka ekspedycji na Kubę. Pierwsza ma miejsce już w styczniu 1984 roku. Nie zdradzamy jednak polarnych krain dla tropików. Na kolejną wyprawę, latem 1985 roku Szefer zaprasza dwóch Kubańczyków – Reynerio Fagundo i Julio Valdesa.

Wstępne wyniki badań V Wyprawy UŚ na Spitsbergen ukazały się w sprawozdaniach opublikowanych w zeszycie „*Field investigations performed during the Glaciological Spitsbergen Expedition in 1983*”. Artykuł przedstawiający hydrochemiczny cykl dobowy w rzece lodowcowej Werenskiolda został opublikowany w tomie sesji polarnej organizowanej przez polarników z Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie. Dane z Rzeki Lodowcowej wykorzystyłam do opracowania intensywności procesów denudacji chemicznej i mechanicznej w zlewni Lodowca Werenskiolda w letnio-jesiennej części sezonu hydrologicznego. Był to jeden z rozdziałów mojej pracy doktorskiej.

Podczas wyprawy w roku 1983 poznałam lepiej przedpole Lodowca Werenskiolda. Zwróciłam uwagę na wypływy subglacjalne u jego czoła. Zabrakło jednak czasu na ich systematyczne badania. Wykonując obliczenia denudacji chemicznej

dla trzech różnych sezonów letnich (1979, 1980 i 1983) zwróciłam uwagę na niewystarczającą ilość danych na początku odpływu ze zlewni oraz po ustaniu ablacji na lodowcu. Moim celem stało się przeprowadzenie badań denudacji chemicznej i mechanicznej w możliwie pełnym okresie odpływu ze zlewni lodowcowej.

Zrealizowałam ten cel podczas VIII Wyprawy Glacjologicznej UŚ, na którą wyruszyliśmy już 9 czerwca 1986 roku. W skład ekipy wchodził: Janusz Kropka, hydrogeolog z naszego Wydziału, czeski speleolog Josef Rehak współpracujący z nami od wielu lat, Leszek Kolondra, który kontynuował pomiary fotogrametryczne na lodowcu Hansa oraz studentka geografii Jola Opołka. O tym, że Josef Rehak, zwany przez wszystkich Pepą, byłby cennym uczestnikiem wyprawy polarnej pomyślałam podczas wspólnych badań po czeskiej stronie Masywu Śnieżnika, w kwietniu 1984 roku. Żegnając się wtedy z Pepą dałam mu znaczek naszej wyprawy z roku 1983.

Podróżowaliśmy znaną już nam trasą lotniczą przez Moskwę. W Barentsburgu spotkaliśmy kilka innych grup z Polski, w sumie było nas 13 osób. Czekał na lot do Hornsundu. Przyszedł dzień lotów i mimo nie najgorszej pogody helikoptery nie wyleciały. Ale trudno się dziwić pilotom – był to piątek, 13 czerwca, w grupie 13 osób przeważały kobiety.

W końcu jednak przylecieliśmy do Hornsundu. Zimownicy w Stacji chyba się trochę wystraszyli tego tłumu, który nagle zakłócił ich spokój. Korzystając z dobrej pogody popłynęliśmy z Jurkiem Wachem łódką do Werenhusa. W domku czekał już na nas Uwe. Wystawiał na stół różne przygotowane przez siebie przysmaki a my z chęcią je pałaszowaliśmy, wygłodniaли trochę po tygodniu spędzonym w Barentsburgu. Wysłuchując relacji Uwego o zimowaniu dowiedzieliśmy się także o zimowej wizycie niedźwiedzia w domku oraz o wielkim sprzątaniu, jakie musieli po niej przeprowadzić. Misiu przez roztargnienie skonsumował pudełko czeskiego proszku do prania i wywołał tym rewolucję w swoim przewodzie pokarmowym. Dla nas zostały już tylko zwykłe porządki, suszenie materaców, przegląd żywności.

Ku radości Pepy znaleźliśmy na półkach dużo czeskich produktów pozostałych po ubiegłorocznej wyprawie wrocławsko-czeskiej. Aby pomieścić w domku również naszą żywność, która na razie czekała w porcie w Zatoce Nottingham, postanowiliśmy wykorzystać pomieszczenie dawnej ciemni. Pepa zrobił z desek półki, a my z Jolą zapełniałyśmy je puszkami. Niestety zniszczeniu uległa kolumna grzewcza, która dostarczała ciepłą wodę do łazienki. Ktoś zapomniał spuścić z niej wodę, która podczas silnych mrozów zamarzła i zniszczyła kolumnę. Pozostało grzanie wody w dużych garach, które stały na piecu.

Rozpoczęliśmy badania, nad Rzeką Lodowcową i Bratteggą stanęły limnigrafy. Kilka dni później udało się też zainstalować limnigraf na Kvisli, w pobliżu moreny środkowej. Janusz z Pepą zajęli się pomiarami hydrologicznymi, Jola sączyła próbki z zawiesiną i wykonywała obserwacje meteorologiczne. Razem z kończącymi zimowanie Uwem, Jurkiem Wachem i Hwiejem idziemy w teren. Przejmujemy

od nich wykonywane dotychczas obserwacje. Cieszę się, że już w maju pobrali próbki z Rzeki Lodowcowej.

Z Pepą świetnie się rozumieliśmy, gdyż dużo czeskich słówek przypomina starą śląską gwarę. Z biegiem dni powstał nasz werenhusowy, polsko-czeski język. Nawet tego nie zauważyliśmy, dopóki Pepa nie spróbował pogadać na łączności z Bazą. Usłyszał wtedy „Pepo, nie rozumiemy Cię” i był tym bardzo rozczarowany.

Na początku lipca idziemy na kilka dni do Bazy, pobrać próbki wody w zlewni Fuglebekken. Wracając do Werenhusa spotykamy na trasie grupę belgijskich fotografów przyrody. Dosyć spontanicznie zapraszamy ich do nas. Wydaje nam się, że to kilka osób. Ale wkrótce dołączają następni. W domku przygotowujemy kolację. Przydają się nasze duże gary. Gotujemy w nich makaron z konserwami. Okazało się, że tamtej nocy spało w Werenusie 16 osób. I nie była to maksymalna pojemność tego wspaniałego domku.

Parę dni później widzimy na kładce przed domkiem kolejnych znajomych z Bazy. To dwójka Francuzów z jachtu „Scherzo”, Françoise i Pascal, którzy żeglują w Arktyce i Antarktyce. Pokazujemy im domek, opowiadamy o prowadzonych badaniach, częstujemy obiadem. Zapraszają nas do siebie w odwiedziny i razem idziemy do Hytteviki, gdzie zostawili jacht. Jest słoneczne popołudnie, jacht wygląda bajkowo na tle białych skałek. Dopływamy, wchodzimy na pokład, gospodarze zapraszają do środka i obserwują nasze miny. A my stajemy z wrażenia. W salonie stoi czarny fortepian, półki pełne są albumów ze zdjęciami z Arktyki i Antarktydy. Widzimy sprzęt grający, płyty. Za chwilę z głośników płynie muzyka. Prądu dostarcza elektrownia wiatrowa na pokładzie. Oglądamy kuchenkę, Françoise opowiada, że piecze na jachcie chleb. Pytamy o przepis i za chwilę już siedzę i przepisuję z książki kucharskiej wskazane przez Françoise fragmenty. Jakiś czas potem wykorzystaliśmy ten przepis. Chleb był bardzo smaczny. Siedzimy, rozmawiamy, pijemy whisky. Uświadamiam sobie, że jedyne, czego mi brakuje w Werenusie to muzyka.

Następnego dnia w porze wieczornej łączności słyszymy w radiostacji dźwięki muzyki. To kolejne pożegnanie z jachtu „Scherzo”.

Pusty dotąd hus w Hyttevice zajęła wyprawa Akademii Górniczo-Hutniczej z Krakowa. Przylecieli helikopterem 11 lipca. Lądowanie w pobliżu Werenhusa zakończyło się tym razem bezpiecznie. Cieszymy się, że będziemy mieli sąsiadów. Kiedy jeden z nich złamie w terenie nogę razem z Jolą asystujemy lekarzowi przy zakładaniu gipsu i przez parę dni opiekujemy się pacjentem.

Dzień w Werenusie zaczynałam od czyszczenia starego norweskiego pieca. Musiał kiedyś być bardzo ładny, emaliowany na biało, z piekarnikiem. Miał masę różnych zakamarków pod płytą i jeśli nie był starannie wyczyszczony to paskudnie dymił. Jeśli przygotowałam wcześniej drewno na rozpałkę, to wkrótce w piecu buzował ogień. Jeszcze tylko kilka wiader wody z Bratteggi do garów na piecu, żeby była woda do mycia i ruszałam nad Rzekę Lodowcową po próbki. Janusz ustawił limnigraf poniżej przełomu, bliżej ujścia rzeki. Nie trzeba było

włożyć na belkę. Szybkie spojrzenie na samopis, reper. Odczyt stanu wody. Pomiar temperatury wody. Pobór próbek wody – dużej, litrowej do pomiarów zawiesiny, mniejszej do analiz chemicznych. Po powrocie do domku kalibracja pH-metru w laboratorium, pomiar pH, pomiar przewodnictwa. Wyniki zapisane, w domku jest już ciepło.

Budzę Jolę oraz Pepę i Janusza. Zaczynam gotować owsiankę. To podstawa naszego śniadania, bo mamy mało chleba. Dostaliśmy co prawda kilkanaście bochenków chleba w Barentsburgu ale okazał się nietrwały. Pepa początkowo protestuje przeciwko «końskiemu jedzeniu» ale w końcu wymyśla swoją wersję z dżemem i zjada owsiankę. Dopóki było jeszcze stare mleko w kartonikach gotowanie nie sprawiało problemów. Ale kiedyś wiał silny wiatr, w piecu nie chciało się palić, musiałam korzystać z kuchenki gazowej i mleka w proszku. Coś mnie jeszcze oderwało od garnka i w efekcie owsianka się przypaliła. A ekipa zbuntowała się, że bez zjedzenia owsianki nie wyruszy w teren na pomiary. Trzeba było powtórzyć gotowanie.

Wołanie „owsianka gotowa” zwabia wszystkich do kuchni. Na stole lądują pozostałe produkty śniadaniowe. Co drugi, trzeci dzień wychodzimy na obchód przedpola, pobrać próbki z wypływów. Wtedy śniadanie musi wystarczyć na długo. Zapasy energii uzupełniają tylko suszone jabłka, które mamy poupychane we wszystkich kieszeniach. Jeszcze tylko przygotowanie kaszy gryczanej na obiad po powrocie, wygaszenie pieca, zapakowanie plecaków i możemy wyruszać. Idziemy do najdalej położonego punktu i w drodze powrotnej pobieramy próbki. Obserwujemy wypływy, dyskutujemy. Z plecakami pełnymi próbek wracamy do domku, często jest już po północy. Szybko przygotowujemy obiad. Jeszcze tylko pomiary pH w pobranych próbkach wody i można iść spać. Umówiliśmy się, że nie używamy budzika i po późnym powrocie z terenu śpimy dłużej.

Następnego dnia zabieram się za analizy chemiczne pobranych próbek, Jola rozstawia lejki do sączenia zawiesiny. W przerwach między miareczkowaniem gotuję obiad. Mamy dużo kapusty kiszzonej w blaszanych puszkach i specjalnością domku zostaje kapuśniak. Smakuje również naszym gościom i potem podczas łączności, przy zapowiedzi kolejnej wizyty, pojawia się prośba o ugotowanie tej zupy.

Goście z Bazy przynoszą czasem kawałek mięsa, co jest miłym urozmaicheniem naszego puszkowego menu. Nie mamy lodówki więc Pepa pakuje je do szczelnych worków i zanurza do Bratleggi, obkładając dodatkowo kamieniami. Czasem daje się namówić i przygotowuje z tego mięsa pyszne „żizki” czyli kotlety. Mamy też okazje poznać smak czeskich knedlików w jego wykonaniu. Kiedy w Bazie zorientowali się, że nie mamy chleba wypiekają dla nas dodatkowy bochenek i potem przy okazji przynoszą do Werenhusa, zawinięty w lnianą ściereczkę. Smakuje lepiej niż ciasto.

Lubimy te wizyty. Cztery osoby w Werenhusie to trochę za mało, żeby sprawnie funkcjonować. Goście zwykle włączają się w życie domku. Narąbiają drewna,

pójdą z nami na spacer do portu i pomogą przynieść kolejną porcję żywności. W sierpniu przez jakiś czas mieszkają z nami uczestnicy Wyprawy Wrocławskiej – Andrzej Traczyk i Zdzychu Jary. Wtedy dochodzimy do wniosku, że 6 osób to optimum w Werenhusie.

Czekamy na zapowiedzianą wizytę Profesora Alfreda Jahna. Pogoda nie pozwala jednak na pływanie łódką i Profesor łączy się z nami przez radiostację. Dopytuje się o nasze badania, przekazuje życzenia. Rozmowie tej towarzyszy niezwykła sceneria burzy z silnymi wyładowaniami atmosferycznymi.

Często zagląda też do nas Krzysiek Migala – zimownik w kolejnej wyprawie PAN. Jej kierownikiem jest Grześ Gregorczyk – stary znajomy z naszej poprzedniej wyprawy. Dobrze jest wiedzieć, że możemy liczyć na jego pomoc.

Mamy okazję obserwować powstanie i rozwój subglacialnego wypływu w pobliżu moreny środkowej, nazwanego przez nas Czarnym Wywierzyskiem. Ciekawi nas, z którym systemem studni lodowcowych może być powiązane. Pepa znalazł w agregatowni starą beczkę fluoresceiny i chciałby ją wykorzystać jako znacznik do określenia dróg krążenia w lodowcu. Nie chce mi wierzyć, że materiał zawieszony w wodach wywierzysk ma tak duże właściwości sorpcyjne, że pochłania cały barwnik. Idziemy więc nad Kvislę z roztworem fluoresceiny i wlewamy go do rzeki tuż przy jaskini. Początkowo rzeka barwi się na zielono ale już po kilku metrach barwnik znika. Barwienie udaje się tylko w przypadku wód pozbawionych zawiesiny. Roztwór fluoresceiny wlany do studni Lipertaven pojawia się po drugiej stronie moreny środkowej, w części Kvisli. Pepa nie daje za wygraną i poszukuje innego znacznika. Przypomina sobie, że mamy w spiżarni dużo suchego grochu, potem rozważa inne produkty spożywcze. Po powrocie do domku postanawia przeprowadzić eksperyment i wrzuca do zlewki z wodą kolejne porcje z naszych zapasów. Wiążemy duże nadzieje z marchewką z puszki, która chociaż nie pływa to swoją intensywną barwą ma szansę odcinać się na tle brunatno-szarej wody. Jeden z wniosków „groszek nie pływa” znalazł się potem jako hasło dnia w naszym werenhusowym kalendarzu. Przygotowany z arkusza papieru wisiał na ścianie w kuchni. Kolorowymi kredkami wpisywaliśmy najważniejsze wydarzenia danego dnia.

Pod koniec lipca solidnie się rozpadało. Dach znowu przeciekał, pod domek zaczęła podpływać Brattegga. Zabezpieczamy domek i idziemy nad Rzekę Lodowcową, przymocowujemy limnigraf linami. Nadchodzi Jurek Czerny, żeby nas ostrzec przed niedźwiedziem, który kręci się przy Hyttevice. Podobno wcześniej buszował w rejonie Bazy. Wzmagamy czujność, nie wychodzimy bez broni. Kilka dni później wracając z porządkowania portu widzimy duże, świeże ślady niedźwiedzia na tundrze. Był całkiem blisko domku i zawrócił. Koledzy śmieją się, że misiek przestraszył się kobiet w Werenhusie. Poszedł w stronę Torella i po drodze zniszczył namiot krakowskich geologów.

Silny wiatr zerwał komin i duże płyty papy z dachu. Nie palimy w piecu i jak tylko trochę ucicha wiatr Pepa wchodzi na dach i naprawia szkody. Martwimy się

o limnigraf na Kvisli, i jak wkrótce sprawdzamy słusznie, bo porwała go rzeka. Na przedpolu obserwujemy powstanie kolejnego wywierzyska. Wygląda to jak otwarcie kolejnego zaworu bezpieczeństwa w zbiorniku.

Pepę zainteresowała Jaskinia Kvisli i chciałby od razu przystąpić do eksploracji. Tłumaczę, że dopóki trwa ablacja na lodowcu jest to bardzo niebezpieczne. Któregoś dnia podczas wędrowki po lodowcu natrafiam na sprzęt speleologiczny Pepy. Okazuje się, że nie wytrzymał i wchodził do jaskini. Odbywamy poważną rozmowę i ustalamy, że spróbujemy przedłużyć wyprawę tak, aby możliwa była eksploracja lodowca. Udajemy się do Bazy, żeby nawiązać łączność z Profesorem Puliną. Wysyłamy telegramy, czekamy na połączenie telefoniczne przez Gdynię – Radio. Niestety Szef jest na urlopie. Mamy dużo argumentów przemawiających za przedłużeniem wyprawy. Poza eksploracją jaskiń lodowcowych to także możliwość określenia denudacji chemicznej i mechanicznej w zlewni lodowcowej w pełnym okresie hydrologicznym. Chcielibyśmy także kontynuować pobieranie próbek wody z wywierzysk. Coraz lepiej poznajemy system krążenia wód w lodowcu i jesteśmy bardzo ciekawi, jak zareagują wywierzyska na zakończenie ablacji. Rozmawiamy też z Bolexem oraz Jurkiem Szwagrzykiem próbując zmontować ekipę do eksploracji lodowca. Grześ również obiecuje się dołączyć w miarę wolnego czasu.

Zapraszamy kolegów z Hytteviki na spotkanie przy kopczyku 27 sierpnia, wspólnie czcimy pamięć patrona naszej stacji. Chciałabym, żeby zawsze pamiętano o tym dniu.

Zbliża się 31 sierpnia – termin planowanego powrotu. Janusz decyduje się wracać. Czekam na zgodę Szefa na przedłużenie wyprawy. Wydaje mi się, że zrobiłam wszystko, żeby do Sosnowca dotarła nasza prośba. W końcu muszę podjąć decyzję. Zakładam, że gdyby Szef nie zaakceptował naszego pomysłu, to na pewno przysłałby telegram. Anulujemy nasze bilety lotnicze i postanawiamy wrócić statkiem na początku października. Już po powrocie do kraju okazało się, że się myliłam. Zapłaciłam za to «szlabanem» na kolejne wyprawy. Na Spitsbergen przyleciałam dopiero w sierpniu 2000 roku, na badania na lodowcach w rejonie Ny Alesund.

Na początku września wyruszamy z Krzysiem i Zdlichem do Domku Kosiby z zamiarem posprzątania śmieci pozostawionych przez wyprawy z lat pięćdziesiątych. Kiedy w roku 1979 pod koniec sezonu ablacyjnego zatrzymaliśmy się w tym miejscu to z lodu wystawał tylko płócienny dach. Teraz wytopił się cały domek, a przy okazji i stosy śmieci wrzucanych uprzednio do szczelin lodowcowych. Puszki z końca lat pięćdziesiątych niewiele skorodowały, możemy zapoznać się z jadłospisem tamtych wypraw. Moją uwagę przyciąga mała żółta puszka z napisem «marmite». Przypomina mi preparat drożdżowy bogaty w witaminy opisany w książce Liv Balstad „*Pod biegunem kwitną kwiaty*”. Puszki i inne śmieci wrzucamy do dużej drewnianej skrzyni i zwozimy z lodowca.

Pepa z Bolexem eksplorują i dokumentują Jaskinię Kvisli. Potem zjeżdżają do studni Lipertaven. Nadchodzi zima, wiatr nawiewa śnieg przez szpary w pod-

łodze. Próbuje je pozalepiać olkitem. Ustawiam butelki z próbkami na skrzyni, na której śpię. Nie chcę, żeby zamarzły na podłodze. Zaczynamy pakować niepotrzebny już sprzęt i odnosimy do Hytteviki. Ponieważ nie ma warunków do pływania część sprzętu zanosimy w plecakach do Bazy. Potem wiatr ucicha i płyniemy z Grzesiem łódką do Hytteviki, zabieramy skrzynie i przywozimy je do Bazy.

Na początku października przygotowujemy się do ostatniej akcji na lodowcu. Pepa z Grzesiem i Jurkiem wchodzi do Jaskini Kvisli. Ja ubezpieczam ich na górze. Jest bardzo silny mróz, łażę po lodowcu, żeby choć trochę się rozgrzać. Na niebie wiruje czerwona zorza polarna. Kiedy Pepa zgłasza przez radio, że wkrótce wychodzą, gotuję w namiocie grochówkę i herbatę. Słucham opowieści o tym, jak wygląda ta jaskinia położona na kontakcie lodowca i moreny bocznej. Żałuję, że nie mogę tego zobaczyć. Pepa z Jurkiem wracają do jaskini kontynuować pomiary, my z Grzesiem wracamy do Werenhusa. I w tej czarnej nocy gdzieś na morenie czołowej gubię drogę. Dzieję się to w terenie, który tak dobrze poznałam podczas tych prawie czterech miesięcy, po tych niezliczonych wędrówkach po przedpolu, po których moje wiברamy miały łyse podeszwy. Kręcimy się jakiś czas w kółko, w końcu łapię orientację. W domku Jola czeka z obiadem i gorącą herbatą. Następnego dnia Pepa i Jurek dalej kartują w jaskini. Potem przenosimy sprzęt nad Lipertaven i Pepa z Bolexem i Jurkiem zjeżdżają do studni. Na głębokości 70 m znajdują poziomy kanał, który częściowo eksplorują. Na więcej brakuje czasu. „Perkun” zbliża się już do Hornsundu.

Pakujemy rzeczy, zabezpieczamy domek na zimę i wychodzimy objuczeni do Bazy. Poprzedniej nocy powiał nagle fen, barometr narysował kreskę ostro w dół. Spadł deszcz i stopił część śniegu. Ale kiedy wychodziliśmy przyszedł nagle mróz i tundra zamieniła się w lodowisko. Droga jest trudna i męcząca. Kiedy po kilku godzinach ślizgania się i zataczania dochodzimy do Revdalen i widać już światła Bazy, pojawiają się światełka czołówek. I po chwili otaczają nas zimownicy, odbierają plecaki, prowadzą do domu. To bardzo miła niespodzianka. Następnego dnia, kiedy wybieramy się ponownie do Hytteviki po resztę sprzętu zgłasza się kilku zimowników do pomocy. A w drodze powrotnej znowu pojawiają się światełka nad Revelva.

Po kilku dniach w Bazie ładujemy się na łódzie pomiędzy bryłami lodu i płyniemy na „Perkuna”. Musieliśmy przejść aż na półwysep Baranowskiego, bo Zatoka Białego Niedźwiedzia była zatkana lodem. Do Gdyni przyплыliśmy 24 października. Była to moja najdłuższa i najwspanialsza wyprawa polarna.

Wynikiem naszych badań było określenie denudacji chemicznej w zlewni lodowca Werenskiolda w liczącym ponad 150 dni okresie sezonu hydrologicznego. Był to kolejny rozdział mojej pracy doktorskiej. Transport zawiesiny i denudacja mechaniczna w tej zlewni zostały opublikowane w artykule zamieszczonym w tomie „XXI Polar Symposium”. Wyniki analiz chemicznych wpływów subglacialnych posłużyły do opisu systemu krążenia wód w lodowcu Werenskiolda

w artykule opublikowanym w *Proceedings of the 2nd International Symposium of Glacier Caves and Karst in Polar Regions*.

A tak bliski kontakt z lodowcem, zarówno w sensie odległości, jak i prób zrozumienia funkcjonowania całego systemu krążenia w nim wód, dostarczył doświadczeń, które doceniłam prowadząc badania na lodowcach w rejonie Ny-Alesund.

Pożegnałam Werenhusa na wiele lat. Ale szybko wrócił do niego Pepa organizując kolejne czeskie wyprawy glaciospелеologiczne. Otrzymywałam karteczki wyprawowe z pozdrowieniami, słuchałam relacji o eksploracjach lodowców i pracach remontowych w domku. Podczas *Warsztatów Geomorfologicznych* w lipcu 2003 roku miałam nadzieję odwiedzić ten śliczny domek. Ale pogoda uniemożliwiła dopłynięcie łódkami do Hytteviki.

Weszłam do Werenhusa po prawie 25 latach, podczas wiosennej wyprawy do Hornsundu, w kwietniu 2009 roku. Wróciłam, żeby zbadać zimowe wpływy subglacjalne z lodowca Werenskiolda. Ale nie udało nam się tam pomieszkać, zabrakło czasu. Pobieraliśmy próbki i wracaliśmy do Bazy, do laboratorium, gdzie na chromatografach jonowych wykonywaliśmy analizy. Nareszcie spełniłam marzenia o poznaniu składu chemicznego nawet najslabiej zmineralizowanych próbek wody.

Przedpole lodowca odwiedziłam ponownie w sierpniu 2009 roku. Przypłynęliśmy łódką z Bazy, z Szymonem Kostką, Anią, zimownikami oraz moimi studentami, Krysią i Radkiem. Jak zawsze szukałam wypływów subglacjalnych. Doszliśmy nad Lipertaven a potem w róg lodowca, gdzie dawniej była Jaskinia Kvisla. Teraz w miejscu olbrzymiej bramy pojawiło się wywierzisko buchające mętną wodą. Postanowiliśmy nazwać je imieniem Pepy. Ostatnią próbkę pobraliśmy w „wywierzysku Wiesławowy”. Pepa nazwał tak wypływ, w którym nieopatrznie się wykapałam podczas wyprawy w 1986 roku. Chcąc jak najlepiej pobrać próbkę wody podeszłam zbyt blisko, a lód na brzegu okazał się za kruchy. Na szczęście dzień był mroźny i ciuchy szybko na mnie zamarzły. Obyło się nawet bez kataru.

Posiedzieliśmy chwilę w Werenusie, w gościnie u uczestników wyprawy wrocławskiej. Wracając do łódki odwróciłam się i jak zawsze powiedziałam domkowi „do widzenia”. Bo pełna optymizmu liczę, że jeszcze tam wrócę.

Jan Klementowski

Baranówka w moich wspomnieniach 1974–2011

Początek lipca 1974 roku, już trzeci tydzień na Spitsberenie. Po dwutygodniowym bujaniu na niezatapialnym „Turlejskim” wreszcie twardy grunt pod nogami. W opuszczonej stacji polarnej PAN jeszcze śmierdzi psami, które wcześniej towarzyszyły norweskim traperom. Jest to już czwarta wyprawa „wrocławska” kierowana przez docenta Stanisława Baranowskiego.

W wyprawie uczestniczą także geolodzy z PAN z profesorem Birkenmajerem na czele oraz goście ze Szwecji i Republiki Federalnej Niemiec. Zespół profesora Birkenmajera pracuje głównie nie półwyspie Treskelen. Bardzo uciążliwy wyładunek, przy znacznym zalodzeniu morza. Drewniane skrzynie, wielkie jak trumny, ważące kilkadziesiąt kilogramów są wyjątkowo nieporęczne przy transporcie. Nie ma żadnego sprzętu ułatwiającego rozładunek oprócz rachitycznego, dwukołowego wózka. Wszystko odbywa się na tempa, ręcznie, na plecach, we dwóch, trzech. Naprawdę trudno. Trochę dziwię się doświadczonym polarnikom, że preferują nieporęczne i bardzo ciężkie skrzynie, ale oni, z nielicznymi wyjątkami, przy tych pracach rzadko uczestniczą. Ale po całodobowej katordze prawie cały bagaż wyprawy jest już prawie rozładowany. Pierwsze dni na Spitsberenie rozpoczynają się nawałem prac gospodarczych i porządkowych. Dopiero po kilkunastu dniach powoli przystępujemy do realizacji programu naukowego. Życie w Stacji Polarnej zaczyna się wreszcie stabilizować, nieco mniej jest już prac gospodarczych, powoli poznajemy najbliższą okolicę. Na tundrze warkoce ogromny, wojskowy agregat prądotwórczy na kołach, a nieco dalej samotna pralka Frania. Widok ogromnego ogólnowojskowego agregatu i malutkiej pralki na krzewinkowej tundrze zniewala... Od strony zatoki stoi beczka kiszzonej kapusty, przykryta kamieniami, źródło naszych witamin. Cuchnie strasznie. Na sznurku rozciągniętym między masztami radiowymi, które później połamał huragan, suszy się pranie. We wszystkie strony wiatr szarpie naszą świeżo wypraną bielizną, szczególnie śnieżnobiałymi gaciami profesora Jahna. To one stały się impulsem do nieformalnej twórczości toponomicznej w Hornsundzie.

Przegląd żywności – same straty! Zdobyte z trudem cytryny zapleśniały, jak i specjalny „marynarski chleb” wypiekany w piekarni „marwoju”, ponoć z dodatkiem spirytusu, żeby nie pleśniał. Kielbasa zalana we Wrocławiu gorącym smalcem, w ocynkowanych wiadrach nabrała wyrazistego szarozielonego koloru, chociaż wydaje się być jeszcze jadalna.

Szef wyprawy docent Baranowski krząta się wokół wiekowego gazika, który o dziwo zapala od razu. Są co prawda kłopoty z kierownicą, którą wcześniej ktoś

sobie pożyczyl, ale ładujemy beczkę lepiku, deski, worki z węglem i dziesiątki dziwnych szpargałów. Na pakę gazika wdrapuje się profesor Alfred Jahn, Kasia Jankowska – Lucerska, Jurek Bieroński „Biedrona” i ja. Pierwsza przeszkoda to pokonanie szeroko rozlanej Revelvy, szukamy brodu. Wokół widoczne koleiny z poprzednich lat... Przebijamy się wśród skałek i na dobre grzęźniemy w torfowiskach. Całe szczęście, że podczas lata odmarzają one zaledwie na 30–40 cm, stąd po wielu próbach udaje się wreszcie wyjechać na żwirową terasę morską. Trzęsie strasznie, co jakiś czas wypadają skrzynki, paczuszki. Zastanawiam się, czy nie będzie lepiej resztę trasy pokonać pieszo. Ale gdzie tam, po kolejnym upiornym podskoku gazika wypadam za burłę, towarzystwo rechoce z uciechy. Na wysokości Lechdalen zatrzymujemy się na chwilę, przed nami rozległy płat śniegu z charakterystyczną rynną na powierzchni. Docent Baranowski spekuluje, że tutaj zapewne zabawiał się niedźwiedź zjeżdżając po stromym śniegu. Kolejnym śladem bytności niedźwiedzia jest ogromna kupa.

Oprócz chmur alczyków, gęsi bernikla i larusów nie widać żadnych większych zwierząt na morzu i lądzie. Na tundrze ani śladu reniferów, jedynie na lodowych krach przemknie czasem pojedyncza foka. Przyroda w rozkwicie – od prawie fioletowych „łak” ze skalnicą naprzeciwlistną, po jasnozielone mszarniki i płytkie torfowiska. Na jeziorach spokojnie pływają gęsi i kaczki z pisklakami – idylla. Świetne widoki na Hornsund i otaczające go zaśnieżone góry. W oddali majaczy charakterystyczna sylwetka Hornsundtind. Delektowanie się widokami przerywa kolejne zagrzebanie się gazika, tym razem w luźne żwiry morskie, koła buksują w miejscu. Wsiadamy, pchamy „rzęcha” dodając sobie siły dzikim pokrzykiwaniem. Wreszcie wygrzebujemy się, chwila odpoczynku i możliwość zrobienia przeźroczy. Nasze „zenity” i „praktiki” spisują się doskonale, ale na końcowy efekt musimy poczekać aż do jesieni, gdy oddamy filmy do laboratorium. Mając zaledwie kilka filmów do przeźroczy i trochę więcej filmów czarno-białych z namysłem wybieramy ujęcia. I tak jesteśmy w dobrej sytuacji. Wydział Handlu we Wrocławiu przydzielił wyprawie pulę aż 30 filmów do podziału. Trochę nas „młodych polarników” martwi milczenie naszych starych mistrzów, spodziewaliśmy się ich opowieści o nieodległych jeszcze czasach, chcieliśmy się czegoś od nich dowiedzieć i nauczyć. Ale gdzież tam – asystent jest od roboty, a nie od zadawania głupich pytań. „Lwowską” szkołę czuje się tutaj aż nadto. Dystans między profesorem, doktorem czy asystentem można liczyć w latach świetlnych.

Mijamy wylot Steinvikdalen, kolejny przymusowy postój, silnik gazika się przegrzał, z chłodnicy bucha para, dolewamy wody i polewamy wodą z jeziora i w drogę.

Wjeżdżamy na wybrzeże Kwarcytowe, a przed nami zatoka Hyttevika i Dunöyane – Wyspy Puchowe, słynące z licznych koloni ptasich – od gęsi bernikla po edredonowe kaczki. Wznoszą się ponad powierzchnię morza zaledwie na kilka metrów. Tutaj w 1819 roku rozegrała się tragedia, kiedy grupa skandynawskich traperów zamordowała dziesięciu rosyjskich traperów.

Zatrzymujemy się na dłuższy postój przy traperskim domku nazywanym także Hyttevika. Tutaj przed rokiem mieszkał i polował na polarne niedźwiedzie i lisy legendarny Rubach. Okna chatki zabezpieczone solidnymi okiennicami, a do wnętrza trzeba przecisnąć się między belami drzewa dryftowego. Człowiek przecisnąć się do wnętrza – niedźwiedź raczej nie. Wnętrze chatki ciepłe, tajemnicze, zachęca do zatrzymania się na odpoczynek. Sterta norweskich kryminałów i starych numerów Svalbardposten. Po dokładniejszym obejrzeniu mrocznego wnętrza chatki dostrzegamy na drewnianym suficie galerię zdjęć pań raczej nie ubranych. Zdjęcia czarno-białe i kolorowe, powycinane z gazet, prezentują panie z ostatnich kilkudziesięciu lat. Jest co oglądać.

Przed nami ostatni i chyba najtrudniejszy odcinek trasy do pokonania dla gazika – Hyttevika – Stacja Polarna Uniwersytetu Wrocławskiego – dzieło docenta Baranowskiego i Jego współpracowników. Pierwsza uniwersytecka placówka naukowa na Spitsbergenie. Dopiero kilka lat później powstaną na Spitsbergenie kolejne uniwersyteckie stacje naukowe.

Z daleka widzę dużą skrzynię ze skośnym dachem, na początku spore rozczarowanie. Czym bliżej skrzyni dostrzegam, jak zmienia się ona w zgrabny, chociaż bardzo mały domek.

To Stacja Naukowa Uniwersytetu Wrocławskiego. Po tragicznej śmierci docenta Baranowskiego w Antarktyce w roku 1978 nazywana jest powszechnie Baranówką, rzadziej Værenhus co miało znaczyć po norwesku ...dom spod znaku Barana. Domek jest całkowicie drewniany, posadowiony na skałach podłoża, między Brattegą, która płynie na tym odcinku krótką, ale głęboko wciętą przełomową dolinką a moreną boczną lodowca Werenskiolda. To tutaj, w odległości kilkudziesięciu metrów od Baranówki, podczas III Roku Geofizycznego grupa wojskowych topografów z inż. Lipertem miała swoją bazę, a kilkadziesiąt metrów dalej w lipcu 1983 roku rozbił się doszczętnie radziecki helikopter, ale na szczęście członkowie wyprawy polarnej z AGH i załoga ocalała. Na krzyżu na Przylądku Wilczka znajduje się swoistego rodzaju wotum za uratowanie życia uczestników wyprawy, jest to fragment wirnika pechowego helikoptera. Co prawda wotum za uratowanie życia powinno być może bardziej okazałe, ale to na Wilczku emanuje ekspresją i niepowtarzalnym dramatyzmem.

Wnętrze chatki surowe, wszystkie przedmioty wyposażenia, łącznie z przyrządami, stołem i ławkami wykonane zostały na miejscu przez zdolnych uczestników wypraw. Rozgrzana do czerwoności „koza” wypełnia wnętrze domowym ciepłem, którego nie było w Stacji PAN. Profesor Jahn napojony mocną herbatą ląduje w tzw. zielonym pokoju i zasypia. Gospodarz – docent Baranowski goni pozostałych do roboty- rąbania drewna na opał, wynoszenia śmieci, rozpakowywania przywiezionych kłopotów. W kącie malutka, dwupalnikowa kuchenka gazowa, kilka garnków, aluminiowy, straszliwie okopcony czajnik, patelnia, kilka talerzy i poobijanych kubków z napisem „GS”. Część tego dobra wraz z wielkim aluminiowym garem wycygałem w studenckiej stołówce. Na powitanie robimy

nieśmiertelną herbatę, niestety „bez prądu”, ryż i wołowina z puszki, a do tego solidna porcja kiszzonej kapusty z cebulą. Moją uwagę przykuwa wielkie, metalowe koło młyńskie, zawieszone nad wodospadem. Jest to część wodnej elektrowni. W tych czasach w Polsce, małe, przenośne agregaty prądotwórcze nie były w ogóle znane. Pamiętam, z jaką zazdrością patrzyliśmy na malutki agregat prądotwórczy wielkości aktówki, szwedzkiego gościa naszej wyprawy dr Jonasa Åkermana i jego podręczny młot pneumatyczny do prac w permafroście. Niestety wodna elektrownia na Brattedze szybko została zniszczona podczas wiosennych roztopów. Zardzewiałe koło wodne leżało w Brattedze aż do 2003 roku, kiedy współ z Jurkiem Pereymą rozbiliśmy je młotem na spławialne fragmenty. To niepowodzenie skutkuje rozpoczęciem budowy na morenie zgrabnej budki na stacjonarny agregat prądotwórczy. Krząta się tutaj jej główny budowniczy Janusz Szajna, ciągle coś poprawia i usprawnia. Ta budka, mimo że w ostatnich latach nieco zsunęła się w dół po morenie w wyniku soliflukcji, służy nam do dzisiaj. Zdumiewa, ile umiejętności i talentów mają mieszkańcy Baranówki. Złotą rączką na wyprawie był nieodżałowany, skromny i koleżeński Jan Szymański. Z niczego potrafił wyczarować potrzebny przyrząd, naprawić czy dorobić zepsuty element. Świetnym mechanikiem, a jednocześnie niezwykle silnym człowiekiem był na wyprawie Janusz Szajna. Ale chyba nikt nie przebił szefa wyprawy docenta Stanisława Baranowskiego. Świetnie zorganizowany, prawdziwy polarny autorytet, szalenie wymagający od współpracowników a jednocześnie swoim zapalem, energią i pogodą ducha dawał przykład nam, polarnym neofitom. Często z wysiłku fizycznego zdawało się, że oczy ma głęboko zapadnięte w głęb czaszki. Twardy, silny, prawdziwy lider. Jedyną Jego słabą stroną była wrażliwość na chorobę morską. Już w Gdyni, gdy tylko dostrzegł zacumowanego przy nabrzeżu „Turleja” zbierało mu się na wymioty. W czasie długiej podróży Turlejskim leżał pokodem w koi i poiliśmy Go tylko czarną kawą. Po zejściu na ląd był innym człowiekiem, Arktyka była Jego żywiołem.

W chatce, choć warunki ledwie traperskie, panuje miła i przyjazna atmosfera. Jest nawet bieżąca woda, pochodząca z pobliskiego jeziora wytopiskowego na morenie. Trochę jeszcze śmierdzi świeżą gumą od nowego węża. Ten gumowyy wodociąg chociaż mocno sparcały i pogryziony przez zwierzęta służy nam do dzisiaj. Panuje kilka „szkół” podłączania wodociągu – od zalewania odcinkami od góry i od dołu, niektórzy koledzy usiłowali go zassać. Paradoksalnie największe problemy z podłączeniem wodociągu mieli i mają nasi ...specjaliści od wody.

Na świeżej nowością ścianie chatki i wieszam mały, miedziany krzyżyk zakupiony w sklepie Caritasu. Poświęcił go we wrocławskiej katedrze mój przyjaciel ze szkolnej ławy ksiądz Bolesław Lasocki. Krzyżyk co roku jest oczyszczany ze śniedzi, z czasem dorobił się zacnego towarzystwa – od fotografii profesora Alfreda Jahna, docenta Stanisława Baranowskiego po obrazek świętej Jadwigi – patronki Śląska. Chyba tylko dzięki Jej wstawiennictwu, mieszkańcom Baranówki dopisuje polarne szczęście.

Około trzeciej w nocy zasypiamy, leżąc pokotem na podłodze. Mimo to jest ciepło, chociaż za oknem duje aż chatka się trzęsie, na przemian pada deszcz ze śniegiem, deszcz, później nadchodzi mgła, wreszcie się wypogadza. Wstaję około dziewiątej rano, rozglądam się po najbliższej okolicy. Urzekająca sceneria czoła lodowca Werenskiolda, z charakterystyczną smugą moreny środkowej, a na przedpolu lodowca częściowo zachowane pakiety nalodzi. Ani śladu reniferów, niedźwiedzi, czasem przemknie ciekawski lisek i mnóstwo ptaków. W odróżnieniu od okolic Stacji Polarnej PAN, gdzie dominują ogromne kolonie alczyków, wokół Baranówki najwięcej jest gęsi bernikla, kaczek oraz agresywnych wydrzyków, z determinacją broniących swoich piskląt. Praktycznie na jedną parę wydrzyków przypada jedno, bardzo rzadko dwa pisklęta.

Przyglądam się charakterystycznym gruzowym wałom przyklejonym do górskich stoków już od wylotu Revelvy po Gulliksenfjellet i dalej do Jens Erikfjellet. Z pewnością nie są to stożki usypiskowe, może fragmenty moren bocznych, a może ślady obrywów. Pojawia się docent Baranowski, wdaję się z nim w dyskusję, ma on jeszcze inną teorię, że są to bez wątpienia moreny niwalne. „Moda” na lodowce gruzowe pojawiła się dopiero po kilku latach, i trwa w najlepsze.

Przychodzi wreszcie profesor Jahn, chyba dobrze spał, bo jest w lepszym nastroju. Spartańskie śniadanie, spory kawałek mielonki, ogórek marynowany i kilka kromek marynarskiego chleba. I herbata, bez limitu. Bardzo cienko z kawą, jej substytut „inka” zdecydowanie nikomu nie smakuje. Cała nasza wyprawa dysponuje trzema dubeltówkami i trzema raketnicami. Całe szczęście, że nikt nie spotkał jeszcze niedźwiedzia. Wydaje się, że są one tylko podczas zimy.

Zakładam wysokie gumowce, biorę stalową sondę, raketnicę, trzy kolorowe naboje i rozpoczynam pierwszy, wielogodzinny rekonesans torowisk i mszarników. Ich morfogeneza jest tematem mojego doktoratu, promotorem jest profesor Jahn. Zaczyna być interesująco. Na torfowiskach między Hytteviką a Steinvikdalen odnajduję ogromny hydrolakolit, później dwa, silnie już zdegradowane. Wielka radość z odsłonięcia lodowego jądra o metrowej grubości. W tej robocie dzielnie wspomaga mnie Jurek Bieroński, pogodny i super koleżeński facet. Kopiemy i wyrabujemy siekierą kolejne szurfy. Gdy wszystko jest już przekopane, wyrabane, obmierzone i obfotografowane przychodzi Profesor Jahn.

W Baranówce ciasno, to dopiero kolejna faza jej rozbudowy, „przez pączkowanie”. Postanawiam być bliżej torfowisk i mszarników, nie tracąc cennego czasu na codzienne wędrówki. Z błogosławieństwem docenta Baranowskiego spędzam samotnie miesiąc w namiocie w skałkach przy Russepynten. Benzynowy „jubeł”, menażka, kilka konserw i raketnica, całe obozowe gospodarstwo. Wokół torfowiska, soczysta, jasna zieleń, miejscami z brązowym odcieniem. Przeważają mchy brunatne, pojedyncze płyty z żółtymi skalnicami. Świeże formy pęcznienia mrozowego, wspaniałe rozcięcia termoerozyjne i termokras. Sonduję grubość warstwy aktywnej – zaledwie 28–30 cm. Czuję się nie nadzwyczajnie, mimo osłony skałek, podczas silnego wiatru mam wrażenie, że odleczę wraz z namiotem. Profesor Jahn

odjeżdżając wcześniej z Jonasem Åkermanem do Isfiordu pozostawia mi swoje radio tranzystorowe. Całkiem dobrze słychać I Program Polskiego Radia na długich falach. Rozwinąłem, jak nauczono mnie w wojsku, długą kierunkową antenę. Jaka radość usłyszeć transmisję z mistrzostw świata w piłce nożnej. Dobra słyszalność Warszawy I spowodowana była wysokim masztem radiowym w Raszynie, który niestety kilka lat później runął podczas prac remontowych. A szkoda, bo następny maszt, znacznie niższy, emituje słabszy sygnał radiowy. Niezła była też słyszalność na falach krótkich, szczególnie radia dla marynarzy i Radia Wolna Europa.

Kolejny miesiąc, tym razem z Jurkiem Bierońskim w Hyttevice. Mieszaka się świetnie, można wreszcie wysuszyć wiecznie mokre kalosze i gumofilce. Jurek wyciąga pozostawione przez norweskiego trapera Rubacha wieloletnie konserwy, które nazywamy mamutami. Smakują tak sobie, jak większość konserw skandynawskich. Przy każdej sposobności odwiedzamy Baranówkę, która dzięki pracy docenta Baranowskiego i Janusza Szajny pięknieje w oczach. Od połowy sierpnia nie ma już ptaków, niesamowita cisza. Lisy polarne chyba stają się coraz bardziej oswojone, prawie przyjacielskie. Ich letnie futro zmienia kolor na zimowy, prawie biały.

We wrześniu widać wreszcie zorzę polarną. Przychodzi poczta, którą każdy z nas czyta wielokrotnie. Mieszkańcy Baranówki przygotowują chatkę do długiej zimy, zakładają solidne okiennice, demontują wodociąg, palą śmieci i przenoszą się w październiku na ostatnie dni długiej wyprawy do Stacji Polarnej PAN w Hornsundzie. Przyptywa „Turlejski”. Miłe spotkanie w Harstadt z polskimi Elżbietankami.

Jest rok 2011 – dokładnie 40 lat temu zaczęła wyłaniać się z niebytu Baranówka. Teraz już z daleka przyciąga wzrok soczystą zielenią ścian i czerwienią stromeego, blaszanego dachu. W oknie uroczą firaneczka zawieszona przez doktor Anię Kowalską. Z komina unosi się smuga dymu, hałasuje agregat prądotwórczy, słyhać gitarę, to znak, że jest już profesor Heniu Marszałek. Na morenie powiewa biało-czerwona, a na kamiennym kopczyku z zatkniętym czekanem łopoce flaga Norwegii i Uniwersytetu Wrocławskiego. Zardzewiałe raki, wypalony znicz i wdzięczna pamięć o budowniczych Baranówki, naszych Mistrzach...

Mieczysław Sobik

Jak polarny neofita z życiem uszedł

Pirs portu handlowego w Gdyni, czerwiec. Wokół prawdziwe życie. Marynarze na statkach, pracownicy portowi na łodzi, wopiści i prostytutki krążą między statkami a lądem. Wśród tej kompanii ludzie z UW. Po kilkuletniej przerwie organizowana jest kolejna wyprawa naukowa Uniwersytetu Wrocławskiego im. Bolesława Bieruta na Spitsbergen. Za nami parę miesięcy przygotowań – spakowane przyrządy pomiarowe, łódź Maja z silnikiem „Wietierok” do pływania wzdłuż brzegów Morza Grenlandzkiego, materiały budowlane do remontu Werenhusa, dubeltówki i rakiety, specyfik do czyszczenia instrumentów, kilkumiesięczny zapas żywności w tym wojskowy chleb w żelaznych puszkach i wiadra z zalaną smalcem kielbasą – razem około setka skrzyń, beczek i innych pakunków. Wszystko już załadowane na statek MS „Garnuszewski”, którym nazajutrz popłyniemy na Spitsbergen.

Wyprawa liczy kilka osób, w tym trzech wyjadaczy, dla których Arktyka to nie pierwsza, pozostali to polarni debiutanci, wśród nich Albert, asystent stażysta. Dla wszystkich to piękny dzień, chwila oddechu pomiędzy przygotowaniami i samą wyprawą. Jeszcze tylko wieczorne pożegnanie i jazda na północ.

To ważna wyprawa, trochę taka egzotyczna wizytówka BB uniwerku Aby zacytować klasyków: „to jest przedsięwzięcie na miarę naszych sił i możliwości”. Taką wyprawę należy odpowiednio pożegnać. Taką wyprawą wymaga oprawy. Flaga na maszt!

Po południu na nabrzeże czarną wołgą z rejestracją WRX... zajeżdża uniwersytecki kierowca, pan Kazio. Nie jest sam. Wsiada nasz kolega polarnik nie biorący udziału w tej wyprawie, za nim dyrektor instytutu, za nim Gruba Ryba z uniwerku. Czujemy się zaszczytni, dotąd nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nasz wyjazd jest tak ważny. Władze liczą na nas, w końcu jedziemy kontynuować dzieło wybitnych poprzedników: profesorów Kosiby i Jahna oraz niedawno zmarłego kierownika ostatniej serii wypraw wrocławskich docenta Baranowskiego.

„Garnuszewski” to duży statek, przynajmniej dla nas. Ma tylko jakieś 5 tys. DWT, ale labirynt korytarzy i pomieszczeń na różnych pokładach jest trudny do rozszyfrowania. Każdy jednak znalazł mesę. Tam odbywa się formalna uroczystość, oficjele z PAN, wyprawa centralna PAN, reprezentanci wypraw regionalnych - tym samym statkiem oprócz nas płyną jeszcze wyprawy PAN, UMK i UŚ. Przemówienia i toasty, potem przyjęcie. Na zdrowie! Na zdrowie! Krew w żyłach zaczyna płynąć szybciej. Wszystko co miłe ma swój koniec. Rozchodzimy się. Teraz czas na pożegnanie wśród swoich. Bierzemy wrocławską delegację i udajemy się

do naszej kajuty. Wiemy w której skrzyni mamy spirytus pobrany na druk RW z działu zaopatrzenia. Marynarze na wachcie pozwalają nam na wejście do ładowni, odlewamy krzynę z zapasu na czyszczenie przyrządów. Teraz pożegnanie nabiera właściwego wyrazu. Toasty, życzenia, wspominki, deklaracje – nasza wyprawa jest skazana na sukces, wielki sukces. Niemal wszyscy palą jak smoki, bulają nie da się uchylić, w kajucie są ciężkie niebiosy.

Widać, że kotu spod ogona nie wypadliśmy: osiągnięcia wypraw sprzed paru lat pokazują teraz swój właściwy wymiar. „Szkoda Staszka...”, na zdrowie! Bez Staszka też damy radę... na zdrowie! Pokażcie klasę chłopaki...”, na zdrowie! Zrobiliśmy już bardzo dużo a za chwilę zrobimy jeszcze więcej.

Wśród nowicjuszy jest Albert. Coraz śmieiej uczestniczy w rozmowie, bariery formalne powoli się zacierają. Nowicjuszowi trudno zaistnieć w towarzystwie polarnych wyjadaczy. Albertowi coś się przypomniało i pyta Grubą Rybę:

– Wyjaśnij mi, dlaczego przed miesiącem przyszedł do mnie Twój wysłannik, który polecił mi w Twoim, motyla noga, imieniu wpisać bez ceregieli zaliczenie studentce Kociubińskiej, pomimo, że kolokwium napisała na ‘dwa’?

Gruba Ryba nie usłyszał. Mija dłuższa chwila. Wśród rejdowców natrętny Albert ponownie cedzi przez zęby swoje pytanie. Znowu brak reakcji. Pytanie zostaje postawione po raz trzeci. Powoli milkną inne głosy. Gruba Ryba znowu nie usłyszał.

Chyba jednak usłyszał – Albert widzi, że jego rozmówca bierze do ręki pełną petów popielniczkę i odwróconą do góry dnem lokuje mu na kolanach. Albert z satysfakcją odnotowuje, że wszyscy palacze dokładnie kiepowali – Albert wprawdzie nie płonie, ale rozumie, że takiego upokorzenia dotąd nie doznał.

Wewnątrz jednak płonie, bo wstaje i zaprasza Grubą Rybę na spotkanie ‘tête-à-tête’ na kei – przecież chyba jeszcze nie odpłynęliśmy. Wygląda na to, że się chłopak naogłądał „Barw ochronnych” – niedawno weszły na ekrany.

Wstają i wychodzą, na keję. Towarzyszą im dwaj inni wrocławianie – bodaj w charakterze sekundantów. Ci ostatni patrzą rzeczowo: kiedy przyjdzie co do czego, to przecież ten Gruba Ryba, z którego jest chłopaka kawał, ani chybi zabije młodego Alberta, a wtedy to dopiero będą kłopoty. Tymczasem cała czwórka jest już na kei. Interlokutorzy początkowo nie chcą słyszeć o jakimkolwiek kompromisie. Jednak na świeżym powietrzu w sercu Alberta budzi się wątpliwość co do pojedynkowych szans, Gruba Ryba też uznaje, że taka awantura byłaby mało polityczna. Dwaj towarzysze wykazują duże talenty rozjemcze i w końcu wszyscy wracają do kajuty kwitując rozejm. Na zdrowie...

Na zdrowie!

[po czterech miesiącach]

Wszyscy uczestnicy wyprawy szczęśliwie wrócili do kraju, wśród nich Albert. Jediną zmianą jest to, że od października nie jest już asystentem. No cóż, brak godzin do pensum dydaktycznego. Mogło być jednak gorzej, zaproponowano mu przeniesienie na etat techniczny. Jeszcze się zastanowi, ale chyba się na to zgodzi.

Adam Krawczyk

Syndrom Værenhusa

Najpierw zobaczyłem klatki meteo na morenie, a chwilę potem, zielony domek poniżej. Gdy doszedłem, po przejściu kładki, przywitali mnie Staszek Baranowski, Jaś Szymański i Jurek Pereyma. Był 5 września 1973 r.

Przed trzema dniami Staszek Baranowski i Jurek Pereyma przywieźli nas z południowego brzegu Hornsundu. Dwa miesiące biwakowaliśmy w obozie na bocznej morenie Körberbreen. Pięcioosobowa wyprawa Krakowskiego Akademickiego Klubu Alpinistycznego, którą kierowałem, działała na Sørkapplandzie, w rejonie Hornsundtindu, Kvasseggi, Tsjebysovfjellet. Pod względem sportowym, wyprawa była nieudana, wyniki raczej skromne, przynajmniej w stosunku do zamierzeń. Ale była dla mnie jednym, wielkim doświadczeniem. W tych laboratoryjnych niemalże warunkach odosobnienia, zetknięcie się z egoizmem, nielojalnością, hipokryzją było szczególnie bolesne. Mieliśmy siebie serdecznie dosyć¹. Nic dziwnego, że po trzech dniach pobytu w Bazie, zaraz jak się tylko dało, wyruszyłem do stacji glaciologicznej przy Lodowcu Werenskiolda. Byłem zresztą umówiony ze Staszkiem na wypad pod Raudfjellet. On chciał zobaczyć jakieś szczeliny w martwym lodzie, a mnie interesował ten masyw pod względem możliwości wspinania się tam w przyszłości.

Szedłem więc sobie powoli z Bazy, ładna pogoda, czytałem mapę – była to dla mnie nowa okolica. Po minięciu Hytteviki podszedłem wyżej stokami Gulliksenfjellet, aż odsłonił się widok na Werenskioldbreen. Najpierw zobaczyłem...

Spędziłem wtedy tydzień w tej nastrojowej oazie spokoju, pracowitości i gościnności.

Na drugi dzień Jaś Szymański pojechał do Bazy i zostaliśmy w trójkę. Rytm dnia był w miarę uregulowany. Pierwszy wstawał Staszek, robił śniadanie czyli gęste płatki owsiane (szkoła Siedleckiego). Po śniadaniu zabieraliśmy się do pracy. Były to głównie prace przy domu. Dom, a właściwie domek był w ciągłej rozbudowie i udoskonalaniu. Składał się z kuchnio-jadalni, tzw. pokoju meteo, małego pokoiku i przedsionka. Na górze był niski stryszek, tylko dało się tam leżeć, z wejściem od zewnątrz po drabinie. Od strony moreny biegł wąski korytarz będący magazynem i warsztatem. Tu też znajdowała się „kabina prysznicowa” czyli budka z folii. Na końcu tego korytarza był „plac budowy” czyli dobudówka z drewna dryftowego mająca mieścić saunę (sic!) i ubikację. W czasie mojego pobytu prace były na etapie robienia ścian między pomieszczeniami. Coś tam pomagałem, na ile potrafiłem, heblowałem deski, malowałem tą przybudówkę od zewnątrz,

¹ Szerzej piszę o tym w przygotowywanej książce pod roboczym tytułem *Spitsbergen – inny świat*

a z innych prac pamiętam, że złamałem stylisko kilofa przy kopaniu w zmarzlinie dziury pod klatkę meteo. Zapamiętałem też malowanie stryszku, na chybotałej drabinie nad huczącą poniżej Brattegelvą, które to zadanie zlecił mi Staszek jako alpinista. Muszę powiedzieć, że pewniej czułem się nieraz w ścianie skalnej niż na tej drabinie.

Oczywiście oprócz tych prac Staszek i Jurek robili obserwacje meteorologiczne, dokonywali jakiś pomiarów na lodowcu i jego przedpolu. Któregoś dnia Staszek przyniósł próbki kopalnej tundry, którą odsłonił lodowiec, analiza C¹⁴ miała pozwolić na datowanie ostatniego zlodowacenia. W ciągu dnia coś przejadaliśmy, obiad (obiadokolację) gotował Jurek, a ja zmywałem potem naczynia. Tutaj muszę poruszyć wątek bardzo osobisty.

Po dwóch miesiącach mycia naczyń w wątlym siurku wodnym, który wypływał ze śnieżnika pod Reischachtoppen, mycie w bieżącej i ciepłej wodzie było prawdziwą przyjemnością. Zlewozmywak mieścił się w kuchni, w jej ciemniejszej części, koło pieca i tam w półmroku zmywałem naczynia rozkoszując się zarówno ciepłą wodą jak i nastrojem tego miejsca. I oto po wielu latach przeprowadziłem się na wieś do mojego Tuskulum. Dziwnym trafem w tym domu, zlewozmywak też mieści się w ciemnej części kuchni. Ilekroć zmywam naczynia, w półmroku, coś iskrzy na synapsach i pojawia się pod czaszką tamto zmywanie i tamten nastrój. To pierwszy objaw „syndromu Værenhusa”.

Po obiadokolacji jeszcze, przy świetle z agregatu, jakieś drobne prace, a potem „posiady” przy herbacie, a właściwie licznych herbatkach. To był czas robienia notatek, ale przede wszystkim rozmów, gadaliśmy o wszystkim. Raz Staszek w odpowiedzi na jakieś moje pytanie, zrobił mały wykład o strefach lodowca, rodzajach lodu itp. Było to bardzo interesujące, tym bardziej, że od trzech miesięcy patrzyłem na naturalne „pomoce naukowe”. Może dlatego, dla mnie, historyka z wykształcenia, „wykład” Staszka był zrozumiały. Trzeba też przyznać, że Staszek miał dar przystępnego objaśniania rzeczy skomplikowanych. W trakcie tych wieczorów rozmawialiśmy też o wyprawach, zarówno ogólnie jako o przedsięwzięciu, jak i konkretnie o naszych. Moja wyprawa była pierwszym moim wyjazdem w góry poza tatrzańskie, pierwszym doświadczeniem wyprawowym i wreszcie pierwszą wyprawą, którą kierowałem. Nic dziwnego, że słuchałem wypowiedzi Staszka i Jurka z uwagą. Skutek tych rozmów był dla mnie pouczający i znaczący. Otóż zacząłem rozumieć, że własne, raczej przygnębiające, doświadczenia z moją wyprawą to nie koniecznie reguła, ale raczej wynik błędów popełnionych jeszcze przy organizacji wyprawy, na etapie doboru jej uczestników. Jeżeli więc kilkanaście następnych wypraw, którymi kierowałem, alpinistycznych czy naukowych, zawsze realizowały zasadniczy cel, a ja nie mam na sumieniu niczyjego życia czy zdrowia, to w jakimś procencie jest to skutek tych dyskusji w Værenhusie. W naszych rozmowach przewijał się też motyw udziału kobiet w wyprawach. W środowisku alpinistycznym dominował pogląd, że udział kobiet w wyprawach raczej je dezintegruje, zwiększa pole ewentualnych konfliktów itp. Staszek wypowiedział wtedy opinię, którą dobrze zapamiętałem, stosuje się ona zresztą nie tylko do „kwestii

kobiecej”: problemem nie jest udział kobiety w wyprawie polarnej, ale poziom kultury pozostałych uczestników. O tym, że miał rację przekonałem się później wiele razy. A rok później w tym samym domku, gdzie dyskutowaliśmy o „kwestii kobiecej”, pracowała już Kasia Jankowska-Lucerska z Wrocławia. Motyw kobiecej naszych rozmów miał jeszcze wersję żartobliwą, której patronowała Anulka z rozkładówki pewnego czasopisma. Wymyśliłem mianowicie koncepcję kobiecej wyprawy alpinistycznej pod Raudfjellet, pod moim oczywiście kierownictwem. Takie tematy mogą dzisiaj dziwić, kiedy np. w składzie XXXIII Wyprawy PAN do Hornsundu są trzy kobiety i jedna z nich jest kierownikiem. Ale myśmy gadali trzydzieści osiem lat temu. Te „posiady” przy herbacie trwały długo w noc i szliśmy spać dobrze po północy. A rano owsianka. Tutaj znowu będzie wątek osobisty.

Ktoregoś wieczoru Jurek znalazł w radiu Paryż, śpiewał Georges Brassens. Od dwóch, trzech lat słuchałem go przy każdej okazji, a posiadając język francuski wiedziałem o czym śpiewa. I teraz siedziałem na końcu świata, w najlepszym towarzystwie jakie mogło mi się zdarzyć, przy migotliwym świetle żarówki i słuchałem Brassensa. Śpiewał o Marinette, o dzielnej Margot co karmiła kotka, a cała wieś przychodziła patrzeć, a także o tym, że nie ma szczęśliwej miłości, z czym się zresztą wtedy nie zgadzałem. Ten wieczór, ten nastrój tak we mnie został, że odtąd zawsze kiedy słyszałem Brassensa, wracał ten nastrój, to miejsce. Słucham Brassensa, a w tle słyszę przytłumiony warkot agregatu, widzę pochylonych nad notatkami Staszka i Jurka i ja znowu tam jestem. To drugi objaw „syndromu Værenhusa”.

Był jeszcze wypad pod Raudfjellet. 7-go września, późnym popołudniem popłynęliśmy w trójkę, „mydelniczką” na północ. Wylądowaliśmy na Torellkjegla gdzie rozbiliśmy namiot i spędzili noc. Rano, po śniadaniu (oczywiście owsianka), poszliśmy w kierunku Tanngardmoreny. W jej końcowej części znajdowały się te szczeliny w martwym lodzie, które interesowały Staszka. Oglądał, zrobił zdjęcia i ruszyliśmy, przez moreny na Raudfjellbreen. Lodowcem doszliśmy aż pod wschodnią ścianę Raudfjellet, a potem wyszliśmy śnieżnym stokiem na przełęcz między masywami Raudfjellet i Ökseggi. Stąd widok na wschód na Ziemię Torella, a na zachodzie, tuż przed nami wschodnia ściana i grań Raudfjellet. Patrzyłem na grań i odtwarzałem w myślach drogę samotnego, pierwszego wejścia na szczyt, którego dokonał w 1934 r. Henryk Mogilnicki. Naprawdę, chapeau bas!

Po postoju na przełęczy zeszliśmy stromym stokiem śnieżnym na austre Torellbreen i nim obeszliliśmy masyw od południa, aby po dojściu do Torellmoreny wrócić do miejsca biwaku. Było już dość późno więc szybko zwinęliśmy biwak i odpłynęliśmy. Początkowo groziło nam wiosłowanie do domu, bo silnik nie chciał zapalić, ale na szczęście mieliśmy zapasową „Moskwę”, która dowiozła nas z powrotem. Pamiętam, że była już szarówka, w oddali dostojnie majaczył Hohenlohefjellet (nie wiedziałem wtedy, że spędzę kiedyś w jego cieniu kilka sezonów letnich), a w Hyttevice widać było światło. W domu zastaliśmy Mariana Pulinę, który przyjechał skończyć swoje badania. Ostatnie dwa dni spędziliśmy więc we czwórkę. Marian całe dnie był w terenie, ale znacznie ożywił wieczory swoim humorem, a zwłaszcza parodiowaniem prof. Aleksandra Kosiby, którego

ja zresztą nie znałem. Kunszt Mariana doceniłem pół roku później gdy we Wrocławiu poznałem prof. Kosibę. Ale wszystko co dobre się kiedyś kończy. 11 września odpłynęliśmy dwoma łódkami do Bazy, a tydzień później byliśmy już na pokładzie „Turlejskiego”. Zostawiłem w domku, trochę sentymentalny wpis w pamiątkowym zeszycie i pewnie bym go tutaj zacytował, ale ten pierwszy zeszyt zjadł niedźwiedź.

14 sierpnia 1980 r. siedłem znowu z Bazy do Værenhusa tym razem nie sam, ale w miłym towarzystwie: prof. Zdzisław Czeppe, Wiesia Krawczyk i Boguś Horwath. W Hyttevice spotkaliśmy Jurka Cegłę, Janusza Kidę, Ryśka Czajkowskiego i razem dotarliśmy w środku nocy do celu. Przywitały nas Hania Szczepankiewicz i Magda Jacewicz. Przed przejściem kładki na potoku przystanęliśmy chwilę przy kopczyku poświęconym pamięci Staszka Baranowskiego. Byliśmy w Værenhusie.²

Po siedmiu latach byłem znowu na Spitsbergenie. Tym razem już jako uczestnik wyprawy Uniwersytetu Jagiellońskiego, trzyosobowego rekonesansu pod kierownictwem prof. Czeppego. Przez miesiąc mieszkaliśmy w husie na Palffyodden, razem z czteroosobową grupą geomorfologów z wyprawy centralnej. Naszym celem było przygotowanie od strony merytorycznej i technicznej cyklu wypraw Uniwersytetu, które miały opisać środowisko północno-zachodniego Sørkapp Landu. Ostatni tydzień gościli u nas Leszek Szerszeń i Boguś Horwath z wyprawy Uniwersytetu Wrocławskiego, z Værenhusa. Było ciasno, ale przyjemnie. Wczoraj radziecki helikopter przewiózł nas wszystkich do Bazy. Tam rządził i tworzył nastrój, despotyczny, zakompleksiony kierownik wyprawy centralnej. Więc po przenocowaniu i przygotowaniu bagażu do zabrania przez jesienny statek uciekaliśmy do Værenhusa jak do ziemi obiecanej.

Dużo się zmieniło przez te siedem lat. To już nie był zielony domek, przytulony do moreny. Podwyższony dach, duży wiatrołap przed wejściem zmieniły sylwetkę budynku. W środku zmiany mniej widoczne, ale bardziej odczuwalne, pod tym podwyższonym dachem urządzono wygodną zbiorową sypialnię z wejściem od wewnątrz. Kuchnia przedłużona w głąb zachowała swój dawny charakter. I właśnie tutaj poczułem się jak przed siedmiu laty, trochę u siebie, ale przede wszystkim u gościnnych, życzliwych ludzi. Spędziliśmy tutaj z prof. Czeppem pięć dni. Nasze plany terenowe zniweczyła pogoda, zrobiliśmy tylko wycieczkę do Bratteggdalen, zresztą też we mgle. Właściwie więc mieliśmy tutaj parodniowe wczasy, za które do dzisiaj jestem wdzięczny. Również Profesor zawsze z rozczuleniem wspominał swój pobyt tam, a wspomnienie „robinsonady” na Dunøyenach

2 Kiedy po śmierci Staszka nazwano Stację glaciologiczną Jego imieniem zaczęto też używać potocznego określenia „Baranówka” i „Werenhus. Pamiętam, że w Bazie jeden z życzliwych inaczej, niby z troską tłumaczył, że to nazwa nieszczęśliwa bo Werenhus po norwesku to dom towarowy. Otóż dom towarowy po norwesku to „Varehus”, więc całkiem inna pisownia. Natomiast w języku norweskim „baran” to „væren” z tą pogańską literą „æ”, a zbitka słowna „Værenhus” oddaje dość dobrze znaczenie nazwy „Baranówka”. Powszechnie używaną formę „Werenhus” można uznać za spolszczenie, ale oświadczyć optowałbym za pisownią przez „V”.

zawsze poprawiało mu humor. Któregoś dnia Rysiek, Hania, Boguś i Profesor właśnie, popłynęli na Dunøyane. Po dopłynięciu wyciągnęli łódkę poszli na wycieczkę po wyspie. Kiedy wrócili łódki, z dwoma silnikami, nie było, przyплыw zabrał ją w siną dal. Rozpalili więc ognisko i czekali na pomoc. Po kilku godzinach, po sprawdzeniu przez radiotelefon, że nie ma ich w Hyttevice, poszedł tam Janusz i z obozującymi tam gdańszczanami popłynął na poszukiwania i wkrótce „odnaleźli Robinsonów”.

Może to wydać się dziwne, ale atmosfera, mimo że mniej kameralna, była podobna jak siedem lat temu. Przede wszystkim pracowitość, obserwacje, wyjścia w teren no i ciągle prace przy ulepszaniu domu oraz codzienne czynności gospodarskie, przy tej ilości osób przecież też absorbujące. Były też oczywiście wieczorne, a właściwie nocne „posiady”. Ale już tematy rozmów były zupełnie inne. „Kwestia kobieca” już nie istniała, a obecność Hani, Magdy i Wiesi dowodziła, że Staszek miał rację. Mówiliśmy więc głównie o potrzebie i sposobach uzdrowienia sytuacji w polskiej polarystyce, bo każdemu kto popatrzył na to co działo się w Bazie nasuwała się taka konieczność. Drugim przewijającym się tematem była sytuacja w kraju, o której sygnały już dochodziły i zastanawialiśmy się w jakim kierunku to pójdzie. Słuchaliśmy więc radia, głównie reżymowej jedyńki, dość dobrze tu odbieranej w nocy. Tutaj ponownie będzie wątek osobisty.

Któregoś późnego wieczoru siedziałem przy oknie, pod półką z radiem, przysłuchując się rozmowie. Wtem z radia popłynęły słowa piosenki: „Jeszcze się żagiel bieli/chłopców, którzy odpłynęli/bo męska rzecz być daleko/a kobieta wiernie czeka” itd. Oniemiałem. Z jednej strony kicz absolutny, kicz podręcznikowy. A z drugiej strony za oknem szary krajobraz, zasnuty mgłami, i my chłopcy, którzy tutaj przyплыnęli. Zacząłem się śmiać – jak łatwo można zostać podmiotem kiczu. Niemniej jednak od tamtego czasu, kiedy słyszę jak Alicja Majewska śpiewa tę piosenkę pojawia się ten ponuro-piękny krajobraz za oknem Værenhusa i słyszę gwar przy stole. I to jest trzeci objaw mojego syndromu Værenhusa.

21 sierpnia poszliśmy do Bazy, a następnego dnia helikopteryabrały nas do Barentsburga. Lecieliśmy wzdłuż brzegu, nad Hytteviką i Værenhusem, z dołu machali nam przyjaciele.

W następnych latach prawie co roku byłem w Værenhusie, ale były to już tylko krótkie, jednodniowe odwiedziny, dwa czy trzy razy z biwakiem nie planowanym. W 1991 r. popłynęliśmy z Marcinem Węslawskim i Michałem Skakujem do Hytteviki i poszliśmy do Værenhusa. Tego roku nikt tam nie mieszkał, dom był dobrze zabezpieczony, ale czuć było wilgoć i pustkę. To była moja ostatnia wizyta w Værenhusie. Niestety.

Mój syndrom Værenhusa to objawy jednej z moich wielu chorób, tylko z zachorowań polarnych mógłbym wymienić syndrom Palffyodden czy syndrom Bastionbreen. Czy nie powinienem się leczyć? Ale po pierwsze to są objawy choroby nieuleczalnej, a po drugie chyba mi z nimi dobrze.

Żarty, żartami, ale jest faktem, że udało się wrocławiakom stworzyć miejsce specyficzne. Stworzyć czyli wybudować dom i tchnąć w niego ducha pracowitości,

gościnności, życzliwości, a i humoru. Może, przez Wrocław, przenieśli tu jakieś lwowskie geny czy fluidy? Może to duch ojca założyciela czuwa nad tym miejscem? Bo każdy, kto choć krótko był w Værenhusie przyzna, że jest to miejsce wyjątkowe pod względem panującej tu atmosfery. Nawet gdy nie ma wrocławiaków i gospodarzy tu ktoś inny, to i tak zachowuje się jakby był ze Lwowa. To naprawdę nie są okazjonalne komplementy z powodu pięknego jubileuszu – jako historyk napisałbym to samo, używając może tylko bardziej uczonych słów.³

3 W tych moich wspomnieniach używam głównie imion, nie robię tego z nadmiernej poufałości, ale z powodu pamiętanej przyjaźni.

Wiesław Ziaja

Moje wspomnienia z Baranówki

Nie zamierzałem pisemnie wspominać pobytów w Stacji Naukowej Uniwersytetu Wrocławskiego im. Stanisława Baranowskiego na Spitsbergenie, ponieważ odwiedziłem ją zaledwie trzy razy, jadąc na Sørkappland albo wracając, i nie prowadziłem tam żadnych badań. Tylu innych kolegów jest znacznie mocniej związanych z tą stacją – tak mocno, jak na przykład ja z chatą przy Palffyodden – więc wydało mi się niewłaściwe zgłaszanie do publicznej wiadomości fragmentów mojej pamięci.

Gdy jednak napisał do mnie Krzysztof Migala z prośbą o tekst – wzruszyłem się, że o mnie pamięta. To On, z Mietkiem Sobikiem, zaprosił mnie tam po raz pierwszy w zamierzchłej przeszłości. Przypomniałem sobie, że właśnie od Nich otrzymałem pierwsze – i bardzo dobre – wyjaśnienia w terenie na temat środowiska i krajobrazu polarnego, czym zajmowałem się przez resztę życia.

W biegu codzienności rzadko uświadamiamy sobie, jak ważni są ludzie, których – na pozór przypadkowo – spotykamy, a przecież żyje się raz i od nich zależy jakość naszego życia.

W Werenhusie za każdym razem czułem się świetnie. Na początku lata 1982 roku może dlatego, że właśnie tam znalazłem się po raz pierwszy w prawdziwej arktycznej głuszy – wcześniej niż na Sørkapplandzie (który, co prawda, jest o wiele bardziej niedostępny). A w dwóch następnych sezonach pod koniec lata, kiedy byłem już zrelaksowany po zakończeniu badań na Sørkapplandzie, mogłem na luzie rozkoszować się dziką Arktyką przed wyjazdem nie słysząc generatora elektryczności, jak w bazie nad Isbjørnhamna, którego (koszmarnie głośny wówczas) dźwięk sprawiał, że po jednym dniu pobytu miałem dosyć tak pięknej okolicy (w rzadkich chwilach bezwietrznej pogody zdarzało mi się słyszeć ten generator po południowej stronie fiordu). Jednak myślę, że najważniejsi byli ludzie. W Werenhusie lubili spędzać czas ci zafascynowani Arktyką i w ogóle przygodą geograficzną. Raczej omijali Werenhus ci, którzy cenili sobie hotelowy komfort bazy Instytutu Geofizyki PAN.

Nie umiem dobrze wyrażać uczuć, a pobyty w Werenhusie mają dla mnie znaczenie głównie uczuciowe. Dlatego sięgnąłem do notatek z tamtych dni. Nie podobają mi się dziś, bo są zbyt zwięzłe, ale zachowałem oryginalną formę (poza objaśnieniami nazwisk w nawiasach kwadratowych). Wtedy wydawało mi się, że jak zapiszę główne czynności, to resztę zapamiętam. Na szczęście zapisałem, kogo spotkałem i z kim przebywałem spośród moich gospodarzy, przewodników i towarzyszy wędrówek. Nie wszystko zapisałem i nie wszystko zapamiętałem.

Przypominam sobie jednak, że w roku 1983 była uroczysta atmosfera w związku z piątą rocznicą śmierci Stanisława Baranowskiego. Wtedy też spotkaliśmy się – nie pamiętam już, czy w domu, czy koło domu – z rosyjskimi przyjaciółmi: Natalią Goworuchą, Saszą Tebienkowem i ich radiotelegrafistą (mieli biwak nad morzem).

Niech te wspomnienia – jeśli Redakcja zdecyduje się je wydać – będą wyrazem mojej wdzięczności dla wszystkich, których wymieniam (i których może zapomniałem wymienić), a zwłaszcza dla Gospodarzy Werenhusa i Przewodników, którzy mnie tam doprowadzali.

Pierwszy raz

30 czerwca 1982, środa

Po śniadaniu zadzwonił z Werenhusa (na przedpolu Lodowca Werenskiölda) Krzysiek Migala z zaproszeniem, aby przyszedł jakiś geomorfolog lub sedymentolog z grupy krakowskiej, bo jest interesująca odkrywka. Adam [Krawczyk] postanowił wysłać Marka [Wendorffa] i mnie. Poszliśmy razem z Jackiem [Jezierskim] i Sławkiem [Kwaśniewskim], którzy udawali się nad zatokę Hyttevika w celu pobrania próbek z morza. Szliśmy w gęstej mgle i mżawce, po około 4 godzinach znaleźliśmy się w małej, jednoizbowej chacie nad zatoką nazwaną od niej. Zjedliśmy coś i popłynęliśmy z chłopcami na zatokę, około 1 km od brzegu. Obydwaj są doskonałymi ornitologami i co chwila podawali nam nazwy i informacje o przelatujących lub pływających ptakach. Po powrocie, przed godziną 20.00 udaliśmy się do Werenhusa razem z Jackiem. Po drodze obejrzelśmy znalezione przez Jacka gniazdo wydryka z dwoma zielonymi nakrapianymi jajami wielkości kurzych. Przed 21.00 przybyliśmy do Werenhusa serdecznie witani przez Krzysia [Migalę] i Mietka [Sobika]. Podczas kolacji i długo po niej rozmawialiśmy, głównie o sytuacji w kraju (stan wojenny), zaspokajając ciekawość gospodarzy. Wzięliśmy też prysznic z pomysłowego urządzenia.

1 lipca 1982, czwartek

Wstaliśmy dość późno (ok. 10.00) i zabraliśmy się do śniadania przygotowanego wcześniej przez gospodarzy. Wtedy też dobrze przypatrzyliśmy się domkowi zbudowanemu ok. 1971 roku przez Stanisława Baranowskiego (stąd nazwa) u stóp moreny bocznej lodowca, nad potokiem odprowadzającym wodę z Brattegdalen. Domek „mały, ale cały” – można by rzec – na kilkudziesięciu metrach kwadratowych kuchnia, sypialnia, pokój do pracy, kabina na prysznic, ustęp i strych. Większość dnia poświęciliśmy na oglądanie Lodowca Werenskiölda i jego przedpola: różne rodzaje moreny dennej, morena środkowa, zagłębienia wytopiskowe, jezioro, wał moreny czołowej, lód w tych wszystkich wałach lodowo-morenowych, sandry starsze i młodsze, osuwiska na lodzie w wale morenowym i na koniec odkrywka, dla obejrzenia której przyszliśmy tutaj. Odkrywka ta, na terasie

morskiej, zainteresowała Marka, który z Krzysiem zatrzymał się przy niej dłużej. Ja jednak udałem się do domku, bo przemarzęm już i zmokłem. Niestety, pogoda przez cały dzień fatalna (z mżawką).

2 lipca 1982, piątek

Wstaliśmy bardzo późno, dopiero po 11.00. Pogoda wreszcie dobra – pochmurno, ale bez mgły i mżawki. Około 13.00 wyszliśmy w teren. Marek do wczorajszej odkrywki pobrać próby, a ja do Brattegdalen. Mimo wyspania się, nie mam ochoty na szybki marsz. Posuwam się wolno, co chwilę siadając na kamieniu i kontemplując urodę Arktyki. Z pierwszego wału (rygla) przegradzającego dolinę widać po lewej stronie niebieskie morze upstrzone białymi grzywami fal i ciemnoszarymi smugami Wysp Puchowych. Dalej na prawo rozciąga się ogromny, biały, lśniący i cichy – jak gdyby nie pokazujący swej siły – Lodowiec Torella. Na nim smuga moreny środkowej, nad nim wysokie szczyty, których ciemne bezśnieżne fragmenty kontrastują z lodowcami i ośnieżonymi partiami stoków. Najbardziej na prawo i najbliżej – przedpole Lodowca Werenskiölda, które zwiedzaliśmy wczoraj. Za plecami – Brattegdalen, bardzo interesująca dolina, poprzedzielana wałami morenowym lub ryglami skalnymi (trudno na pierwszy rzut oka ocenić dokładniej), z jeziorkami (mówią, że jest ich 11) spiętrzonymi przez te formy i małym lodowcem w najwyższej części. Niestety, muszę wracać po okrążeniu pierwszego jeziora, bo umówiliśmy się na wyjście do Hytteviki około 17.00. Wychodzimy o 18.00, serdecznie żegnani przez chłopców, którzy na koniec urządzają strzelanie z dubeltówki do puszek (wygrywa Marek trafiając 1 raz). Z Hytteviki wypływamy po 20.00. Płyniemy wolno, bo mamy słaby silnik. Bardzo ciekawie wygląda z morza trasa, którą przeszliśmy przedwczoraj: równina nadmorska, a za nią pasma górskie. W połowie drogi wysiada silnik. Jacek naprawia go jakoś. W bazie około 22.30. Nie ma tu już Adama [Krawczyka], Michała [Parczewskiego] i Jasia [Chochorowskiego], którzy popłynęli na Palffyodden. My mamy płynąć jutro. Wyładowujemy łódź, jemy kolację, myjemy się i idziemy spać.

Drugi raz

27 sierpnia 1983, sobota

W związku z niemiłą atmosferą w bazie, bardzo chętnie wychodzimy (po śniadaniu, na które zaprosiła nas Ela Janiowa) o 11.30 do Hytteviki. Kazek [Pękała], Asia [Pociask-Karteczka] i ja. Piękna pogoda – słonecznie i bezwietrznie. Trasa – po lodowcach – przez Hansbreen, Tuvbreen, Kosibapasset, Werenskiöldbreen. Kazek ze swoim metalowym „kijaszkim” (miernikiem). Wiążemy się liną – Kazek pierwszy, Asia za nim, ja na końcu. W jednym miejscu Kazek mierzy „kijaszkim” głębokość śniegu i okazuje się, że jesteśmy (a przynajmniej on jest) na moście śnieżnym nad szczeliną. Natychmiast kładzie się, by rozłożyć ciężar na większą

powierzchnię. Asia odwraca się do mnie podniecona przygodą (mówi „Patrz na niego. Ale fajowo! ”). Ostrożnie przechodzimy. Kazek zdenerwowany, że Asia na takim luzie w obliczu realnego zagrożenia – rzuca cierpką uwagę. Mijamy „domek Kosiby”. W Werenhusie serdecznie przyjmują nas Jacek Piasecki (z Wrocławia), Janusz Karkoszka, Wiesia Krawczyk i Piotrek [nie zapisałem nazwiska, więc musiałem go poznać wcześniej, ale dziś nie pamiętam, który to był].

28 sierpnia 1983, niedziela

Wstajemy o 13.00. Potem przybywa reszta naszej wyprawy. Idziemy do Hytteviki. Stamtąd łodziami na Wyspy Puchowe. Bardzo interesująca wycieczka (na dwie wyspy). Maksimum odpływu, płytkie laguny, szkiery. Ślady domów na wyspie północnej, grób na wyspie południowej.

29 sierpnia 1983, poniedziałek

Powrót do Werenhusa. Spać o 2.00. Wstajemy o 10.00. Wychodzimy o 11.30 we dwóch z Kazkiem. Piękna pogoda – słonecznie i prawie bezwietrznie. Dobrze nam się idzie i rozmawia. Po drodze Hyttevika, Rusepynten (robię zdjęcia dla Adama), wylot Revdalen. W bazie przepakowywanie i krzątanie przedwyjazdowa. U Michała Ziemiańskiego zostawiam 4 pary butów skórzanych dla naszej wyprawy na rok następny (w jego pokoju dla ochrony przed pleśnią). Przed północą wypływamy na wycieczkę pod Gnolla.

Trzeci raz

1 września 1984, sobota

O 10.20 wychodzimy z Leszkiem [Kolondrą] do Werenhusa: Revdalen – pod Gangpasset – i na najwyższą przełęcz nad Brattegdalen. Stamtąd spuszcza się w dół po lodowczyku. Na 18.00 w Werenhusie. Między 21.00 a 22.00 schodzą się chłopcy z naszej wyprawy: dwóch Piotrków [Gębica i Libelt] oraz Antek [Dobija]. Spać koło północy.

2 września 1984, niedziela

Wstaję około 9.00. Po 10.00 wychodzę przez równinę sandrową do strefy marginalnej Nannbreen. Wychodzę na morenę, aby mieć wgląd w Tonedalen. Wracając dochodzę prawie do Vimsodden. Po krótkim odpoczynku wychodzimy z Leszkiem z Werenhusa o 16.20. Przed 21.00 jesteśmy w bazie. Byli tu Holendrzy. Ich statek „Plancius” stoi w Isbjørnhamna.

Na koniec wyrażam nadzieję, że w najbliższych latach odwiedzę Werenhus po raz czwarty.

Krzysztof Migala

Trzynastego grudnia 1981 w Verenusie

Marzenia czasem spełniają się, chociaż okoliczności ich realizacji bywają zaskakujące, czasami trudne a nawet dramatyczne. Tak było, kiedy w lipcu 1981 statek Polskiego Ratownictwa Okrętowego „Perkun” zrzucił kotwicę w fiordzie Hornsund, aby zostawić na lądzie grupę zimowników kolejnej, IV Wyprawy PAN na Spitsbergen. Wśród wybrańców, którzy mieli spędzić tam rok znaleźliśmy się obaj z moim kolegą „zza biurka” Mietkiem Sobikiem. Byliśmy tymi „od prof. Jahna”, chociaż to pod kierunkiem Stanisława Baranowskiego, który zmarł w 1979 roku, pisaliśmy 3–4 lata wcześniej swe prace magisterskie.

Przywitanie ze Spitsbergenem miało magiczną oprawę, gdyż na wody przybrzeżne statek wpłynął w kompletnej mgle. Przy muzyce tworzonej z łańcucha opuszczanej do wody kotwicy, powoli, jak kurtyna w teatrze, mgła zaczęła opadać odsłaniając tym samym czoło Lodowca Hansa. Jako nowi zimownicy tworzyliśmy wyjątkowo dziwną a zarazem znakomitą grupę. Dziwną, bo złożoną w połowie z wolontariuszy i znakomitą, bo tworzoną przez ludzi o dużej różnicy wieku, o przeróżnym doświadczeniu i dużych dawkach pozytywnych emocji.

Dla nas, Wrocławiaków, najważniejszym celem działań był Lodowiec Wrenskiolda i program badań klimatologiczno-glaciologicznych. Pod kierunkiem Mietka, który już wcześniej zdobył doświadczenie na jednej z letnich wypraw, zorganizowaliśmy sieć naszych pomiarów. Nasze punkty pomiarowe rozciągały się od ogródka meteorologicznego na wale morenowym tuż przy Verenusie, poprzez morenę denną, aż po punkt w strefie akumulacyjnej lodowca, znany jako „obóz Kosiby” założony w 1957 roku. Było więc co robić i nie narzekaliśmy na nudę. Dla kolegów, których główne obowiązki związane były z obserwacjami prowadzonymi w Stacji PAN nasze prace terenowe i pobyt w Verenusie stały się formą rekreacji i odskocznią od specyfiki życia w izolacji. Głównym kompanem naszych wędrówek okazał się sejsmolog Zygmunt Weydman, nie bez przyczyny nazywany przez nas „dziadkiem”. „Dziadek” miał 56 lat, nosił siwą nobliwą bródkę, uwielbiał brydża i narciarstwo. Z racji wieku i swojej życiowej mądrości, w wielu sprawach bywał dla nas autorytetem. Szybko zaprzyjaźniliśmy się a on sam niecierpliwie zawsze wyczekiwał chwili, aby powędrować z nami do Verenusu.

Kiedy nastała noc polarna, prace terenowe ograniczyliśmy do wykonywania pomiarów jeden raz w miesiącu. W grudniu zbliżał się termin kolejnej eskapady i Mietek słusznie zaproponował, aby wykorzystać pełnię Księżyca, która akurat przypadała na jedenastego grudnia. Tak też zrobiliśmy, gdyż nastała mroźna wyżowa pogoda. Temperatura spadła do minus 20°C, było bezwietrznie a przy bez-

chmurnym niebie Księżyc oświeślał grzbiety górskie odległe o 30–40 km. Wymarzona pogoda. Do Verenhusa wyruszyliśmy 12 grudnia wieczorem. Trasa wiodła Lodowcem Hansa, potem Lodowcem Tuv. Było pogodnie i cicho, śnieg skrzypiał pod nartami, więc wędrowaliśmy niespiesznie, radując się znakomitymi warunkami. Z Przełęczy Kosiby sprawnie zjechaliśmy na Lodowiec Werenskiolda, gdzie dotarliśmy do pierwszego na naszej trasie punktu pomiarowego, jakim był „obóz Kosiby”. Stamtąd, po zmianie paska w termohigrografie, czyszczeniu przyrządu i drobnych pomiarach towarzyszących ruszyliśmy w dół lodowca, gdzie należało pomierzyć grubość pokrywy śnieżnej oraz obsłużyć dwa inne termohigrografy.

Do naszej chaty pod Werenskioldem dotarliśmy ok. 5 rano. Byliśmy w dobrych nastrojach, zwłaszcza, że każdy lubi moment, w którym można zdjąć plecak i pomyśleć, że za chwilę zapali się w piecu, weźmie się w dłonie wielki kubek świeżej gorącej herbaty i zasiądzie przy stole, aby leniwie pogwarzyć. Uwielbiałem te chwile zwłaszcza, kiedy obaj we wrześniu i październiku mieszkaliśmy tu sami i mogliśmy do woli posłuchać „jedyńki” Polskiego Radia. Czuliśmy wtedy, że jesteśmy blisko domu. A było to możliwe dzięki odbiornikowi radiowemu marki „Nina” i specjalnej antenie, którą był 20 metrowy kawałek przewodu elektrycznego, niedbale rzucony na wale moreny lodowca. Często wiadomości docierały do nas szybciej. Pod względem jakości odbioru mieliśmy przewagę nad Stacją PAN, gdzie był zainstalowany profesjonalny system z anteną poziomą o długości 300m. Radia tam nie dało się słuchać a łączność z krajem odbywała się dwa razy w tygodniu i utrzymywano ją poprzez radiowe centrum odbiorcze dla marynarzy (Gdynia-Radio).

W ten wczesny, niedzielny „ranek” zasiedliśmy przy stole z kubkami upragnionej herbaty i ktoś z nas włączył radio „Nina”. Przypadkiem było tuż przed godziną 6:00. Z głośnika rozległ się ponury głos Generała Jaruzelskiego „...*Obywatelki i obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej!* ...”. Z początku nie przysłuchiwaaliśmy się. Ale zaraz, zaraz, przecież jest niedziela, wcześniej rano, a tu generał? O czym on mówi? Co się dzieje?. Wyjeżdżaliśmy z kraju, który przeżywał początki wolności, wydawało się, że teraz to może iść jedynie ku lepszemu! A tu takie wieści! Noc polarna, za oknem białe niedźwiedzie a do domu, do pozostawionych bliskich 3500 km dystansu. Tak naprawdę, w tym momencie jedynie nasz starszy kompan wyprawy „Dziadek” zrozumiał całą sytuację. Nic dziwnego, kiedy Polska znalazła się pod niemiecką okupacją był już 14 letnim chłopcem a stalinizm musiał przeżywać jako dojrzały człowiek.

Włączamy nadajnik UKF aby połączyć się ze Stacją PAN i przekazać kolegom usłyszane dramatyczne wiadomości. Po dłuższej chwili odzywa się ktoś, kto pełnił tzw. nocny dyżur. Któryś z nas próbuje wyjaśnić co się stało, ale odniosłem wrażenie, że ten ktoś nie rozumie o czym mówimy. Nie ma co w tych warunkach kontestować całej sytuacji. Postanawiamy jak najszybciej wrócić do Stacji PAN, aby wspólnie z pozostałymi kolegami zastanowić się nad losami wyprawy i nie tylko...

Do bazy wróciliśmy wybrzeżem, łączność z krajem była odcięta, atmosfera wśród załogi nienajlepsza. Kilka dni później, mimo głębokiej nocy polarnej, promykiem nadziei była wizyta Gubernatora Svalbardu. Sysselman przybył zaofiarować pomoc i opiekę w przypadku emigracji. Zapewnił nas, że reżim sowiecki do naszej stacji nie wkroczy. Mimo różnych perturbacji i wydarzeń, jakie miały miejsce podczas tego zimowania reżim nie wkroczył. Stację PAN i Verenhusa odwiedził Stanisław Siedlecki, na Półwyspie Wilczka postawiliśmy krzyż, dwie osoby skorzystały z pomocy Gubernatora i nie wróciły do kraju, my natomiast wróciliśmy do naszych bliskich. Niestrudzony „Dziadek” Zygmunt przez wiele lat przyjeżdżał na narty w Karkonosze, gdzie spotykaliśmy się w Obserwatorium na Szrenicy. Tam, po kilkunastu latach któregoś razu wyciągnął z plecaka butelkę słynnej norweskiej „okowity”, którą w 1981 roku dostał od pozostałych zimowników w nagrodę, za to, że wypatrzył pierwszego niedźwiedzia na naszej wyprawie.

Stanisław Misztal

Jaskiniowcy czyli glacijspeleolodzy w Værenhusie

Pamięci Profesora Mariana Puliny

Wielki to zaszczyt, że w moich wspomnieniach mogę przywołać znakomitych wrocławskich polarników. Przypadek lub inny dobry bieg zdarzeń umożliwił w sezonie letnim 1979 roku wyjazd pięcioosobowej grupy grotolazów na Spitsbergen z Zagłębiowskiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego w składzie: Aleksander Chruściel (Alek), Bolesław Janusz Kapuściński (Bolex), Stanisław Misztal (Hwiej) – kierownik grupy, Jerzy Sławiński (Bodek) i Jerzy Zygmunt (Imon). Inicjatorem i opiekunem naukowym wyprawy był kierownik II Wyprawy Polarnej PAN, wywodzący się z Wrocławia Marian Pulina, wówczas szef katedry Geomorfologii Krasu Uniwersytetu Śląskiego. Marian był wybitną, nie tylko naukową, osobowością we Wrocławskim Klubie Grotolazów. Weterani jaskiniowcy zapewne pamiętają układane przyszybeki o M. Pulinie. On również otwiera galerię grotolazów prowadzących wyprawy PAN. Ponieważ wszyscy, w mniej lub bardziej intensywny sposób, interesowali się Værehusem, przypomnę więc ich nazwiska: Jacek Bednarek (3), Jerzy Giżejowski (2), Piotr Głowacki, Andrzej Kozik, Stanisław Misztal (2), Marian Pulina i Stanisław Rudowski. Na dotychczasowe 33 Wyprawy Polarne do Hornsundu, jedenastoma kierowali jaskiniowcy. Muszę zaznaczyć, że o niektórych szefach mogę nie mieć pełnych informacji.

W II Wyprawie Polarnej PAN, oprócz Mariana byli również wrocławiaczy: Jerzy Pereyma i Jan Szymański. Cała trójka opowiadała nam o historii Værenhusa i patronie Stacji Uniwersytetu Wrocławskiego Stanisławie Baranowskim. Słuchaliśmy i chłoniliśmy o wydarzeniach i osobach związanych z budową, pracą i przygodami w dolinie Brattegg, na lodowcu Werenskiold, czy na rzece Lodowcowej. Po raz pierwszy byliśmy na Spitsbergenie, więc była to dla nas bardzo przydatna wiedza, przekazywana bezpośrednio w terenie, w koleżeńskej atmosferze, a co najważniejsze, nie odczuwaliśmy, że mamy do czynienia z doświadczonymi polarnikami. Nastawieni bardzo pozytywnie chcieliśmy wreszcie zobaczyć na własne oczy ten opisywany barwnie hus i jego otoczenie.

W 1979 r. nad Zatoką Białego Niedźwiedzia trwała rozbudowa Stacji PAN. Związani dzentelmeńską umową z Marianem, pomagaliśmy w miarę potrzeb i możliwości na budowie czy w terenie. I doczekaliśmy dnia, gdy uzyskujemy zgodę szefa na zaplanowaną, własną działalność terenową. Z rekomendacją kierownika VI Wyprawy Uniwersytetu Wrocławskiego Jurka Pereymy udajemy się do Baranówki. A tam witają nas serdecznie: Heniek Chmał, Andrzej Karkowski, Janusz Chachaj, Krzysiek Szelest, Janusz Kida i Mietek Sobik.

Wyjazd miał charakter rekonesansowy. Współpracując i korzystając z pomocy członków II Wyprawy Polarnej PAN i VI Uniwersytetu Wrocławskiego grotolazi mieli możliwość poznania terenu od Hornsundu do Bellsundu.

Ciekawe i zachęcające obserwacje dają impuls do organizacji kolejnej wyprawy eksploracyjnej grotolazów w 1981 r., firmowanej przez Częstochowski Klub Wysokogórski. Uczestniczą w niej Jerzy Zygmunt – kierownik, Waław Bogacki, Adam Kieres, Andrzej Pietrzyk oraz Grzegorz Gabryś i Aleksander Górski (funkcyjni odpowiedzialni za transport wodny). Za cel przyjęto badania glacijspeleologiczne lodowca Werenskiold. Natomiast od 31 lipca 1981 roku bazą wyprawy, podobnie jak w 1979 roku, był Værenhus.

Grupa została tradycyjnie przyjęta bardzo gościnnie przez naukowców VIII Wyprawy Polarnej Uniwersytetu Wrocławskiego, Henryka Chmala, Mieczysława Sobika, Krzysztofa Migalę i Tadeusza Brysia – wrocławskiego grotolaza. Zaowocowało to ścisłą współpracą w czasie akcji terenowych.

Wstępny okres działalności polegał na powierzchniowej penetracji lodowca Werenskiold. Dzięki pomocy wrocławskich przyjaciół oznakowano około 25 studni do eksploracji jesienią, w zasadzie przy ujemnych temperaturach, gdy przestają płynąć powierzchniowe strumienie. Oczekując na odpowiednie warunki, drugą połowę sierpnia grupa poświęciła na poznanie okolic fiordu Hornsund. Uczestnicy przechodzą lodowce Werenskiold, Hans i Paierl. Szczególnie ten ostatni dostarcza wielu emocji. Silne uszczelnienie powoduje, że jest trudny i niebezpieczny. Innym terenem penetrowanym przez uczestników był lodowiec Torell, okolice moreny środkowej do eksploracji jaskiń oraz jako obiekt wspinaczkowy Raudfiellet (1014). Niestety, aura zmusiła wszystkich do szybkiego powrotu łódkami przez wzburzone morze do bezpiecznego Værenhusa.

Wyjątkowo nietypowe warunki meteo w pierwszej dekadzie września uniemożliwiały intensywną działalność eksploracyjną na lodowcu Werenskiold. Wiał fen oraz padał deszcz. Do natrasowanych studni wpływały potoki. Dopiero w połowie września grotolazi mogli przystąpić do eksploracji.

W ostatnich dniach lipca 1983 r., speleolodzy pojawili się w Værenhusie uczestnicząc w V Wyprawie Polarnej Uniwersytetu Śląskiego prowadzonej przez Marianę Pulinę, w składzie: Jacek Jania, Elżbieta Bukowska-Jania, Piotr Głowacki, Leszek Kolondra, Wiesław Krawczyk – wszyscy z UŚ; Stanisław Miszał, Bolesław Janusz Kapuściński, Bolesław Walawski – grotolazi z Sekcji Alpinizmu i Speleologii Klubu Górskiego PTTK w Szczyrku oraz Janusz Karkoszka – redaktor katowickiej Trybuny Robotniczej.

Do Baranówki wprowadzili nas gospodarze z Uniwersytetu Wrocławskiego: Jerzy Pereyma i Jacek Piasecki. Przed nami w husie mieszkało ośmiu studentów geologii z krakowskiej AGH. Zanim wyprowadzili się do Hytteviki, przez jedną noc spało nas siedemnaście osób. Możliwe to było dzięki przebudowie w 1979 roku i urządzeniu sypialni na strychu.

Na lodowcu Werenskiold dokonano przejścia dwóch studni. W Skilryggaven grotolazi zjechali na głębokość 85 m, stwierdzając, że studnia ta jest jeszcze głębsza. Pomiary dokonano do 95 metrów. W porównaniu z jaskiniami krasowymi to niewielkie głębokości, lecz wówczas tak daleko pod powierzchnię lodowca nikt nie wchodził. Na tym samym lodowcu grupa weszła do części wylotowej jaskini Kvisla. Spenetrowano 80 metrów korytarza od wypływu rzeki.

Prowadzono także eksplorację na lodowcu Torell. W wielkim kolektorze Wschodniego Torella wstępnie zbadano wypływ głównej rzeki lodowcowej. W czasie wyprawy B. J. Kapuściński zrealizował film *Zimny ląd*.

Uczestnicząc w VIII Wyprawie Polarnej PAN 1985–86 i mając program przygotowany przez prof. Mariana Pulinę do obserwacji glaciologicznych na lodowcach Hans i Werenskiold, mieliśmy stałą bazę wysuniętą w Værenhusie.

Z wielu pobytów najbardziej utkwił mi w pamięci okres świąteczny i noworoczny. W towarzystwie Bolka J. Kapuścińskiego i Zbyszka Toporowskiego spędziłem niezapomniane chwile w dolinie Brattegg.

Dopiero po dwunastu latach znów znalazłem się w gościnnym husie. W 1998 roku pojechaliśmy na Spitsbergen w jaskiniowym składzie: Imon (Jurek Zygmunt – Speleoklub Częstochowa), Adaško (Adam Małachowski – Speleoklub Katowice) i Hwiej (Speleoklub „Aven” Sosnowiec). Uzgodniliśmy z Jurkiem Pereymą, że będziemy mogli korzystać z Baranówki w czasie naszej działalności terenowej. Na sezon letni hus rezerwował również Josef Řehak (Pepa), lecz my zjawiliśmy się w ostatnich dniach sierpnia i po przepakowaniu popłynęliśmy na trzy tygodnie pod Raudfiellet, gdzie założyliśmy bazę wypadową. Nasz powrót 21 września przypadł na wyjazd Czechów i nie było konfliktu, a przeciwnie, pomagaliśmy sobie wzajemnie, zgodnie z regułą jaskiniowców. Pożegnaliśmy Czechów w miarę wystawną kolacją, ku zadowoleniu wszystkich uczestników. Bardzo owocna działalność jaskiniowa Czechów jest opisana w różnych periodykach jaskiniowych. Przystawiana też była na Sympozjach Polarnych i Szkołach Speleologicznych.

Pepa wychodząc prosił o położenie nowej papy na dach agregatorni, co chętnie w ramach współpracy zrobiliśmy.

Po transporcie sprzętu z Hytteviki i zagospodarowaniu się, pod koniec września robimy obchód lodowca Werenskiold. Przy chatce Kosiby, niestety, lodowiec odkrył dużo śmieci. Pod Slynngfiellet, a dokładniej pod Glasjologknausen są dwie studnie dające możliwość eksploracji. Utrzymują się od dawna, ponieważ oglądaliśmy je w 1983 r., a do jednej z nich zjeżdżałem w 1986 r. Na morenie przy kamieniu znajdujemy szpadel i tyczkę geodezyjną oraz nasze miejsce pod namiot z ułożonych kamieni z 1983 r. Piętnaście lat mięło. Dużo wspomnień. Zeszliśmy też do wypływu Kvisli, a później do wywierzyska Duszana, które okazało się suche. Przed miesiącem chodziliśmy tu z Marianem Puliną i mnóstwo wody płynęło.

W końcu września idziemy do Slynngaven. Po założeniu stanowiska do studni zjeżdża Adam. Na 40 m zaczął wkręcać śrubę przelotową. Nagle usłyszeliśmy potężny huk. Imon pyta – co tam na dole. Adam coś tam mruknął. To znaczy, że nic

się nie stało. Po zjeździe na 45 m – wyszedł. I teraz okazało się co przeżył. Opowiada, że huk był straszny. Łód przesunął się na niego z wielkim hukiem o 1 cm. A co by się stało, gdyby przesunął się o więcej. Uspokajamy go mówiąc, że każdy z nas już to przeżył. Adam jednak był bardzo poruszony.

Dwa dni później ponownie działamy w Slingaven. Zjeżdżają Adam z Imonem, który filmuje i fotografuje akcję. Zeszli na głębokość około 50 m, gdzie studnia zwięża się do szczeliny i jest zapełniona wodą.

W pierwszej dekadzie października, wykorzystując przerwy w załamaniu pogody, zrobiliśmy wejścia fotograficzne i filmowe do suchego ciągu wypływu Kvisli, a także do suchego w tym czasie wywierzyska Duszana.

Z żalem żegnamy się z Værenhusen. Przenosimy się do gościnnej Stacji Polarnej PAN. W towarzystwie i z pomocą wszystkich ówczesnych zimowników eksplorujemy jaskinie lodowcowe na lodowcu Hans. Rezultatem wyjazdu jest m. in. film Jurka Zygmunta *Polarne lody*.

Nie spodziewałem się, że już w następnym roku zawitam ponownie do Hornsundu i oczywiście do Værenhusa. Profesor Marian Pulina zaproponował mi udział w XXII Wyprawie Polarnej PAN. Mieliśmy również do realizacji program wymagający działalności w terenie. Wśród zimowników był znany i doświadczony grotołaz z Wrocławia, Tadek Bryś. Znamy się od wielu lat. W miarę możliwości chętnie chodziliśmy do Værenhusa i wspominaliśmy historie związane z tym urokliwym miejscem.

Ostatni mój pobyt w Baranówce miał miejsce od 10 do 15 maja 2000 roku razem ze Zbyszkim Wciślakiem. Codziennie wychodziliśmy w teren. Nie zauważyliśmy wypływu wody ani nad, ani przed Myrktjørna. Braliśmy próby z Białej Wody i przy czołe lodowca Torell do analizy przez Tadka Brysia. Przeszliśmy po lodzie Nottinghambukę do Kvartsittodden i dalej Kvartsittlettą do Styrehusa (właściwa nazwa popularnej Hytteviki). Przy pięknej pogodzie pozowało nam do zdjęć sześć reniferów oraz foki. Baranówkę w tym czasie odwiedzali: Basia Wiśniewska, Janek Opaliński, Marek Szyłkowski i Waldek Zienkiewicz, przywożąc na skuterach agregat, radio, akumulator i beczki na śmieci. W Værenhusie umieściliśmy fotografię prof. Alfreda Jahna (fot. Jacek Jania, oprawa Janek Opaliński). Zabraliśmy do renowacji fotografię Staszka Baranowskiego.

Kronikarski, krótki opis nie oddaje wspaniałej atmosfery Domu Staszka Baranowskiego. Może na pięćdziesięciolecie znajdzie się ktoś, kto opíše przygody osób związanych z Værenhusen i ciekawe wydarzenia, jakich było bardzo dużo.

Zainicjowane przez prof. Mariana Pulinę badania krasu lodowcowego są kontynuowane na Spitsbergenie również w XXI wieku, m. in. przez wrocławianina Szymona Kostkę. Jego film *Cristal Cave* zrealizowany przy współpracy Tomasza Łęcarskiego, Jerzego Jutarskiego, Piotra Głowackiego, Krzysztofa Migąły i Mateusza Moskalika, świetnie to pokazuje.

Josef Řehák jr, Stanislav Řehák

Werensus oczami czechskich speleologów

Letni sezon roku 2011 jest już czterdziestym z kolei, w którym mały domek na skalnej wychodni pod moreną boczną lodowca Werenskiolda, w południowo-zachodniej części Spitsbergenu, jest zapleczem, schronieniem i namiastką domu dla specyficznej grupy ludzi. Wszyscy ci glaciolodzy, klimatolodzy, geolodzy, botanicy oraz specjaliści innych dyscyplin naukowych mają jedną cechę wspólną. Jest nią oczarowanie krajami polarnymi, ostrymi i malowniczymi czołami lodowców, górami i kipiącymi życiem wybrzeżami. Jedną z grup tych letnich mieszkańców są już od ponad 20 lat czescy speleolodzy, badający wnętrza okolicznych lodowców.

Następne wiersze są naszym skromnym wkładem do okrągłej rocznicy założenia Stacji Glaciologicznej im. Stanisława Baranowskiego oraz wyrażeniem uczuć i wspomnień związanych z Werenshusem, jak Stację nazywają polarnicy. W tekście nie może również zabraknąć ogólnego przeglądu zmian i napraw wykonanych w stacji. Były one nieodłączną częścią wszystkich czechskich wypraw glaciospelologicznych w rejon Hornsundu.

Bratteggdalen

Tylko w lekkiej koszulce, z pasami ciężkiego plecaka wrzynającymi się w ramiona, pomału maszeruję krętą ścieżką pomiędzy białymi, kwarcytowymi skałkami. Przemoknięte buty zapadają się w puszystej tundrze, która odcina się różnymi odcieniami zieleni od wysepek żółtych, fioletowych i białych polarnych kwiatów. Słońce krąży po błękitnym niebie i jeszcze wytrzyma tam na górze te parę tygodni podczas pełni polarnego lata. Pogoda jest bezwietrzna, a powietrze na stokach góry Gullichsenfjellet nagrzało się przyjemnie. Niedaleko nad nami lśni powierzchnia jeziora Pikedamenn, które jest jakby cudem zawieszone na stoku góry. Kiedy dochodzimy do jego długiego i niskiego brzegu, który niemal od skraju zwierciła wody opada w dół, do doliny, nad naszymi głowami przelatuje spłoszone stadko gęgających gęsi bernikli.

Za naszymi plecami pozostaje malownicze wybrzeże Kvartsittsodden i traperska chata Hyttevika. Dalej, od wybrzeża aż po horyzont, ciągnie się biały pas kier lodowych unoszących się na powierzchni spokojnego morza. Tylko niskie skały wysepek Dunöyane z ptasim rezerwatem przecinają ten biały obszar, który tak nam skomplikował przyjazd do Hornsundu.

Od jeziora, na ukos przez zbocze wiedzie ślad ścieżki, wijącej się między skalnymi blokami pod wałem niwalnym. Jeszcze parę metrów i otwiera się przed nami widok na dolinę potoku Brattegg. Zielone pasy mokrych mchów nawiązują do jaśniejszych płatów zeszłorocznej suchej trawy i ciągną się aż do dna doliny. Za potokiem pojawia się nagle szara ściana moreny bocznej, za którą w oddali błyszczy biały jezior lodowca Werenskiolda. Cały ten obraz zamyka na horyzoncie skalny grzebień zakończony niewyraźnym wierzchołkiem góry Jens Erikfjellet. Dopiero teraz widzę małą kropkę na brzegu potoku, pod moreną. To jest nasz cel, Stacja Uniwersytetu Wrocławskiego. Stacja Glacjologiczna nazwana imieniem Stanisława Baranowskiego, znana wśród polarników, jako Werenhus lub Baranówka. Nasz dom na najbliższe miesiące.

Jest przyjemne słoneczne popołudnie 15 lipca 1993 roku. Nareszcie dotarliśmy do upragnionej stacji, po całkiem dramatycznej podróży. Z ulgą zrzucam na werandzie ciężki plecak i rozglądam się wokoło.

Jestem na Spitsbergenie po raz pierwszy, wszystko jest dla mnie nowe, ale często mam wrażenie, że wracam do znajomych miejsc. W pamięci mam wyraźne obrazy tej krainy. Mimo, że nie wyszedłem dalej, niż na werandę tego uroczego domku, wiem, co na mnie czeka za moreną i jak wygląda jezioro Myrktij w dolinie nad Werenhusem. Już wtedy, kiedy próbowaliśmy przepłynąć, na rosyjskim statku „Pomor”, który w tym roku zabezpieczał transport ludzi i sprzętu do Hornsundu, tę szeroką na 10 mil lodową barierę wzdłuż zachodnich wybrzeży południowego Spitsbergenu, poznawałem z daleka pojedyncze szczyty i lodowce w okolicach Hornsundu.

Już od wielu lat dzielę wraz z ojcem i uczestnikami pierwszej czeskiej wyprawy glajospeleologicznej na Spitsbergen entuzjazm dla krasu lodowcowego. Wielokrotnie słuchałem ich prelekcji z przezroczami, mapami oraz barwnych wspomnień o pracach w rejonach polarnych.

Poznaję krainę, która była bliska mojemu sercu wcześniej, niż do niej dotarłem. Teraz wędruję w rzeczywistej krainie i tylko cały czas muszę poprawiać moje o niej pierwotne wyobrażenia i wiązać wzajemnie pojedyncze obrazy. Muszę także przywyknąć do tego, że bardzo trudno określa się odległości w tej czystej atmosferze, bez możliwości porównania z dobrze znanymi dystansami. Wszystko jest o wiele dalej, niż wydaje się na pierwszy rzut oka.

Przywitanie w Werenhusie jest mało przyjemne, ale częściowo przywołuje nas z powrotem, z prawie zjawiskowego świata, z niezwykle piękną pogodą i malowniczymi krajobrazami do polarnej rzeczywistości. Wokół domku widać nieporządek, wszędzie leżą puste puszki i w połowie opróżnione pojemniki ze śmieciami. To dzieło polarnego niedźwiedzia, prawdziwego władcy tych ziem. Wydaje się, że od odwiedzin misiów, jak się zdrobniale nazywa te włochate kolosy, nie minęło wiele czasu. Musimy uważać i mieć pod ręką załadowaną broń. Sprzątamy bałagan, naprawiamy zupełnie zdemolowane przez niedźwiedzia drzwi od agregatowni za domkiem i w końcu otwieramy Werenhus. W środku jest wilgotno, miejscami

mokro, z warstwą drobnego błota po niedawnej „powodzi” podczas tajania śniegu. Ten najgorszy bałagan zdołał już uporządkować nasz polski kolega, Jarek Zajączkowski zwany Królikiem, który ma do nas dołączyć w drugiej części wyprawy.

Wszędzie wietrzmy, a wilgotne sprzęty wynosimy na zewnątrz, na słońce, aby je wysuszyć. Dach trochę przecieka, więc znoszę ze stryszku zapleśniałe materace i rozkładam do suszenia na morenie. W końcu możemy usiąść i trochę odpocząć, na słonku przed domkiem. Jest północ.

Tak zakończył się pierwszy dzień 2. Czeskiej Polarnej Wyprawy Glacjospeleologicznej w Stacji Werenhuss. Nazywam się Josef Řehák, tak samo jak ojciec, więc dla odróżnienia używam przydomka junior. Ale wszyscy już od dzieciństwa mówią na mnie Pipan i to imię mi zostało do teraz. Drugim uczestnikiem wyprawy i jej szefem jest mój ojciec, Josef Řehák senior. Do okolicznych lodowców przybył już po raz trzeci. Dzięki pionierskiej pracy w powstającej właśnie glacjospeleologii oraz chęci pomocy zawsze i każdemu zasłużył na uznanie większości polarników. Dla wszystkich jest to po prostu Pepa.

Nasze podróże do wnętrza lodowców subpolarnych realizujemy w ramach badań prowadzonych przez naszą rodzinną firmę SPELEO-Řehák, zajmującą się badaniem historycznych podziemi, we współpracy z Czeskim Towarzystwem Speleologicznym (Česka speleologická společnost).

Wciąż siedzę na werandzie między rozłożonymi rzeczami i rozmyślam, jaki los spowodował, że człowiek z czeskiego podgórzia Karkonoszy znalazł się tak wysoko za kręgiem polarnym, pośród królestwa białych niedźwiedzi. Na moje losy częściowo wpłynęła obowiązkowa służba wojskowa, więc polarne początki ojca smętnie obserwowałem przez kraty wojskowych koszar.

Polska wyprawa – Špicberky 1986

Pepa po raz pierwszy przybył do Werenhussa w roku 1986, jako uczestnik polskiego zespołu VIII Wyprawy Glaciologicznej Uniwersytetu Śląskiego na Spitsbergen. W wyniku długoletniej współpracy z Profesorem Marianem Puliną z Uniwersytetu Śląskiego zyskał teraz możliwość badania wpływu zlodowaceń na krajobraz i kras. Zlodowacenia te wyraźnie zaznaczyły się również w krasowych obszarach północnych Czech i Moraw, w rzeczywistych warunkach klimatu polarnego.

Szefem wyprawy była hydrochemiczka Wiesława Krawczyk, która uczestniczyła w wielu wspólnych badaniach, również w jaskiniach czeskich. Pepa dołączył do zespołu realizującego program wyprawy. Pierwszym działaniem niezbędnym dla aktywnego włączenia się w prace zespołu było poznanie okolic lodowca Werenskiolda, pod którego boczną moreną znajduje się wrocławska Stacja. Wcześniejsze badania prowadzone na Lodowcu Werenskiolda były powodem, dla którego w tym rejonie powstała Stacja. Położenie Stacji na przedpolu lodowca było przyczyną, że obok oficjalnej nazwy, często nazywana jest Werenhusem. Obecnie nazwa

ta jest także sygnałem wywoławczym używanym przy łączności radiowej z Polską Stacją Polarną w Hornsundzie, z łódkami oraz zespołami pracującymi w terenie.

Strategiczne położenie na skalnej wychodni w pobliżu wodospadu rzeki Brattegg było mistrzowskim wyborem zespołu zakładającego stację, na czele ze Stanisławem Baranowskim. Domek jest skierowany na południe, od północy jest chroniony wałem moreny bocznej przed zimnymi, północnym wiatrem z lodowca. Z okna laboratorium wyglądającego na zachód, można było z nastaniem polarnej jesieni obserwować niesamowite zachody słońca, kiedy czerwone słońce zanurza się w zimnych wodach Oceanu Arktycznego. Kiedy indziej od morza przewalała się bariera chmur, aż pochwytiła wszystko wokół i mocny wiatr gnał prawie poziome kurtyny deszczu w górę doliny. Ta surowa kraina bez jednego drzewa nie pozostawia człowieka obojętnym. Albo go zaczaruje, albo nie zechce go przyjąć i musi odejść za wszelką cenę. Północne klimaty wzbudzają wielką pokorę, a romantyczną duszę podbijają całkowicie.

Podczas wyjść w teren polarnik musi liczyć się z wszystkimi zdradliwościami pogody. Pepa codziennie towarzyszył swoim kolegom w wyjściach na przedpole i dalej, na lodowiec, aby badać jego topnienie, prawidłowości odwodnienia, skład chemiczny wód, oraz na przykład ilości osadów zawartych w mętnych rzekach lodowcowych wypływających u czoła lodowca Werenskiolda. Wszystkie wody roztopowe z lodowca, na przedpolu, łączą się w potężną rzekę lodowcową, która w niewielkiej odległości od Werenhusa rozcina morenę boczną i z ogłuszającym łoskotem przewala się przez skalny próg, dalej do morza.

Po regularnych pomiarach i obserwacjach Pepa, przy pomocy pozostałych uczestników wyprawy oraz zimowników ze Stacji Polarnej, wchodzi do wybranych studni lodowcowych i jaskiń, ale także udaje się do odleglejszych miejsc, na przykład do Lodowca Wschodniego Torella i dalej, pod wapienny masyw góry Raudfjellet, do krasowych źródeł termalnych.

Podczas ponad trzech miesięcy sezonu letniego, od 17 czerwca do 4 października, udało się wykonać dokumentację 1200 metrów jaskiń lodowcowych i kanałów oraz zejść do studni lodowcowej o głębokości ponad 70 m. Stacja wrocławska im. St. Baranowskiego stała się w tym czasie domem i zapleczem dla wszystkich czterech uczestników wyprawy. Odjeżdżając Pepa wiedział, że na pewno znowu wróci do Werenhusa.

Pierwsza Czeska Wyprawa Glacjospieleologiczna – Špicberky 1988

Mały i przytulny domek na brzegu potoku Brattegg nie musiał długo czekać na ponowne pojawienie się czeskich speleologów. Już na początku lipca 1988 roku na maszcie przy kwarcytowym kopczyku poświęconym pamięci Stanisława Baranowskiego trzepotała, oprócz polskiej, także czeska flaga. Znowu we współpracy z Uniwersytetem Śląskim, z Katedrą Geomorfologii Krasu w Sosnowcu,

realizowany jest program nawiązujący do wyników badań glajospeleologicznych wyprawy z roku 1986. Program badań przedstawiono Komisji Badań Polarnych przy Komitecie Badań Polarnych Polskiej Akademii Nauk oraz zgłoszono do międzynarodowego programu badawczego Spitsbergenu w Norweskim Instytucie Polarnym w Oslo.

Dla czeskiego zespołu w składzie: Josef Řehák sen., Jaromír Braun, Vratislav Ouhrabka i Dušan Milka stał się Werenhuss główną bazą i schronieniem przy realizacji bardzo szerokiego i wymagającego wiele pracy programu wyprawy. Dużo uwagi poświęcono lodowcowi Werenskiolda i jego przedpolu, gdzie bliskość stacji wrocławskiej była dużą wygodą. Ale i przy dalszych wypadach do oddalonych rejonów Werenhuss jest ważnym zabezpieczeniem i bardzo przyjemnym miejscem powrotu po kilkudniowych wyczerpujących akcjach na lodowcach.

Oprócz tradycyjnego sprzątania i suszenia po zimie oraz wiosennych roztopach, w stacji prowadzono tylko podstawowe prace konserwatorskie, a przede wszystkim bieżące naprawy dachu pokrytego papą. Pod koniec wyprawy, w drugiej połowie października, cały obiekt zabezpieczono na zimę. Wyprawa wróciła do Polskiej Stacji Polarnej PAN w Hornsundzie przez lodowiec Werenskiolda i lodowiec Hansa, gdzie odbyły się ostatnie zejścia i dokumentacja studni lodowcowych i kanałów. Z działającej przez cały rok Bazy, jak się także nazywa tę stację badawczą, odbył się transport powrotny do portu w Gdyni, na pokładzie polskiego statku „Neptun”.

Druha Czeska Wyprawa Glajospeleologiczna – Špicberky 1993

Powracam do swoich wspomnień, na werandę Werenhusa, pod północne słońce. Przybyć tutaj nie było wcale łatwo. Kraje polarne pokazały nam, kto tu rządzi.

Ogromne pole lodowe płynące z Morza Barentsa wzdłuż południowo-zachodnich wybrzeży Spitsbergenu, o szerokości 10–15 km i długości ponad 200 km, całkowicie wypełniło i zablokowało fiord Hornsund, wliczając w to szeroki pas wód przybrzeżnych. Statek zaopatrzeniowy „Pomor” (statek badawczy Instytutu Biologii Morza w Murmańsku dostarczający tego lata zaopatrzenie do Polskiej Stacji Polarnej) nie mógł dopłynąć do brzegu i w końcu odpłynął do Barentsburga z całym ładunkiem przeznaczonym dla Bazy, a w tym naszym wyposażeniem i żywnością na dalszą zaplanowaną działalność. Transport ludzi do Hornsundu przebiegał w dramatycznych okolicznościach helikopterami z rosyjskiego miasteczka Barentsburg. Na pokład helikoptera mogliśmy wziąć ze sobą tylko plecak ze śpiworem, namiotem, częścią odzieży i trzema puszkami konserw. Pozostałe miejsce w helikopterze wypełniły warzywa i owoce, które jak się okazało, w krótkim czasie uległyby zniszczeniu w czasie podróży statkiem. Naszą nadzieją były depozyty żywności i sprzętu, które zostały z poprzedniej wyprawy przed dwoma laty. Większość tej żywności znajduje się w naszych beczkach po prochu strzel-

niczym, pozostawionych na tundrze. Jednak nikt z nas nie wie, w jakim stanie będą beczki i czy ich zawartość nie zasmakowała niedźwiedziom. Ale to są tylko drobne problemy, najważniejsze, że jesteśmy na miejscu. To cud, że w tej sytuacji tak nam się to wszystko udało.

Następne dni miały w przyjemnej atmosferze słonecznej pogody. Między skałkami na brzegu Zatoki Nottingham znaleźliśmy w naszych beczkach nienaruszone wszystkie zapasy z poprzedniej wyprawy. Tylko niektóre beczki były przez niedźwiedzie trochę uszkodzone, ale na szczęście misie nie dostały się do ich wnętrza. Nie było więc problemów z wyżywieniem, a kolejne zaopatrzenie znajdowało się w małym składziku żywności, w tylnej części Werenhusa.

Za Werenhusem znajduje się na zboczu moreny bocznej maleńka budka, o powierzchni około 4 m², mieszcząca agregat prądotwórczy, tzw. agregatownia. Za nią było złożone na zboczu wiele wyrzuconego i niepotrzebnego sprzętu, stare przyrządy pomiarowe oraz różne wysięgniki i konstrukcje. W naszej sytuacji, kiedy całe nasze wyposażenie znajdowało się na rosyjskim statku „Pomor”, płynącym do Ziemi Franciszka Józefa setki mil stąd, był to prawdziwy skarb. W warsztacie Werenhusa znaleźliśmy różne części wyposażenia i przy pomocy części zapasowych ze składowiska za agregatownią naprawiliśmy stare raki lodowcowe, uszkodzony limnigraf i inne sprzęty potrzebne nam do prac terenowych. Z wyrzuconego kawałka wykładziny dywanowej oraz kawałka samochodowej plandeki zrobiłem sobie wygodne pantofle, do chodzenia po wysuszonym domku. Swoje domowe obuwie oczywiście także miałem, ale znajdowało się razem z pozostałymi rzeczami w ładowniach „Pomora”. Hasłem wyprawy było: „Czego nie masz, to nie jest Ci potrzebne, a co Ci jest potrzebne to sam sobie zrobisz”.

Pośród innych domowych zajęć, pilną potrzebą była naprawa pieca, w którym zwykle nie udawało się rozpalić, ale który za to znakomicie dymił ze wszystkich możliwych i bardzo licznych otworów. Potem ustawiłem komin i porządnie go umocowałem. Podczas prac na dachu Werenhusa z przerażeniem zauważyłem, że część pokrywającej dach papy jest oderwana. Nasi poprzednicy próbowali naprawić największe dziury lepikiem i gwoździami, ale te w przegniłym drewnie w ogóle się nie trzymały i dały się wyciągnąć ręką. Większość desek na dachu była w bardzo złym stanie. Wybraliśmy alpejską metodę naprawy i brzegi papy obciążyliśmy płaskimi kamieniami. Zaraz następnego dnia po powrocie z lodowca idziemy do chaty i gotujemy na piecu kolację oraz podgrzewamy asfalt. Nasza przytulna chatka upodobiła się do palarni opium, opary z bulgoczącego asfaltu zrobiły swoje. Rozgrzaną smołą zlepiamy ze sobą największe płyty papy i próbujemy je przymocować do rozpadających się desek. Kończymy prace późno w nocy i następnego dnia zabezpieczamy dach kolejnymi płaskimi kamieniami.

Dni bieły szybko i po powrocie z terenu zawsze było coś do zrobienia. Naprawa wodociągu lub budowa eksperymentalnej pralki automatycznej w potoku zajmowała mnie do wczesnych godzin rannych. Tym bardziej, że tutaj w nocy nie robi się ciemno.

Podczas wyjść w teren, szczególnie w kierunku północnym, na równinę Elveflya i dalej na lodowiec Wschodniego Torella oraz pod górę Raudfjellet wyraźnie utrudnia nam przemarsz rzeka lodowcowa z Werenskiolda. Z biegiem lata słońce zaczęło się w godzinach nocnych chować za horyzontem i na lodowcach ustawała abłacja, a wody płynące wcześniej po powierzchni lodowca zamarzały. Wczesne godziny ranne były jedynym okresem, kiedy można było przejść w butach przez odgałęzienia rzeki lodowcowej, w delcie przy ujściu rzeki do Zatoki Nottingham. Także nasi sąsiedzi z traperskiej chaty Hyttevika, profesor Krzysztof Birkenmajer i jego syn Iwo, mają podobny problem. Często widzimy ich z okna laboratorium lub z moreny, jak późno w nocy przesiadują na kamieniach w delcie rzeki i czekają, aż przepływ w rzece lodowcowej zmniejszy się na tyle, żeby mogli ją przejść bezpiecznie z ciężkimi plecakami. Obejście rzeki wzdłuż czoła lodowca Werenskiolda oznacza dodatkowe 2 lub nawet 3 godziny drogi, więc próbujemy znaleźć inne, wygodniejsze rozwiązanie przekroczenia niebezpiecznego żywiołu suchą nogą.

W końcu buduję na podniesionych zboczach moreny bocznej, dokładnie pod wodospadem rzeki lodowcowej, dwa punkty zakotwiczenia, które łączę stalową liną długości 35 m, przyniesioną z Bazy. Z różnych części wyrzuconych za agregatownię składam specjalne wiszące rolki, z wyrzuconych taśm robię siodełko. System transportowy uzupełniam o linę wspinaczkową, po której pasażer zawieszony na siodełku, wraz z plecakiem przesuwają się, ciągnąc za sobą linkę, którą następny chętny do transportu przez rzekę, przyciągnie rolki z siodełkiem na potrzebną stronę rzeki.

Zainstalowane urządzenie nie raz zaoszczędziło nam sporo czasu i sił przy pokonywaniu rwącej, mętnej rzeki, w okresie abłacji. Bardzo szybko stało się też nieoczekiwaną atrakcją z dodatkową dawką adrenaliny. Wkrótce każdy w okolicy Hornsundu chce mieć swoje zdjęcie, jak unosi się nad wzburzonymi wodami niedającej się przejść rzeki. Zwiększona frekwencja wizyt z Polskiej Stacji Polarnej, wliczając w to załogi statków kotwiczących w Zatoce Białego Niedźwiedzia, jest miłym urozmaicheniem polarnego życia. Niekiedy jednak zdarza się, że pasażer nie do końca opanuje technikę potrzebną do przemieszczenia się w powietrzu nad rzeką. Nie brakuje wtedy dramatycznych momentów. Musimy więc potem nieszczęśnika, który nad środkiem rzeki, w siodełku z taśm, wisi głową w dół, przy pomocy linki przyciągnąć do brzegu i wyzwolić z nietoperzowej pozycji. Jako zapłatę za niezwykle przeżycie dostajemy od naszych miłych gości różne upominki w postaci świeżych owoców, słodczy i innych smakołyków, a także nowe wiadomości ze świata oraz przede wszystkim zawsze wyczekiwane listy.

Miło się obserwuje, jak taki kawałek liny nad wodą może sprzyjać przyjacielskiej atmosferze i wzajemnym uczuciom przynależności, wsparcia i pomocy z różnymi mieszkańcami tych trudnych rejonów świata. Dopiero w późniejszych latach, na kolejnych wyprawach, uświadomiłem sobie, jak wszystko się zmieniło. W czasach pierwszych naszych wypraw utrudniony był dostęp do krajów polarnych, bardzo ograniczona była komunikacja z otaczającym światem. Zwykły list

z Czech albo z Polski wędrował 2, a nawet 4 tygodnie, a jedyna łączność z domem odbywała się przy pomocy dużej radiostacji w Polskiej Stacji Polarnej, która podczas występowania zórz polarnych lub burz słonecznych nawet przez 10 dni nie działała. Brakowało łączności radiowej pomiędzy stacjami terenowymi, nie było wideo, internetu, telewizji satelitarnej. Ale wszystko to czyniło jednocześnie z ludzi w Hornsundzie i okolicy jeden zespół. Wtedy też wzajemna pomoc i wsparcie były warunkiem koniecznym dla pracy na lodowcach, pośród niedźwiedzi.

Wraz z rozwojem techniki, skróceniem odległości, komunikacją elektroniczną i turystyką wszystko staje się łatwiejsze, bardziej dostępne i wygodne. Tylko ten duch polarnego honoru i wsparcia gdzieś zanika i zostaje zastąpiony przez rywalizację, zazdrość i indywidualizm. Ale trochę odeszliśmy od tematu i czasu. Wracamy zatem do Werenhusa latem 1993 roku.

Kartowanie na lodowcu przebiega z powodzeniem. Niezwykłe piękna i słoneczna pogoda z początku tegorocznej wyprawy zmieniła się na spitsbergeński standard, ciągle pada deszcz i wieje silny wiatr. Kiedy widzę nad grzbietem gór, nad lodowcem cylindryczne chmury, wiadomo jest, że najwyższy czas, aby wracać z terenu, posprzątać wokół domku wszystkie lekkie rzeczy i przygotować się na nadejście fenu, ciepłego, ale silnego wiatru, kończącego się deszczem. Jeden taki fen dostarczył nam zajęcia na całą noc. Najpierw silny wiatr gnał z północy przez lodowce i góry. Werenhus pod wałem moreny bocznej był chroniony od wiatru. Ale potem wiatr się zmienił na zachodni i uderzył w domek z otwartej przestrzeni nad morzem. W pierwszym kolejności poleciały wszystkie lekkie rzeczy spod domku, do skałek przy potoku Brattegg. Porywy wiatru wstrząsały Werenhusem, który się wyraźnie poruszał, a przy tym wydawał nieładne, trzaskające dźwięki. Blaszane rury komina były zakotwiczone do konstrukcji dachu, kiedy jednak jeden z mocujących drutów pękł, komin z łoskotem spadł z dachu i zatrzymał się dopiero w potoku pod domkiem. Do wiatru dołączył deszcz i morski aerozol, który jest porywany z silnego przyboju na wybrzeżu. Na początku wyprawy pasy asfaltowej papy na dachu zalepiliśmy gorącym asfaltem i obciążyliśmy płaskimi kamieniami, co było w aktualnej sytuacji naszym zbawieniem. Werenhus w porywach wiatru tak się jednak rozedrgał, że mniejsze kamienie zaczęły wędrować po dachu, a niektóre cienkie płytki dosłownie odleciały. Pod ciśnieniem wiatru nieprzyklepiony pośrodku pas papy został rozdarty i zrobił się w tym miejscu otwór podobny do papierowej róży. Nie pozostawało nic innego, jak w porywach wiatru i deszczu, znosić z okolicy większe płaskie kamienie i leżąc na dachu obciążać nimi wolne części papy. Przegniły dach zaczął się jednak pod większym obciążeniem niebezpiecznie przechylać i przez pozostałą część nocy instalowaliśmy odciągi i podpory dachu. Praca wewnątrz domku przebiegała przynajmniej we względnym cieple.

Do rana wiatr się uspokoił i przez kolejne dwa dni ciągle padało. Ciepła pogoda w połączeniu z deszczem zwiększyła ablację na lodowcach i w górach. Z potoku Brattegg przed domkiem zrobiła się potężna rzeka, która coraz bardziej przybliżała

się do naszej werandy. Przy takiej pogodzie prowadziło się tylko regularnie pobór próbek wody z rzeki lodowcowej i kontrolę stanu wywierzyisk u czoła lodowca. Oprócz tego zajmowaliśmy się naprawami sprzętu w cieple naszego domku i spoglądając przez okno sprawdzaliśmy stan sytuacji powodziowej. Na trzeci dzień byliśmy zmuszeni do dalszych działań. Z ojcem przez kilka godzin nanosiliśmy do rzeki pod domkiem pokaźną ilość głazów i przekierowaliśmy część potoku Brattegg do starego koryta na tundrze, dalej od domku.

To jednak nie wystarczyło. Sytuacja ciągle się pogarszała, deszcz nie przestawał padać, a wiatr znowu wiał od lodowca, doliną Brattegg i dalej do morza. To był właśnie wiatr, który zamknięty między grzbietami gór w dolinie nad Werenhusem potrafił na długim jeziorze Myrktjorn utworzyć więcej jak półmetrowe fale, które przez krawędź jeziora przelewały się do doliny. W końcu postawiliśmy przed werandą ochronny wał z kamieni. Przy jego pomocy udało się nam w czwartym dniu zmienić nurt wody, która inaczej płynęłaby prosto na werandę i drzwi domku. Jednak i tak wieczorem woda zaczęła wpływać na werandę. Do trzeciej nad ranem walczyliśmy młotkiem, dłutem oraz kilofem ze złamanym trzonkiem, wyrabując w skale przy werandzie kanał do odprowadzenia wody przeziąkającej przez wał. Deszcz się uspokoił i woda przestała dalej przybierać. Pod domkiem płynęła woda, ale nie dostawała się do środka. Nasze prace ratunkowe zakończyły się sukcesem. Wał przed werandą okazał się wielce przydatnym i w wolnym czasie do końca wyprawy przekonstruowaliśmy go, poszerzyli i zrobili z niego chodnik między werandą i moreną boczną, który służy do dzisiaj. Niektóre szczególnie piękne kamienie w chodniku zostały przyniesione aż z lodowca Nann.

Od 11 sierpnia do naszego dwuosobowego zespołu przyłączył się kolega speleolog i dobry muzykant, Jarek Zajączkowski, który w Polskiej Stacji Polarnej pracował, jako kucharz, przez cały rok, od poprzedniego lata. Królik, jak zaczęliśmy go nazywać, był wyraźną pomocą, przede wszystkim w przygotowywanych zejściach do wnętrza lodowców i ich dokumentacji. Pod koniec wyprawy wrócił statek „Pomor” z naszym wyposażeniem i udało się nam zrealizować większość planowanych zadań naszej skromnej ekspedycji. Zabezpieczyliśmy na zimę Werenhusem jak najlepiej potrafiliśmy i 24 września wypłynęliśmy naszym znajomym statkiem „Pomor” na dziewięciodniowy rejs powrotny do polskiej Gdyni.

Trzecia Czeska Wyprawa Glacjospieleologiczna – Špicberky 1996

Trzecią wyprawę do lodowców południowego Spitsbergenu planowaliśmy na letni sezon 1995 roku. Wszystkie koszty związane z wyprawami polarnymi pokrywamy ze swoich pieniędzy wypracowanych w firmie podczas badania, dokumentacji i odnowy historycznych podziemi. Wobec złożonej sytuacji w naszej firmie oraz problemów z przygotowaniem i transportem sprzętu zdecydowaliśmy się na przełożenie wyprawy o jeden rok.

Po powrocie z ostatniej wyprawy, na spotkaniu z dr Jerzym Pereymą, klimatologiem z Instytutu Geografii i Rozwoju Regionalnego Uniwersytetu Wrocławskiego i kierownikiem Stacji Polarnej im. S. Baranowskiego, zwróciliśmy uwagę na krytyczny stan stacji przy lodowcu Werenskiolda oraz na fakt, że gdyby stacja przestała istnieć, nie będzie można na obszarze obecnego parku narodowego zbudować nowego budynku. Wynikiem spotkania była oferta dla naszego zespołu na przeprowadzenie remontu Werenhusa i umowa o współpracy przy dalszych działaniach oraz wykorzystywaniu tej stacji terenowej. Uniwersytet Wrocławski zapewnił potrzebne materiały na naprawę dachu, czyli belki, deski i przede wszystkim ocynkowaną blachę. Transport tego materiału na Spitsbergen zabezpieczyła Polska Stacja Polarna Instytutu Geofizyki PAN. Naszym celem było wykonanie naprawy dachu, co w końcu doprowadziło do wybudowania nowego dachu i przykrycia go blachą.

Dbając o to, żebyśmy mogli odpowiednio wywiązać się ze swojego zobowiązania, Pepa załatwił nam konsultację i szkolenie u dekarzy, którzy mieli doświadczenie w kryciem dachów blachą w ekstremalnych warunkach klimatycznych na grzbietach Karkonoszy.

Wiosną 1996 roku przebiegają wszystkie przygotowania, pakowanie i transport potrzebnego wyposażenia do polskiego portu w Gdyni, skąd będzie dostarczony do Polskiej Stacji Polarnej w Hornsundzie. Nasza trzyosobowa wyprawa w składzie: Josef Řehák sen. (kierownik wyprawy), Josef Řehák jun. i Lenka Marková odjeżdża 26 czerwca 1996 roku z Karkonoszy, samochodem do norweskiego Tromsø i dalej statkiem „Norbjörn” do Hornsundu. Tam 10 lipca opuszczamy statek i tego samego dnia wieczorem dochodzimy pieszo, z naszymi plecakami, do Werenhusa.

Historia się powtarza

Po przyjeździe do Werenhusa po pierwsze sprawdzam dach. Jest trochę przegniły, ale rozłożona na nim warstwa kamieni dalej utrzymuje papę na miejscu. W domku jest wilgotno. Cały przedsionek jest zawalony workami i beczkami z węglem, drewnem na rozpałkę oraz uzbieranymi odpadkami z całej zimy, po sporadycznych wizytach zimowników. Pod stertą tych materiałów znajduje się warstwa mokrego piasku i błota, które naniósł tutaj potok Brattegg. Powoli wszystko porządkujemy i sprzątamy. Sprawdzamy także materiały na naprawę dachu. Drewna jest wystarczająca ilość, ale blachy jest na pewno za mało. Po dokładnych obliczeniach należałoby do obecnych tu 18 arkuszy zamówić jeszcze kolejnych 18.

Po dwóch dniach pobytu w Werenhusie przygotowujemy się do drogi do Bazy. Wieje wiatr i mocno pada. Na Spitsbergenie, jeśli pada, to najczęściej poziomo. W ostatnich dniach spotkaliśmy trzy niedźwiedzie, a teraz czeka nas znowu droga wzdłuż wybrzeża, które, jak sięgnąć okiem, jest pełne kier lodowych. Na pływa-

jącym lodzie chętnie odpoczywają foki, a gdzie są foki, tam jest i niedźwiedź. Musimy bardzo uważać, żebyśmy zobaczyli niedźwiedzia, zanim on zauważy nas. Obiecaliśmy kierownikowi Stacji, że pomożemy przy rozładunku sprzętu, który ma przypłynąć statkiem. W tym roku całe zaopatrzenie, w tym nasze pojemniki, zapakowano do jednego potężnego kontenera. Statek z kontenerem już raz przepływał koło Hornsundu, ale z powodu złych warunków lodowych nie wpłynął do fiordu. Teraz to już druga próba. Do Stacji przychodzimy całkowicie przemoczeni i zmarznięci, dopiero o trzeciej nad ranem. Dowiadujemy się, że statek będzie prawdopodobnie opóźniony. Oczekiwanie na statek wypełniamy produkcją uchwytów do dachu Werenhusa. Musimy wyprodukować ich aż 500 sztuk. We wtorek 16 lipca przed północą nareszcie zgłasza się kapitan statku „Norbjörn”, który wiezie wytęskniony kontener. Ze stacji już go widać gołym okiem przed wejściem do fiordu, wokół niego kołysze się kilka pojedynczych kier lodowych. Stacja już trzeci tydzień funkcjonuje w trybie awaryjnym. Brakuje żywności, papierosów i oczekiwane są materiały do remontu głównego budynku. Zrozumiała jest ogólna radość przy spoglądaniu na statek znajdujący się kilka mil od brzegu. Rozmowę z kapitanem statku za pośrednictwem radiostacji najpierw wszyscy przyjmują za kiepski żart. Oznajmia on, że ma opóźnienie i musi bezwarunkowo być do 22 lipca w Anglii. Dlatego żałuje, ale nie może ryzykować dalszego opóźnienia manewrowaniem wśród lodów i kontynuuje rejs do Tromsø. Na nic jest tłumaczenie, że fiord jest zupełnie bez lodu, i że kończą się zapasy. Kapitan postanowił, że nie będzie tracił czasu i pomału się oddala. Nikt nie chce uwierzyć, że to prawda. Przecież już mieliśmy prawie na dotknięcie ręką wszystkie tak potrzebne materiały, żywność i wyposażenie. Kapitan obiecał tylko, że postara się w porcie przełożyć kontener na inny statek płynący w naszym kierunku. W stacji zapanowała rozpacz i beznadzieja. Dla nas płynie z tego jedyne rozwiązanie. Nie możemy więcej obciążać Bazy i korzystać z jej skromnych zapasów. A więc pomimo złej pogody, przy silnie wiejącym północnym wietrze, padającym deszczu i temperaturze około 1°C, zbieramy się szybko do wyjścia z powrotem do Werenhusa. Bez długich dyskusji pakujemy zrobione uchwyty dla naszego dachu, trochę zeszłorocznego chleba, którego jest w Bazie na razie wystarczająca ilość i o godzinie 1 minut 45 w nocy wychodzimy po rozmokniętej tundrze kierując się na północ.

Zimny wiatr przewietrza nam głowy i uspokaja emocje. Zgadza się z Pepą, że historia się powtarza. W takiej samej, a nawet gorszej sytuacji, byliśmy przed trzema laty na ostatniej wyprawie, kiedy także całe nasze wyposażenie i żywność podróżowały na statku „Pomor” do Murmańska i Ziemi Franciszka Józefa. Wtedy nie było pewne, czy nasze rzeczy z tych krańców Rosji w ogóle wrócą. Dzisiaj jesteśmy w lepszej sytuacji. Mamy przynajmniej część potrzebnego materiału do remontu domku, narzędzia sami sobie zrobimy, a starych zapasów żywności z poprzedniej wyprawy, które opłynęły na „Pomorze” pół świata, mamy w składzie na wybrzeżu Zatoki Nottingham, na co najmniej dwa miesiące. W porównaniu z chłopakami z Bazy wypadamy całkiem nieźle.

W kolejnych dniach zabieramy się w Werenhuse do pracy zgodnie z harmonogramem. Prace przygotowawcze na dachu przerywają tylko regularne obserwacje i pobór próbek na lodowcu. Pogoda trochę się poprawiła i już tak nie pada. Z napiętej atmosfery w Bazie uciekli na chwilę Wadim Smirnow z Anią oraz elektrotechnikiem Zbyszkiem Heydą. Przywieźli płachtę do przykrycia dachu, benzynę i akumulatory do radiostacji. Po dwóch dniach pobytu u nas musieli wracać z powrotem.

Kolejny epizod z dostarczaniem ładunku miał miejsce 22 lipca, kiedy statek „Norssel” zawiadomił, że wiezie zaopatrzenie. Nadzieje mieszkańców Bazy zamieniły się znowu w rozczarowanie, ponieważ zamiast całego kontenera statek przywiózł tylko parę drobiazgów oraz informację, że kontener z prawie całą zawartością płynie właśnie do Anglii. Ten, po okrążeniu kawałka świata, w końcu przypłynął do Hornsundu 29 lipca. Mamy nareszcie nasze liny, żywność, narzędzia i przyrządy. Pomagamy w rozładunku statku na brzeg. Statkiem z Tromsø przypłynęła także brakująca blacha ocynkowana, na drugą połowę dachu Werenhusa. Przy dużej pomocy mieszkańców Bazy ładujemy większość materiałów i wyposażenia na konwój małych łódek i przy słonecznej pogodzie, na długiej, oceanicznej fali przemykamy się pomiędzy ogromnymi pływającymi górami lodowymi po morzu, na północ do Hytteviki. Następnie naszą małą łódką „Majką” przewozimy beczki i blachy do Zatoki Nottingham i pod prąd rzeki lodowcowej ciągniemy łódkę z ładunkiem najdalej jak się uda. Dalszy etap polega na załadunku około 100 kg ładunku na dmuchany ponton. Zaprzęgnięci do taśm ciągniemy ponton w górę rzeki, aż do ujścia Bratteggi. Na ostatnim odcinku nosimy ładunki na plecach. Na początku nadmuchiwany ponton ciągnął sam Pepa. Do transportu ostatnich pojemników i wszystkich blach, które ważą mocno ponad 150 kg, zaprzęgamy się do pontonu we dwójkę. Jest to straszna mordega, brodzimy w nurcie mętnej wody i zapadamy się w błocie i drobnych osadach rzeki lodowcowej. Od potoku Brattegg większość ładunku do domku nosiła w partiach Lenka, w plecaku lub nosilkach. Jest godzina 4 rano, zabezpieczamy na trasie pozostałe materiały przed wodą i niedźwiedziami i bardzo zmęczeni idziemy spać do naszego Werenhusa. Przez cały następny dzień ciągniemy materiały po rzece. W końcu mamy w stacji wszystko, co nam jest potrzebne.

Naprawa dachu

W następnych dniach prace na dachu nabrały rozmachu. Poszycie dachu nad przedsionkiem, który został dobudowany później (w 1980 roku) jest w całkiem dobrym stanie, więc tylko się je naprawia. Ściągamy całą papę i żmudnie wyciągamy wszystkie gwoździe. Z blachy wycinamy pasy o wymiarach 0,5×2 m i falcowaniem łączymy je według potrzeby na długie płachty odpowiadające długości dachu. Potem robimy na obu stronach fugi, pas mocujemy do nowo zrobionej kratownicy

dachu, a po dołożeniu kolejnego bocznego pasa połączenie blach zawija się dwa razy jak roladę.

Następnie po kawałku rozbieramy dalsze listwy dachu, demontaż jest bardzo prosty. Trudno zrozumieć, jak takie przegniłe drewno mogło to wszystko utrzymać. Dach i ściany domku są zrobione, jako elementy konstrukcyjne, z drewnianych paneli o rozmiarach 1×2 m, gdzie ramę tworzą beleczki 6×4 cm z podbiciem falcowanymi deskami o grubości 2 cm. Pojedyncze panele są połączone długimi śrubami i nakrętkami. Od dołu ramy są obłożone krótkimi heblowanymi deskami, izolację tworzą płyty styropianowe. Jedynie w kalenicy dachu i w miejscach połączenia dachu ze ścianą są przeciągnięte nośne belki 8×8 cm.

Ramy paneli, wierzchnie deski, a także części nośnych belek są bardzo przegniłe, miejscami ich już nie ma. W rozebranej części dachu robimy z nowych belek i desek nową więźbę. Do ocieplenia wykorzystujemy stary styropian i przekładamy go do nowej konstrukcji. Na przygotowaną w ten sposób część dachu mocujemy pasma blaszanego pokrycia. Trzymamy się polecanej praktyki z Karkonoszy i robimy pasy o maksymalnej szerokości 42 cm. Jest to bardzo ważne w rejonach z dużymi prędkościami wiatrów. Blaszane pokrycie jest zakotwiczone do kratownicy dachu przy pomocy pasków blachy, które są przybite do desek podbicia i zafalcowane w połączeniu. Jeśli kładzie się szerokie pasy blachy, co jest o wiele wygodniejsze i szybsze, przy silnym wietrze, pod wpływem powstającego podciśnienia i turbulencji, dochodzi do wibracji i po pewnym czasie paski mocujące pękają i w końcu cała blacha z dachu odlatuje jak wielka blaszana płachta. Nowo zrobione blaszane pokrycie dachu Werenhusa jest mocowane w rogach kwadratów o wymiarach około 42×40 cm.

Podczas budowy nowej konstrukcji nośnej dachu musimy poradzić sobie z dużą ilością drobnych problemów wynikających z konieczności powiązania nowej konstrukcji z oryginalnymi elementami budynku. Wspólnie z Wadimem Smirnowem i Ryśkiem Morozem, którzy przyjechali na dwa dni, aby nam pomóc, obmyślamy sposób, a następnie dokładnie izolujemy przejście komina przez drewniany dach.

W międzyczasie Pepa instaluje nową elektrownię. Jest to jego własny wynalazek złożony z różnych części konstrukcji i przyrządów wyrzuconych za Werenhusem. Zbigniew Heyda wymyślił sterownik i poskładał go również z tych niepotrzebnych części. Faktyczną produkcję energii elektrycznej zapewnia stary alternator z ciągnika. Dużą część pracy wykonali też mechanicy z Bazy, przyłączeniu tych różnych części w jedno funkcjonujące urządzenie. Do prostowania i akumulacji energii wykorzystywany jest duży akumulator samochodowy. Elektrownia ma regulację dla różnej wysokości wody w potoku. Dzięki systemowi dźwigni Pepa może ją obsługiwać nawet samodzielnie. Wydajność całego urządzenia aż nadto wystarcza na dostarczenie energii dla radiostacji, która dzięki temu pozostaje cały czas włączona, laptopów, przenośnych drukarek, a jeszcze pozostaje rezerwa na oświetlenie podczas jesiennych wieczorów.

Praca na dachu jest męcząca i w polarnych warunkach przebiega o wiele wolniej, niż planowaliśmy. Musimy brać pod uwagę aktualną pogodę, ponieważ przy silnym wietrze operowanie ostrymi i dużymi arkuszami blachy jest bardzo niebezpieczne. Odkryte części dachu przykrywamy płachtami zabezpieczającymi przed deszczem. Utrzymanie ich na dachu przy silnym wietrze jest dość problematyczne. Nasz główny program na lodowcu musieliśmy w czasie remontu częściowo ograniczyć i jedno z nas stale dogląda domku.

W sumie przy rekonstrukcji dachu trzy osoby pracowały przez około 40 dni. Dokończeniem prac musieli zająć się Pepa i Lenka. Dla mnie wyprawa zakończyła się nieoczekiwanie i bardzo dramatycznie. Ale taki jest Spitsbergen.

Wypadek

Pod koniec września już całkiem dobrze zamarzało na lodowcach. To są warunki, na które czekamy, ponieważ możemy zacząć eksplorację studni i jaskiń lodowcowych z mniejszym ryzykiem niż latem. Pozostawało dokończyć ostatnie prace na dachu Werenhusa. Brakującą części materiałów właśnie przywieźliśmy z Bazy. W warunkach zbliżającej się zimy miało to być ostatnie pływanie. Trzeba było tylko popłynąć łódką do Bazy, a potem przez lodowce wrócić do Werenhusa.

W pamiętny wieczór 26 września 1996 roku niebo było zachmurzone, a z lodowca wiał wiatr. Około 17 zaczyna się już szybko ściemniać. Opuszczamy łódkę na wodę i razem z sejsmologiem i radiooperatorem Piotrem Battke, wypływamy na ostatni rejs powrotny do Bazy. Ostrożnie przepływamy przez obszar pełen skałek, między wybrzeżem Hytteviki a wysepkami Dunöyane i wypływamy dalej, w pełne morze.

Na całej długości naszej trasy wystają od wybrzeża daleko w morze ostre skały, tzw. szkiery, które znajdują się tuż pod powierzchnią wody i stanowią duże zagrożenie nawet dla lekkich łódek. Dlatego wypływamy na więcej niż milę od brzegu. Jak tylko przestały nas zasłaniać wysepki Dunöyane, pojawiły się długie fale. W wieczornej szarówce mijamy kilka mniejszych kier lodowych, a lekka łódka ślizga się po powierzchni morza.

Dziób nieobciążonej łódki podnosi się aż do szarych chmur, co pogarsza mi widoczność. Posyłam Piotra na dziób i wyważenie łódki od razu się polepszyło. Ustawiam sobie pod nogami kanister z benzyną i przewody doprowadzające benzynę. Mijamy dolinę pod Gangpasset i w przyzwoitej odległości płyniemy wzdłuż linii brzegu. Nic nie wskazuje na to, że następne sekundy tak bardzo zmieniają moje życie.

Staram się obserwować przestrzeń przed łódką, kiedy nagle, na krótką chwilę, zgąst silnik. Z następnych zamglonych widoków pamiętam tylko silnik z wirującą śrubą z tyłu łodzi, rękę, z której zwisają długie strzępy rękawa i potem już tylko grobową ciszę ... Stoję na rufie i z oddali zaczynam stopniowo słyszeć szum morza. Wszystko pozostałe, co się wydarzyło w międzyczasie, miłosierny mózg

pod wpływem bólu po prostu wykasował. Zaskoczony patrzę na bezwładną rękę i przestraszonego Piotra. Mam tylko jedno życzenie, abym się już z tego strasznie-
go snu przebudził. Łódka w lodowatym wietrze przesuwają się nad grzbietami fal, a ja coraz bardziej uświadamiam sobie jak okrutna jest ta rzeczywistość. Z ręki leje mi się krew, a długie strzępy, które z niej wiszą, to nie strzępy materiału, ale mięso. Piotrek ciągle siedzi na dziobie łódki i w ogóle nie reaguje na moje prośby, że potrzebuję kawałek liny. Musi to być dość tragiczny widok. Po chwili jednak zbiera się w sobie i pomaga mi w opatrzeniu ręki. Fale igrają z nami i wiatr unosi nas na otwarte morze.

Rozglądam się po łodzi i mówię Piotrkowi, żeby wyciągnął radio. Szukam silnika. Nie ma go w łódce, a linkę wiszącą na boku łodzi, która jeszcze przed chwilą mocowała silnik, wyciągam z wody z rozplecionym końcem. Piotrek wydobył z beczki radio i próbujemy się połączyć z Bazą. Po drugiej stronie jest jednak cisza. Wiatr nas znosi i z każdą minutą oddalamy się od wybrzeża. Sytuacja zaczyna być krytyczna. Szansa, że natrafimy na początku zimy, na jakiś statek płynący wokół Spitsbergenu jest także równa zero. Przez radio wywołujemy Bazę i Werenhus, ale bez żadnej odpowiedzi. Jesteśmy od nich zbyt daleko. Jedynym ratunkiem dla nas obu jest Piotrek, który ciągle nie może uwierzyć w to, co się stało. Chętnie jednak siada do wiosł i obraca łódkę dziobem do wybrzeża. Wiosłuje dosłownie o życie, a o moje na pewno. Siadam na rufie i próbuję się ponownie połączyć z Bazą lub Werenhusem. W miarę upływu czasu przechodzę na ogólne wzywanie SOS. Nikogo jednak nie ma w zasięgu, żadnej odpowiedzi. Piotr napiera na wiosła ze wszystkich sił, ale dotąd nie zauważyłem, abyśmy się przybliżali do brzegu. Pomagam mu przynajmniej z utrzymaniem kierunku.

Siedzę na rufie, ręka stopniowo dochodzi do siebie i piekielnie boli. Na wołanie o pomoc nikt w radio nie odpowiada, dalsze wzywanie pomocy nie ma sensu, więc ograniczam się do sporadycznego nadawania sygnału SOS przyciskiem mikrofonu, a w końcu wyłączam radio. Może będzie jeszcze potrzebne. Wiatr trochę łagodnieje, w ciemności rozpoznaję na falach białe pasy spienionej wody. W normalnych warunkach byłby to dosyć nieprzyjemny widok, zwiastujący komplikacje i niebezpieczeństwo. W naszej sytuacji to jednak oznaczało, że Piotrek dokonał prawie niemożliwego i po więcej niż dwóch godzinach wyczerpującego wiosłowania przybliżył nas do brzegu.

Staram się znaleźć jakąś drogę pomiędzy skałkami i spienioną wodą, ale przybój tylko igra sobie z łódką na wiosłach, a usilne wiosłowanie Piotra tylko w niewielkim stopniu wpływa na nasz kierunek płynięcia. W niektórych momentach wydaje się, że musimy się rozbić o wystające skały, ale naraz nas zabiera kolejna fala i przenosi przez skalny grzbiet, do kolejnej rozpadliny z głębszą wodą. Do brzegu brakuje nam jeszcze kilkaset metrów, ale przybrzeżny pas gór chroni nas już przed silniejszym wiatrem. Wszędzie wokół woda się dosłownie gotuje. Wystarczy jedno uderzenie o skałki, a nasza łódka pękałaby jak skorupka orzecha. Szczęście oraz wszystkie dobre duchy północy są z nami.

Piotrek wiośtuje, jak tylko jeszcze może, staram się mu pomóc przynajmniej nawigowaniem, ale w rzeczywistości jesteśmy tylko obserwatorami przebieganych wydarzeń. Jakimś cudem przedostajemy się przez kolejny pas szkierów i przed nami otwiera się wąski przesmyk ze spokojniejszą wodą, osłaniany skałkami, które właśnie pokonaliśmy. W ciągu kilku chwil dopływamy do małej kamienistej plaży. Jest właśnie odpływ, od wału burzowego dzieli nas jeszcze kawałek płaskiego wybrzeża.

Z ulgą wychodzimy na brzeg i wyciągamy łódkę. Na falach między szkierami nabraliśmy trochę wody, Piotr zużył wszystkie siły przy wiosłowaniu, a ja ledwo stoję na nogach. Ciężką łódkę „Majkę” wyciągnęliśmy ledwo o dwa metry. Jestem niezmiernie wdzięczny Piotrowi, że udało mu się doprowadzić nas na brzeg. Jest wyczerpany i zmęczony.

Piotr Battke nie tak wyobrażał sobie swoją wycieczkę terenową, podczas dwóch dni urlopu między pełnieniem obowiązków radiooperatora i sejsmologa w Polskiej Stacji Polarnej. Chciał obejrzeć okolice Werenhusa i skorzystał ze sposobności, kiedy płynęliśmy tam łódką. Jeszcze dzisiaj słyszę słowa Szefa Stacji, Jurka Giżejewskiego, jak odpowiada na naszą prośbę o pozwolenie na płynięcie: „niech Piotrek płynie z wami, przynajmniej nie popłynie Pipan sam w powrotną trasę”. Przewrotność Jurka była jedną z tych rzeczy, które pomogły mi przeżyć. Bez Piotra bym zginął. Ale mimo dopłynięcia do brzegu na wiosłach, bez silnika, jeszcze nie wygraliśmy.

Próbowałem się trochę zorientować, gdzie właściwie się zatrzymaliśmy, ale w ciemnościach tylko podejrzewałem, że będziemy gdzieś za Gangpasset. Przejrzeliliśmy wyposażenie, które mieliśmy na łódce. Z tych naprawdę potrzebnych rzeczy to było radio i rakielnica. Broni ze sobą nie mieliśmy, uważaliśmy, że na łódce nie będzie potrzebna. Jak głupcy. Piotr wziął radio, sobie zostawiłem rakielnicę. Jest to moja jedyna szansa, żeby na siebie zwrócić uwagę, jeśli uda się połączyć z Bazy z Norwegami i będzie mógł przylecieć helikopter. Wszystko pozostaje na barkach Piotra. Nie najlepiej zna on tutejsze wybrzeże, próbuję mu opisać najlepszą trasę, ale w prawie całkowitych ciemnościach będzie sukcesem, jeśli w ogóle utrzyma kierunek. Pożegnanie jest krótkie, dziękuję za uratowanie i obserwuję, jak znika za skałami w czarnych ciemnościach. Zostaje na wybrzeżu sam z dudniącym przybojem.

W następnych godzinach moim najważniejszym zadaniem jest pozostać przytomnym. Rękę zostawiam na zimnym powietrzu i od czasu do czasu zwalniam opaskę uciskową. Cała zmarzła, ale boli już mniej. Być może wytrzyma tak dłużej. Z przyptywem podnosi się woda i zaczyna unosić naszą łódź, co grozi jej uszkodzeniem. Co pewien czas wyciągam ją z wody na kamienistą plażę tak daleko, jak daję radę. Rufa pozostaje jednak stale w wodzie. Spaceruję po grzbiecie wału burzowego, żeby nie usnąć. Nie chcę oddalać się dalej od brzegu, kapie ze mnie krew i gdyby był w pobliżu niedźwiedź, miałby ze mnie niezły deser. Wiatr mi sprzyja, wieje od brzegu, więc może tu trochę wytrzymam. Dla obrony mam przygotowane

wiosło i wzniesioną skałkę nieopodal. Potem na chwilę siadam po zawietrznej stronie, za wielkim głazem i myślę, co się właściwie mogło stać.

Chwili wypadku w ogóle nie pamiętam, pewne jest, że musiało dojść do zwolnienia lub urwania mocowania silnika. Przyczyn może być kilka, od prostego zwolnienia śrub mocujących stojak silnika na wzmocnionej rufie łódki, aż po uderzenie w jakiś przedmiot, na przykład dryftowe drewno płynące tuż pod powierzchnią, lub nawet zerwanie zawieszenia silnika. W każdym przypadku silnik odłączył się od konstrukcji łodzi i wirującą śrubą ciężko zranił mi rękę, przeciął linkę, na której był uwiązany i spadł na dno morza.

Prawdopodobnie największym moim błędem było to, że podczas układania zbiornika i przewodów paliwa w łódce ściągnąłem linkę bezpieczeństwa i nie nałożyłem jej z powrotem na rękę. Ta linka przy oddaleniu ręki od rękojeści rumpla wyciągnie bezpiecznik i wyłączy silnik. Jest bardzo prawdopodobne, że gdybym linkę bezpieczeństwa po ułożeniu rzeczy w łodzi nałożył z powrotem na rękę, silnik wyłączyłby się wcześniej, a moje rany nie musiały być tak rozległe.

Podczas rozmyślań o minionych wydarzeniach przypuszczałem na chwilę zasypiam. Na szczęście uderzenia łódki o kamienie, znowu uwolnionej przez przyływ, szybko mnie obudziły. Podciągam łódź i wychodzę na wyniesioną skałkę, po czym światłem czołówki wysyłam sygnał wzdłuż wybrzeża na wypadek, gdyby chłopcy z Bazy lub z Werenhusa szli mnie szukać. Mam tylko nadzieję, że przypadkowy niedźwiedź nie potraktuje mojej sygnalizacji jako zaproszenia na późną kolację. Jestem piekielnie zmęczony i chce mi się spać.

Jeszcze wiele razy będę wyciągał łódkę, zanim ujrzę w dali na wybrzeżu błyskające słabe światelko. To mi dodało nowej nadziei, a może nawet trochę siły. Pozostaję na skałce i co chwilę załączam światło, aby nakierować kolegów przybywających z Bazy. Kiedy dobiegają do mnie, prawie ich nie poznaję, ale wiem, że w końcu mogę wyłączyć czołówkę. Opatrują i unieruchamiają moją prawie zamarzniętą rękę, co jest czynnością, przy której szybko przytomnieję.

Nad morzem, stosunkowo daleko od wybrzeża, zauważamy świetlny stożek. Z powodu przyboju i dużej odległości nie słyszymy żadnego silnika, ale to musi być norweski helikopter. W niebo leci kolejno kilka rakiet, ale załoga helikoptera nas widocznie nie zauważa. Dopiero przedostatnia rakietka zwróciła uwagę ratowników na naszą obecność na wybrzeżu, podczas gdy oni szukali nas na morzu. W ciągu kilku chwil helikopter ląduje na wale burzowym, prawie koło nas. O własnych siłach przetrulałem się przez próg otwartych drzwiczek helikoptera i położyłem się na podłodze, na miękkim czerwonym dywanie. Przynajmniej tak mi się w tamtej chwili wydawało. Załoga musiała mnie przez jakiś czas przekonywać, że będzie lepiej usiąść w foteliku. Kolejnych interwencji lekarskich już prawie nie byłem świadomy. Helikopter wystartował, a w dole zostali koledzy, wybrzeże, Werenhus z niedokończonym dachem, ale także ojciec, który w tej chwili jeszcze nie wiedział o wszystkim, co się wydarzyło tej nocy. Z poczuciem ulgi i bezpieczeństwa prawie natychmiast zasypiam.

Kolejne dni i tygodnie mają z Werenhusem wspólne jedynie to, że został w nim mój paszport, pieniądze i potrzebne rzeczy. Co dokładnie się wtedy wydarzyło na morzu prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Pozostaje mieć nadzieję, że z mojego ciężko opłaconego doświadczenia wezmą nauczkę i inni polarnicy, tak na łódkach, jak i na skuterach śnieżnych, które są wyposażone w podobne systemy bezpieczeństwa.

Dokończenie prac na dachu Werenhusa, a także dokończenie programu badawczego wyprawy spadło na Pepę i Lenkę Markovą. W końcu października wszystko było przygotowane do zimy. Na początku listopada, wraz z powrotem do Czech, zakończyła się także wyprawa.

Nieszczęśliwy wypadek z silnikiem łódki odsunął mnie na sześć długich lat od prac terenowych oraz eksploracji lodowców. Ale obserwowałem, co działo się na wszystkich kolejnych wyprawach oraz uczestniczyłem w ich przygotowaniu i zabezpieczeniu. Następne akapity są bardziej podsumowaniem podstawowych, ale również drobnych zmian, którym podlegał Werenhus podczas kolejnych jedenastu wypraw, odbywających się w latach 1998 – 2010.

Niektóre wydarzenia związane z Werenhusem postaram się Wam przedstawić tak, jak je poznałem z bezpośrednich relacji uczestników i bogatej dokumentacji fotograficznej.

Czwarta czeska wyprawa glacijspeleologiczna – Špicberky 1998

Wyprawa w składzie Josef Řehák sen., Marcel Řehák i Marian Pulina korzysta z wygód stacji pod Werenskiöldem do prac nad hydrologią i hydrochemią lodowca. Blaszany dach sprawuje się bardzo dobrze i nie wykazuje żadnych uszkodzeń. W stacji prowadzi się tylko bieżącą konserwację i drobne naprawy drzwi. Po naprawie dachu największym problemem staje się nacisk moreny na tylną część domku i postępujące zawilgocenie i gnienie desek oraz belek zasypanych błotem i kamieniami z moreny. Także potok Brattegk kilka razy wylał i mocno zamoczył dolną część domku. Powstaje dość śmiały plan podniesienia całego Werenhusa o kilkadziesiąt centymetrów wyżej, aby się znalazł nad poziomem wód powodziowych oraz wydostał z zasięgu zjeżdżającego materiału morenowego. Wolny czas po pracy na lodowcu jest poświęcony na szczegółową dokumentację obecnego stanu i projektowanie proponowanych zmian. Będzie trzeba zabezpieczyć nie tylko potrzebne materiały, ale przede wszystkim specjalne narzędzia do podniesienia całego obiektu w powietrze i umieszczenie na nowych fundamentach. Po powrocie z wyprawy całym tym projektem zajmuje się mój brat Standa, który ma bogate doświadczenie z naprawami historycznych drewnianych chałup w Górach Izerskich i w Karkonoszach. Przygotowuje on wszystko, co potrzebne na kolejną wyprawę.

Piąta czeska wyprawa glacijspeleologiczna – Špicberky 1999

Następna, piąta z kolei czeska wyprawa do wnętrza lodowców Arktyki jest przygotowana na lato 1999 roku. Zgodnie z umową z gospodarzem stacji, Uniwersytetem Wrocławskim, mają być kontynuowane naprawy i zmiany Werenhusa zaplanowane po ostatniej wyprawie. Kierownikiem wyprawy jest znowu Pepa, pałeczkę po mnie i najmłodszym bracie Marcelu, tym razem przejmuje średni brat Standa. Trzecim uczestnikiem zespołu jest Petr Zajíček, speleolog i fotograf z Morawskiego Krasu.

Program wyprawy jest, jak każdego roku, skoncentrowany na długoterminowych obserwacjach zmian w wewnętrznym odwodnieniu lodowca i dokumentacji jaskiń lodowcowych. Ponadto w bieżącym roku jest bardzo napięty plan prac budowlanych w Werenhusie. Tym razem statek zaopatrzeniowy wraz z wyposażeniem potrzebnym na lodowcach oraz żywnością, przywiózł także specjalny sprzęt Standy do podniesienia domku w powietrze. Już sam transport narzędzi, worków z cementem, bloczków betonowych i innego potrzebnego materiału z Bazy do Zatoki Nottingham i dalej, do domku był prawie nadludzkim zadaniem. Ale wszystko udało się skutecznie dostarczyć do Werenhusa, przy wydatnej pomocy kolegów z Bazy.

W pierwszym etapie prac przygotowawczych trzeba usunąć wszystkie materiały zgromadzone pod podłogą domku. Konstrukcja ramy podłogi jest mocno uszkodzona i nie można podnieść na raz całego Werenhusa. Mógłby się rozpaść, a przy złej pogodzie i silnym wietrze zagrażałoby bezpieczeństwu wszystkich mieszkańców. Dlatego Standa postanowił najpierw podnieść, przy pomocy hydraulicznych i grzbietowych podnośników, przednią część domku do wysokości około 60 cm. Środkowa część domku zaczęła się jednak zapadać i łamać, więc musiała zostać od spodu wzmocniona. Podnoszenie domku musiało przebiegać synchronicznie w kilku miejscach jednocześnie. Jak opowiadał Standa, nachylenie domku było podobne do nachylenia pokładu na jachcie „Eltanin” podczas sztormu, tylko tu na szczęście nie kiwało z boku na bok. Ale taka, na przykład zupa, postawiona na stole nie chciała akceptować tej sytuacji i samowolnie opuszczała talerze. Podłożenie puszek konserw pod stół niewiele pomogło, więc trzymało się talerze w rękach albo jadło na zewnątrz. Szkoda tylko, że nie da się tak zrobić na prawdziwym statku – wyjść i spokojnie zjeść gdzieś w pobliżu.

W luce powstałej między ziemią a belkami nośnymi Werenhusa należało wykopać fundamenty, i to aż do skalnego podłoża. W niektórych miejscach występuje skała praktycznie na powierzchni, w innych fundament sięga do głębokości aż 1m. W skale na dnie wykopu Standa nawiercił sporo dziur i włożył do nich szpilki ze stali szlachetnej, uszczelnione zawieszoną cementową, które trzymają Werenhus zamocowany do skały, żeby nie uleciał w porywach wiatru. Cały wykop następnie wypełnił betonem, namieszanym z przyniesionego cementu, piasku z Bratteggi i częściowo ze żwiru z moreny. Do nadziemnej części fundamentów wykorzystuje się specjalnie przywiezione betonowe bloczki, które się także napelnia świeżo

namieszanym betonem. Jest to bardzo ciężka praca, zwłaszcza, że fundamenty pod Werenhusem trzeba wykonywać na leżąco, w luce pod podłogą o wysokości około 50 cm. Pod Werenhusem wybudowano w ten sposób w sumie 17 filarów fundamentów. Wszystkie filary na obwodzie są przymocowane do skały, tylko przy jednym filarze, w północno-zachodnim rogu domku, pod nowo zbudowaną łazienką i spiżarnią, nawet po wykopaniu dziury o głębokości 120 cm nie udało się dotrzeć do skalnego podłoża i fundament osadzono na wielkich głazach.

Podczas budowania fundamentów okazało się, że dolna nośna rama Werenhusa jest na tyle zniszczona, że się łamie i rozpada. Po kilku naprawach Standa znowu podnosi cały domek w powietrze i podkłada pod Werenhus jeszcze jedną ramę nośną z nowych belek. Wszystko jest następnie przy pomocy stalowych pasów mocno przyśrubowane do skał podłoża. Następnie wymieniono lub naprawiono kilka całkowicie przegniłych słupków i części ścian. Po całodniowych naprawach dolnej części przybudówki z ubikacją i spiżarnią Standa zauważył, że górna część, w przestrzeni pod dachem, jest zwęglona i zniszczona. Pepa ponuro ogląda pozostałe belki i mówi: „Jakoś to musisz, Stando, wszystko razem poskładać. Na większe naprawy już nie mamy czasu ani materiału” i odchodzi do rzeki lodowcowej na pomiary i pobór próbek wody. Kiedy po dwóch godzinach wrócił z powrotem, na brzegu Bratteggi leżała już ubikacja i spiżarnia, przewrócone i rozwalone. Pepa nie wierzył swoim oczom, ale w ciągu następnych 22 godzin nieprzerwanej pracy Standa zbudował z pozostałych belek i drewna dryftowego zupełnie nową i wytrzymałą konstrukcję przybudówki z nowym oknem i przygotowanym miejscem na nową łazienkę. Petr Zajíček zapisał wtedy w swoim dzienniku: „Cały dzień Standa kuje w domku, wchodzę wieczorem do śpiwora i Standa ciągle wali, wstaje rano i Standa znowu robi hałas na dachu! “. W końcu udało się Standzie zrobić całkiem luksusową łazienkę i specjalną ubikację, z jednego kawałka dryftowej kłody, po którą Standa pływał aż na wybrzeże niedaleko Steinvikdalen.

Podczas podnoszenia Werenhusa z błota moreny trzeba było odkopać tylną część domku. Dla wzmocnienia zbocza moreny za Werenhusem zaczął Pepa budować z miejscowych kamieni oporowy tarsi, wzmocniony mocnymi kłodami drewna wyłowionymi z morza. Wielkim problemem był jednakże transport tych ciężkich bali drewna.

Dlatego Pepa ze Standą wymyślili nowe ulepszenie i zaczęli wykorzystywać silny wiatr, jeśli tylko wiał w potrzebnym kierunku. Z wielkiego prześcieradła i kilku lin zrobili rodzaj spadochronu, który w porywach wiatru przenosił po morenie nie tylko kłody, ale i Standę oraz Pepę. Całe urządzenie nazwali „Tundroplan”. Dla lepszego manewrowania między głazami a skałkami, doproszono do transportu kłód jeszcze trzeciego uczestnika wyprawy, Petra. Tundroplanem trzeba było jednak kierować, czym się zajął Standa. Natomiast Pepa z Petrem przy pomocy lin przytrzymywali kłodę na wymaganej trasie, a podczas silniejszego wiatru służyli jako dodatkowy balast. Tempo było żwawe i nasza trójka przeniosła w ten sposób większość potrzebnych kłód. Wszystko działało zadziwiająco

dobrze, a jak na Spitsbergen nawet podejrzenie łatwo. Problemy nie dały jednak na siebie długo czekać.

Podczas ciągnięcia jednej z kłód, kiedy Standa trzymając w rękach drewniane tyczki kierujące prześcieradłowym żaglem uskakiwał przed pędzącą kłodą, a Pepa z Petrem starali się cały ten sprzęt utrzymać na wyznaczonej trasie, nadleciał z lodowca mocny i długi poryw wiatru. Wszystko nabrało szybkości i przybrało trochę inny kierunek, niż było to potrzebne.

Leżące niedaleko jezioro morenowe zbliżało się z zawrotną szybkością, a wiatr gnał kłodę i jej żywy balast prosto na jego środek. Kłoda wśliznęła się na powierzchnię płytkiego krańca jeziora i jeszcze przyspieszyła. W tym momencie Petr, chcąc uratować swoje suche buty i ubranie puszcza linę i staje na brzegu. Pepa stara się pomóc Standzie, a widząc, że mu razem z kłodą odlatuje syn, nie dbając o lodowatą wodę w jeziorze trzyma linę, dopóki nie wyrwie mu się z rąk. W tym momencie Standa z kłodą, pozbawioną balastu, przeleciał przez jezioro na drugą stronę tak szybko, że nawet nie nabrał wody do butów, a zawieszony na wspomnianych drążkach sterowniczych uzyskał całkiem przyzwoitą wysokość kilku metrów. Jedynym wyjściem było puścić zbiegły sprzęt i mieć nadzieję, że kłoda nie uderzy w swojego pilota.

Liskowi śledzącemu całą tę sytuację z pobliskich skałek ukazał się dziwny widok. Petr kręci się po brzegu, Pepa niedowierzając stoi w wodzie sięgającej nad kolana, prawie pośrodku jeziora, a Standa tymczasem kończy lot na drugim brzegu i przy upadku rozbija sobie głowę. A uwolniona kłoda? Bez pilota prześcieradło urwało się, a sama kłoda spadła 15 metrów dalej, między kamienie. Na dzisiaj skończyliśmy latanie. Pepa wylał z wody i wylewa wodę z butów, Standa baranicą zatyka dziurę w głowie i razem w trójkę z Petrem, który jako jedyny przeżył nieuszkodzony, odchodzą leczyć rany w zaciszu Werenhusa.

Do końca wyprawy udało się prawie dwumetrową, wysoką ścianą z kamieni i bali umocnić całe zbocze moreny za Werenhusem. W ścianie tarasu Pepa wybudował następnie z bali i kamieni tunel o powierzchni około 1 m², na który mówiło się „Štola”, i który służył przez dalszych 11 lat, jako skład wyposażenia technicznego. Zbudowana obok rura, o średnicy 30 cm, działała przez większość lata jako lodówka. Według informacji zimowników z następnych lat taras za Werenhusem w większości się przydał, ponieważ wiatr nie pozwalał na osadzanie się śniegu w wąskiej luce między ścianą tarasu a domkiem. Dzięki temu Werenhus nie był potem tak mokry. Były jednak zimy, kiedy cała ta luka była zasypała śniegiem aż po dach.

Ostatnim podstawowym ulepszeniem, które udało się wykonać w tym sezonie w Werenhusie był nowy mostek przez Brattegę. Już w poprzednich latach szukaliśmy na wybrzeżu wyrzuconego drewna, głównie desek, którymi umacnialiśmy ścieżkę przez rozmokłą tundrę między Werenhusem, a portem w Zatoce Nottingham. Dwie z tych desek Standa wykorzystał do budowy nowej kładki nad wodospadem przy domku. Aby kładka podczas powodzi nie zatrzymywała spiętrzonej

wody, Standa oczyścił na obu brzegach skałę i wywiercił tam otwory na metalowe trzpienie. Na nich następnie wymurował betonowe podstawy i właściwą kładkę posadził tak wysoko, żeby była nad poziomem wód powodziowych. Następnie za pomocą żelaznych pasów zakotwiczył deski do skały.

Standa zrealizował niełatwe zadanie i przestawił prawie cały Werenhus. Z powodu pracy przy remoncie stacji jednak prawie w ogóle nie działał na lodowcu, i dodatkowo jeszcze musiał Stenda swój pobyt niechętnie przedłużyć. Wyprawa zakończyła się po przyjeździe do Czech, 18 listopada.

Szósta czeska wyprawa glacijspeleologiczna – Špicberky 2000

Ten milenijny rok ma być dla uczestników czeskiej wyprawy trochę wypoczynkowy. Pepa przyjeżdża na Spitsbergen ze swoją żoną Marcelką na początku lipca. Nie są zaplanowane żadne wielkie naprawy, jednak Pepa zabiera się do wymiany uszkodzonych desek w podłodze w kuchni i jednocześnie do ocieplenia podłogi styropianem przywiezionym z Bazy. Prace na lodowcu są skierowane głównie na atmogeofizykę, więc przy pomiarach mocno się marznie. Przydaje się wtedy ciepłe wnętrze Werenhusa.

Marcelka stara się rozsmakować w polarnym życiu, ale ciągle przeszkody w postaci deszczu, zimna i wiatru jej tego nie ułatwiają. Już podczas pierwszego rejsu łódką do Hytteviki, po spojrzeniu na śliczną małą chatkę zwilgotniały jej oczy. „Przecież to jest mniejsze niż niedźwiedź, który stanie na tylnych łapach” powiedziała skromnie, z nieskrywanym respektem przed władcą polarnych krain. Natomiast Werenhus wzbudzał na pierwszy rzut oka o wiele większe poczucie bezpieczeństwa. Marcelka po przyjeździe odważnie zabrała się do sprzątania, generalnych porządków i suszenia wilgotnych rzeczy po zimie.

Przeświadczenie o tym, że Werenhus jest nie do zdobycia trwało jednak tylko kilka dni, dopóki ktoś z odwiedzających domek gości nie opowiedział o niedźwiedziu, który wlaźł do Werenhusa przez górne okienko na stryszku, gdzie jest wielka powierzchnia do spania. Następnie wypadł przez otwór wyjściowy do korytarzyka, prosto między półki z makaronami, marmoladą i konserwami mięsnymi. Taki biały niedźwiedź musiał sobie myśleć, że jest wprost w polarnym raj. Tyle pyszności wokół. Dwa razy się zakręcił w korytarzyku, żeby uzyskać więcej przestrzeni życiowej.

Nie do końca jest jasne, jak długo degustował miejscowe zapasy, ale z całą pewnością wiemy, że między ciastkami i marmoladą przyplątał się mu także czeski proszek do prania Tix. A nie był to jakiś produkt dietetyczny, bez fosforanów, łatwo ulegający rozkładowi w środowisku, jakie mamy dzisiaj. Był to pocziwy socjalistyczny proszek i na pewno pakowany w kraju. Późniejsza ukryta rewolucja w jego jelitach z biegiem czasu zmieniała się w otwartą wojnę, ze wszystkimi jej konsekwencjami. Mocno już nieszczęśliwy miś kręcił się po kuchni, jadalni, i zawitał także do laboratorium.

Kto zna Werenhus to wie, że przeciętny niedźwiedź wypełni prawie całą tą przestrzeń, a na manewrowanie nie zostaje już zbyt wiele miejsca. Odczuła to większość wyposażenia, w tym najcenniejsza, husowa książka – kronika z cennymi zapiskami pierwszych zdobywców tych północnych krain. Miś ją najpierw posmakował, a pozostałą część strącił na ziemię, gdzie stała się ofiarą jego dolegliwości jelitowych.

Niedźwiedź jest bardzo sprytnym i wygodnym zwierzęciem. Brawurowo potrafi rozpakować ciasteczka i otwierać na przykład szklane słoje z gulaszem zamknięte pokrywką na bagniet. Widziałem to na własne oczy, tak samo jak jego sztuczkę z puszką konserw. Trzy razy ściśnie w pysku potężnymi zębami puszkę z konserwą i robi z niej piłkę do unihokeja. Zawartość wessie przez powstałe otwory, a pustą blachę wypłuje.

Problemy pojawiły się, kiedy nasz niedźwiedź chciał sobie poprawić smak po proszku Tix i zobaczył na ścianie, w specjalnym uchwycie, piękną dużą, czerwoną konserwę. Nie potrafię sobie wyobrazić jego zdziwienia, kiedy zamiast mięsa do pyska oraz wszędzie wokół zaczął płynąć gaszący proszek z przedziurawionej gaśnicy. Ponieważ proszek był w pomieszczeniu na wszystkim, była to na pewno ostatnia rzecz, której przy odwiedzinach Werenhusa popróbował. Niedźwiedź, w strachu przed tą straszną konserwą, wybiegł po drabinie z powrotem na stryszek i przez dziurę w oknie uciekł na zewnątrz.

Po wysłuchaniu tej prawdziwej przygody Marcelka utraciła całą wiarę w bezpieczeństwo Werenhusa i nie zrobiła już ani kroku bez broni. Również w śpiworze była przygotowana na odparcie ataku tej silnej bestii. To, że przygoda wydarzyła się wcześniej na wiosnę, kiedy za domkiem była tak duża zaspą śnieżna, że niedźwiedź mógł po niej po prostu dojść do okienka na strychu, które latem jest na wysokości 3,5 m, dotarło do niej dopiero po powrocie do domu.

W domku jednakże dalej dzielnie wypełniała swoje obowiązki i tylko zerkiała wokół i kontrolowała położenie swojej broni. Najlepszym lekarstwem na większość dolegliwości, wliczając w to strach, jest praca, więc Marcelka w przerwach między pomiarami na lodowcach z Pepą zabrała się za malowanie dachu Werenhusa. Kilka dni później przyszedł Leszek Kolondra, katowicki kartograf i przyjaciel, i także dołączył się do malowania dachu. Po dachu Pepa z Marcelką przenieśli się na ściany zewnętrzne, a w końcu na werandę przy wejściu. Marcelka wybrała piękną czerwono-brązową farbę na dach, jasnozieloną na ściany, a ramy okien pomalowała na białe. Wprawdzie wybór nie był aż tak skomplikowany, ponieważ innych farb po prostu nie było.

Przed końcem wyprawy Pepa naprawia kawałek kamiennej ściany oporowej za domkiem, a następnie zabiera się do generalnych porządków w przedsionku Werenhusa. Są tu worki z węglem, pod nimi śmieci jeszcze z zimy i dużo narzędzi oraz starych rzeczy po poprzednich badaniach naukowych. Wszystko sortuje się i porządkuje, dopóki nie ma wolnej przestrzeni. Następnie Pepa osadza belki pod konstrukcję nośną nowego okna, aby można było w przedsionku pracować.

Po kilku dniach pracy udaje się zakończyć ocieplenie części dachu i ścian styropianem. Jeszcze w dniu odjazdu Pepa długo do wieczora kończy osadzanie okna w przygotowanej ramie i jego zabezpieczanie okiennicą.

Po lecie spędzonym w Werenhushu Pepa z Marcelką żegnają się z nim i przy pomocy chłopaków z Bazy, którzy po nich przy płynęli z drugą łódką, wracają do Hornsundu, żeby się zaokrętować na powrotną podróż do środkowej Europy.

Pepa wie, że dopóki to będzie choć trochę możliwe, szybko wróci do Werenhusha. Wie również dobrze, że Spitsbergen nie będzie należał do ulubionych miejscowości wypoczynkowych Marcelki, która ma obecnie rozterkę duchową. Cieszy się z powrotu do domu, ale między nią a słodkim domem jest jeszcze podróż statkiem, kołyszącym się na wzburzonych wodach Oceanu Arktycznego.

Nie każdego rejonu polarne przyjmą i do niego przemówią. Jeśli się tak stanie jest to mocne, intensywne i na długi czas. Wtedy człowiek poświęca dużą część siebie na podróż po spienionych falach północnych mórz, aby znowu mógł poczuć zapach tej surowej, pięknej przyrody.

Siódma i ósma czeska wyprawa glajospieleologiczna – Špicberky 2001, 2002

Główne prace przy przebudowie Werenhusha są zakończone. Nie, żeby nie było co ulepszać czy naprawiać, ale po poprzednich pięciu latach, kiedy na wyprawach priorytetem było uratować i naprawić naszą bazę, możemy się w pełni poświęcić pracom terenowym.

W tych dwóch letnich sezonach Pepa wychodzi na lodowce w towarzystwie już doświadczonego polarnika Standy. Nie tylko ich wspólnym marzeniem jest przygotowanie wyprawy, która będzie na Spitsbergenie zimować i przez cały czas badać oraz dokumentować wydarzenia we wnętrzu lodowca. Werenhush dzięki swojemu położeniu odgrywa w tych planach znaczącą rolę i jest kluczowym schronieniem dla pracy w lodowcu Werenskiolda. Dlatego w kolejnych latach nieustająco polepsza się szczelność i wytrzymałość termiczną domku.

W roku 2001 Standa nurkuje pod podłogą stacji i wykorzystując dodatkowo włożoną ramę nośną podłogi, przestrzeń pomiędzy nimi ociepla płytami styropianu. Do wypełnienia przestrzeni między nieregularnymi krawędziami belek z dryftowego drewna wykorzystuje wełnę mineralną Rockwool. Wszystko to następnie przykrywa folią pęcherzykową, a od dołu zabezpiecza warstwą desek. Jest to ciężka i nieprzyjemna praca, w niskiej przestrzeni pod domkiem, z wełną szklaną nad twarzą. Prace zabierają większość wolnego czasu i są kontynuowane podczas kolejnej wyprawy w roku 2002.

W zgodzie z aktualnymi potrzebami, oczywiście prowadzi się też podstawowe prace związane z naprawą drzwi, wodociągu, komina i innych części stacji naukowej. Przed zakończeniem wyprawy zawsze przygotowuje się domek do zimy,

puszcza się wodę z wodociągu, zabezpiecza okna, utylizuje odpady, przygotowuje trochę drewna i zakrywa komin.

Obie wyprawy przyniosły nową wiedzę oraz znaczące odkrycia podczas badań jaskiń i studni lodowcowych. Wydaje się, że życiodajna woda krąży pod lodowcem również podczas mroźnej i ciemnej polarnej zimy. Coraz bardziej uświadamiamy sobie konieczność szerszego spojrzenia przez ledwo uchylone drzwi tego tajemniczego świata wnętrza lodowców.

Dziewiąta czeska wyprawa glajospieleologiczna – Špicberky 2003

Ten rok jest przełomowy i to z kilku powodów. Podczas ostatnich konferencji o badaniach rejonów polarnych nawiązaliśmy współpracę z Uniwersytetem Południowoczeskim w Czeskich Budziejowicach oraz z Instytutem Botaniki Akademii Nauk Republiki Czeskiej w Trzeboniu. Nasz zwykle dwu lub trzyosobowy zespół poszerzył się o grupę biologów, do 8 uczestników wyprawy przygotowywanej na rok 2003. Ponieważ możemy sobie pozwolić na rozdzielenie pracy na lodowcach na dłuższy okres, tworzymy dwa zespoły obejmujące dwa następujące po sobie etapy. Pierwszy zespół wcześniej zajmie się przede wszystkim transportem przeważającej większości materiałów w pobliże Werenhusa, zainstaluje potrzebne urządzenia pomiarowe i zacznie monitoring wybranych rejonów. Drugi zespół przyjedzie później i kontynuować będzie pomiary, a uzyskane dane wykorzysta do eksploracji systemów lodowcowych.

Ostatnią równie ważną dla nas zmianą po wielu latach, jest zwiększona troska o naprawioną i zrekonstruowaną stację w pobliżu lodowca Werenškiolda. Obłożenie Werenhusa wzrasta, więc naprawy przesuną się aż na drugi okres, kiedy większość letnich zespołów badawczych opuści te rejon. W tym roku, Standa z Klarą, biolożką z naszego zespołu, zabierze się do dokończenia styropianowej izolacji w przedsionku oraz do instalowania drewnianej boazerii na suficie i ścianach przedsionka. Dla regularnych obserwacji meteorologicznych przygotowano klatkę meteorologiczną. Inne prace w Werenhusie nie były prowadzone, zespół zajął się pracami w terenie.

Dziesiąta do dwunastej czeskie wyprawy glajospieleologiczne – Špicberky 2004–2006

Na jubileuszową dziesiątą czeską wyprawę w roku 2004 wyrusza zespół jaskiniowy wzmocniony znowu biologami. Program badawczy jest tradycyjnie bogaty i czasochłonny. Wolne chwile wykorzystywane są na rozebranie przegniłych desek w korytarzyku i w części kuchni. Uzupełnia się ocieplenie styropianem, układa nowe deski na podłodze. Grupa wrocławska przywiozła nowe okno do pokoju przy

werandzie, więc Standa z uczestnikiem naszej wyprawy Szymonem demontują stare okno, naprawiają ramy i osadzają nowo przywiezione okno. Życie we w pełni obłożonym Werenhusie nie jest łatwe, a przebiegające naprawy go nie ułatwiają.

Jeszcze trzeba dokończyć przykrycie dachem przybudówki z łazienką, gdzie w roku 1999 położono tylko prowizoryczny dach z papy, który należałoby naprawić i przykryć blachą. Jednakże w napiętej atmosferze szef wyprawy wrocławskiej Jan Klementowski kolejne remonty uznaje za niepotrzebne. I wedle jego słów dalsze naprawy zespół wrocławski wykona sam....

Pozostały czas wyprawy w pełni przeznaczamy na prace terenie i dokumentowanie studni i jaskiń lodowcowych. Także kolejna czeska wyprawa w roku 2005 w maksymalnym zakresie skoncentrowała uwagę na badaniach terenowych nad systemami odwadniającymi lodowca i możliwością występowania w nich życia.

W sezonie letnim 2006 roku, w Werenhusie, czeski zespół reprezentował tylko biolog Marek Stibál, który kończył badania w programie biologicznym.

Trzynasta czeska wyprawa glacijspeleologiczna – Špicberky 2007

Wyprawa w roku 2007 jest trzynastą z kolei. Pepa ma problemy ze zdrowiem i po raz pierwszy nie jedzie z nami na Spitsbergen. Przygotowania do wyprawy są skomplikowane i długo nie wiemy, czy w ogóle pojedziemy. W końcu udało się wszystkie problemy rozwiązać i 20 sierpnia opuszczamy statek w Hornsundzie. Po miłym przyjęciu w Bazie i przepakowaniu naszych rzeczy wołamy przez radiostację Werenhus. Zanim zdążymy coś powiedzieć, szef wrocławskiej wyprawy Janek Klementowski (albo także Klemens, jak mi się przedstawił przy pierwszym spotkaniu przed laty) ogłasza, że Werenhus jest pełny i żebyśmy tam nawet nie przyjeżdżali ... Piękne przywitanie.

Gwoli prawdy muszę jednak powiedzieć, że przy problemach z przygotowaniem naszej wyprawy zabrakło czasu na oficjalne wystąpienie o skorzystanie ze stacji wrocławskiej. Dlatego też uwzględniliśmy w naszych planach ewentualne zamieszkanie w namiotach i do Werenhusa nie możemy sobie rościć żadnych praw.

Dawniej jednak gości w tym rejonie witano w inny sposób. Pamiętam sytuacje, kiedy w Werenhusie wielokrotnie nocowało ponad 20 osób. Oczywiście są to wyjątkowe sytuacje, kiedy na przykład część załogi polskiego statku szkolnego, który co roku przy pływa do Hornsundu, zaskoczyła na trasie wzdłuż wybrzeża paskudna pogoda, ale ciągle chodziło o gości albo kolegów polarników.

Ładujemy bagaże, benzynę i potrzebne wyposażenie do naszej łódki i zmierzamy założyć obozowisko na Kvartsittodden. Szef Bazy, Andrzej Arażny mówi nam, że w Hyttevice był niedźwiedź i rozbił okno, ale jeśli je naprawimy, to ta chata traperska jest przez resztę lata wolna. Jest to atrakcyjna dla obu stron wygodna propozycja. Ta druga strona oprócz nas to traperska chata, która skorzysta, jeśli się

ją przewietrzy i trochę wysuszy. Nie wahamy się długo i przyjmujemy propozycję. Będziemy mieć więcej miejsca niż w namiotach, sufit będzie także nieco wyżej, ponadto atmosfera tej starej myśliwskiej bazy jest zupełnie wyjątkowa.

Z przyjemnością wspominam wizyty w Hyttevice podczas poprzednich wypraw i miłe towarzystwo Jurka Czernego lub profesora Birkenmajera, którzy dla nas, mieszkańców Werenhusa, byli dobrymi i uważnymi sąsiadami.

Okolo drugiej nad ranem przyplitujemy w końcu naszą łódką do zatoczki przed Hytteviką. Już po drodze z niskich szarych chmur spadła śnieżycą i widoczność zmniejszyła się do paru metrów, a chatka jest teraz cała biała. Prawie zlewa się z otoczeniem. Wyładowujemy rzeczy i wyciągamy łódkę w bezpieczne miejsce nad wał burzowy. Jestem trochę zaskoczony, że w połowie sierpnia wszędzie leży warstwa świeżego śniegu, co nie jest oczywiście tak niezwykle, ale nie zdarza się zbyt często. Wokół jest dla mnie także, jak na ten czas, zupełnie nieoczekiwane cicho. Żadnych ptaków, żadnej kwitnącej tundry. Tylko biała cisza. Niewątpliwy dowód, że zima ogłosiła swoje przyjście.

Nasze bagaże zostawiamy na zewnątrz i tylko związujemy je liną, żeby niedźwiedź podstępem nie wyrzucił ich do morza. W końcu po kilku dniach huśtawki i wymiotów na Morzu Grenlandzkim, na pokładzie statku „Norbjörn”, możemy wczłochać się na stabilne łóżko.

Przebudzenie jest piękne. Jest prawie południe i na zewnątrz cieszy oczy błękitne niebo. Słońce świeci i swoim ciepłem przemalowuje tundrę z białej z powrotem na zieloną, lecz teraz z zielonej pozostały już tylko resztki, zaczyna przeważać brązowa. Nawet po stopnieniu śniegu nie znalazłem żadnego kolorowego kwiatka. Pomimo nocnej śnieżycy tundra jest niezwykle sucha, miejscami popękana. Tylko wyjątkowo, szum morza przerywa świergot kilku traczyków, jak się tutaj nazywa małe alki, siedzące na głazach, na stoku nad nami. Prawie wszystkie ptaki odleciały już na południe.

Jestem smutny i rozczarowany, że nie zdążyliśmy przynajmniej na koniec polarnego lata, kiedy dywany z listków polarnej wierzy barwią tundrę na czerwono, podczas gdy zielone kopczyki skalnic o fioletowych kwiatkach jeszcze opierają się pierwszym przymrozkom.

Ptaki w potężnych stadach latały nad morze po pokarm, i z powrotem, jedno stado miało drugie. Następnie w jedną, jedyną słoneczną noc wszystkie naraz wyprowadziły swoje młode na pierwsze loty z gniazda położonego wysoko na skałach, przez zielony pas wybrzeża, aż nad morskie fale. Liski w tę noc biegają po tundrze wzdłuż wybrzeża i zbierają nieszczęsne ptaszki, którym nie udało się dolecieć aż do morza i próbowały przebiec pozostałą trasę. Małe lisiątka nabierają doświadczenia oraz siły od takiego bogactwa jedzenia, przygotowują się na trudne warunki mroźnej zimy. I tego wszystkiego już nie ma.

Ale nie smucę się długo. Nadejście zimy jest właśnie tym, na co czekamy. Podczas lata i pełnej ablacji jest na lodowcu masę wody. Płynie ona w lodowych kanałach i wpada z ogłuszającym łoskotem do głębokich studni. Niektóre stud-

nie mogą się całkowicie wypełnić wodą, z innych, w pewnych okolicznościach może woda wypływać na zewnątrz. Główny, centralny system odwadniającym lodowiec jest jednocześnie jego siłą napędową. Napęnia się wodą i wspomaga lodowiec na jego drodze w dolinę. W takich sytuacjach nie jest bezpiecznie wsadzać nos do lodowca. Z nastaniem zimy jednak ablacja na lodowcach prawie ustaje i do studni wpływa niewiele wody. Teraz jest nasz czas i możemy się zajmować tym, co najlepsze w glajospeleologii – badaniem i odkrywaniem nowych kanałów i studni wewnątrz lodowca.

Z moich rozmyślań nad zwariowaną pogodą tego roku wyrywa mnie zgromadzenie przed Hytteviką. Pakujemy rzeczy i wychodzimy na lodowiec. Po drodze zatrzymamy się w Werenhusie, osobiście powitać Klemensa i podziękować za gorące przywitanie. Głównie jednak potrzebujemy wyjąć liny i sprzęt na lodowiec, z naszego depozytu w tunelu za domkiem. Niedźwiedź, który rozbił nam okno i po swojemu zrobił porządek w chacie, kręci się tu wokoło, dobrze będzie zabrać amunicję i jakieś petardy z naszych zapasów w Werenhusie.

Znowu wędruję tą prawie niewidoczną ścieżką, między białymi kwarcytowymi skałkami i kieruję się razem z pozostałymi uczestnikami naszej wyprawy do jeziora Pikedammen. Za mną idzie brat Standa, za nim nasz beniaminek Anka Haczek, a od tyłu cały zespół zabezpiecza doświadczony polarnik Szymon Kostka. Skręcam ze ścieżki bardziej w prawo, żeby dojść pod wał niwalny na skraju jeziora. Spoglądam na horyzont i przez niski brzeg mam lustro jeziora prawie na poziomie oczu. Z tych miejsc zwykle obserwowałem stada gęsi bernikli, jak startują po wodzie i ponad niskim brzegiem przelatują do doliny i nad morze. Dzisiaj jezioro jest puste. Gęsi wyprowadziły młode i odleciały do ciepłych krajów, podobnie jak trzczyki. Tylko jedna osamotniona mewa pluska się w płytkiej wodzie na skraju jeziora, kawałek przede mną. Dochodzę prawie do brzegu, więc jak tylko mnie zauważyła, z wrzaskiem odleciała na pobliskie skałki. Na ciemnej tafli jeziora odbija się błękitne niebo ze strzępami szarych chmur na horyzoncie. Powierzchnia pofalowana przez zagubioną mewę pomału się uspokaja, a obraz stopniowo się wyostrza. Już wiele razy stałem w tym miejscu i za każdym razem cała ta sceneria mnie po prostu zachwycała. Na horyzoncie wznosi się do nieba długi, ostry i prawie poziomy grzebień góry Jens Erikfjellet, na lewo przed nim, dalej na horyzoncie, białe czoło lodowca Torell, z którego wyrasta na kilometr wysoki szczyt z dwoma wierzchołkami góry Raudfjellet. Trochę niżej jest brązowy prążek moreny bocznej, który spływa z jeszcze cieńszej linii brzegu jeziora. Dalej, aż do mych nóg fałduje identyczny obraz, tylko jest to świat do góry nogami i obrócony w odwrotną stronę. Czasami czuję się, jak w tym jeziornym świecie. Wszystko jest odwrotnie, niż by mogło być. Ale tutaj, tutaj na północy odczucie takie nie było tak rzadkie.

Stopniowo schodzimy od jeziora w dół, do Werenhusa. Na tundrze, kawałek od potoku, stoją drewniane palety, na których pakuje się śmieci do beczek. Palety w zimie zabezpieczają beczki przed przymarznąciem do tundry. Dzięki temu można je załadować na sanie i zawieźć śnieżnym skuterem do Bazy, a wiosną

do Europy, do likwidacji. Teraz jednak beczki są przewracane, a ich zawartość jest częściowo wysypana. Czyżby był tu z wizytą ten sam niedźwiedź, który tak chętnie sprząta i rozbija okna?

Dochodzimy do Werenhusa. Domek wygląda całkiem dobrze. Jedyne łoskot wodnej elektrowni Pepy zastąpił panel słoneczny przykręcony przy oknie. Nikogo tu nie ma, wszyscy muszą być w terenie. Idziemy za Werenhusa do „Štoli”, tunelu w ścianie oporowej z potężnych bali otoczonych kamiennym tarasem. Nasz tunel jest odporny na niedźwiedzie. Dlatego się dosyć dziwimy, kiedy nasze oznaczone beczki i materiały techniczne znajdujemy w różnych miejscach wokół Werenhusa. Pokrywa z wielkim czerwonym napisem DEPOZIT CZ. stoi luźno oparta o otwór tunelu. Po jej odsłonięciu spoglądamy na kilka palet jajek, wędliny i kolejne beczki z żywnością. Oznaczona beczka Szymona stoi pusta przed agregatownią.

Pozostawiamy wszystko na swoim miejscu i z mieszanymi uczuciami odchodzimy na lodowiec, żeby obejść wszystkie wywierzyska, pola nalodziowe, studnie przy czole lodowca i wejścia do jaskiń. Wykonujemy także kartowanie czoła lodowca.

Po powrocie z lodowca, późnym wieczorem, zostaliśmy poinformowani, że do Werenhusa nie wejdziemy, ale możemy ugotować sobie herbatę, złożyć rzeczy w przedsionku i używać narzędzi w warsztacie. O tym, kto porozrzucił nasze poskładane rzeczy nikt nic nie wie. Kiedy przyjechali wrocławiaczy, już tak było. Ach te niedźwiedzie, ciągle coś narozrabiają.

Wyjmujemy z beczek potrzebne materiały, zbieramy i sprzątamy nasze rzeczy i wzdłuż wybrzeża wracamy do Hytteviki. Słońce schowało się za grzbietem Jens Erikfjellet i jest całkiem chłodno. Także nam robi się zimno podczas drogi powrotnej. W zatoce pod Hytteviką tworzą się jakieś dziwne fale. Po chwili jednak zauważamy, że jest to stadko wielorybów i długo je obserwujemy. Tego nie widzielibyśmy w Werenusie.

Podczas kolejnych dni staramy się wykorzystać dobrą pogodę i chodzimy wszyscy pracować na lodowiec Werenskiolda. Niekiedy przechodzimy do doliny Tone i do lodowca Nann. Wracamy z reguły następnego dnia, między godziną trzecią a szóstą rano. W większości idziemy samotnie, w swoim tempie, zachowując jednak takie odległości, byśmy się mogli wzajemnie widzieć.

Po całodniowej pracy w zimnej wodzie, przy kartowaniu jaskiń, nie ma już ani siły, ani ochoty, na dyskusję. Każdy niesie ten swój piekielnie ciężki plecak i kątem oka obserwuje okolicę, czy nie wynurza się gdzieś biały misiek. Co zrobić, gdyby miał nasze rzeczy z depozytu? Jednocześnie obserwujemy kolegę za sobą, czy jeszcze idzie. Często rozmyślam nad tym, ile tego człowiek wytrzyma, i mam sprawdzone, że co najmniej dwa razy więcej, niż przypuszcza. Przekonuję się o tym przy każdym powrocie z lodowców, kiedy ostatkiem sił dochodzę z lodowca do Werenhusa, ostrożnie przechodzę po chodniku i kładce przed werandą i uświadamiam sobie, że do Hytteviki to mamy jeszcze raz tak daleko. Ostatecznie i tak zawsze wszyscy dochodzimy aż do swojego śpiwora.

Kolejnego dnia, kiedy opracowujemy zdobyte dane i przygotowujemy sprzęt, dla odmiany obserwujemy sąsiadów, jak z Werenhusa chodzą za Hyttevikę badać pingo i kartować profile. Po prostu jeziorny świat.

Z początkiem września zakończyliśmy większość zaplanowanych prac w rejonie Hornsundu. Przygotowujemy kilka naszych beczek do transportu statkiem „Horyzont II” do Bellsundu, a sami z plecakami wychodzimy wraz z kolegami z Polskiej Stacji Polarnej w rejon góry Raud i dalej przez lodowce do oddalonego o 70 km Bellsundu. Tam, do początku października kontynuujemy badania i następnie już bezpośrednio odpływamy do Europy.

Czternasta i ostatnia czeska wyprawa glacijspeleologiczna – Špicberky 2010

Rok 2010 jest ostatnim rokiem wieloletniego projektu badania zmian odwodnienia lodowców subpolarnych, który Pepa zgłosił w roku 1993 do międzynarodowego projektu badawczego Spitsbergenu w Norsk Polarinstitut w Oslo. Niestety nie doczekał zakończenia swojego programu. Wiele lat walczył z rakiem i dzięki swojej wytrzymałości oraz twardości zadziwił wielu lekarzy. Pomimo ich ostrzeżeń wyjeżdżał na wyprawy na lodowce, do Hornsundu, do Werenhusa. W porównaniu z nami, znacznie młodszymi, nie interesowały go ekstremalne wyniki sportowe, jego tempo było rozważne, czasem zatrzymał się i obserwował krajobraz, rzeźbę lodowca albo nowe linie spekań przy czole lodowca. Przy tym ciągle pracował, znajdował kontekst i relacje pomiędzy poszczególnymi procesami i miał wyraźną wizję, jak co funkcjonuje i jak będzie wyglądało za parę dni, za rok. Tempo swojej pracy regulował z rozważą. W pracy był niewiarygodnie wytrwały i odpowiedzialny.

Były to kraje polarne, ostre powietrze słone od morskich aerozoli nasycających powietrze podczas sztormów na wybrzeżu i przemieszczających się z wiatrem w górę doliny. Były to czerwone zachody jesiennego słońca za sylwetką jego ukochanej góry Raud, odgłosy ptaków i cisza nadchodzącej nocy polarnej. Był to ciemny zarys Werenhusa na zboczu moreny, który wabił swoim ciepłem i udogodnieniami przy powrocie z Torella i dalszych terenów eksploracji. Był to ten Werenhus, który Pepa wypieścił z zaniedbanej i przegniłej chatki, do trwałego i stabilnego domu przygotowanego do zimowania.

Było wiele innych rzeczy, które były sensem polarnego życia Pepy, i jednocześnie przenikały do wszystkiego wokół niego. To wszystko Pepę w niesamowity sposób napełniało energią i dodawało mu sił do dalszej walki z cywilizacyjnym chaosem, terminami i ciągłym pośpiechem naszych czasów. Po powrocie z wypraw tryskał energią i entuzjazmem, poprawa zdrowia była widoczna również po badaniach lekarskich. Kolejne komplikacje zdrowotne uniemożliwiły mu jednak uczestniczenie w wyprawie w roku 2007, a po prawie dwudziestoletniej walce z rakiem, pod sam koniec 2008 roku, odszedł do polarnego nieba.

Skoro jesteśmy przy polarnym niebie, wspomnieniach i Werenhusie, nie można nie wspomnieć o długoletnim przyjacielu Pepy i znanym polskim naukowcu Marianie Pulinie. To właśnie Marian przywiódł Pepę do surowo pięknych polarnych krain, on mu pierwszy opowiadał o Werenhusie i zagadkowym, dotąd niepoznanym świecie wewnątrz lodowców. Był to także Marianek, jak go Pepa często nazywał, który pozwolił powstać jeszcze jednemu Werenhusowi, głęboko na przedpolu dawnego, ustępującego kontynentalnego zlodowacenia.

W położonym na południu Polski Sosnowcu, za domem Mariana i Marii Pulinów, wyrósł na przełomie tysiącleci mały domeczek nazywany także Werenhussem. Inspiracją był jednoznacznie jego starszy imiennik z doliny Bratteggdalen. Nie chodzi jednak o podobieństwo z polarnym Werenhusem, ale raczej o stworzenie małego świata wspomnień, wysepki spokoju i atmosfery, gdzie można uciec przed zgiełkiem współczesnych czasów i w spokoju opracowywać te liczne dane pozyskane na wyprawach. I po raz kolejny przeżywać chwile wzruszenia badacza polarnego.

Ani Pepa, ani Marian nie doczekali roku zakończenia programu badawczego czeskich wypraw polarnych, nad którym spędzili sporo czasu, w namiętych dyskusjach podczas ich przygotowywania. Było naszym obowiązkiem oraz punktem honoru zrealizować ich sny i plany w postaci czternastej, czeskiej glacijspeleologicznej wyprawy polarnej „Śpicberky 2010”. Wierzę, że z uzyskanych wyników tej wyprawy, która była poświęcona pamięci Pepy, są oni zadowoleni gdzieś tam na górze, w niebiańskim Werenhusie.

Nie wybiegajmy jednak do przodu i przyglądnijmy się bliżej wyprawie i Werenhusowi w roku 2010.

Wypływamy na spokojne fale fiordu około południa 17 sierpnia 2010 roku. Mamy za sobą niespokojną podróż morską z Norwegii i w ciągu minionych dwudziestu godzin, po wyokrętowaniu z „Norbjörna”, przejrzelśmy cały nasz bagaż spakowany w pojemniki, które przypłynęły wcześniej z Polski na statku „Horyzont II”. Przyjęcie w Bazie było serdeczne i bardzo przyjemne. Miło jest spotkać znajome twarze z wcześniejszych wypraw i wiedzieć, że w razie potrzeby można liczyć na pomoc. Teraz jednak pomocy potrzebują nasi przyjaciele z Bazy, przy wyładunku części zaopatrzenia ze statku kotwiczącego w fiordzie. Oferujemy więc swoją pomoc i włączamy się do pracy.

Baza, jako jedyna nieprzerwanie pracująca stacja w rejonie południowego Spitsbergenu, jest całkowicie zajęta przez polarników z różnych uniwersytetów. Wszędzie panuje roboczy zapał, więc staramy się, po udzieleniu pomocy przy wyładunku zapasów dla zimowników, jak najszybciej przygotować się do dalszej drogi w rejon lodowca Werenskiolda, do Zatoki Nottingham.

Na drogę do niedalekiej Hyttreviki wypływa z nami także drugi ponton, z badaczami z Polski i Luksemburga. Jesteśmy zadowoleni, bo zawsze jest wygodniej połączyć siły i płynąć razem w dwie łódki. Morze jest względnie spokojne, a słoneczko na prawie błękitnym niebie przyjemnie grzeje.

Opływamy szpiczasty przylądek Wilczekodden na skraju zatoki, z wysokim drewnianym krzyżem i skałkami wybiegającymi daleko w morze. Wydostajemy się na otwarte morze. Od północy zaczyna się skośnie nakładać na długą falę oceaniczną ostra fala wiatrowa. Po półgodzinie płynięcia w kierunku zachodnim, wiatr zaczyna tworzyć na prawie metrowych falach białe spienione czapy.

Fale rozbijają się o dzioby naszych załadowanych łodzi i bardzo szybko zalewają je morską wodą. Oprócz niższych fal wiatrowych, które w krótkim odstępie czasu uderzają w naszą łódkę, odczuwamy jeszcze falę oceaniczną, o wysokości około 2 m, która przychodzi w regularnych odstępach od 50 do 80 m. W tych warunkach każdy kapitan łódki stara się znaleźć drogę przy podstawach powstających fal i umknąć wysokim grzebieniom wodnym. Nie zawsze się to udaje i co chwilę nasza łódka wyskakuje na falę, za którą jest dwumetrowy dół. Następnie dziób opada w dół, a wraz z nim spadamy my i cały nasz ładunek w beczkach, plecaki i inne rzeczy. Następuje uderzenie o powierzchnię wody, w górę tryskają gejzery wody, którą wiatr niezwłocznie ochlapuje całą łódkę. Jeśli w tym momencie dołączy się również wiatrowa fala, przybędzie w łódce nagle kilkadziesiąt litrów słonej i lodowatej morskiej wody.

Tracimy kontakt z drugą łódką, która znajduje się gdzieś za nami, jeszcze daleko od wybrzeża. Ujrzę ją tylko wtedy, kiedy nasze łódki jednocześnie znajdują się na wierzchołkach fal. U steru na wpół klęczy Szymon Kostka, uczestnik naszej wyprawy i zaprawiony polarnik, nie tylko zresztą na morzu. Zaparty w łódce, jedną ręką kieruje i przemyka się między falami, a drugą bez przerwy wylewa wodę z łódki trzylitrowym wybierakiem zrobionym z plastikowego kanistra. Jego czwórka pasażerów ma pełne ręce pracy, żeby się utrzymać w łódce i nie stracić bagażu. Szymon ma szybki gumowy ponton, który jednak w tych warunkach nabiera więcej wody, niż to jest bezpieczne.

Nasza mała plastikowa łódka typu „Majka” jest o wiele mniejsza, jej kształt jest jednak bardziej przystosowany do morskich fal. Pomimo wysokiego i wydłużonego dziobu, co chwila zanurza się w spienionej wodzie. U steru siedzi brat Standa, dla którego zdecydowanie nie jest to pierwszy bój w takich warunkach i radzi sobie bardzo dobrze. Honza Hloušek jest kolejnym członkiem naszego zespołu. Jest w tych rejonach po raz pierwszy, ale zachowuje się spokojnie i najszybciej jak może, dosłownie wyrzuca wiaderka pełne wody przez burtę naszej łodzi, z powrotem do morza. Ostatnim członkiem naszego zespołu jest Anna Haczek, która miała to szczęście, że musiała zostać w Bazie ze względu na inne obowiązki. Ja jestem zaklinowany na dziobie łódki i mocno trzymam się za liny, którymi powiązane są nasze beczki. W połowie leżę i pod sobą staram się utrzymać nasze plecaki. Własnymi plecami próbuję zasłonić łódkę przed największymi uderzeniami fal, ale wodny pióropusz przelatuje wysoko nad moją głową i zalewa silnik oraz Standę i Honzę na rufie.

W chwili, kiedy wpływamy na grzbiet fali, znajduję się więcej niż dwa metry nad jej wierzchołkiem, aby z powrotem natychmiast zanurzyć do dziury za falą.

Pod nieprzemakalnym kombinezonem mam na szyi mały wodoodporny aparat fotograficzny. Nie odważam się jednak zupełnie puścić lin, nie mówiąc już o rozpięciu choć trochę kombinezonu, żeby wyjąć aparat. I tak przez zapięty kombinezon z neoprenowym wykończeniem, przy każdym uderzeniu fali, przenika przy twarzy do wnętrza znaczna ilość wody. Przy mocnym przeciwwietrze płyniemy już dłuższy czas, ale w stronę brzegu przemieszczamy się bardzo powoli.

Przy jednym z wylotów do góry, do nieba, kiedy wpływamy na kolejną falę widzimy, że Szymon kieruje łódź do brzegu i sygnalizuje, że ma problemy. Nie ma sensu się rozdzielać, więc płyniemy za nim, między szkiełkami, bliżej do brzegu. Kiedy dopływamy do Szymona widzimy, że ma łódkę prawie pełną wody, nie nadszedł jej wylewać. Kolejne fale by go z pewnością w krótkim czasie zatopiły.

Z obu łódek wylewamy wodę, a schronieni na spokojniejszej toni, między szkiełkami wybiegającymi prawie na milę w morze, pomalutku opływamy pojedyncze skały i zbliżamy się do brzegu. Szczęśliwie dobijamy do kamienistej plaży około 2 km za doliną Rev.

Tak więc przywitanie w spitsbergeńskim stylu mamy już za sobą. Dopiero teraz zauważyłem, że Honza jest prawie fioletowy z zimna. Nie wiedząc, co może się wydarzyć na morzu mocno niedoszacował swoje ubranie i dał się zwieść słonecznej pogodzie. Istotnie słońce ciągle świeci, a ukryci pod grzbietem przybrzeżnych gór w ogóle nie przypuszczalibyśmy, że o milę dalej na morzu jest tak dramatyczna sytuacja.

Wynosimy cały ładunek z łódek i oceniamy szkody. Nasze beczki są bardzo odporne i jak widać, oprócz niedźwiedzi wytrzymują także uderzenia fal. Specjalne wodoszczelne worki na plecaki przepuściły trochę wody, ale wszystko przechwyciły ubrania, które wysuszymy. Najważniejsze, że wrażliwy sprzęt, w tym nasze komputery, przeżył to bez szwanku.

Nasi koledzy na drugiej łódce, którzy wybierali się na lodowiec Werenskiolda na pomiary, poradzili sobie znacznie gorzej. W łódce jak w baseniku pływały plecaki włożone do foliowych worków. Kiedy glaciolog z Luksemburga wyjął z plecaka laptop i otworzył go, wylała się z niego słona woda. Kiedy go przewrócił, wylało się jeszcze tyle wody, że aż trudno było uwierzyć, że się mogło tam tyle zmieścić. Nie zrozumiałem dokładnie jego wypowiedzi, ale nie nadawały się zapewne do publikacji. Jedynym rozwiązaniem było szybko wyciągnąć akumulator i cały laptop zanurzyć do pobliskiego jeziora ze słodką wodą. Olivier i jego koleżanka odmówili ponownego wejścia do łódki i piechotą, wzdłuż wybrzeża, wrócili do Bazy.

Suszymy rzeczy, rozbijamy namioty i ustawiamy zabezpieczenia przed niedźwiedziami. Musimy poczekać na poprawę pogody. Na drugi dzień rano już bez większych problemów dopłynęliśmy do Zatoki Nottingham. Zakładamy obóz między skałkami, na podwyższonym płaskowyżu, około 2 km od Werenhusa. Podczas wędrówek w terenie widzimy w różnych miejscach grupki ludzi. Było to tu dotąd dość niezwykle. Idziemy odwiedzić sąsiadów w Hyttevice i zostajemy,

tradycyjnie już, bardzo gorąco przywitani. Nasz długoletni sąsiad Jurek Czerny ze swoimi kolegami zapraszają nas na obiad. Jest ich w małej Hyttveice szóstka, ale kiedy tylko mówimy, że zamierzamy mieszkać w namiotach na Kvartsittsodden, zapraszają nas do siebie. Jeśli wyniosą rzeczy ze składziku, to zwolni się tam miejsce dla nas. Z podziękowaniem odmawiamy i posileni pysznym spaghetti i piwem wychodzimy na obchód lodowca.

Już dochodząc do rzeki lodowcowej jesteśmy zaskoczeni jej bardzo małym przepływem. Na lodowcu stwierdzamy, że ablacja jeszcze się nie zaczęła i wszędzie leży sporo śniegu. Zauważamy wszakże rewolucyjne zmiany w hydrologii lodowca i zaraz robimy dokumentację. Wracamy z lodowca koło Werenhusa. Domek jest zamieszany, ale wszędzie panuje kompletna cisza. Tylko potok Brattegg huczy swoim wodospadem pod werandą. Uświadamiamy sobie, że jest teraz prawie trzecia nad ranem i to jest główna przyczyna zerowej aktywności w domku.

Sprawdzamy pobieżnie ścianę oporową Werenhusa i idziemy dalej na wybrzeże, gdzie mamy namioty. Kładziemy się do ciepłych śpiworów około czwartej nad ranem. Niedźwiedź ma na wszelki wypadek przygotowane zabawki, w postaci beczek ustawionych wokół namiotów i powiązanych liną. W ten sposób określamy swoje terytorium i chociaż kiedyś w to nie wierzyłem, widziałem niedźwiedzie, które to respektowały. Być może, że były to raczej wyjątki, ale nikt nie wie, kto nas odwiedzi. Jest przepiękna pogoda i błogo zasypiamy w spokojnej atmosferze wczesnego poranka.

Następnego dnia po drugiej stronie doliny znowu widzimy grupkę badaczy. Idziemy znowu do Werenhusa, ale ten jest już pusty. Wszyscy pracują w terenie. To są te grupki, które obserwowaliśmy wokół. Chcemy się umówić przez radio na spotkanie z gospodarzami Werenhusa, ale są bardzo zajęci i wykorzystują dobrą pogodę na prace terenowe. Wyciągamy z naszego depozytu za Werenhusem potrzebny sprzęt i wszystko transportujemy do łódki na wybrzeżu. Postanawiamy także skorzystać z ładnej pogody i zmieniamy nasze plany. Cały Hornsund jest na nasze gusta zbyt zatłoczony, więc przeniesiemy się w bardziej północne, mniej dostępne miejsca.

To, że Werenhus będzie pełny i dla nas znowu nie będzie miejsca, wiedzieliśmy już podczas przygotowywania wyprawy. Na nasze zapytanie, czy będzie można na pewien czas skorzystać z gościny Werenhusa, uzyskaliśmy odpowiedź, że przez cały sezon jest całkowicie zapełniony badaczami z własnego uniwersytetu. To zrozumiałe, że jako domownicy mają pierwszeństwo, ale taka odpowiedź boli.

Przenosimy się do Hyttewiki, czekamy na Szymona z Anką, którzy mieli przylecieć już wczoraj z Bazy. Gromadzimy siły, które będą nam potrzebne w nadchodzących dniach i wybieramy potrzebne rzeczy na najbliższy miesiąc pracy. Po przyleceniu spóźnialskich razem wyruszamy w stukilometrowy rejs na północ.

Ostatni raz w Werenhusie

Prawie po miesiącu wracamy z powrotem w rejon Hornsundu. Cały obszar na północ od Revelvy, rzeki płynącej w pobliżu Bazy, jest całkowicie bezludny. Droga powrotna była bardzo trudna, a przeżyte momenty wystarczyłyby na oddzielną książkę. Przy lekkim mrozie nad wodą unosi się para i prawie całą drogę płyniemy we mgle. Także tutaj, w Bratteggdalen wszystko jest zalane białym mlekiem. Gdzieś nad nami przebija błękitne niebo, zaś słońce oświetliło mgłę w taki sposób, że bołą oczy i musimy patrzeć przez okulary lodowcowe. Tak jak to już było wiele razy, dochodzimy z ciężkimi plecakami do werandy Werenhusa. Domek jest zamknięty i pusty.

Więc jeszcze raz, po długim czasie, jesteśmy w domu. Prawie każda belka, każdy załamek blaszanego dachu, każda podstawa fundamentu, czy każdy kamień chodnika lub oporowego tarasu za domkiem przeszły wielokrotnie przez ręce jednego z nas. Tu i teraz jest naprawdę nasz dom.

Oglądamy ze Standą domek. Tylne ściana Werenhusa i dobudówki łazienki zwrócona do moreny jest świeżo obita ciężkim pasem papy i przy dolnej krawędzi obita listwami. W zasadzie niezła robota, jak się później dowiedzieliśmy przede wszystkim chłopaków z grupy technicznej z Bazy. Trochę dyskutujemy ze Standą, czy drewno zakryte papą, bez dostępu powietrza, za jakiś czas nie przegnije. To pokażą następne lata.

Zupełnie nie możemy zrozumieć, dlaczego pozostawiono dziurawy dach nad łazienką i spiżarnią i zupełnie się nim nie zainteresowano. Już w roku 2005 zwracaliśmy uwagę na to, że trzeba tę papę (z braku innego odpowiedniego materiału) położyć na od nowa wybudowaną przybudówkę w 1999 roku, zamienić na trwalsze pokrycie. Kiedy Standa widział mokrą i nadgniłą drewnianą boazerię we wnętrzu łazienki i spiżarni, zbierało mu się na płacz. A jak wygląda konstrukcja pod wewnętrznymi okładzinami nie było widać.

Kończymy przegląd i idziemy usiąść przy stole. Humor nam przynajmniej trochę poprawiła puszka czeskiego kompotu, która przetrzymała w naszych zapasach od poprzedniej wyprawy. Idziemy się położyć pod opiekuńczymi skrzydłami Werenhusa. Po tych wszystkich nocach w namiotach, na kamieniach i lodzie, zasypiamy snem słodkim i sprawiedliwym.

Następnego dnia, mając w świadomości pewność bezpieczeństwa, jakie daje zaplecze solidnego domku, nadrabiamy zaległości z minionych dni w deficycie snu. Wstajemy dopiero koło południa. Szymon z Anką muszą wrócić z powrotem do Bazy. Otwieramy nasz depozyt w tunelu za Werenhusem. Jest w porządku i pozostał nienaruszony podczas ostatnich lat. Tylko nasz rurowy do elektrowni wodnej, zrobiony z płótna, jest na morenie wśród rzeczy przeznaczonych do wyrzucenia, razem z resztkami metalowej konstrukcji do naprawy agregatowi.

Porządkujemy nasze materiały i przygotowujemy do transportu, żeby wykorzystać rejsy łódek i część niepotrzebnych już rzeczy odwieźć do Bazy. Zrywa się

jednak ostry wiatr i natura, jak się wydaje, ma na nasze plany odnośnie pływania po morzu zupełnie inne spojrzenie. Zostajemy w Werenhusie i opiekujemy się swoimi obolałymi ciałami oraz obdartym ekwipunkiem.

Sytuacja w następnych dniach niewiele się zmienia. Panuje całkiem ciepła, słoneczna, lub z częściowym zachmurzeniem, pogoda z bardzo silnym, wschodnim wiatrem. Opracowujemy dane z terenu i porządkujemy wszystkie nasze rzeczy. Nie możemy tracić więcej czasu i zabieramy się za naprawę naruszonej oporowej ściany za Werenhusem.

Już po przyjeździe do Bazy, na początku wyprawy szefowa Anka Kowalska tłumaczyła nam życzenie zespołu wrocławskiego, aby usunąć nasz depozyt ze ściany za Werenhusem. Ich zdaniem przyczynia się do niszczenia przyległej części ściany oporowej. Tunel z depozytem mamy zlikwidować i замуrować.

Teraz, kiedy cały tunel jest uprzątnięty i pusty, szczegółowo badamy powstałą sytuację. Wewnętrzna ściana tunelu jest po obydwu stronach nienaruszona a zatem nie może mieć wpływu na stan otaczającej kamienniej ściany. Ale to miejsce naruszone i częściowo osypujące się, jest tak naprawdę w odległości prawie 4 metrów w kierunku zachodnim od naszego tunelu. Kamienne mury na wschód od tunelu są w porządku. Staramy się rozwikłać zagadkę i wkrótce dochodzimy do istoty problemu. Mur po wschodniej stronie, który jest w porządku, naprawiał Szymon przed kilku laty i podczas naprawy zwiększył nachylenie ściany. Mur po stronie zachodniej tunelu jest oryginalny, postawiony przez Pepę w roku 1999, czyli przed jedenastu laty. Nie zaszkodzi pamiętać, że znajdujemy się w rejonach polarnych, gdzie niszczenie mrozowe, soliflukcja i inne procesy rzeźbotwórcze są powszechne i intensywne. Dlatego i taki oporowy taras, jeśli ma służyć przez dłuższy czas, wymaga okresowej konserwacji.

Przez następne dziesięć dni większość wolnego czasu spędzamy na przebudowie tarasu i замуrowywaniu tunelu wedle życzenia właścicieli domku. Rozbieramy całą uszkodzoną sekcję i przebudowujemy ją z większym nachyleniem. Dla zwiększenia stabilności ściany zmniejsza się jej wysokość aż o jedną trzecią i przy jej podstawie buduje oporowy klin.

Wyższy taras w tym miejscu zbudowano z myślą o podparciu przygotowywanej nowej agregatowni, która miała być drewniana, ale osadzona na metalowej ramie. Wrocławscy właściciele nie uważali tego pomysłu za odpowiedni i pozostawili za domkiem oryginalną drewnianą budkę. Będzie ją jednak trzeba szybko naprawić, bo inaczej się rozpadnie.

Głównym budowniczym nowego tarasu za domkiem jest Standa, pozostali mu kolejno pomagają. Podczas rozbiórki uszkodzonej ściany znajdujemy na morenie wiele starych urządzeń, akumulatorów, narzędzi, a nawet gaśnice i ręczne pompy do wody. Wszystkie znalezione materiały są sortowane i odnoszone na stertę złomu na morenie albo do odpadów, do beczek na tundrze przed Werenhusem. Uprzątamy wszystkie zdeponowane materiały z poprzednich wypraw.

Pomimo naprawy tarasu wychodzimy również na lodowiec i do jego wnętrza, aby dokumentować lokalne jaskinie i studnie. W międzyczasie jesteście poproszeni o pomoc przy wyładunku zapasów żywności, warzyw i wody na zimę dla Bazy i trzy razy aktywnie w nim uczestniczymy. Pod koniec wyprawy przygotowujemy Werenhusa na zimę i 1 października opuszczamy Hornsund na pokładzie statku „Norbjörn”.

Podczas tej ostatniej, zamykającej wyprawy, nasz zespół spełnił dwa wielkie marzenia Pepy. Odkryliśmy krasową jaskinię „Pepa Cave” o długości 82 m, która jest prawdopodobnie najdalej na północ położoną jaskinią na świecie. Po długich latach starań weszliśmy do centralnego systemu odwodnienia lodowca Werenskiolda.

Podczas naszych ostatnich prac w Werenhusie na ścianie pokoju po zachodniej stronie domku, który nazywa się laboratorium, przymocowujemy pamiątkową fotografię Pepy. Wierzimy, że w tym miejscu zdjęcie to może przypominać o jego niemałych zasługach dla ratowania i odbudowy Stacji Glacjologicznej im. St. Baranowskiego.

Podziękowania

Stacja Glacjologiczna im. St. Baranowskiego należąca do Instytutu Geografii i Rozwoju Regionalnego Uniwersytetu Wrocławskiego, nazywana także Werenhusem, jest silnie związana z czeskimi wyprawami na Spitsbergen oraz z początkami glacijspeleologii, jako dziedziny nauki. Werenhuss zapewniał schronienie większości czeskich wypraw, a w zamian otrzymał zainteresowanie w postaci na ogół rozległych remontów, zmian i ulepszeń.

W tym miejscu należy także podziękować wielkiemu zespołowi polarników, którzy zwykle dość ofiarnie przyczyniali się do dobrej kondycji tej przepięknej stacji. Przydaje się po prostu wietrzenie, napalenie w piecu i przynajmniej częściowe wysuszenie domku. Niektórzy mieli przyjemność przywracać Werenhusa do pierwotnego stanu po wizycie niedźwiedzia i nie było to łatwe zadanie.

Wielką pomocą były zimowe transporty materiałów, kiedy zimownicy z Bazy na skuterach z saniami przewozili belki, deski, blachy i wiele innych materiałów przez lodowce aż do Werenhusa lub najbliżej, jak się dało. W sumie łatwo się to pisze, wzięli skutery i przewieźli „to”, ale kto nie próbował kluczenia między szczelinami, piruetów po gładkim lodzie z ciężkimi saniami za plecami, odkopywania skuterów ze świeżego śniegu, podnoszenia przewróconych sań i niekończącego się przestawiania ładunku tylko z trudem sobie wyobrazi, jak to jest trudne i niebezpieczne. Podziękowania należą się wszystkim odwiedzającym, którzy nie ociągali się i przynajmniej krótko pomogli przy naprawach. Nie na końcu są tu mechanicy i zespoły techniczne z Polskiej Stacji Polarnej w Hornsundzie.

Pomagali w naprawach narzędzi i wytwarzaniu potrzebnych części. Pamiętali też o Werenhusie, kiedy w Bazie przeznaczano do likwidacji materiały, które mogły się jeszcze przydać w naszym domku. Podziękowania należą się również właścicielom stacji, że pozwolili nam korzystać z Werenhusa i wykonać tak potrzebne naprawy.

A czego życzyć naszemu jubilatowi, czterdziestolatkowi Werenhusowi? Przede wszystkim dobrej kondycji na następną czterdziestkę, delikatnych niedźwiedzi, oraz łagodnych i miłych gości, którzy zauważą jego usterki i w samą porę je naprawią.

Chętnie byśmy mu także życzyli, żeby znowu poczuł atmosferę wzajemnej życzliwości, przyjaźni, gotowości do działania i chęci pomocy każdemu, kto jej potrzebuje. W obecnych czasach internetu, łączności satelitarnej aż na lodowcu i krótkich wyjazdów od biurka gdzieś w środkowej Europie, na tydzień do polarnych krajów po parę próbek na lodowiec i z powrotem szybko do domu, ranking wartości każdego człowieka szybko się zmienia, ale być może nie jest to życzenie nierealne. Wszakże to jest to, co czyniło północ północą.



Fot. 33. Rok 1988. Przy stole siedzą od lewej: A. Karczewski, W. Szczuciński, M. Burzyk, J. Giżejewski, G. Rachlewicz, M. Pulina, J. Řehak – „Pepa”
(fot. z arch. SPELEO Řehak)



Fot. 34. W gościnie u czeskich gospodarzy „Baranówki”. Pierwszy z lewej J. Řehak jr (fot. z arch A. Witkowskiego)



Fot. 35. T. Łęcarski, K. Miłosz, L. Buchert, zima 2003/2004
(fot. z arch IGF PAN)



Fot. 36. A. Witkowski, M. Popiołek, J. Kotusz, H. Marszałek i M. Wąsik, lato 2005 (fot. z arch A. Witkowskiego)



Fot. 37. J. Klementowski, J. Kuszczner, J. Pereyma, A. Witkowski, B. Wojtuń, J. Matuła, lato 2003 (fot. z arch. J. Klementowskiego)



Fot. 38. A. Orlicki, G. Łubik („Siara”) i P. Modzel, zima 2004/2005 (tot. A. Kozik)



Fot. 39. A. Latocha, T. Nasiółkowski i M. Wąsik, lato 2005
(fot. z arch. IGRR UWr)



Fot. 40. Uczestnicy XXXIV Wyprawy PAN z wizytą w „Baranówce” – Ł. Gryglicki, K. Herman, R. Żmuda, E. Vilyaykina, M. Bania oraz S. Sikora i M. Kasprzak
(fot. J. Klementowski)



Fot. 41. K. Migala, M. Cieply, J. Hałat, W. Szymański, S. Sikora, J. Szafraniec, i M. Kasprzak, lato 2011
(fot. J. Klementowski)

Barbara Wojtasik

Werenhus – nieoceniona baza dla hydrobiologów

Znowu pada zimny, lodowaty deszcz, a przecież jest lato! W „specjalnie mrożonej” wodzie Bratteggi udało się zmyć błoto z Nottinghambukta, może nawet część „robali” wróciła do siebie. To te, które zabrały się dodatkowo, nie do butelki z próbą. Brrr... jak zimno na zewnątrz. Dobrze, że można się schronić w Werenhusie. Tutaj jest ciepłutko i miło, za chwilę na starym piecu zagrzeje się woda na herbatę..... To fragment notatek wciśniętych pomiędzy zbierane dane dotyczące temperatury, zasolenia, jakości osadu, wielkości prób i szkicu stanowisk poboru w Nottinghambukta i na morenie lodowca Werenskiolda z jednego z sezonów badawczych. Wyniki od dawna są opracowane, ale w publikacjach naukowych nie ma miejsca, nawet w metodyce, na opis bardzo istotnej części pracy, czyli jak skutecznie zebrano próby w trudnym i oddalonym od siedzib ludzkich terenie. W przypadku prac hydrobiologicznych prowadzonych na obszarze zatoki Nottingham i przedpolu lodowca Werenskiolda, niezbędnym wręcz miejscem była „Baranówka”. W celu przybliżenia tematu: jak pracuje hydrobiolog na Ziemi Wedela Jarlsberga, poniżej znajduje się krótki opis schematu działania.

1. Na początek bardzo formalnie: prace związane z oceną warunków fizyczno-chemicznych jako środowiska życia meiobentosu oraz rozpoznanie składu taksonomicznego tej grupy zwierząt prowadzone były w okolicy Werenhusa (jeziorka położone na morenie lodowca Werenskiolda, u podnóża Pikkeddamen, jezioro Myrktjorn i jezioro Mewie) i Nottinghambukta przez szereg lat (1993–2002) w ramach prac badawczych Katedry Genetyki (wcześniej Katedry Genetyki i Cytologii) Uniwersytetu Gdańskiego.

2. Teraz harmonogram działania przy planowanym wyjeździe na Spitsbergen: mieszkanie – w Polskiej Stacji Polarnej IGF PAN w Hornsundzie, próby – zbiór kilkakrotnie w trakcie wiosny i lata z Nottinghambukta i zbiorników moreny Werenskiolda, wiosną dojedzie się tam skutermem śnieżnym, a latem można łódką choćby do Hytteviki, a później to już tylko kawałek pieszo. To jest schemat teoretyczny, bo wszystko wydaje się proste, gdy planuje się prace siedząc w ciepłym pokoju i wygodnym fotelu.

3. Urealnienie harmonogramu: aby zrealizować zamierzony program, czyli zebrać próby, należy zacząć planować dalej: trzeba zabrać broń (niedźwiedzie też odwiedzają zatokę), czasem kombinezon Helly-Hansen (wiosną za granicą lodu jest dość głęboko, a temperatura wody jest poniżej 0 °C, latem natomiast muł Nottinghambukta wciąż niemiłosiernie), butelki na próby w ilości hurtowej, wiadro (na próby oraz jako trzeci punkt podparcia w walce z błotnym żywiołem zatoki),

czerpak (też czasem pomaga przemieszczać się po zatoce lub ocenić głębokość, gdy w mętnej wodzie nic nie widać) oraz konduktometr terenowy (test wytrzymałości gwarantowany) i jeszcze kilka drobiazgów (aparatury fotograficznej, krótkofalówka, wodery – na morenę do jezior i jezior, sporo rzeczy do przebrania, bo wszystko będzie mulisto-mokre). Co z tym wszystkim zrobić, gdy nie da się już dojechać skuterem? Zostawi się w Werenhusie, zawsze jest bliżej do zatoki i na morenę, niż ze Stacji w Hornsundzie. Poza tym można zaplanować w Werenhusie dowolnej długości przerwę w pracy pomiędzy zatoką, a jeziorami morenowymi. Samotnie przy piecu, bądź korzystając z gościnności mieszkańców, którzy przybywają tam latem.

4. Po wzięciu pod uwagę różnych kaprysów przyrody, można przystąpić do pracy w terenie.

5. Po powrocie do laboratorium – w Stacji w Hornsundzie, czy w Polsce – zostaje długotrwałe opracowywanie pozbieranych prób.

Pewnie, gdyby nie Werenhus program badawczy dotyczący meiobentosu Nottinghambukta i jezior morenowych uległby skróceniu z powodu trudnych warunków terenowych i zamiast kilku serii pomiarów w sezonie, dobrze gdyby pojawiły się badania sondażowe. Przytulona do moreny „Baranówka” zawsze dawała pewność, że jest gdzie się schować przed śniegiem i deszczem, można się ogrzać, odpocząć, a czasem zamyślić i marzyć z dala od świata. Zdjęcia jaskiń na ścianie, mapy okolicy, stary stół przy oknie, połatany piecyk, szum rzeki, stwarzały niepowtarzalny nastrój. Ale to nie jest wszystko. Werenhus to przede wszystkim ludzie, niezwykli i wspaniali, których mogłam tam spotkać. Polarne opowieści Pepy Rehaka, profesora Puliny na zawsze zostaną w pamięci i nierozłącznie związane są z klimatem Werenhusa. Z poblakłego z czasem zdjęcia, które znajdowało się niedaleko okna, pomysłodawca budowy Werenhusa dr Stanisław Baranowski jakby spoglądał na czekan, raki i usypywany przez lata kopczyk kamieni przez kolejnych mieszkańców pięknego zakątka Spitsbergenu.

Andrzej Traczyk

Dziennik XIV Wyprawy Polarnej Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergen

Pod względem stażu jestem skromnym polarnikiem. Przebywałem w strefie polarnej – na Spitsbergenie – tylko dwa razy w sezonie letnim 1986 i 1989 r. Niemniej jednak zdaje się, że jestem największym, ale nielotnym traczykiem¹, jaki do tej pory nawiedził te strony. Okoliczność ta oraz namowy Redaktorów tego pamiątkowego tomu skłoniły mnie do opisania wydarzeń związanych z moim ostatnim pobytem w Hornsundzie i Stacji Polarnej Uniwersytetu Wrocławskiego im. Stanisława Baranowskiego na Spitsbergenie.

Tak jak w 1986 roku, tak i latem 1989 roku, w miarę regularnie prowadziłem zapiskiienne z wyprawy, w której oprócz mnie uczestniczył Piotr Migoń. Mają one charakter, krótkich notek opisujących prowadzone badania terenowe, trasy przemarszu, prace w naszej Stacji, spotkania i stany pogody. Te ostatnie informacje stanowią znaczną część dokonanych przeze mnie wpisów. Jest to jednak zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że praca geomorfologa odbywa się głównie w terenie – czyli w tym przypadku w tundrze, na lodowcach. Zapiski dotyczące pogody są bardzo pobieżne i w żadnym wypadku nie mogą być traktowane jako obserwacje meteorologiczne. Unaocniają one natomiast, na czym polega specyfika badań terenowych na Spitsbergenie. Wyjaśniają również w pewien sposób przyczyny, może i mało zrozumiałych dla czytelnika, przemarszy i zmian miejsca naszego pobytu w Hornsundzie. Notatki w części dotyczą zatem również wydarzeń, które miały miejsce w Stacji Polarnej Instytutu Geofizyki Polskiej Akademii Nauk w Hornsundzie, w domku traperskim (husie) Hyttevika, w którym gospodarzyli koledzy z Akademii Górniczo-Hutniczej z Krakowa, czy też na obozowisku namiotowym w tundrze.

Notatki moje zestawiam w porządku chronologicznym, tak jak zostały one zapisane w kalendarzu. Jeśli niektóre zawarte w nich treści uważałem za zbyt poufne i osobiste to je pominąłem i zaznaczyłem wielokropkiem. Taki zabieg

1 Traczyk lodowy (Alle alle; ros. Люрик) – ptak z rodziny alk (Alcidae) zamieszkujący skaliste wybrzeża arktycznych rejonów Ameryki Północnej, Grenlandii, Spitsbergenu, Islandii, Półwyspu Skandynawskiego i Azji. Długość do 19 cm, rozpiętość skrzydeł do 48 cm. Upierzenie wierzchu ciała, głowy i szyi lśniąco czarne, reszta biała, na czarnych skrzydłach białe kreski. Traczyk lodowy żywi się bezkręgowcami morskimi i drobnymi rybkami, nurkuje na głębokości do 30 m. Gnieździ się w bardzo licznych koloniach w szczelinach i na półkach skalnych. Samica znosi 1 jajo, które wysiadują oboje rodzice przez około 29 dni, a potem wspólnie opiekują się potomkiem.

wydać mi się właściwy, z perspektywy lat, a od tamtych wydarzeń upłynęło ich już ponad 20, zatarciu bowiem uległy niektóre ich szczegóły i motywy mojego działania. Może moje ówczesne reakcje były efektem tak osławionej wśród polarników „grozy polarnej”, a może po części wynikały z porywczej młodzieńczej natury? Tego dzisiaj już nie rozstrzygnę. Dzisiaj, gdy spotykam się z uczestnikami tamtych wydarzeń, wspominamy z pewną nutką nostalgii te ciekawe, trudne a często i zabawne strony naszych spitsbergeńskich peregrinacji. Zawsze jednak wspomnienia te nacechowane są pewną dozą autokrytycyzmu wobec własnych dokonań i wyrozumiałością wobec działań innych. Wszak w powszechnej opinii pobyt w świecie polarnym zbliża ludzi różnych nacji, zawodów i odmiennych statusów. Niech więc tak pozostanie. Niech w naszych wspomnieniach ta daleka, chłodna kraina pozostaje nadal „rajem” dla tych wszystkich, którzy z pasją i poświęceniem starają się odkrywać tajemnice świata polarnego.

Diariusz zaczynam od momentu przybycia do Barenstburga na Spistbergenie. Przeprowa na Spistbergen², jak i same przygotowania do wyprawy, które rozgrywały się w przełomowym dla Polski okresie przemian ustrojowych i gospodarczych³ schyłku lat 80., to temat na odrębne opracowanie. W przypadku niektórych wpisów dołączyłem również stosowne, krótkie komentarze stanowiące objaśnienia opisywanych wydarzeń (zostały one oznaczone kursywą). Po tak wielu latach, trudno mi również w pamięci przywołać wszystkie nazwiska i imiona polarników, których spotykałem się na Spitsbergenie. Często zatem w poniższych notatkach pojawiać się będą jedynie imiona lub też pseudonimy bohaterów. Za to i za wiele innych niedociągnięć mojej relacji przepraszam i proszę o wyrozumiałość.

21 lipca 1989

Około 17.30 przyплыliśmy do Barentsburga z Murmańska (*na pokładzie statku pasażerskiego Klavdia Yelanskaja – Клавдия Еланская*); dzisiaj latały śmigłowce – musimy czekać do wtorku na loty. Mieszkamy w domu Sevmorgeo (*Севморгео*) koło domu Akademii Nauk ZSRR.

22 lipca

Dowiedziałem się, że jednak S. Tebenkov pracuje w naszej Stacji. Przyjęcie z Rosjanami z Sevmorgeo.

2 Z Wrocławia wyruszyliśmy w nocy z 15 na 16 czerwca 1989 pociągami do Warszawy. Dalsza podróż: z Warszawy samolotem do Moskwy (16 VI), z Moskwy (18 VI) samolotem do Murmańska skąd statkiem pasażerskim 19 VI o godzinie 17 czasu moskiewskiego wypłynęliśmy na północ.

3 Dla organizacji wyprawy ważne były możliwości aprowizacyjne – całość zaopatrzenia w sprzęt i żywność organizowaliśmy na miejscu we Wrocławiu. Na okres przygotowań przypadły wzrosty cen związane z ich uwolnieniem po 18 VI przez Rząd Rakowskiego. Zmiany cen produktów przemysłowych i innych zachodziły prawie codziennie: benzyna o 100 zł/litr (19 VI), pralki o 67%, lodówki o 40%, piwo (20 VI), wódka z 2600 zł na 4300 zł (21 VI), papierosy (22 VI), przejazd taksówką o 16 razy (26 VI), pieczywo o 15–20% (27 VI), itd.

23 lipca

Spotkanie u prof. Zingera (*Зингер Евгений Максимович* – glaciolog radziecki/rosyjski)

24 lipca

Zakupiłem w Barentsburgu 40 kg chleba (po ok. 20 kopiejek za 1 kg – razem ok. 8 rubli).

25 lipca

Migała – czy są dla nas powrotne bilety Longyearbyen – Moskwa – OK – Radio (*powrót, o czym na końcu relacji, odbył się statkiem Arctowski*).

Lot do Hornsundu przy dobrej pogodzie ok. 14.20, z grupą z Sevmorgeo (zmiana z Tebenkowem). Jeśli nie to buksirem (*буксир* – morski holownik) ale dopiero w środę lub czwartek.

Pogoda dobra – lecimy. Lecimy przez W Spistbergen na *Edgeøya* (30 minut postoju na *Edgeøya*) (*na Edgeøya helikopter lądował w Hassensteinbukcie na Ekrollhammie*) – Brepolen – Hornsund! Przyjęcie w Bazie letnie (*po wylądowaniu nikt specjalnie z Bazy nie pokwapił się, aby pomóc nam z bagażami, w tym ze skrzyniami zakupionego specjalnie dla bazowiczów świeżego chleba*).

Imieniny Krzyśka (Migały).

26 lipca

Idziemy z Krzyśkiem, panią prof. Fischerową, Aloszą, Julią i lekarzem (*Andrzej Dzik?*) do Baranówki. Rekord – 5 godzin.

27 lipca

Sprzątanie husa (*Baranówki*) od 12 do 19.

28 lipca

Wizyta około 1.00 – Grzesiek, Andrzej, Krawczyk, Beata. Po zaopatrzeniu opuścili Stację ok. 13.

Pogoda pogarsza się, od SW napływają deszczowe stratusy. Opad od 15. Do obiadu sprzątanie śmieci koło Stacji. Zaszli do nas Jurek Czerny i Adam Kieres – wracali z Bratteggdalen. Ciśnienie nadal spada – nie wróży to zbyt szybkiej poprawy pogody.

29 lipca

Pogoda „pod psem”. Rano przylecieli do nas Norwedzy: Igor Sigerund, Marcia (z USA), Yoschide Otha (*ekipa geologów z Norsk Polarinstitut*). Lądowali koło kopczyka Baranowskiego. Poszliśmy do Brattegg i Steinvikdalen (znaleźliśmy żwirry morskie) – mgła – nic nie zrobiłem. (...)

30 lipca

Jak wyżej (pogoda jak 29 lipca). Po południu ok. 22 duże przejaśnienia, kładziemy się spać z nadzieją, że to już poprawa pogody.

31 lipca

Ok. 8 wyszliśmy ze Stacji i przez Hyttvikę dotarliśmy do Bazy około 15. Byliśmy na herbatce w Hyttvice, byli tam dwaj członkowie załogi jachtu Oceania. Po drodze (*do Bazy*) dyskusja o potrzebie badania/szukania klifów morskich na stokach. (...)

1 sierpnia

Dzisiaj byliśmy w Ariedalen razem z Andrzejem Tycem. Rano w Bazie ... W Ariedalen tradycyjną trasą aż do lodowca. Wykonaliśmy pomiary lichenometryczne na 4 polach (niestety rozrzuty są dość znaczne, a czasu na „większe” pomiary mało). Moje wcześniejsze obserwacje (z 1986) co do sekwencji moren w tej dolinie w świetle nowych obserwacji utrzymuje.

2 sierpnia

Rano około 9.30 wyszliśmy do doliny zawieszanej nad Revvatnet. Po drodze dyskutowaliśmy na temat stożków fluwioglacjalnych u podnóża progu doliny Arie. Dalej w kierunku jeziora analizowaliśmy budowę terasy morskiej 8–12 m; w tej części doliny jest to przerobiona przez morze morena denną plejstocenijskiego lodowca Rev. Widoki na Skål- i Skoddedalen oraz na tą część doliny dały mi wiele do myślenia. Ogólnie wrażenia wspaniałe mimo, iż wracaliśmy w deszczu i ostrym wietrze.

3 sierpnia

Dyżur w Bazie. Pogoda nadal „pod psem”.

4 sierpień

Oslabłem mocno. W Bazie panuje jakiś wirus przywleczony z Bellsundu. Wieczorem wyszliśmy z Krzyśkiem na wizję lokalną – musimy zamontować 2 nowe tensometry.

5 sierpnia

Od rana poprawa pogody. Pobudka około 6. Przez radio zgłosiła się Zarja, która ma zabrać Marka Angela i 3 DDR-owców. Po 11 wyszedłem do Revdalen – obserwacje dotyczące stożków i faz wietrzenia. Wieczorem imieniny Fischerowej. Wielka biba ...

6 sierpnia

Igor pyta się, kiedy wrócimy do husa. Dzisiaj bardzo źle się czułem – cały dzień spędziłem w domu. Po południu do wieczora gęsta mgła.

7 sierpnia

Od rana piękna pogoda, wschodni wiatr przegonił mgłę na morze. Po obiedzie wyruszyliśmy do Baranówki przez Revdalen, Angellskardet i Werenskioldbreen. Warunki doskonałe (bardzo ciepło, chyba około 8–10 °C, takie same warunki o 24.00). Poczyniłem kolejne obserwacje dotyczące śladów moren bocznych od strony Skodde oraz wyższych teras morskich. Moje pierwsze obserwacje spod Törbjensenfjellet były w zasadzie poprawne. Strefa ta jest bardzo obiecująca dla dalszych badań. Potok z małego lodowca Eimfjellet i Skåldalen – 3 stożki fluwioglacjalne. Chata (*Baranówka*) mimo zimnej pogody w bardzo dobrym stanie. Pierwsze odloty traczyków.

8 sierpnia

1.00 zachmurzenie wzrasta od SW i W. Wczoraj rzeczywiście było bardzo ciepło, co widać po temperaturze o 1.00 (8.08) – na morenie na suchym termometrze było +14,6 °C. Rekord, co zresztą widać po Brattedge – płynie całą szerokością koryta. Ok 12.30 poszliśmy do Ganggpasset – pomiary lichenometryczne, pobór prób z mutonów od strony Rev. Pogoda cały czas bardzo dobra. W drodze powrotnej spotkanie z Kajtkiem i jednogodzinna wizyta w Hyttevice.

9 sierpnia

Około godziny 1 (już 9 sierpnia) byliśmy z powrotem w Werenusie gdzie ciepłym rosołem i kurą podjęli nas Adam i Jurek. Rozgowsy przy $\frac{3}{4}$ do godziny 4. W międzyczasie około 3.00 pohukiwania od strony Werenskiolda – burza? Po 4 od S przejaśnienie.

Dzisiaj byliśmy w Werner dalen (pod Baranowskifjellet) koło resztek lodowca Werenskioldbreen i lodowca skalnego. Traczyki odleciały. Pogoda bardzo dobra, mimo częstych mgieł znad morza.

10 sierpnia

Luks pogoda – upały. Idziemy do Brattedge dalen. Na wysokim spłaszczeniu pomiary lichenometryczne i dwa profile glebowe, jeden bardzo ciekawy z kopalną tundrą – tundra wikingowska? Po powrocie do Stacji wspólny obiad z Jurkiem i Adamem i długie dysputy inspirowane wiadomościami RWE (*Radio Wolna Europa*).

11 sierpnia

Rano brzydko i podstawa chmur 100–150 m. Jurek i Adam wyszli jednak około 13 w teren na Kvartsitlette (to ich teren na „czarnej godzinie”). My pozostaliśmy w Stacji. Miałem zamiar zająć się zdartą papą na wschodniej ścianie, ale wyszło tak, że 4 godziny poświęciłem na sprzątanie agregatorni – wielkie ognisko. Piotr zabrał się do sprzątania łazienki. Problem ze śmieciami.

12 sierpnia

Dzisiaj pracowałem na morenisku Wereskiolda – obsłużyłem dwa punkty Zdzicha (*Jarego*), a następnie rozkopałem kopalną terasę morską (35 m) pokrytą utworami polodowcowymi. Piotr hasał po Kvartstlettie do 20, Przyniósł młynek z Hytteviki i z pasją zabrał się do mielenia kawy.

13 sierpnia

Dzień relaksowy. Transport próbek do Hytteviki i bańki (*zbiornika*) na ciepłą wodę do Stacji.

14 sierpnia

Około 13 wyjście do Revdalen przez Gangpasset do obozu geologów nad jeziorem Rev. Obozu nie było w związku ze zmianą planów Y. Othy. W Bazie wielka festa z okazji przyłączenia Svalbardu do Norwegii. Nasi Norwedzy (Sigerund i Otha) bardzo osłabli ...

15 sierpnia

Około 11 wyjście na Baranowskiodden – ciekawe znaleziska – kości wieloryba spod lodowca (z *moreny*). Po obiedzie wyjście pod Rotjesfjellet na Rotjespynten do wykopalisk Jasia Chodorowskiego. Pogoda najwyraźniej pogarsza się, od morza zachmurzenie na poziomie 0 m.

16 sierpnia

Około 16.30 wyjście pod Rotjesfjellet – ostanice abrazyjne, porównanie stopnia zwietrzenia ostańców na terasie morskiej 25 i 40 m. Przeptywy (*dawne koryta – kanały odpływowe*) po stożku fluwiogłacialnym. Po południu obsługa chwytaczy *Jarego* i *Kidy* (eoliczne); prace techniczne przy urządzeniach do nowych ruchomierzy Klementowskiego. Wyjście z Grzesiem i Krzyskiem na Wilczka.

17 sierpnia

Profil w torfowisku pod Rotjesfjellet za wałami podstokowymi. Zmarzlina na głębokości 0,4 m. Silnie rozłożone torfy.

18 sierpnia

Od 10 do 20 praca w warsztacie mechanicznym w Bazie. Wykonałem z Andrzejem Dominikiem dwie podstawki pod tensometry i dwa statywy do nich. Piotr opróżnił chwytacz pod płatem śnieżnym koło Ariedalen.

19 sierpnia

Od rana pogorszenie pogody, po południu opady deszczu. Około 21 wychodzimy jednak z Jurkiem i Adamem do Revdalen i około 23 zakładamy obóz powyżej jeziora Rev (H ok 80 m n.p.m.).

20 sierpnia

Do południa bardzo silny wiatr z przelotnym deszczem. Po obiedzie ok. 17 poprawa (pogody). Adam i Jurek wychodzą na Eimfjellet, ja idę na próg doliny Skål.

21 sierpnia

Pogoda dobra i stabilna. Od 11 do 21 wyjście do Skoddedalen – wysokie poziomy morfologiczne, zlodowacenie doliny Skodde. Wykonano pomiary lichenometryczne na czterech polach. W drodze powrotnej terasy na krawędzi doliny Skål i niższe terasy morskie (50–60 m). Wieczorem w dolinie pogoda dobra, bezwietrznie; w Hornsundzie gęsta mgła do wysokości 80–100 m n.p.m. Napisać list do prof. A. Jahna i IG UW.

22 sierpnia

Około 1–2 deszcz, dosyć intensywny. Około 10–11 przejaśnienia, ale następuje mgła z bardzo silną mżawką. Do 15 prace kameralne (analiza materiału zebranego 21 sierpnia). O 15.30 przyszedł do obozu Piotr. Obiad, a po nim wyjście na północny lodowiec Eimfjellet. Obserwacje na temat ilości i charakteru stożków napływowych w tej części doliny. Krótkie przejaśnienia, a około 23 gęsta mgła. Zebrałem próby gleb z mutonów.

23 sierpnia

Od 12 do 19.30 praca na lodowcu Eimfjellet (Angelise) – wykonano pomiary lichenometryczne na czterech polach, opróbowano trzy profile glebowe (10 próbek). Lodowiec ten ma wyraźne dwa ciągi morenowe – kolosalna różnica w średnicach materiału. Od 5 po obiado-kolacji pogorszenie pogody, bardzo silna mżawka.

24 sierpnia

Chłodno, ale pogodnie (spływ z NW). Pomiary lichenometryczne na wałach lodowców skalnych nad Revvatnet. Ciekawy i obiecujący profil w zdegradowanym jeziorku w obniżeniu tensyjnym. Wyjście w teren od 14 do 20. Po południu bardzo porywisty wiatr z deszczem i mżawką. W nocy intensywnie padało. Temperatura około 23 przy gruncie +2 °C, spodziewam się już pierwszych przymrozków. Do końca kartowania pozostało mi około 5–6 dni pracy, potem doróbki.

25 sierpnia

Rano bezchmurnie i słonecznie, ale dosyć mroźno. Około godziny 6–7 było przy gruncie –2 °C. Wychodzimy do Skåldalen. Na górze (powyżej 300 m n.p.m.) od morza ciągną chmury, dalej już we mgle a przy zejściu około 17 gęsty, mokry śnieg. Pomiary lichenometryczne na pięciu polach. W dolinie Birkenmajerdalen 3 współczesne zasięgi lodowca. Powrót do obozu około 19.30, wyjście o 11.

26 sierpnia

Od rana bardzo silny, porywisty wiatr z N (od strony Angellisen), a jeszcze do tego lodowaty. Do 14 czekamy na poprawę pogody. Decyduję się na odwrót do Bazy na dwa dni. Wyruszamy około 16.30 i tuż po 18.30 jesteśmy na miejscu. W Bazie: „widmo głodu”, dyżury itp.

27 sierpnia

Pisanie listów i kartek do kraju – ostatnia okazja przed powrotem. Po południu wyjście do „Ogródka Środonia” – montaż jednego tensometru Klementowskiego.

28 sierpnia

Około 10 wyjście do Stacji – przybyliśmy około 15. Po drodze złapała nas śnieżycza koło Hytteviki. Po południu przejaśnienia, ale nadal chłodno.

29 sierpnia

Cały dzień opady mokrego śniegu, okresami przejaśnienia, bezwietrznie, nieco cieplej.

Prace w Baranówce – drobne naprawy (skrzynia w kuchni, próg) i porządki w przedsionku. Założyłem górną okiennicę. Góry całe ośnieżone, śnieg utrzymuje się płatami już na wysokości 50–60 m n.p.m. Czy będzie pogoda na dokończenie prac w Revdalen?

30 sierpnia

Rano roz pogodzenia, napływ mas z W. Około 12 łączność Baza PAN – rozmawiałem z Jurkiem w sprawie prac w Rev – prognozy nie najlepsze. Od 12 do 15.30 i od 16.30 do 21.30 prace przy Stacji – usunięcie śmieci. Remont całej ściany od strony moreny (zżyliśmy ok. $\frac{3}{4}$ rolki papy aluminiowanej) – lepikowanie ściany i dachu (kilka niewielkich dziurek). Około 19 przelotny opad śniegu. W Bratteggdalen pokrywa śniegu od 100–130 m n.p.m. W nocy kilka „sztormów” z drobnym deszczem.

31 sierpnia

Słonecznie i bezchmurnie, temperatura około 11 na morenie $-0,1^{\circ}\text{C}$; odczucie (biomet) ciepło i sucho. Łączność z Baza – Jurek poinformował, że od SW idzie na nas głęboki niż (opady, bardzo silny wiatr), tak więc do wieczora należy spodziewać się istotnego pogorszenia pogody. Piotr wyszedł na prace w dolinie Ganggpasett – terasy morskie. Od 14 do 18 pomiary lichenometryczne na morenie bocznej i czołowej lodowca Werenskiolda. Pogoda cały czas dobra, wiatr do W, widoczny front chmur nadciągającego cyklonu. Wizyta Gubernatora w Bazie, wiatrak (*elektrownia wiatrowa*) już stoi.

1 września

Wbrew ponurym zapowiedziom pogoda nie pogorszyła się. Słonecznie (słońce przez cirrusy), ale wietrznie (wiatr od Bratteg) i chłodno ($-0,1^{\circ}\text{C}$). Stoki i tundra coraz bardziej zmrożone. Rano (12–15) obszywanie się. Piotr poszedł na wały podstokowe koło Hytteviki porozglądać się. Drobne remonciki – uszczelnianie olkitem WC i spiżarki – ścianka działowa do wymiany, na dole zupełnie przegniła (rozwalę ją do wysokości około 0,5 m).

Cisnienie ostro w górę, pogodnie. Po zachodzie słońca (ok. 21.30) rozpogodzenia. Idzie silny mróz, w Głębocku tworzy się lód! Około 23 temperatura przy gruncie -2°C . W nocy minimalna temperatura w domku $+6^{\circ}\text{C}$.

2 września

Temperatura minimalna od 1 do 11 około -2°C . O 11 około $+1,5^{\circ}\text{C}$, ustał wiatr; Głębocek cały w lodzie. O 15 wyjście do Revdalen na obozowisko (Jurek i Adam dotarli tu około 15) przez Ganggpasset – dużo śniegu (zasy, deski śnieżne), trudne przejście przez moreniska. Nowe obserwacje dotyczące Ganggpasset – w lekkiej szacie śnieżnej trochę inaczej to wygląda i uwidaczniają się inne szczegóły. O 23 dalsze rozpogodzenia – noc zapowiada się mroźnie.

3 września

Temperatura minimalna w nocy $-4,8^{\circ}\text{C}$, o 10 $-0,1^{\circ}\text{C}$, bezwietrznie, popaduje śnieżek. Od 12.30 do 21.30 praca na lodowcach Eimfjellet (5 pól pomiarowych) – najmlodsze zasięgi morenowe z LIA i współczesne zmiany. Na polach firnowych pokrywa śniegu około 10 cm, zasy miejscami ponad 50 cm. Maksymalna temperatura w obozie w ciągu dnia $+2^{\circ}\text{C}$, około 23 $-0,5^{\circ}\text{C}$. Robi się coraz ciemniej o północy.

4 września

Od 1 w nocy deszcz, około 13–14 krótka przerwa, a od 16 do 20 bez przerwy bardzo silny porywisty wiatr i siekający z SE deszcz. Podtapia namiot. Padało bez przerwy do 11 dnia następnego, tak więc noc przeszła na wylewaniu wody z namiotu. Altimetr około godz. 3 wskazywał wysokość $+225\text{ m n.p.m}$ (rzeczywista wysokość obozu 80 m). Największa „groza polarna”, jaką do tej pory przeżyłem na Spitsbergenie.

5 września

Pada i bardzo silny wiatr (w Bazie zanotowano ponad 20 mm opadu). „Walenie węża” (słynne powiedzonko Grzeška) przez 34 godziny. Około 14.45 wyjście do Bazy z obozu w Revdalen. Wreszcie przestało padać, nawet przez moment pokazało się słońce. Dalsze prognozy jednak nie najlepsze – nie było to jeszcze centrum niżu. Suszenie. Wieczorem spotkanie przy piwie i prezentacje w stylu „co kto robi” itp.

6 września

Około 11 wyjście do Revdalen – przyszła Zarja po Ekologów, pożegnanie z prof. Fischerową, Aloszą (Aleksiej Uwarow?), Katarzyną i panią Julią. Poszła nasza poczta.

Od 16.30 do 20.30 praca w rejonie lodowców Eimfjellet i ich stożków fluwioglacjalnych – opróbowanie, próbki na zwietrzenie horblendy w utworach wodnolodowcowych.

7 września

Od rana słonecznie i pogodnie (lazar). Wyjście od 12 do 20 – doróbki w Skåldalen i na progu tej doliny (dużo łożenia a efekty znacznie mniejsze – sprawdziłem całą dolinę). Wstępne rozważania na temat niektórych dociekań w rejonie moren bocznych lodowca Rev. Po zachodzie słońca w Revdalen odczuwa się, że idzie przymrozek – zamrożnięte kępy mchów; temperatura maksymalna +8 °C, o godz. 20 już –2,5 °C. Noc pogodna – pierwsze gwiazdy. Temperatura minimalna w nocy –4,5 °C.

8 września

Pochmurno (altocumulusy), ale pogoda na teren bardzo dobra – bezwietrznie, dosyć ciepło (temperatura powyżej 0 °C). Od 12 do 20 stoki powyżej doliny Skål, od potoku Skål do potoku za kociołkiem – terasy morskie 115, 80, 50, 45 m; morena, moreny boczne. Próbkę ze skałek koło jeziora Rev, stożki fluwioglacjalne przy górnym jeziorze. Pogoda dobra, ale po zachodzie słońca w dolinie w cieniu przymrozek. Od Angellisen zimny wiatr; ciśnienie cały czas idzie w górę.

9 września

W nocy opady mokrego śniegu. Porywisty wiatr i opady zamarzającego deszczu do południa. Od 14 do 18 opróbowanie (osady glacialne, fluwioglacjalne, kieszenie skalne) od obozowiska do potoku Skål. Koniec obozu w Revdalen, o 21.30 przejście do Bazy.

10 września

Po obiedzie 16.30–21 wyjście do Revdalen po resztę rzeczy i namioty – ostateczna likwidacja obozowiska w Revdalen. Załamanie pogody.

11 września

Od rana mgła, opady deszczu; wiatr słaby. Z prognoz wynika, że potrwa to kilka dni. We wtorek chyba przejsiemy dyżur kuchenny. Suszenie prób zebranych w terenie.

12 września

Rozpogodzenia, na lodowcach mgliście. Rano od 10 do 12 załadunek i ekwipowanie dwóch łódek do Hytteviki (Czerny, Kieres, Lipień, Dominik), w tym z naszymi

mi rzeczami (piecyk, żywność, agregat naprawiony przez Dominika). Problemy z buchalterią bazową ... (papiery na sprzęt). Od 16.30 do 18 wyjście na morenę boczną – pomiary lichenometryczne na trzech polach pomiarowych. Suszenie próbek zebranych w terenie. Przyleciał helikopter norweski – dwuosobowa ekipa kanadyjczyków z Uniwersytetu w Ottawie (prof. Schroeder).

13 września

Dyżur kuchenny w Bazie. Rozpogodzenia, pod wieczór mżawka z deszczem. W nocy bardzo intensywne opady deszczu i wzrost temperatury do $+6,5^{\circ}\text{C}$ – do wysokości 400–500 m n.p.m. wytopił się śnieg, który spadł wcześniej.

14 września

Od 10 do 14 wyjście na Fugleberget – obsługa profili Prof. A. Jahna – malowane pasy i profil kołkowy na przełęczy pod Fuglem. O 16 wyjście do Stacji. Przeprowadza przez Revelwę na bosaka, bez butów. Przerwa w Hyttevice u Adama i Jurka. Do Stacji dotarliśmy około północy.

15 września

Porywisty wiatr – cały dzień fen od SW; piękne chmury falowe. Od 13 do 18 transport agregatu do portu. Transport z Hytteviki sprzętu Tyca (fototeodolit). Zamontowaliśmy nowy agregat – chodzi bardzo dobrze.

16 września

Od rana pochmurno i bardzo zimny porywisty wiatr od lodowca. Od 12 do 16 wyjście na morenę Werenskiolda – degradacja moreny, osuwiska na grzbiecie moreny.

17 września

Od 13 do 19 praca na morenie Werenskiolda – wykonaliśmy dwa profile od Jeziora Mewiego na grzbiecie moreny. Pomoc Tycowi przy wykonywaniu zdjęć fotogrametrycznych. Cały dzień dosyć pogodnie, ale od Kosiby zimny wiatr. Wieczorem około g. 20 piękny zachód słońca. Dobry obiad i wieczornica przy kieliszku nalewki i RWE.

18 września

O 10 temperatura wynosi $+5,2^{\circ}\text{C}$! Na morzu bardzo duża fala, a od Kapp Borthen mgła. Od 13 do 22 wyjście: Tonedalen – Jens Erikfjellet – szczyt – lodowiec Tone – Werenhus. Pomiary lichenometryczne na moreniskach lodowca Tone. Powrót w nocy przy księżycu.

19 września

Wyjście ze Stacji około 14 do tzw. portu UŚ – transport naszych skrzyń i rzeczy + teodolit A. Tyca. Porządki w porcie UŚ – wreszcie czysto. Transport uzupełnień

żywnościowych do Stacji. O 18.30 wielki huk na morenie. Tragedia w Stacji – Krzysiek rozerwał sobie dłoń petardą. ... Zakończenie całej akcji ratowniczej około 22.30 – przylot norweskiego helikoptera z policjantem. „Stypa” po Migale do 2 godziny dnia następnego. Rano Jurek ... nie chciał zapalić papierosa.

20 września

Powrót do normalnego (*po wypadku*) rytmu pracy i życia w Stacji. Nie mogę zapomnieć tego obrazu na morenie, ... Husowanie. Z Bazy informacja o nadchodzącym fenie.

21 września

Około 2 w nocy bardzo silny, porywisty wiatr z Bratteggdalen – chałupa cała drży i trzeszczy. O 6 rano założyliśmy okiennice od W (kuchnia) – był to ostatni moment, bo okno było już prawie otwarte. Dostyc ciepło, ciśnienie leci w dół. O 7 zaczął przelotnie padać śnieg. Na Elvefleya kurzy z moreny (pył). W Hornsundzie wiatr maksymalnie do 30 m/s. Pod wieczór siła wiatru nieco słabnie na tyle, że mogliśmy uzupełnić zapasy wody, węgla i drewna i można było napalić w piecu (nawet nie dymiło). Ochłodzenie – w potoku pojawił się lód, a woda gwałtownie opada.

22 września

Pogoda dobra, rano około 0 °C i słonecznie, lekki (porównując do 21 IX) wiaterek. Około 12 wzrost zachmurzenia (chmury warstwowe z NWW) i dalszy spadek prędkości wiatru; o 18 cisza. Na morzu przy Dunöyane i Kapp Borthen widać bardzo duże białe grzebienie fal. Praca na morenie od 12.15 do 17.45 – profile morfologiczne.

23 września

Od rana dosyć pochmurnie, mżawka; później rozpogodzenia. O 12 wyszliśmy do Hytteviki, aby pomóc Jurkowi i Adamowi (przy płynęli z Bazy). Pracowaliśmy przy naprawie dachu w Hyttevice i do domu wróciliśmy około 20.

24 września

W nocy opady mokrego śniegu i deszczu. Opady połączone z porywami wiatru do 17. Początek fenu w Bratteggdalen. W ciągu 3–4 godzin wzrost poziomu wody w Brattedze o 50 cm. Zaolkitowałem okno od strony Torella, naprawiłem podłogę w przedsionku do WC (wyłamana deska) i zrobiłem stolik gospodarczy ze starej klatki meteorologicznej.

25 września

W nocy chyba jeszcze padało, bo rano poziom wody w potoku podniósł się do wysokości belki, na której było zamontowane koło elektrowni. Na przemian opady deszczu i mżawka, wiatr słaby. O 10 na morenie +8,1 °C. Ciśnienie spada jak nigdy

(na altimetrze wysokość z 14 m na 175 n.p.m. o 22). Cały dzień wiatr i deszcz, wezbranie na Bratttedze. Nie wychodzimy z husa.

26 września

W nocy jak 25 IX, rano przejaśnienia i zmiana kierunku wiatru z SE i E na W. Opady śniegu, ale też i przejaśnienia, nawet do błękitu. Spadek poziomu wody w Bratttedze o 50 cm. Prace porządkowe (śmieci). Wieczorem śnieżycą (mokry śnieg z deszczem) od W.

27 września

Rano nie padało, ale ciśnienie jest wyjątkowo niskie (altimetr wskazuje wysokość Stacji +330 m n.p.m. – Baza, ciśnienie rano około 960 hPa). Jest dosyć ciepło (na morenie +6 °C), woda w potoku znowu wezbrała. Prace zabezpieczające w Stacji (zrobiłem okiennicę do agregatorni), prace kameralne – mapa geomorfologiczna Revdalen w skali 1:10 000.

28 września

Rano mroźno – wiatr z N, pułap chmur 400 m; ciśnienie wreszcie „poszło ostro w górę”. Przelotne opady śniegu. Wieczorem roz pogodzenia. Od 11 do 17.30 prace gospodarcze w Stacji – wykończyłem i zamontowałem okiennicę, uszczelnienie ściany od W; ściąganie śmieci z tundry i okolic Stacji. Przygotowanie materiału na podłogę do przedsionka od strony WC, naprawa drzwiczek do WC.

29 września

W nocy opady śniegu, rano a zwłaszcza po południu pogodnie (wiatr z N i temperatura do –3 °C). Śnieg zasypał morenę. Pod wieczór tworzą się zasy na tundrze i na morenie. Od 11 do 15 praca przy układaniu podłogi w przedsionku kuchnia – WC.

30 września

Pogoda dobra, bezwietrznie, ale pochmurno. Transport do Hytteviki, prace remontowe w Hyttevice. Wieczorem (do 5 dnia następnego) urodziny Piotra.

1 października

Cały dzień fen z Bratteggdalen. Wiatr przewiał śnieg z doliny i z moreny. Noc pogodna, bezwietrzna, lekki mróz; zorzy nie widać. Skutki dnia poprzedniego ...

2 października

Od rana do 13 prace w Stacji – ostatnie porządki i zabezpieczenie domu na zimę. Wyjście do Bazy przez Hyttevikę. Na morzu straszne fale – Jurek z Adamem czekają na poprawę warunków żeglownych. Po drodze przypadki Piotra ... Około 17 przyszliśmy do Bazy. Pod wieczór opady śniegu.

3 października

Od rana opady mokrego śnieg. Od 10 do 14 prace zabezpieczające – suszenie próbek, porządkowanie archiwum fotograficznego. Około 14 wypłynął (z kraju) Arctowski (ORP „Arctowski” – okręt hydrograficzny Dywizjonu Zabezpieczenia Hydrograficznego MW; jak się później okazało, miało to istotne znaczenie przy powrotnej przeprawie) z zaopatrzeniem dla Bazy.

4 października

Od 9 do 13 porządkowanie w skrzyniach, suszenie próbek. Pomoc w ściąganiu z tundry sprzętu pomiarowego Krzyśka. Rano bez opadów, umiarkowanie chłodno i bezwietrznie. Po południu jazda na biegówkach po zlewni Fugla. Słońce i piękny zachód. W nocy około 21 zorza polarna na zachodnim nieboskłonie.

5 października

Pogorszenie pogody, pod wieczór intensywne opady śniegu. Od 10 do 13 pomoc w zwijaniu stacji meteo Ekologów. Suszenie próbek, analiza zdjęć lotniczych 1:50 000.

6 października

Odwilż. Pokrywa śniegu 15–20 cm. Porządkowanie sprzętu do wywozu, pakowanie skrzyń, specyfikacje zwartości. Pierwszy kontakt radiowy z Arctowskim.

7 października

Dyżur w Bazie. Totalna odwilż, lekki wiatr z E i przez cały dzień opady deszczu; ogromna ablacja pokrywy śnieżnej. „Tykalia” do godziny 4 dnia następnego.

8 października

Przestało padać, ogromna ablacja, ale grunt pod polepą lodową zamarznięty. Woda spływa po powierzchni.

9 października

Deszcz i wiatr. Pakowanie rzeczy osobistych, pakowanie Migały. Napisać kartkę do prof. Mudrowa z Moskwy. „Wąż” do godziny 2.00.

10 października

Porządki wokół Bazy, transport węgla pod Bazę itp. Wiatr i deszcz. Po obiedzie zwijanie kabla z tundry. Pożegnalna impreza w Bazie.

11 października

Nieoczekiwana poprawa pogody – słonecznie i bezwietrznie, lekki mróz.

Przylot „Nieboszczyka” (w czasie pobytu w Longyearbyen Krzysiek otrzymał w Hornsundzie ksywkę „Nieboszczyk”). Wieczorem posiedzenie zaaranżowane przez

Nieboszczyka – Tyc, Tadziu, Grzesiu, zakończone śniadaniem o godzinie 6 dnia następnego (12 X). Arctowski stoi już na wysokości wylotu z Hornsundu i wzywa Zarję (Arctowski jako jednostka wojskowa i to jeszcze z Układu Warszawskiego nie mógł wejść na norweskie wody terytorialne i stał ponad 20 km od wybrzeża Spitsbergenu; plan przewidywał, aby Zarja – radziecki jacht transportował ludzi i zaopatrzenie z Arctowskiego do fiordu).

12 października

Pakowanie bagaży na PT-gi. Zarja jeszcze się nie zgłosiła; cała akcja przeciągnie się do jutra. Po obiedzie informacja od Rosjan o kłopotach technicznych Zarji, później odmowa, tzn. są gotowi przysłać Zarję za 10–15 dni. Łączność z Gubernatorem – życzy powodzenia całej akcji... Będziemy się „desantować” na Arctowskiego łódkami i zodiakami. (Baza – Arctowski łączność radiowa: dyskusje na temat tego, kto ma kierować akcją; sprzeczne instrukcje ...).

13 października

„Cyrk Makowskiego”. Grzesiek „internowany” przez Norwegów (asystę Arctowskiego stanowiła norweska kanonierka; jak się potem okazało stała bardzo blisko naszego okrętu). Jurek i Mały Wojtek zostają na noc na Arctowskim. Na statku są już Kuleszka i Mały Kazio.

Latarnikowanie (światła orientacyjne dla łodzi i pontonów przewożących zaopatrzenie z Arctowskiego) na Wilczku z Tycem. Widać nas było aż na Arctowskim.

14 października

Popłynął (na Arctowskiego) Migąła, Alf, Duży Wojtek, Jurek, Teresa. Około 14 razem z Tycem płyniemy na pontonie Makowskiego do statku – podróż trwała 1.20 g.

15 października

Nadal trwa przeładunek – pogoda wprost idealna, 2 i ½ kursu. Przy płynął Bogdan, Jurek i Halina. Imieniny Teresy; Adam, Makowski i Wojtek Mały nocują na statku. Piękne widoki ze statku.

16 października

Pobudka o 5, załadunek pontonu Adama i Makowskiego oraz łódki Wojtka – Wojtek miał wywrotkę na linii wylotu Revdalen. Z pomocą przyszedł mu Makowski. Adam wrócił z Bazy – wziął jeszcze jeden kontener. Około 9.45 ruszamy, cała naprzód (około 10 węzłów). Na statek zeszły chyba wszystkie, oprócz jednego, nasze kontenery.

17 października – Bjørnøya, 18 października – Lofoty, ..., 23 października, godzina 6 rano – Gdynia. Piękna słoneczna pogoda (+20 °C w cieniu), ale w restauracji przy Skwerze Kościuszki stać nas na jedno piwo – wróciliśmy do innego Kraju.

Tadeusz Bryś

Skałki i moje spitsbergeńskie spotkania

Długo wahałem się, czy napisać te krótkie wspomnienia. Nie należę przecież ani do elitarnej grupy pionierów i osób zasłużonych we wrocławskich badaniach Spitsbergenu, ani do wąskiego grona twórców i budowniczych Verenhusa. Byłem tylko jednym z wielu epizodycznych mieszkańców słynnej chatki im. Baranowskiego i jednym z szeregowych badaczy polarnych, których los związał z Hornsundem i terenami wokół niego.

Na Spitsbergenie przebywałem tylko 3 razy. Pierwszy raz przybyłem tam (z „namaszczeniem” prof. A. Jahna) pod koniec czerwca 1981 roku, by pomóc Heńkowi Chmalowi realizować jego program badawczy. Dzięki temu uczestniczyłem (VII-IX 1981) w kartowaniu zjawisk peryglacjalnych oraz badaniu ruchu lodowców gruzowych na obszarze od lodowca Torrella po Revdalen oraz w półwsch części Hornsundu (lodowczyki skalne po wschodniej stronie Burgerbukty). W połowie lipca do brzegów Hornsundu dopłynął statek z Zimową Wyprawą PAN, której członkami, jako meteorolodzy byli: Krzysiu Mięgała i Mietek Sobik, obecne filary Zakładu Klimatologii i Ochrony Atmosfery Uniwersytetu Wrocławskiego. Wraz z nimi pomagaliśmy w rozładunku bagażu nowych adeptów zimowania i załadunku „zimowników” z poprzedniej wyprawy. W zimowaniu 1980/81 brali udział, m.in. Marek Grześ (geomorfolog i hydrolog) – przyszły profesor UMK i jedna z ważniejszych podpór toruńskich badań polarnych, którego zdążyłem poznać wtedy jako badacza naledzi oraz Bronek Głowicki – znany meteorolog i polarnik wrocławski, wychowanek prof. Kosiby.

Po miesiącu samotnego mieszkania w Baranówce mieliśmy odtąd częste wizyty wrocławskie, dzięki czemu uczestniczyłem też w realizacji pomiarów meteorologicznych na lodowcu Werenskiolda i jego morenie bocznej. Znaczna przestrzenność mobilność, oprócz kontaktów z osobami zimującymi, dawała nam również okazję do spotkań – w różnych miejscach otoczenia Hornsundu – z innymi, tak jak i my „letnikami”, głównie z wyprawy gdańskiej (kier. Marcin Węśławski) oraz krakowskiej (kier. Zdzisław Czeppe).

Najczęstsze, z racji bliskiego sąsiedztwa, były spotkania z „ptasznikami” z Hytteviki – Wojtkiem Moskałem i „Lapsem”, czyli Jackiem Jezierskim (obecnym prezesem NIK), ówczesnymi studentami wydziału Oceanologii i Biologii Morza Uniwersytetu Gdańskiego, którzy zliczali tam populację różnych ptaków (obaj z Marcinem Węśławskim zostali jeszcze na zimowaniu). Od czasu do czasu, do Hytteviki przybywali inni gdańszczanie i przy gitarze odbywały się tam uroczne spotkania

z piosenką morską. Z gdańszczanami mieliśmy bardzo serdeczne kontakty i dlatego wypłynąłem później z nimi na drugą stronę Hornsundu do Gåshamn oraz pomagałem im w dragowaniu dna Brepollen.

Przy okazji kartowania geomorfologicznego w okolicy, aby sprawdzić swoją wytrzymałość na chłód spróbowałem 10-minutowej kąpieli w zatoczce Hytteviki. Nie przypuszczałem, że będzie to dobry trening przed późniejszą przymusową kąpielą w wodach Hornsundu w sierpniu 1999 roku.

Z Bazą PAN w Isbjornhamnie (kier. W. Mizerski) utrzymywaliśmy stały kontakt radiowy (dyżurne godziny), ale bywaliśmy tam, mimo gościnności, stosunkowo rzadko. To raczej zimownicy odczuwali potrzebę wyrwania się z luksusów bazowych do Verenhusa. Podczas wizyt w Bazie była okazja do interesujących rozmów z przebywającymi tam również „letnikami”.

Bardzo ciekawe były dyskusje ze znakomitym geomorfologiem prof. Zdzisławem Czepe (1917–1991) z UJ dotyczące genezy charakterystycznych wałów podstokowych, występujących pomiędzy Hytteviką i Revdalen. Dysputy naukowe przetykane były jego barwnymi wspomnieniami z walk powietrznych w bitwie o Anglię i z późniejszych lotniczych rajdów bojowych nad kontynentem. Profesor podczas II wojny światowej służył jako strzelec pokładowy i nawigator w polskim Dywizjonie Bombowym 300 i za wojenne zasługi był wielokrotnie nagradzany najwyższymi polskimi i brytyjskimi odznaczeniami (Birkenmayer 1991).

We wrześniu miałem także okazję uczestniczyć w odkrywaniu i penetracji pionowych jaskiń lodowych Werenskiolda, wspomagając jako speleolog, częstochowsko-śląsko-dąbrowską Wyprawę glacio-speleologiczną na Spitsbergen kierowaną przez Jurka Zygmunta – jednego z pionierów (obok prof. M. Puliny) badań glacijspeleologicznych na Spitsbergenie. Jurek, który z wykształcenia był biologiem, dał się poznać także jako wspaniały znawca kwiatów Spitsbergenu, o których potrafił długimi godzinami zajmując mówić. W Wyprawie tej, jako speleolog, brał udział również Grzesiu Gabryś, przyszły profesor biologii na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu. Wtedy „Baranówka” stała się dla grupy 10 osób, z której każda była ciekawą dla innych osobowością, prawdziwą i barwną ostoją oraz miło wspomnianym po latach polarnym domem, w którym często gościł „śmiech i zabawa”.

Z tamtych czasów pozostały w pamięci także częste eskapady do Nottingham Bukty po drewno dryftowe na opał, które wózkiem rowerowym zwoziliśmy systematycznie z Heniem do Verenhusa. Oprócz tego ten wysłużony wózek służył nam, podobnie jak we wcześniejszych latach naszym poprzednikom, także do transportu sprzętu badawczego, węgla oraz materiałów budowlanych, potrzebnych do corocznej konserwacji „Baranówki” po niszczących wizytach niedźwiedzi. Wcześniej bagaż ten, podczas kilku mgielnych kursów z Bazy PAN do Nottingham Bukty (lub w odwrotnym kierunku), dostarczyliśmy tu łodzią z zawsze zawodnym silnikiem „Wicher”, co kończyło się najczęściej długim wiosłowaniem lub kilku-etapowym pokonywaniem trasy.

Powtórnie przybyłem na Spitsbergen w kwietniu 1987 roku, aby jako kierownik poprowadzić 8-osobową narciarsko-alpinistyczną Wyprawę Klubu Wysokogórskiego we Wrocławiu. W jej skład, oprócz mnie wchodził: Basia Bajsarowicz, Krzysiu Jabłoński, Krzysiu Jaworski, Jasiu Juszkiewicz (drugi raz na Spitsbergenie), Jasiu Paszkowski, Witek Gorączko, Włodek Sarniak i Włodek Szczęsny, a więc osoby związane również ze speleologią, bądź Studenckim Kołem Przewodników Sudeckich. Szlak tej wyprawy wiódł od Longyearbyen przez Sveagruve, Bazę PAN w Hornsundzie (spotkaliśmy się tam m.in. z zimującym Krzysiem Migalą) do Verenhusa, gdzie zatrzymaliśmy się na tydzień czasu i skąd robiliśmy alpinistyczne wypadki na okoliczne szczyty. Po wielu dniach spędzonych w namiocie i zmaganiach z zawiejami przystań w Baranówce, z ciepłym piecem i wygodnym spaniem, była nieomal jak wczasy w kurorcie. Śnieżny krajobraz Hornsundu urzekł wszystkich, a najbardziej utkwił w pamięci uczestników Wyprawy pewien słoneczny dzień i widok z Gnolla na Hornsundind oraz otoczenie pokrytej jeszcze lodem Burgerbukty.

Pewnego dnia, kierując się na wschód, dopadła nas prześwietlona słońcem mgła. Jasiu Paszkowski zdjął na kilka minut swoje przeciwsłoneczne, spawalnicze okulary. I to wystarczyło, aby czasowo oślepl i przez następne 3 dni siedł w specjalnym zaprzęgu. Przez ten czas, nic nie widząc, ale dobrze asekurowany z boku przez innych kolegów, pomagających mu ciągnąć sanie z jego bagażem, powoli odzyskał wzrok.

W drodze powrotnej zahaczyliśmy o wschodnie wybrzeże Spitsbergenu, tak że nasza trasa narciarska po lodowcach i bezdrożach Wyspy wyniosła około 800 km. Podczas wielu wejść na szczyty mijanych gór spotykaliśmy się ze zjawiskiem szreni (szadzi), której obserwacje wykorzystałem później w artykule o depozycji jonowej na Spitsbergenie (Bryś 2002).

Ostatnia moja spitsbergeńska Przygoda miała miejsce podczas Wyprawy Zimowej 1999/2000, której kierownikiem był Staszek Misztal „Hwiej”. Uczestniczyłem w niej jako obserwator środowiskowy, do którego zadań należały głównie pomiary hydrochemiczne i badania pokrywy śnieżnej na lodowcach Hansa i Werenskiolda. Dodatkowym moim obowiązkiem było wykonywanie zdjęć kartograficznych dokumentujących ruch czoła lodowca Hansa. Oprócz tego, jako że z „Hwiejem” jesteśmy speleologami, przyszło nam także kontynuować obserwacje glajospeleologiczne w jaskini Kryształowej (Cristal Cave) i innych jaskiniach lodowcowych.

Wątek speleologiczny miał szczególny wydźwięk podczas tej wyprawy, gdyż w Verenhusie od sierpnia do początku listopada przebywał zmarły niedawno, znany czeski pasjonat badań krasowych i polarnych „Pepa” Józef Rehak sen. z ekipą, która penetrowała jaskinie Werenskiolda i Torrella. Była to kontynuacja jego wcześniejszych badań, prowadzonych wspólnie z prof. M. Puliną (Pulina i in. 1999).

W Wyprawie zimowej brali także udział Andrzej Arażny (z-ca kierownika, II meteo), Zbyszek Wciślak (I meteo), Krzysiu Michalski (magnetyk, geolog), Paweł

Józwiak (sejsmolog), Waldemar Ziętkiewicz (jonosferyk, radiooperator) i Marek Szylkowski (mechanik). O każdym z nich należałoby coś ciepłego powiedzieć, bo zespół był zgrany i składał się z barwnych postaci. Taką wypowiedź rezerwuję sobie na inną okazję, bo nie chcę nadmiernie wydłużać tych wspomnień (mam też cichą nadzieję, że zajął się tym już „Hwiej” – jako kierownik naszej Wyprawy i organizator powyprawowych, stosunkowo częstych spotkań zespołu).

Wspomnę tylko, że do tej grupy należy dołączyć jeszcze postacie wielu okresowych „letników” oraz badaczy spitsbergeńskiej wiosny, którzy wzbogacali czas i doświadczenia Wyprawy. Wśród nich szczególne miejsce należy się Witoldowi Łubikowi, który dał się poznać nie tylko jako wspaniały kompan i mechanik, ale również jako znakomity pływak i ratownik wodny. Dzięki jego umiejętnościom i wytrzymałości fizycznej oraz ofiarności możliwe było uratowanie wszystkich uczestników przymusowej kąpieli, do której doszło pod koniec sierpnia 1999 roku w wodach Hornsundu na wysokości Revdalen.

Płynęliśmy łodzią z załadowanym wyposażeniem dla Verenhusa, kiedy niespodziewanie w odległości około 600 m od brzegu na wysokości radiolatarni, ulokowanej w pobliżu ujścia Revelvy, boczna krótka i wysoka fala zalała, a następnie wyróciła nasza łajbę z 5-osobowym zespołem (Hwiej, Krzysiu, Witek, Zbyszek i ja). Tylko Hwiej i Witek Łubik ubrani byli w piankowe, wodochronne kombinezony, reszta zaś miała założone ratunkowe pasy kapoków, gdyż na stacji nie było innych sprawnych, szczelnych kombinezonów.

Zdążyliśmy złapać zaledwie 2 oddalające się szybko wiosła i dopłynęliśmy do wyróconej do góry dnem łodzi, żeby spróbować podryfować na niej do brzegu. Udało się to wszystkim, z wyjątkiem ciężkiego Zbyszka, który nie był w stanie wdrapać się na grzbiet dna wyróconej łodzi. Trzymałem więc Zbyszka za ręce, a inni na zmianę wiosłowali, dopóki kolejna fala nie zmyła wszystkich z powrotem do wody. Powtórnie więc dopłynęliśmy do dryfującej „ostoi”, ale sytuacja znów się powtórzyła i musiałem trzymać Zbyszka za rękę. Zbyszek miał dodatkowe oparcie w kole ratunkowym, które było doczepione do łodzi. Scenariusz ten powtórzył się kilkakrotnie i czułem, że zbyt długo już Zbyszka nie utrzymam. W tej sytuacji, po kolejnym zmyciu wszystkich do wody, zdecydowaliśmy się na realizację pomysłu Witka, który zaproponował, że doholuje Zbyszka do brzegu.

Po pewnym czasie, będąc w strefie przybrzegowej kipieli i wystających z wody skał, zniknęli nam z oczu. Okazało się potem, że udało im się szczęśliwie dopłynąć, choć kpiel rozdzieliła ich tuż przy brzegu. Witek wyciągnął na brzeg nieprzytomnego i trochę poobijanego Zbyszka i wciągnął go na wyżej leżące skały w pobliżu wspomnianej radiolatarni. Sam udał się biegiem do Bazy, aby drogą radiową zawezwać na pomoc Norwegów z Longyearbyen.

My natomiast, usadowieni w trójkę na grzbiecie wyróconej łodzi kontynuowaliśmy wysiłki, żeby skierować ją w stronę brzegu zatoki u ujścia Revelvy. Dzięki intensywnemu wiosłowaniu na zmianę (po kolejnym zmyciu mieliśmy do dyspozycji już tylko 1 wiosło) udało nam się to uczynić i nasza „łajba” znalazła

się na spokojniejszych wodach zatoki w odległości około 400 m od brzegu. Wraz z Hwiejem, jako starzy wyjadacze jaskiniowi, którzy często doświadczaali długotrwałego moczenia i zimnych kąpeli w głębokich tatrzańskich i poza tatrzańskich jaskiniach, czuliśmy się odpowiedzialni za Krzysia, jako najmłodszego z naszej trójki. Byliśmy więc zdecydowani doholować naszą ciężką łódź (obciążoną mocno z tyłu doczepionym silnikiem, którego nie udało się nam w tych warunkach zdjąć) maksymalnie blisko brzegu, aby w ostatniej projektowanej fazie (w odległości około 100 m od brzegu) opuścić ją i wspólnymi siłami, bezpiecznie dopłynąć do przybrzeżnej płycizny.

W trzeciej lub czwartej godzinie tej walki usłyszeliśmy dobiegające z brzegu krzyki. To nasi koledzy z Bazy wołali do nas, żeby nas uspokoić co do losu Zbyszka i Witka. Po chwili usłyszeliśmy wysoko nad sobą warkot helikoptera. Jednocześnie z brzegu wystrzeliły czerwone rakiety. Helikopter zawrócił i po krótkim rozpoznaniu sytuacji skierował się w naszą stronę.

Wydarzenia potoczyły się teraz błyskawicznie. Helikopter obniżył lot i zawisł nad nami, około 15–20 m nad powierzchnią wody. Pęd powietrza spowodowany przez obrót jego skrzydeł zmiotł nas z powrotem do wody. Mój wełniany sweter tak nasiąkł wodą, że z trudem wypłynąłem na powierzchnię i powtórnie uczepiłem się łodzi. Zobaczyłem pływających obok i uczepionych też krawędzi łodzi kolegów oraz zjeżdżającego na linie w naszą stronę ratownika. Wskazaliśmy mu na Krzysia, którego zaraz sprawnie doczepił do siebie i dał sygnał załodze helikoptera, aby ich wyciągnęli. Po kilku minutach ratownik pojawił się w wodzie powtórnie, tym razem koło mnie. Przytomnie zdążyłem zauważyć, że lina przy wyciąganiu nas przecięła by mi szyję i szybko przerzuciłem ją przez głowę. Ratownik objął mnie w pasie i uczepiony kurczowo jego ramion wyciągnięty zostałem z wody na pokład helikoptera. Podobnie, przy pomocy liny i wyciągających go ratowników, dostał się na pokład helikoptera Hwiej.

Helikopter skierował się w stronę brzegu i wylądował na tundrze niedaleko radiolatarni. Trzęśliśmy się mocno z zimna, kiedy ściągnięto z nas nasiąkniętą wodą odzież i z trudem, przez „kłapiące” zęby przełykaliśmy podawane nam kubki gorącej kawy.

W tym czasie część ratowników podeszła do leżącego i okrytego kocami nieprzytomnego Zbyszka i udzieliła mu niezbędnej, lekarskiej pomocy. Po kilkunastu dalszych minutach nadleciał kolejny helikopter, który zabrał Zbyszka oraz naszą trójkę (mimo naszych protestów), do szpitala w Longyearbyen. Tam okazało się, że Zbyszek był bardzo wyziębiony i miał temperaturę ciała około 26°C. Jego leczenie wymagało kilkudniowego pobytu w szpitalu. My natomiast mieliśmy tę temperaturę w normie, więc na następny dzień wypuszczono nas na ulicę osiedla, bez butów ale w uratowanych woderach, abyśmy poszukali sobie wsparcia u znajomych Norwegów.

Gdy po 10 dniach wsiedliśmy na pokład „Eltanina” i via Barendsburg (gdzie zatrzymaliśmy się na krótko, aby uczcić moje 50-lecie Urodzin), wyruszyliśmy z Jurkiem Różańskim do Hornsundu, morze okazało niezadowolenie z faktu, że uratowaliśmy swoją skórę. Sztormując, powoli wracaliśmy do Bazy i dopiero w Hornsundzie morze się uspokoiło. Gdy już wróciliśmy do Bazy poznaliśmy więcej szczegółów o akcji ratunkowej. Czuwała nad nami Opatrzność. Właściwy, wezwany przez Bazę helikopter przyleciał pół godziny później... a nas z wody wyciągał inny helikopter ratunkowy, który lecąc na ćwiczenia treningowe na Wyspę Niedźwiedzią znalazł się nad naszymi głowami przypadkowo.

Paradoksalnie, swój związek ze Spitsbergenem zacząłem w Skałkach w Rudawach Janowickich. Pod koniec lutego 1969 roku wraz z Jurkiem Bierońskim, Piotrkim Głowackim (Uwe) i kilkunastoma innymi młodymi adeptami Sekcji Grotolazów Akademickiego Klubu Turystycznego we Wrocławiu wyjechaliśmy w Sokoliki na treningowe ćwiczenia wspinaczkowe w warunkach zimowych. Na stacji kolejowej w Trzcińsku przywitał nas mglisty, mroźny poranek i widok pokrytych obfitą szadzią przydrożnych krzaków. Objuczeni jak osły brezentowymi worami jaskiniowymi z linami sizalowymi, stalowymi hakami i innym niezbędnym sprzętem wspinaczkowym ruszyliśmy w drogę.

Torując na zmianę szlak w śnieżnych zaspach po dwóch godzinach dotarliśmy na miejsce, które nas swym zimowym wyglądem na wiele lat zauroczyło. Był to początek naszej wieloletniej Przygody nie tylko na różnych szlakach górskich, ale także tam, gdzie przyroda dawała okazję szczególnie mocnych wrażeń i zauroczeń.

Intensywnie spędzony na treningowych wspinaczkach skałkowych oraz zjazdach na linie dzień ćwiczeń zakończyliśmy przy ognisku pod jedną z pieczar dawnych sztolni kryształu górskiego na stokach Krzyżnika. Wtedy podczas rozmów ze starszymi kolegami – wspartych śpiewem, dobrym grzańcem i odrobiną bimbru od młynarza z Karpnik, padło słowo o wrocławskich wyprawach na Spitsbergen...

Ani ja, ani moi dwaj bliscy towarzysze z Kursu 1968/69 – Jurek Bieroński i Piotrek Głowacki, zwany wtedy „Pyjtrek” nie wiedzieliśmy jeszcze, że i nasze przyszłe losy związane będą nie tylko z jaskiniami Tatr, ale również z penetracją jaskiń i lodowców spisbergeńskich oraz innymi badaniami polarnymi. Chyba też nie przeczuwaliśmy wtedy, jak silny jest, pociągający do poznania bezdroży Arktyki, urokliwy wpływ Wyspy „Szpicastych Gór” i jak szczególnie magnetyczne jest tu przyciąganie „Baranówki”.

Andrzej Witkowski

Takie sobie – moje spitsbergeńskie wspominki

Krainy polarne przez wiele lat śniły mi się po nocach. Wychowany w Górach Stołowych od czasów młodzieńczych wraz z bratem (już śp. Lechem – 45 lat później dwukrotnym uczestnikiem – kucharzem wypraw polarnych na Spitsbergen) przemierzaliśmy je na nartach, nam tylko znanymi szlakami. Były zimowe biwaki, podczas których robiliśmy igloo wykopane w głębokim, kopnym śniegu. A zimy w latach 50-ch i 60-ch były solidne – śnieżne i mroźne. Nasze śniegowe domki-jaskinie były na tyle obszerne, że z powodzeniem mieściły kilka osób, które mogły się w nich swobodnie poruszać. Ba, wyposażone były w miejsca do spania wymoszczone świerkowymi gałęziami i sianem. Były przytulne i ciepłe na tyle, że wielokrotnie tylko pod kocami próbowaliśmy w nich nocować. Nasze zabawy w polarników podsycane były wcześniejszym teoretycznym podkładem z Londona i Centkiewiczów. Ich niektóre opowiadania i książki („Zew krwi”, „Biały kiel”, „Bellew Zawierucha”, „Wyspa mgieł i wichrów”, „Anaruk, chłopiec z Grenlandii”, „W lodach północy”, „Odarpi syn Egigwy”, „W lodach Eisfjordu”, „Fridtjof, co z ciebie wyrośnie”) czytałem na okrągło i pamiętam do dziś. A latem? Latem przemierzaliśmy wg naszych wyobrażeń tajgo-tundrę, czyli „Wielkie Torfowisko Batorowskie”, co prawda już wtedy rezerwat przyrody, ale kto wtedy pałętał się po górach. Było cicho i spokojnie. Wydawało mi się wtedy, że jestem gdzieś daleko na północy, Arktyce? Być może, ale tak oczyma młodzieńca wyobrażałem sobie wtedy krainy podbiegunowe.

Potem studia przyrodnicze na Uniwersytecie Wrocławskim zamiast geografii poświęciłem ... biologii i rybom. I to właśnie za sprawą ryb i oceanologii odżyły moje polarne marzenia. Muzeum Zoologiczne (dziś Przyrodnicze), w którym po studiach zostałem zatrudniony, wysłało w 1973 roku doc. Andrzeja Wiktora (dziś em. prof., czł. PAU) i mnie – młodego asystenta na Szelf Zachodnioafrykański, aby zebrać okazy ryb i określone grupy bezkręgowców do celów ekspozycyjnych i dydaktycznych dla naszego i innych uniwersytetów. Na początku października pojechałem więc samochodem ciężarowym z naszym „afrykańsko-oceanicznym” sprzętem do Gdyni, aby załadować go na statek szkolny Wyższej Szkoły Morskiej „Jan Turlejski”, który za kilka dni miał przyplłynąć z grupą naszych polarników ze Spitsbergenu. I wtedy odżyły marzenia. Wśród powracających z letniej wyprawy byli m. in. wrocławianie Jurek Fabiszewski (botanik, dziś em. prof., czł. PAN) i Zbyszek Jakubiec (ornitolog, dziś em. prof. IOP PAN). Przez całą noc w mesie statku przy kawie i czymś mocniejszym snuli wspomnienia i opowieści ze Spitsbergenu. Z wypiekami słuchałem ich wspomnień spod bieguna do białego

rana. **Powiedziałem sobie wtedy – ja też tam będę!!!** Musiało jednak upłynąć kolejnych kilkanaście lat zanim moja stopa stanęła na wymarzonym Spitsbergenie. W międzyczasie zaliczyłem Morze Białe i jego niektóre wyspy. Szczególnie te wysunięte najbardziej na północ, noszące wszelkie znamiona surowej krzewinkowej tundry wywarły na mnie największe wrażenie. Następny krok w stronę Spitsbergenu zrobiłem w 2001 r. pod namową prof. Jana Łobody – wówczas dyrektora Instytutu Geografii i Rozwoju Regionalnego. Pamiętam jak dziś Jego słowa *„jesteś rektorem (a byłem wówczas prorektorem) i będzie ci łatwiej reaktywować spitsbergeńskie wyprawy naszego Uniwersytetu. A do wyprawy powinniśmy włączyć również naszych geologów”*. Na to tylko czekałem. Spełnia się w końcu marzenia. Lata 90-te to okres zawieszenia wrocławskich ekspedycji na Spitsbergen. Nad naszym domem pod biegunem (Værenhusem = Baranówką) łopotała najczęściej czeska flaga, bowiem zapanował tam klan rodzinny Řehaków, którzy zaczęli traktować go jako swoją własność. Niestety zdarzały się takie sytuacje, że właściciel musiał zabiegać o miejsca w Husie u podnóża Karkonoszy. Upłynęło wiele lat i dotąd nie udało się dociec, Kto?, kiedy? i na jakich zasadach? „sprzedał” naszą posiadłość na Spitsbergenie południowym sąsiadom.

Wizyta u Najwyższego (a Rektorem był w tym czasie Prof. dr hab. Z. Latajka mój kolega z okresu „terminowania” u JM Rektora R. Dudy) ... i udało się, dostaliśmy kwotę, która gwarantowała pokrycie wszystkich kosztów 8 osobowej letniej wyprawy na Spitsbergen. Zaczęliśmy kompletować zespół i wtedy przypomniałem sobie słowa J. Łobody aby *„do wyprawy włączyć również naszych geologów”*. A dlaczego to geolodzy wrocławscy wcześniej wspólnie nie bywali na Spitsbergenie? Otóż, nasi Wielcy Polarnicy (A.J. i A.K.) dotąd nie wiadomo z jakich powodów zbyt nie kochali geologów z tego samego Wydziału (Nauk Przyrodniczych) i vice versa. I przez długie lata nie do pomyslenia było aby pojechali i prowadzili razem interdyscyplinarne badania na Spitsbergenie! Czas zrobił swoje i następcy nie wiedzieli nic o tym, co tak na długie lata skonfliktowało naszych mistrzów z nauk o ziemi. Krótka rozmowa z dyrektorem ING (prof. S. Staśko) no i udało się! Pogodziłem wodę z ogniem. Pierwszym geologiem (hydrogeologiem) z Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergenie był dr Robert Tarka. Przy organizacji kolejnych wypraw, było to już oczywiste, że na wyprawę jedzie 2–3 geologów. Aby zamieszać nieco i utemperować, do tego okresu nastroszone nastroje między geografami i geologami, do pierwszego po latach interdyscyplinarnego zespołu dołączyli również dwaj biolodzy (ichtiolodzy – A.W. i dr J. Kuszniierz).

Przychodzi godzina „0”, już jesteśmy nad Spitsbergenem. Nosy i aparaty przy bulajach samolotu. Poniżej nunataki i biało od śniegu i lodu. Tylko wokół zachodnich brzegów archipelagu cienki pasek brunatno-zielonkawego lądu. Na miejscu w Longyearbyen, absolutny szok. Jest godzina 1:30 w nocy, słońce wysoko i temperatura rzadko spotykana na tych szerokościach + 13 °C. Przesiadka na statek „Horyzont II” i w końcu lądujemy w Hornsundzie, w Zatoce Białego Niedźwiedzia. Po postawieniu stopy na lądzie kolejny szok. Cała tundra jak okiem rzucił

jest fioletowo-amarantowa. Masowo kwitną *Saxifraga oppositifolia* i *Silene acaulis*. Coś niesamowitego. W naszych Karkonoszach i Tatrach zaledwie kilka małych kępek tych gatunków i już mamy sanktuarium botaniczne, a tu całe ich poduchy i kępy, po których zmuszeni jesteśmy chodzić, bo nie da się inaczej zrobić ani kroku. Dodatkowy aspekt to jazgot setek tysięcy małych czarnobiałych ptaszków – alczyków (*Ale ale*). I w tym momencie definitywnie przewartościowałem moje wyobrażenia o polarnych krainach. To jest naprawdę tętniący życiem obszar kuli ziemskiej, pomimo bliskości bieguna.

Po krótkim wychnieniu w Stacji Polarnej IGF PAN nasi koledzy – geografowie i geolodzy (po raz pierwszy razem) pod kierownictwem Starych Spitsbergeńskich Wyjadaczy Janka K. (Klemensa, druga ksywa Generał) i Jurka P. wędrują do „Baranówki”. Po wielu latach nad naszą Stacją znów, obok norweskiej i czeskiej, zawisnie polska i jubileuszowa flaga naszego Uniwersytetu, – bo rok 2002 to 300-letnia rocznica założenia naszej Uczelni. W Hornsundzie pozostaje natomiast grupa ichtiologów, która planuje przez 2 tygodnie prowadzić badania w jeziorach po drugiej stronie fiordu i w okolicach Stacji PAN, której kierownictwo na rok objął właśnie nasz człowiek (klimatolog z IGiRR) -dr Krzysztof M. Po dwóch dniach okazuje się, że dla nas nie będzie miejsc w Stacji, bo ktoś zapomniał o naszych planach, że w pierwszym okresie zamierzamy spenetrować rzekę Revelvę, jezioro Revvatnet i potok wypływający spod Arieбекken pod kątem badań ekologii golca alpejskiego (*Salvelinus alpinus*) – jedyne gatunku ryby zasiedlającego słodkowodne akweny Svalbardu. Jedyne, co zrobił dla nas „nasz” Kierownik dr Krzysztof M. to wyraził zgodę na zajęcie „Husa na Wilczku” z możliwością korzystania z posiłków i dostępem do toalet w Stacji*. Nie było innego wyjścia. Cóż było robić. Dziś po latach widzę, że Hus ten nadal świetnie prezentuje wszystkie cechy wynikające z definicji karceru. Wymiary pomieszczenia mieszkalnego to ca. 2 m długości, a jego szerokość ok. 1 m. W tej celi są 2 prycze ułożone jedna nad drugą, w końcu „salonu” jeszcze piecyk-koza, tak że między miejscami do spania a ścianą z małym okienkiem (35x35cm), zabezpieczonym przed niedźwiedziami tylko deską, pozostaje ok. 30 cm wolnej przestrzeni. Wyminąć nie ma się jak. Jedna osoba musi stale leżeć na pryczy. Podobnie przy rannym ubieraniu. Na dodatek ta wilgoć. Ale wytrzymujemy te warunki i mimo że pewnej „nocy” ktoś ze Stacji robi nam głupiego psikusa i zamyka nas na dobre od zewnątrz. Pomimo licznych prób sforsowania drzwi dopiero po kilku godzinach prób przeciskam się (jako najsmuklejszy) na zewnątrz przez okienko i otwieram Husa. Nie tracimy jednak dobrego nastroju i zapału do połowów golców. Dość szybko gromadzimy z Revelvy materiały rezydentalnej i andromicznej formy tego gatunku. W przypadku populacji z jez. Revvatnet są problemy z złowieniem ryb, bo większa część jeziora (połowa lipca) jest nadal pod lodem. W tej sytuacji decydujemy się na wędrowkę do swoich – do legendarnej „Baranówki”. Aby powrócić tu i na drugą stronę fiordu (jez. Svartvatnet) za 2–3 tygodnie jak tylko stopnieje lód. Jesteśmy na Spitsbergenie po raz pierwszy i musimy sami pokonać ponad 20-to kilometrowy odcinek tundry.

Jedyną wskazówką, jaką otrzymaliśmy to „*idźcie jak najbliżej linii brzegowej, to jakoś dotrzecie*”. Pomimo mżawki ruszamy z pełnym obciążeniem. Po przekroczeniu Re-velevy jak na warunki spitsbergeńskie zaczyna lać. Skracamy maksymalnie drogę. Tak nam się wtedy wydawało. Zamiast dłuższą, ale szybszą trasą nad morzem, wybieramy krótszą – tuż przy stoku. Nic bardziej błędnego. Na wyjątkowo tu bogato występujących torfowiskach, co kilkadziesiąt metrów zapadamy się powyżej kolan. Mozolne wygrzebywanie zabiera nam sporo czasu i sił. Nasze buty i odzież przemoknięta do przysłowiowej suchej nitki. Po 10 godzinach osiągamy Hus w Hyttevika, który zajmuje ekipa z AGH. „Lajkoniki” – Jurek i Maciek – traktują nas gorącą herbatą, którą wypijamy przed domkiem (pozostali członkowie śpią, bo jest 2 w „nocy”) i po zjedzeniu połówki tabliczki czekolady ruszamy w dalszą drogę, bo do „*waszego domu pod biegunem jest tylko 45 min. spokojnego marszu*”. Niestety ta niecała godzina urasta do trzech. Bo niewiele brakowało abyśmy prawie rozdeptali niedźwiedzia śpiącego w skałkach między Hytteviką i Vaerenhusen. Janek zatrzymał mnie w ostatniej chwili chwytając za plecak zaledwie na 20–25 m przed Królem Arktyki. Jak on patrzył zdziwionym wzrokiem na wynurzające się z gęstej mgły dwa przemoknięte upiory? Na szczęście dla nas nie wykonał w naszą stronę żadnego ruchu wskazującego na jego złe zamiary. I tak nie mielibyśmy najmniejszych szans, aby zziębniętymi rękami zarepetować dubeltówkę i oddać choćby jeden strzał. Nie mając żadnego doświadczenia z tym zwierzęciem wycofaliśmy się zataczając wielki półokrąg, aby maksymalnie oddalić się od niego. „Baranówkę” ujrzelśmy dopiero po 15 godzinach od wymarszu z Hornsundu. Jakże wydała nam się wtedy przytulnym miejscem na ziemi. W środku ciepłutko, bo napalono w piecu, a herbata z prądem i talerz gorącej stawy przygotowanej przez dobrodusznego Klemensa z całą pewnością uratowały nas od przeziębienia. Przez 3 dni suszyliśmy nad piecem naszą odzież i buty, paradując w cudzych, pożyczonych kalesonach i podkoszulkach. Nasz domek w porównaniu z „Husem na Wilczku” wydał się nam luksusowym apartamentem. Przytulnym, gdy umiejętnie napalisz w piecyku, na poddaszu masz wygodne spanie. Żywności pod dostatkiem, no i kucharz (najczęściej Klemens) wysmienity. Atmosfera wspaniała, pomimo przekroczenia limitu osób¹.

Doskonałym pomysłem doc. Baranowskiego było wybudowanie naszej wrocławskiej niezależnej stacji polarnej. Nie tylko z racji jej posadowienia blisko poligonu badawczego – lodowca Werenskiolda, ale również ze względu na koszty. Wysokie stawki pobierane przez IGF PAN za korzystanie z ich Stacji nie pozwalałyby, na wysyłanie tak licznych grup (przez wiele następnych lat corocznie

1 I dopiero wtedy zrozumieliśmy decyzję dr Krzysztofa M. skazującą nas „na zesłanie” do Husa na Wilczku. Przecież mógł przymknąć oczy i udać, że nie widzi dwóch waletujących osób w Stacji (podczas tej i następnych wypraw wiele osób z różnych ośrodków potrafiło tak przetrwać kilka dni za przymrużeniem oka Władz Stacji) lub zgodzić się na zajęcie ciepłutkiego domku Uwego lub norweskiego policjanta, które przez cały sezon letni nie były użytkowane! Po prostu chciał abyśmy docenili zalety i walory naszej dobrej, pocziwej „Baranówki”! Krzysiek! Myślę, że się nie mylę?

po 8–10 osób) z naszego Uniwersytetu. Nasze kolejne wyprawy w minionym dziesięcioleciu lokowały się głównie w „Baranówce”, a w Hornsundzie zjawialiśmy się tylko, aby dotrzeć i wyjechać ze Spitsbergenu. Nasze dłuższe pobyty w Stacji PAN w związku z prowadzonymi w rejonie Hornsundu badaniami rekompensowaliśmy równoważnymi walorami naszej. Z takiego rozwiązania korzystali bardzo często badacze z innych ośrodków „zameldowanych na stałe” w Stacji PAN. Dzięki interesującej lokalizacji „Baranówka” wypracowała sobie doskonałą opinię w gronie polarników. Często znudzone „cywilizacją Hornsundu” – gdzie TV satelitarna, telefony, komputery, internet, itp., osoby (ba, całe grupy) przebywające tam dłuższy czas szukały spokoju i prawdziwej natury w naszej stacji. Witaliśmy ich gościnnie w naszej bazie, pod warunkiem, że przywiozą ze sobą aprowizację na okres pobytu w Vaerenhusie. Najczęściej tak bywało, choć pojawiały się i grupy jakże żarłocznych „larusów” z pustymi rękoma (plecakami). I cóż było robić. Wtedy Klemens mamrocząc cicho pod nosem mało przyzwoite słowa wyciągał na wierzch to co mieliśmy z żywności przywiezionej z Wrocławia i przytarganej przez wrocławian „na plecach” z Hornsundu. Ale nikt i nigdy nie wyszedł z naszej „wrocławskiej Stacji” głodny i spragniony!

„Baranówka” stała się filią i ambasadą naszej Uczelni pod biegunem. Tu pisano rozprawy habilitacyjne i podejmowano decyzje o tematach doktoratów i awansach naukowych. Tutaj też świętowano. Pamiętam uroczyste obchodzenie „50-ki” przez obecnego Dziekana WNZOŚ (Prof. S. Staśko) i Henia Marszałka (już Profesora) oraz imieniny Ani Kowalskiej (dr) – dziś kierownika 33 Wyprawy Polarnej PAN w Hornsundzie. Nad wszystkim jeszcze we Wrocławiu czuwał Klemens, który zaskoczył ich nie tylko prezentami, odpowiednimi dla Prawdziwego Polarnika, lecz oprawą tych uroczystości. Tortem upieczonym i udekorowanym w polowych warunkach tu pod biegunem oraz swoją nieskazitelną białą (świeżo wyprasowaną!) koszulą, granatowymi portkami, świeżo wypucowanymi mesztami i krawatem Klubu Polarnego.

Dzięki istnieniu „Baranówki” mogliśmy przez wiele minionych lat i możemy nadal bezpiecznie realizować swoje projekty badawcze, przeżywać radosne chwile ciesząc się z sukcesów naukowych odniesionych tu na Spitsbergenie. Nasza Stacja była też świadkiem i smutnych wiadomości. Tu Jurek Pereyma dowiedział się o tragicznym zatruciu się gazem przez doc. St. Baranowskiego w Antarktyce. Wkrótce przed chatką usypano pomysłodawcy i budowniczemu naszego Husa kopczyk dla „Stanisław Baranowski Memory”. „Baranówka” dzięki trosce jego użytkowników, wsparciu Władz Uczelni – kolejnych JM Rektorów, dziekanów i dyrektorów Instytutu Geograficznego jest stale konserwowana, zabezpieczana i wyposażona w niezbędny (minimalny) sprzęt potrzebny przebywającym tu w okresie letnim polarnikom. Nasz dom pod biegunem potrafi okazać swoją wdzięczność za troskę oraz serce i siły włożone w prawidłową eksploatację. Potrafi też się mścić i to srogo, gdy go użytkują „greenhorny” – polarnicy z przypadku (zadufane w swoją wiedzę i wielkość istoty), jak to już niestety doświadczaliśmy podczas jednej z ostatnich wypraw.

Stanisław Staśko

Moja wyprawa na Spitsbergen

Moja pierwsza wyprawa na Spitsbergen w roku 2004 w towarzystwie naszego dziekana, prof. Andrzeja Witkowskiego miała na celu rekonesans bazy polarnej naszych geografów i przywrócenie badań wrocławskich w tym rejonie. Lecimy z Wrocławia przez Warszawę do Oslo i Longyearbyen z dwoma sztukami zakupionej broni. Na lotnisku w Warszawie niezwykle ostra odprawa, która ma na celu pouczyć nas jak ważne są służby celne. Są to tylko zwykłe dubeltówki, używane, bo na nowe nas nie stać. Oczekujący w porcie w Longyearbyen statek „Horyzont II” przyjmuje nas ciepło a pogoda jest idealna do rejsu. Niestety, ten spokój znika gdy wychodzimy w morze i zbliżamy się do bazy PAN w Horsundzie. Pak lodowy uniemożliwia wejście do zatoki a więc dostawę paliwa i wyposażenia dla remontującej się stacji. Przy trzeciej próbie przebicia się przez gęste kry lodowe pojawia się norweski okręt Straży Wybrzeża, który toruje nam drogę do zatoki Białego Niedźwiedzia. Gdyby nie on, zaopatrzenie nie dotarłoby do Stacji. Gorące powitanie z zimującą załogą a następnie rozładunek wielu przyczep paliwa dla generatorów, beczek ze sprzętem naukowym, materiałów budowlanych, środków czystości i żywności, poczynając od papieru toaletowego po mrożone mięso, konserwy, warzywa, wreszcie świeże owoce itp. Jest to zaopatrzenie na cały rok. Rozładunek zaopatrzenia i dowiezionego sprzętu trwa od godziny 20 do godziny 5 rano dnia następnego. Pomimo nocy jest jasno. To przecież dzień polarny a słońce nie zachodzi przez 24 godziny lecz ciągle obiega horyzont.

Po 20 godzinach na nogach padamy na prycze i śpimy. Następnego dnia doświadczony polarnik dr Klementowski zabiera nas na wycieczkę do Lisiej Doliny (Revdalen), gdzie pokazuje gleby poligonalne i opisuje badania, jakie prowadzili tutaj koledzy z geografii. Później wyruszamy na lodowiec Hansa będący obiektem szczegółowych badań naukowców Polskiej Akademii Nauk. Mierzą oni tempo przemieszczania się mas lodowych, tempo topnienia, dostawy śniegu, skład chemiczny wód topniejących itd., a wszystko po to aby lepiej poznać i zrozumieć lodowce, jak pisze prof. Jania w swojej wspaniałej książce. Stacja PAN prowadzi też regularne obserwacje meteorologiczne i magnetyczne pola Ziemi. Tutaj mamy swój mały wkład w rejestrację procesów i zjawisk, w poznaniu jak zmienia się klimat naszej matki planety.

W trakcie prowadzenia badań i wycieczek terenowych mogłem przekonać się jak bogata jest fauna tego chłodnego, polarnego regionu. Podchodzące na wyciągnięcie ręki renifery spokojnie skubią tundrę, obecne w ogromnej liczbie ptactwo (alczyki, mewy, wydryki i inne) zakładają gniazda, wysiadują pisklęta i w krótkim

okresie lata polarnego uczą je jak przetrwać, aby na koniec lata odlecieć do cieplejszych obszarów.

Rozpoczynamy kartowanie wpływów i źródeł w dolinie Revelvy w celu określenia bilansu wodnego w okresie letnim. Lato na Spitsbergenie oznacza, iż średnia temperatura powietrza jest wyższa od 2,5°C, chociaż bywają również dni gdy jest kilkanaście stopni cieplej. Pogoda jest zmienna, jak to na wybrzeżu, wystarczy mała bryza i wszystko pokrywa gęsta mgła lub mży drobny deszcz, który wraz z wilgotnym powietrzem znad morza sprawia, iż wszystko przesiąka wilgocią. Obecność soli w powietrzu i wilgoci powoduje, że elektroniczne przyrządy szybko milkną lub całkowicie przestają działać. Konieczne jest więc zabezpieczenie w folii aby uniknąć problemów. Montujemy przyrządy pomiarowe dla pomiaru tempa przepływu wód podziemnych i badania ich składu chemicznego. Poza ilością wody, jaka spływa po powierzchni poszukujemy odpowiedzi na pytanie, jaka część opadów, topniejącego śniegu i lodu lodowcowego infiltruje do gruntu i odpływa pod powierzchnią terenu. Mierzymy potoki spływające z lodowców i zakładamy urządzenia elektroniczne rejestrujące stany wód aby kontrolować przebieg procesów gdy nas tu nie będzie. Mam nadzieję, że załoga bazy PAN zmieni akumulatory. Montujemy łąty wodowskazowe. Przy tego rodzaju pracach trzeba mieć ze sobą każdą śrubkę, podkładkę każdy element, gdyż najbliższy sklep jest ponad 200 km stąd, a dostać się do niego latem można tylko drogą morską lub helikopterem.

Widocznie przywozłem niewyleczoną anginę, która rozwija się w tych warunkach bardzo szybko. Przez kilka dni mam gorączkę i pocę się. Jednak po kilku dniach stoję na nogi. Dyżur w kuchni jako pomocnik kucharza oznacza zmywanie po 40 osobach talerzy, sztućców i wielkiej liczby garów. Ponadto jeszcze zmywanie toalet i korytarzy. Tutaj robimy wszystko sami, jesteśmy nie tylko badaczami ale również mechanikami, kucharzami i osobami do utrzymania czystości powierzchni płaskich. Po dwóch tygodniach, ruszamy pieszo z plecakami i bronią dla ochrony przed niedźwiedziem polarnym pod Lodowiec Werenskiolda do naszej uniwersyteckiej stacji badawczej nazwanej imieniem Stanisława Baranowskiego, popularnie zwanej Baranówką. Marsz z pełnym ekwipunkiem zajmuje nam ponad 8 godzin. Mijamy rwące potoki i brniemy w tundrowych mokradłach pokrytych mchem i porostami. Od czasu do czasu na naszej drodze pojawiają się renifery i lisy polarne. Pierwsze spotkanie z niedźwiedziem polarnym, który posila się jajkami ptasimi i pisklętami przebiegło bezpiecznie. Późniejsze spotkania są bardziej niebezpieczne gdyż zwabione zapachami niedźwiedzie podchodzą do naszego wrocławskiego domku i aby je przynajmniej odstraszyć trzeba strzelać lub używać petard, co nie zawsze jest skuteczne.

Stacja badawcza Uniwersytetu to mały drewniany domek o wymiarach 8×4 m, posadowiony nad brzegiem rzeki, na zboczu moreny bocznej lodowca. Mieści w okresach intensywnych badań czyli w lecie od 10–12 osób. Jest tam kuchnia opalana drewnem przywiezionym saniami zimą, laboratorium, jeden mały po-

koik, spiżarnia (zawsze pełna), łazienka i warsztat. Na stryszku sypialnia dla 6–8 osób złożona z materacy. Sufit pod nią ugina się tak, że nie można domknąć drzwi na dole. W „przedpokoju” stoi 20 par butów gumowych i terenowych, wisi 10 kurtek i 4 sztuki broni.

Widok na moreny boczne przypomina kopalniane hałdy kamienne spod Wałbrzycha, z tą różnicą, że tu nie ma ani jednego krzaczka ani drzewa. Kamienista, wilgotna i zimna pustynia z ogromną ilością wód z topniejących lodów i śniegu. Przez pierwsze dni nosimy w plecakach dostarczone łodzią do zatoki Hyttevika produkty spożywcze, wyposażenie, środki czystości i sprzęt pomiarowy. W jedną stronę godzina marszu a takich marszy kilkanaście. Całe nasze zaopatrzenie trzeba przenieść i zabezpieczyć aby niedźwiedzie nie rozbiły beczek i pozbawiły nas zapasów. Po zagospodarowaniu się ruszamy na pomiary wzdłuż potoku, w górę doliny Bratteggdalen. Jest lato, temperatura powietrza dodatnia, wszystko się topi. Na Lodowcu Werenskiolda trzeba skakać przez szczeliny i kanały supraglacialne, którymi spływa topniejący śnieg i lód. Przy jednym z takich skoków skrzyłem nogę. Ale nic to, opuchlizna zejdzie. Wspaniały Jozef (Pepa) Rehak, badacz z Czech opowiada o krasie lodowcowym i pokazuje mi wejście do jaskiń, jakie wyłobiała płynąca pod lodowcem woda. Przepiękne widoki z pasiastymi warstwami lodu o różnej barwie od niebieskiego firnu po siwe i ciemne wstęgi i wkładki.

Podczas słonecznej pogody i pobytu w Stacji PAN wspinamy się na pobliski szczyt Fugleberget (568 m n.p.m.). Podziwiając morze niekończącej się bieli lodowców, z których gdzieś niegdyś sterczą szczyty nunataków, mogłem naocznie przekonać się, że ponad 75% słodkiej wody zamknięte jest w lodowcach.

Ludzie, którzy badają obszary polarne i tutaj wielokrotnie przyjeżdżają zarazi polarnym wirusem, zmieniają swoje zachowania. Może wynika to z faktu że pieniądź nie ma tu znaczenia. Brak tu telefonów, codziennej gonitwy sprawia że jesteśmy dla siebie inni, miłsi, mniej egoistyczni. Wszyscy ze sobą współpracują, pomagają sobie nawzajem, nawet tym, którzy próbują rozpalic piec wkładając drewno do piekarnika. Wielki śmiech i dużo dymu.

Załoga Stacji PAN remontując i rozbudowując „Hilтона” (tak nazywaliśmy stację w Hornsundzie) zawsze pożyczmy wiertarkę, wkręty czy klucz niezbędny do napraw sprzętu. Mówimy „Hilton”, bo przez całą dobę jest tam prąd elektryczny i bieżąca ciepła woda, prysznic, pralka automatyczna, poczta elektroniczna i gorące posiłki które przygotowuje kucharz. Generatory nieustannie tam pracują a u nas w Baranówce tylko przez 1–2 godziny dziennie, tak aby naładować akumulatory w laptopach i przyrządach pomiarowych. My mamy paliwo w ograniczonej ilości. U nas kąpiemy się po nagrzanu wody i zassaniu z węża. Jurek Pereyma wymyślił prysznic. Do kąpieli używamy opryskiwacz ogrodniczy o pojemności 5 litrów. Otóż wlewamy 4 litry zimnej wody z kranu (spływa grawitacyjnie z jeziora) i dolewamy 1 litr wrzątku zagotowanego na kuchni. W ten sposób powstaje mieszanina o temperaturze około 25–30 stopni. Pompką wytwarzamy ciśnienie w opryskiwaczu i w ten sposób bierzemy prysznic. Można jednak umyć się, ba nawet wykąpać

się 5 litrami wody. Jaka to oszczędność w relacji do naszych natrysków w mieście a przecież tutaj wody jest wielokrotnie więcej. Brak tylko energii na jej ogrzanie.

Wspólnie z Jurkiem Jutarskim i Anką Kowalską kartujemy strumienie i źródła w dolinach Revelvy i Bratteggdalen zakładamy łaty wodowskazowe i elektroniczne mierniki.

Druga wyprawa w 2007 roku, to już kontynuacja badań szerszego zespołu Roberta Tarki, Tomka Olichwera, Magdy Modelskiej i Sebastiana Buczyńskiego. Jesteśmy już bardziej doświadczonym zespołem, z precyzyjnie określonym programem. Jak zwykle najpierw rozładunek, dostawa, sprzętu i żywności. Dobrze że Krzysztof Migała zimą dowiózł drewno i niezbędne racje żywności na początek naszego pobytu, zanim przetransportujemy beczki z zatoki. Wspólnie z Heńkiem Marszałkiem i Mirkiem Wąsikiem badamy procesy na przedpolu Lodowca Werenskiolda. Przekraczamy rzekę lodowcową, która biorąc swój początek u czoła lodowca, nieobliczalnie rozlewa się na jego przedpolu. W butach rybackich przechodzimy przez rwący nurt zimnej lodowej rzeki o szerokości koryta ponad 20 m i głębokości powyżej 1 m. Zakładamy krótkie gumowce na brzegu i kartujemy z GPS wypływy z czoła lodowca. Brniemy momentami po mulistych osadach, w których Mirek jako ten „stojany w potokach” często się zapada i trzeba go wyciągać. Kartujemy jeziora na morenach i badamy skład chemiczny wód, ich termikę. To wszystko po to, aby zarejestrować zjawiska zachodzące, obliczyć bilans wodny i ocenić stan środowiska. Jak wynika z porównania z badaniami z roku 1978, czoło Lodowca Werenskiolda oddaliło się o 250 m. Oznacza to, iż wytapianie się jest szybsze niż dostawa śniegu i lodu. Lodowiec nigdy się nie cofa jak pisał prof. J. Jania, zawsze posuwa się do przodu, są lata gdy proces ten zachodzi szybciej a są takie, gdy jest to proces wolniejszy. Wówczas mówimy iż lodowiec „cofa się” a klimat w tym regionie ociepla się lub dostawa opadów i śniegu jest mniejsza. Z drugiej strony pobyt tutaj i obserwacja krajobrazu i zjawisk uzmysławia nam, iż tak wyglądał obszar naszego kraju i znaczna część Europy podczas ostatnich zlodowaceń. Kilkaset tysięcy lat temu takie piaski, muły, żwiry wynosiły rzeki na przedpole lądolodu pod Gdańskiem, Poznaniem i Wrocławiem.

Kontakty z rodziną i bliskimi są raczej ograniczone, co prawda mamy telefon satelitarny, ale jest limit czasowy rozmów (15 minut na osobę), gdyż służy on głównie na wypadek awarii. Mamy radiostację i łączymy się często z bazą PAN. Są też momenty strachu, gdy wychodzące w teren osoby nie odzywają się przez kilkanaście godzin bo baterie słabe, bo brak zasięgu itp. Wówczas wysyłamy grupę ratunkową, a wtedy na szczęście okazuje się że wszystko jest w porządku. Trzeba mieć wiele pokory i szacunku dla lodowców i tutejszej przyrody a warunki meteorologiczne zmieniają się tutaj szybko.

Obie te wyprawy w polarne regiony uzmysłowiły jak wielka jest różnorodność zjawisk i procesów na naszej planecie. Jak flora i fauna przystosowuje się do trudnych warunków. Jak kwitnie życie nawet w tych trudnych warunkach. Możemy

podziwiać majestat Natury, siły wiatrów, prądów morskich, niebieskiego lodu lodowcowego który został przeobrażony ze śniegu padającego trzysta – czterysta lat temu. Możemy obserwować i mierzyć, jak pojedyncze kropelki wody łączą się w miliony tworząc wielkie nurty rzek, które z kolei erodując „przenoszą góry”. Jesteśmy tylko obserwatorami wielu naturalnych zmian, na które mamy niewielki wpływ ale możemy je zarejestrować i opisać dla przyszłych pokoleń.

Ireneusz Sobota

...pierwszy raz

Prawdopodobnie nie należę do szerokiego grona osób, które odwiedzały wielokrotnie i spędziły wiele czasu w Stacji Polarnej Uniwersytetu Wrocławskiego. Bo byłem tam tylko chwilę i tylko raz. Jednak to był ważny moment – jak każdy pierwszy raz. Było to w roku 2000, na Spitsbergenie znalazłem się po raz siódmy, ale w rejonie fiordu Hornsund wcześniej nie byłem.

Po dotarciu do Polskiej Stacji Polarnej w Hornsundzie wybraliśmy się skuterami na jednodniową wycieczkę po okolicy. A śnieżne ścieżki zaprowadziły nas na lodowiec Werenskiolda i do bazy wrocławiaków. Kiedy zawita się do miejsc, które zna się z opowieści, jakoś tak dziwnie robi się w środku... myśli się kłębią... naprawdę tu jestem. Pamiętam, że od razu przypomniało mi się moje pierwsze Sympozjum Polarne w Książu w 1995 roku, organizowane właśnie przez „Wrocław”. Pamiętam jak słuchałem wszystkich opowieści, zarówno tych naukowych, jak i tych o życiu i przygodach na dalekiej północy. I też wiele o Werenhusie. Opowiadało wielu polarników, w tym Ci, których już nie ma prof. Siedlecki, prof. Jahn, prof. Pulina, którzy właśnie bardzo silnie związani byli z wrocławską bazą. To były moje pierwsze chwile z polarną przygodą. Słuchałem z otwartą buzią z zachwytem i podziwu (i chyba do dziś nie udało mi się jej tak do końca zamknąć...).

I nagle w mroźny marcowy dzień znalazłem się w Stacji Polarnej im. S. Baranowskiego. Ważna chwila, znaleźć się w legendarnym miejscu. Zjedliśmy w środku jakiś posiłek, pogadaliśmy i wróciliśmy do bazy. To był tylko jeden krótki dzień, ale też jedna długa chwila, która w pamięci trwa do dziś. Fajnie, że Stacja gdzieś tam daleko jest, że tyle się tam działo i tylu ludziom służyła i służyć będzie. To moje spotkanie ze Stacją wrocławską zapewne nie jest jakimś wielkim doświadczeniem, w porównaniu z tymi co tam byli i bywać będą. Ale jest to jednak jedno z tych miejsc, za którymi się tęskni. I byłem tam po raz pierwszy i było tak jak powinno być, gdy to jest pierwszy raz... dziękuję.

Piotr Migoń

Kilka wspomnień ze Spitsbergenu

Niepisany zwyczaj stanowi, że każdy wrocławski geograf fizyczny, a geomorfolog w szczególności, powinien odbyć podróż na Spitsbergen. Mnie spotkało to w dość nietypowych okolicznościach. Wiosną 1989 r. szykowana była kolejna, tym razem dość skromna, bo tylko dwuosobowa letnia wyprawa do naszej instytutowej stacji. Ja w tym czasie kończyłem pracę magisterską na temat nie mający nic wspólnego z problematyką polarną (dotyczył genezy rzeźby Pogórza Karkonoskiego, był więc bardziej w nurcie geomorfologii tektonicznej i strukturalnej) i miałem nadzieję, że sukcesem zakończą się starania o etat asystenta-stażysty w Zakładzie Geomorfologii. Wyjazd na Spitsbergen był do ewentualnej realizacji w bliżej niesprecyzowanej przyszłości. Tymczasem sprawy nieoczekiwanie przybrały inny obrót. Z pewnych powodów, których nie chcę bliżej przytaczać (nie mam zresztą pewności, czy wersja mi znana odpowiada prawdzie) Kierownik Zakładu Geomorfologii, profesor Alfred Jahn, postanowił „ukarać” jednego z swoich ówczesnych współpracowników wstrzymując jego wyjazd na letnią wyprawę i był w tym postanowieniu dość zdeterminowany. Równocześnie jednak różne działania organizacyjne były już podjęte, bilety kupione, a i pewnie wyjazd jednej osoby do stacji nie bardzo wchodził w grę, chociażby ze względów bezpieczeństwa. I tak zaofiarowano mi (przyszłemu asystentowi) dość nagle, chyba na niecałe trzy miesiące przed datą wyjazdu, możliwość uczestnictwa w dwuosobowej wyprawie. Jako że taka szansa mogła się już nie powtórzyć, nie zastanawiałem się długo i wkrótce wraz z Andrzejem Traczykiem, wówczas już asystentem w Zakładzie i kolegą z koła naukowego, rozpoczęliśmy przygotowania do wyjazdu.

Czasy były inne, więc i podróż odbywała się inaczej, niż ma to miejsce dzisiaj. Z powodów finansowych opcja norweska nie wchodziła w grę i pozostawała odrębna droga przez Związek Radziecki, ze wszystkimi radościami podróżowania przez kraj wiecznej szczęśliwości, jak go wówczas często nazywano. Dodatkowo, w lecie 1989 r. wyłączono z użytku lotnisko w Longyerbyen i jedynym sposobem dotarcia na Spitsbergen był rejs z Murmańska do Barentsburga – rosyjskiej miejscowości górniczej na zachodnim Spitsbergenie. Tyle, że najpierw trzeba było się jeszcze do tego Murmańska dostać... Organizacja podróży budziła liczne skojarzenia z treścią mojej ulubionej lektury – „Paragrafu 22” Josepha Hellera. Przykład: o ile kupno biletów lotniczych przez Moskwę do Murmańska nie stanowiło problemu, to biletów na statek owszem. Rejs organizowało radzieckie przedsiębiorstwo górnicze „Arktikugol”, jako że miał on dostarczyć na Spitsbergen nową zmianę górników do tamtejszych kopalni (w normalnych warunkach odbyłby się przelot na trasie Moskwa – Longyerbyen). Wcześniejsze kupno biletów okazało się niemoż-

liwe. Rosjanie oczekiwali transferu pieniędzy, po czym wysłaliby fakturę potwierdzającą ich wpłynięcie. Uniwersytet z kolei żądał faktury pro forma, na podstawie której mógłby zgodnie z przepisami dokonać przelewu zagranicznego. Obie strony były mocno okopane na swoich stanowiskach i w rezultacie ruszyliśmy w połowie lipca do Moskwy bez biletów, ale z nadzieją ich kupna na miejscu (większość bagażu popłynęła polskim statkiem, jak się później okazało – okrętem wojennym ORP „Arctowski”, co ogólnie nie wyszło nam na zdrowie...). Do tego celu miał być wykorzystany skromny przydział rubli, więc mający już spitsbergeńskie doświadczenia Andrzej zaproponował wzięcie dodatkowej „waluty”, która za wschodnią granicą cieszyła się niezmiennym powodzeniem. Dla jasności, nie chodziło o dolary, marki niemieckie, ani nic podobnego. Okazało się to bardzo dobrym pomysłem i po dłuższych negocjacjach w moskiewskiej siedzibie przedsiębiorstwa węglowego Andrzej wyszedł z biletami, a raczej czymś w rodzaju promesy na bilety, gdyż ostatecznego zakupu mieliśmy dokonać w Murmańsku. Tak więc po trzech dniach od wyjazdu z Wrocławia zjawiliśmy się za kręgiem polarnym, wciąż bez gwarancji, że rzeczywiście popłyniemy. W Murmańsku odbyła się kolejna runda trudnych negocjacji, ale dzięki posiadanym płynnym kartom przetargowym udało się nam w końcu zaokrętować, przechodząc wcześniej wyjątkowo drobiazgową kontrolę celną. Po raz pierwszy i ostatni w życiu spotkało mnie rozkręcanie długopisów, zdejmowanie plastikowych zatyczek na stelażu plecaka i dłuższe rozważania, czy przypadkiem nie zgłoszenie do deklaracji celnej kwoty 3,70 zł (lub podobnej – pamięć się zaciera) nie jest rażącym naruszeniem zasad obowiązujących między państwami RWPG. Ale wszystko się skończyło pomyślnie i wypłynęliśmy z murmańskiego fiordu, mając za towarzystwo jedną z rosyjskich atomowych łodzi podwodnych. Może był to „Czerwony Październik”?

Trzydniowy rejs był kolejnym hardcorowym przeżyciem, a to z racji licznych zaproszeń od rosyjskich towarzyszy podróży na uczczenie przyjaźni polsko-radzieckiej przy pomocy własnych produktów o dużej mocy. Szczególnie namolny był pewien Nikołka, który „pierwyj raz w żizni inostranca uwidieł” i nie zamierzał takiej okazji przepuścić. Możliwości percepcyjne własnego języka miał ewidentnie ograniczone, gdyż wielokrotne powtarzanie zdania „nie chaczu” nie dawało żadnego skutku. Dla świętego spokoju udałem się z nim do jego kabiny na toast czymś wyjątkowo obrzydliwym, w ilościach niemal hurtowych, co przeżyłem z trudem. Nikołka chyba zresztą też, bo z późniejszej relacji Andrzeja (który był jego kolejnym „łupem”) dowiedziałem się, że drugiego toastu nie był już w stanie zrealizować. Arktyczne morze okazało się natomiast dla nas łaskawe i bez żadnych komplikacji po trzech dniach zawinęliśmy do Barentsburga, a stamtąd po kolejnych chyba czterech dniach helikopterem dotarliśmy do Hornsundu. Nie muszę dodawać, że znów nieoceniona okazała się nabyta na Okęciu „waluta”. Barentsburg – szara przemysłowa osada z ludźmi praktycznie uwięzionymi w polarnej klatce, zrobił na mnie wrażenie dość przygnębiające, natomiast lot, który odbył się z międzylądowaniem na wyspie Edgoya, ukazał wyjątkowe piękno Spitsbergenu

i nie miałem już wątpliwości, dlaczego są ludzie, którzy corocznie podejmują trud organizacji wyprawy w te dalekie strony. Przy niezłej pogodzie schodziliśmy do lądowania przy stacji polarnej Polskiej Akademii Nauk w Hornsundzie i widok lodowców uchodzących do morza naprawdę mnie oczarował. Tak więc, na miejsce dotarliśmy po dziewięciu dniach od wyruszenia z Wrocławia, a po kilku dniach spędzonych w bazie pomaszzerowaliśmy przez tundrę do naszej stacji przy lodowcu Werenskiolda.

Na Spitsbergenie przyszło nam spędzić blisko trzy miesiące, jako że podróż powrotną mieliśmy odbyć na pokładzie polskiego statku, który miał jesienią przywieźć zaopatrzenie na zimę dla stacji polarnej i zabrać z powrotem do kraju uczestników wypraw letnich i ekipę remontową. Przyznać muszę, że na Spitsbergenie nie prowadziłem szczególnie ożywionej działalności naukowej, początkowo głównie towarzysząc Andrzejowi w zbieraniu materiałów, które kilka lat później stały się podstawą jego doktoratu na temat glacialnej i peryglacialnej historii doliny Rev. Dużo czasu spędzałem też na wędrownkach po nadmorskich terasach i przedpolach lodowców, poznając na żywo rzeźbę, wcześniej znaną tylko z opowieści i fotografii. Ten kapitał doświadczeń okazał się później nieoceniony w pracy nauczyciela akademickiego. Na usprawiedliwienie mam to, że decyzja o wyjeździe podjęta została dość późno i nagle, a czas na przygotowanie merytoryczne był mocno ograniczony. Po kilkunastu dniach znalazłem jednak dla siebie „niszę badawczą” i zacząłem bliżej przyglądać się rzeźbie fosiłnych klifów morskich, które wskutek izostatycznego podnoszenia wyspy znalazły się kilka, a nawet kilkadziesiąt metrów powyżej poziomu morza. Interesowało mnie, w jaki sposób są one przekształcane przez procesy wietrzenia mechanicznego i w jakim tempie się to odbywa. Mój „warsztat badawczy” tworzyły tylko notatnik, linijka, kompas i aparat fotograficzny, nie mogłem więc absolutnie powiedzieć, że zrealizowałem jakiś projekt badawczy i uzyskałem solidne wyniki. Niemniej wydawało mi się, że opinie o wyjątkowej intensywności peryglacialnych przekształceń rzeźby są znacznie przesadzone. Nawet klify położone na wysokości 22–25 m ponad poziomem morza, liczące przynajmniej kilka tysięcy lat, zachowały bardzo świeżą rzeźbę, a ilość gruzu, który odpadł ze ścianek skalnych, była bardzo skromna. Po powrocie do Polski pochłonięły mnie inne zagadnienia i przez wiele lat w moim dorobku publikacyjnym nie było żadnego śladu, że kiedyś miałem okazję być na Spitsbergenie. Do obserwacji z pasa przybrzeżnego wróciłem dopiero po sześciu latach, podczas dłuższego pobytu stypendialnego w Wielkiej Brytanii. Miałem wtedy okazję przedstawić moje obserwacje i poglądy doświadczonym badaczom strefy przybrzeżnej, a jeden z nich zachęcił mnie do przygotowania krótkiej notatki na ten temat do biuletynu brytyjskiego stowarzyszenia badaczy czwartorzędu *Quaternary Newsletter*. Zyskała ona pozytywną recenzję znakomitego specjalisty od geomorfologii strefy zimnej, Colina Ballantyne’a i została opublikowana w 1997 r. Miło mi było później kilka razy zobaczyć, że ta niewielka praca, nie będąca de facto artykułem naukowym, doczekała się kilku cytowań. Choć na Spitsbergenie nigdy już później nie byłem,

to zagadnienie przekształcania rzeźby litoralnej w warunkach peryglacialnych nadal wydawało mi się interesujące i bardzo ucieszyło mnie, gdy kilkanaście lat później podjęła je podczas swoich podróży naukowych na Spitsbergen moja pierwsza doktorantka – Agnieszka Latocha, a później Mateusz Strzelecki z Poznania. Przeczytanie w jego właśnie wydanej publikacji w *Polish Polar Research*, że rozmowy ze mną na ten temat były jedną z inspiracji do realizacji badań rzeźby teras nadmorskich było – nie da się ukryć – dużą satysfakcją. Może więc pod względem naukowym nie był to pobyt zmarnowany?

Rozpisałem się nad osobiwą drogą na Spitsbergen, gdzie dotarcie było znacznie większym wyzwaniem niż faktyczne funkcjonowanie w realiach spitsbergeńskich (zwłaszcza że latem 1989 r. okolice fiordu Hornsund były wolne od niedźwiedzi). Równie sporych atrakcji dostarczył powrót. Okazało się, że z Polski na Spitsbergen ponownie wypłynął ORP „Arctowski” i tego już było Norwegom za wiele. Pamiętajmy, że był to rok 1989 r. i pojawienie się okrętu należącego do Układu Warszawskiego przy brzegach państwa-członka NATO, w strategicznym obszarze zapewniającym kontrolę na dużą część Arktyki, nie mogło pozostać bez echa. Po lipcowych wydarzeniach, gdy postawiono Norwegów przed faktem dokonanym, zabronili oni „Arctowskiemu” wypłynąć do Hornsundu i trzymali go na wodach międzynarodowych, około 20 mil morskich od brzegu, pod eskortą kanonierki. Pierwszym odcinkiem drogi powrotnej była więc jazda pontonem w otwarte morze (była połowa października!), do niewidocznego z brzegu okrętu i następnie wspinanie się po drabince na pokład. To była prawdziwa „groza polarna”, przy której wędrówki po tundrze były relaksującymi niedzielnymi spacerkami. Tego doświadczenia zdecydowanie wolałbym nie powtarzać... A potem był jeszcze tygodniowy rejs powrotny, z kilkudniowym sztormem na Morzu Północnym, gdy „Arctowski” całkiem nieźle rzuciło, a organizm nie miał najmniejszej ochoty przyjmować pokarmów (raczej odwrotnie). W końcu dotarliśmy do Gdyni i 24 października byliśmy z powrotem we Wrocławiu i w zupełnie nowej Polsce, która właśnie pozbywała się gorsetu socjalistycznej ideologii i zaczęła swoją drogę ku politycznej i gospodarczej normalności. O tym, że została ona uwieczniona sukcesem świadczy chociażby to, że moja opowieść o sposobie podróżowania i załatwiania formalności będzie dla dzisiejszych młodych polarników, w kilkanaście godzin docierających Skandynawskimi Liniami Lotniczymi do Longyerbyen, typową „bajką o żelaznym wilku”.

Wspomniałem już, że był to mój jedyny pobyt na Spitsbergenie. Dalsza kariera naukowa geomorfologa poprowadziła mnie raczej na południe i zachód Europy, na pustynie zwrotnikowe, a nawet w lasy równikowe. Bakcyła polarnego jakoś nie złapałem. Trudno powiedzieć dlaczego. Może dlatego, że w polskich realiach nie byłoby to zbyt oryginalne? A może przerażał mnie ogrom prac organizacyjnych towarzyszących każdej wyprawie? Pobyt na Spitsbergenie pozostaje jednak jednym z moich barwniejszych wspomnień życiowych, a działalności badawczej w Arktyce będą na pewno życzliwie kibicował.

Agnieszka Latocha

Codziennosc w Werenhusie

Teksty są fragmenami książki „Spitsbergeńskie lato”

Jeszcze tylko jedno niewielkie podejście pod górkę, jeden zakręt i zza skalistego załomu stoku powinien ukazać się wreszcie cel naszej wędrówki. Jesteśmy już od ponad pięciu godzin w trasie z Bazy, plecaki z większością naszego dobytku na tegoroczny letni sezon niemiłosiernie wpijają się w ramiona, nawet kalosze zaczęły już uwierać w stopy.

— Jest! Widać dach! – niewielki, czerwony prostokąt wyraźnie odcinał się od otaczającej go szarozielonej tundry i skał.

— Jak dobrze wreszcie być w domu! – mieliśmy do przejścia jeszcze co prawda spory kawałek, ale, mimo zmęczenia, wszyscy jakoś ożywiliśmy się i chyba podświadomie przyspieszyliśmy kroku.

Werenhus. Czyli „Baranówka”. Czyli Stacja Polarna im. Stanisława Baranowskiego, należąca do Instytutu Geografii i Rozwoju Regionalnego Uniwersytetu Wrocławskiego. Czyli po prostu Nasz Dom wśród arktycznych przestrzeni. Po raz kolejny wracam w jego progi, by spędzić tu jeszcze jedno spitsbergeńskie lato. Słychać już coraz wyraźniej szum spadającej ze skalnego progu tuż przy chacie wartkiej wody rzeki Bratteg. Strzeże ona dostępu do Werenhusa niczym prawdziwa fosa. Przechodzimy po wąskiej, drewnianej kładce nad wodospadem – w wietrzne dni jest to bardzo ryzykowne, a czasem wręcz niewykonalne; trzeba wówczas zejść do koryta rzeki i przejść przez wodę. Ale zaraz za tą niebezpieczną „powietrzną” przeprawą przez kładkę czeka bezpieczna przystań – mocno oparty o lite skalne podłoże drewniany domek z tarasem z kilku desek, na którym od razu zrzucamy ciężkie plecaki. Nie jesteśmy pierwsi w tym roku, parę dni temu gościli w Werenhusie zimownicy, traktujący chatę często jako miejsce krótkich wypadów, gdy na chwilę, dla psychicznej równowagi, trzeba się wyrwać z codziennej monotonii Bazy, oderwać od grupy i spędzić trochę czasu w samotności lub w bardziej kameralnym towarzystwie.

Werenhus powitał nas charakterystycznym zapachem drewna i skrzypiącą podłogą.

— Zarządzam na dziś prace gospodarczo-porządkowe! – Jasiu doskonale potrafił koordynować działalność naszej kilkuosobowej grupy – Dwóch silnych chłopaków pójdzie jeszcze do Hytteviki i przyniesie część podstawowych produktów z naszych zasobów żywnościowych, chleby, sery, wędliny, może kilka litrów mleka, weźcie też margaryny, trochę konserw. Jak zostanie wam jeszcze

miejsce w plecakach, to zadecydujcie, co jeszcze trzeba przenieść w pierwszej kolejności.

Hyttevika, stara traperska chata położona w sąsiedztwie, służyła w tym roku jako port, gdzie zdeponowane mieliśmy beczki z zapasami żywności, częścią ubrań i sprzętu. Teraz, stopniowo, trzeba było przenosić wszystko na plecach do odległego o około pół godziny marszu Werenhusa.

— Osoby, które zostają na miejscu zajmą się porządkowaniem spiżarni. Musimy sprawdzić daty ważności produktów, które zostały tam z poprzednich sezonów. Trzeba wreszcie to raz porządnie posegregować i poukładać, no i przygotować miejsce na świeże zapasy – nasz kierownik koordynował dalsze prace gospodarcze.

Każdorazowy pobyt w husie, jak z norweskiego nazywa się tutejsze chaty, zaczyna się od porządków. To swoisty fenomen, bo przecież każdy koniec sezonu także kończy się porządkami. A pomiędzy nimi – nikt tam na stałe nie mieszka, co najwyżej na dzień czy dwa zajrzą zimownicy. Właściwie nie ma więc co porządkować. A jednak ustalili się już taki niezmienny rytuał, że pierwsze dni każdej wyprawy przeznaczone są na akcję porządkowo-gospodarczą. To tak, jakby niezbędne było, żeby w jakiś szczególny sposób podkreślić nowy rozdział w życiu husa. Kolejny początek można zaznaczyć tylko nadając przestrzeni wokół nas nowy ład. Nawet jeśli polega on tylko na przestawieniu kilkunastu opakowań z kaszą i ryżem na niższą półkę, przeniesieniu paczek z herbatą ze spiżarni do kuchni albo poustawianiu stosu konserw w lewym, a nie w prawym rogu podłogi schowka z żywnością, jak to było w poprzednim roku. W ferworze wypakowywania, przestawiania, segregowania, wyrzucania, ustawiania nie chodzi więc tak naprawdę o sprzątanie, ale o stworzenie nowej rzeczywistości – ustanawianej od początku za każdym razem, gdy przybywa do husa kolejna wyprawa. Taka namiastka kreacji naszego własnego świata – trzeba mu wprawdzie nadać strukturę i formę, by móc w nim bezpiecznie i komfortowo zamieszkać. Zaskakujące, jak blisko jest od pozornie prozaicznego układania puszek, paczek, kartonów, słoików, konserw do metafizycznego wręcz pocucia stwarzania nowego porządku świata. To nic, że ten świat ma zaledwie czternaście metrów kwadratowych.

Codziennosc wymagała od nas wprowadzania ładu polegającego nie tylko na porządkach, ale także na ustaleniu pewnego rytmu życia. Początkowo był on zwykle zaburzony – potrzebowaliśmy kilku dni, żeby z jednej strony oduczyć się nawyków przywiezionych z kraju, a z drugiej, żeby nie poddać się szaleństwu białych nocy, gdy zdeorientowany nieustanną jasnością organizm przestaje odczuwać potrzebę snu. Na początku trudno się przestawić, dzień i noc przeplatają się niepostrzeżenie ze sobą i gdy patrzy się na zegarek po wybudzeniu ze snu, to w pierwszym momencie nie wiadomo, czy to piąta rano czy może po południu. Słoneczne noce początkowo bardzo ekscytują, w końcu to dla nas element niezwykłości!

— Wiecie, to pierwsza w moim życiu odkrywka glebowa, którą opisywałem o północy! – Czarek wyraził na głos wrażenia wszystkich nas, polarnych „pierw-

szaków". Każdy w jakimś stopniu podchodził w emocjonalny sposób do nieograniczonej czasem, czyli ciemnościami, możliwości prowadzenia prac w terenie.

Ale sprawne funkcjonowanie życia w grupie wymagało jednak wprowadzenia pewnych regulacji i unormowania pory dnia i nocy. Stopniowo też oswajaliśmy się z nocną jasnością, stawała się ona czymś naturalnym. W końcu przestaliśmy nawet zwracać na nią uwagę, a pora snu ustalana była zgodnie z „nocą teoretyczną”. W praktyce polegało to na zasłonięciu okien na sypialnym strychu grubym kocem, co stwarzało głęboką ciemność. Oczywiście, czasem rytm należało przestawić, zwłaszcza jak przez cały tydzień w czasie jednej z wypraw w ciągu „dnia” lało, a w „nocy” świeciło słońce. Grupowo ustaliliśmy więc zmianę pór pracy i odpoczynku i przez kilka dni wymarsze w teren rozpoczynały się około 22 w ciepłe słonecznego blasku. Względność i umowność pewnych spraw w tym przypadku okazała się dla nas zbawienna. Jednocześnie była to dla nas lekcja, że rytmem życia w Arktyce rządzi przyroda, a nie nasze plany i zamiary, ambitnie ustalane z zegarkiem i kalendarzem w rękę, co do dnia i godziny. Ten system może i funkcjonuje w realiach kraju „na południu”, ale z pewnością nie pod biegunem. Tu pokornie musieliśmy poddać się rytmowi pogody. Choć mimo to, jednak chcieliśmy zachować chociaż pozory naszej władzy nad czasem i uparcie, co roku, przywoziliśmy nowy kalendarz. Codziennie o północy następowało uroczyste wykreślenie kolejnego dnia. Jeden z rytuałów Werenhusowej codzienności. I kolejny dowód na to, jak trudno było nam pod pewnymi względami wyzwolić się ze schematów ustanowionych w zupełnie innej rzeczywistości.

Akcie gospodarczo-porządkowe powtarzają się co jakiś czas przez cały pobyt w husie, choć nie mają już takiego szerokiego zakresu i tego głębszego wymiaru, jak te odbywające się w pierwsze dni. Za to zwykle przebiegają pod określonym hasłem.

— To co, kochani, dziś akcja „beczka”? – nie jest to niestety propozycja, którą można odrzucić, bo sprawa jest pilna. I przede wszystkim śmierzczą. Dosłownie. Opróżnianie beczki, czyli naszego przydomowego szamba, całe szczęście nie odbywa się często, gdyż panuje wśród nas niepisana umowa, że z toalety w chacie korzystamy tylko w razie wyjątkowo paskudnej pogody. W innym przypadku – należy udać się po prostu nad rzekę... No i oczywiście nie można zapomnieć, żeby zabrać z sobą strzelbę i naboje, w razie gdyby niedźwiedź chciał zaskoczyć nas w tej terenowej ubikacji.

— Wiecie, to jest najlepsza toaleta, w jakiej kiedykolwiek byłem. No powiedzcie sami, gdzie znajdziecie drugą taką, gdzie naturalna „fototapeta” przedstawia panoramę 360°? Tylko że spłuczka ciągle zepsuta i woda płynie i płynie... – nie pamiętam już, który z chłopaków w ten bardzo obrazowy sposób jako pierwszy przedstawił główne zalety i wady naszej nadrzecznej ubikacji.

Inną wielką akcją było malowanie Werenhusa. Na kilka dni wszyscy zawiesiliśmy nasze terenowe prace badawcze i, wykorzystując dobrą pogodę, najpierw mozolnie zdrapywaliśmy starą farbę ze ścian, a potem systematycznie malowa-

liśmy ją na nowy, ciemnozielony kolor o bardzo adekwatnej nazwie firmowej „zielen mchowa”. Aby nikt nie czuł się poszkodowany, każdy miał swój własny kawałek ściany do pomalowania. Jakaż potem była satysfakcja, kiedy patrzyliśmy na to dzieło naszych rąk! Zwłaszcza, gdy wracało się po wielogodzinnych pracach w terenie i Werenhus już z daleka witał nas nasyconą barwą świeżo pomalowanych ścian, doskonale współgrającą z kolorami tundry.

Ale na początku cała skrupulatnie zaplanowana na tamten sezon akcja malowania została zagrożona. I to przez niedźwiedzia! Puszki z farbami przypląły bowiem wcześniej statkiem i zostały wyładowane, wraz z naszymi beczkami, w porcie przy Hyttevice. Gdy dotarliśmy tam kilka dni później, zastaliśmy część puszek całkowicie rozdeptanych! A na trawie wokół wyraźnie odcisnięte były wielkie zielone łapy... Słyszeliśmy już opowieści o niedźwiedziach jedzących proszek do prania czy wypijających litry oleju słonecznikowego, nadgryzających plastikowe beczki, nie mówiąc o ich deptaniu czy rozrywaniu, a nawet próbujących „przymierzyć” odświeżne koszule jednego z naszych kolegów, ale o degustujących farby? Okazało się jednak później, że farba zrobiona była na bazie rybiego oleju, doskonale zabezpieczającego przed korozją. Niedźwiedzi nos nie zawiódł! Ale jednak to pożywienie chyba nie przypadło misiowi do gustu, bo pozostałych kilka puszek było nienaruszonych. Tyle tylko, że ich ilość była już dla nas zdecydowanie niewystarczająca do wymalowania całej chaty. Całe szczęście, w późniejszym terminie miała przybyć jeszcze jedna osoba z naszej ekipy, a więc szybko przeprowadziliśmy „akcję awaryjną” i po kilku tygodniach przypląnęła z kraju nowa dostawa farby. Tym razem, przezornie, niezwłocznie zabraliśmy się za malowanie. A zielone ślady niedźwiedziego przestępstwa jeszcze długo były widoczne na trawie przed Hytteviką – jaka wysoka trwałość farby!

Akcje porządkowe, gospodarcze, sanitarne, które wymagały współdziałania całej wyprawowej ekipy, zdarzały się tylko raz na jakiś czas, stanowiąc swego rodzaju przerwę i urozmaicenie w rytmie codziennych zajęć. Codzienność była zwyczajna – oczywiście na tyle, na ile cokolwiek może być zwyczajne w arktycznym świecie. Praca w terenie, pochłaniająca najwięcej czasu i wysiłku, potem kameralne opracowywanie zebranych danych, w którymś z kątów Werenhusa. Nierzadko, ślęcząc nad notatkami czy książkami w pochmurne, sierpniowe wieczorne godziny trzeba było zapalać już światło – dzień polarny dobiegał końca i słońce coraz niżej pojawiało się nad horyzontem. Czasem, dla bardziej nastrojowej atmosfery, siedzieliśmy przy świecach. Każdego dnia jedna z grup (pracowało się zwykle w zespołach dwuosobowych, przede wszystkim ze względów bezpieczeństwa), rzadziej pojedynczy ochotnik pełnił dyżur kuchenny, przygotowując obiad, a właściwie obiadokolację dla pozostałych. Miło było wrócić po całym dniu pracy w terenie i zastać na stole gorącą zupę, zaraz potem drugie danie i jeszcze potem deser! Prawdziwym mistrzem kuchni był Jasiu. Przygotowane przez niego posiłki były nie tylko pyszne i bardzo urozmaicone, ale jeszcze bardzo starannie i elegancko podane. Siadając do stołu miało

się wrażenie, że jest się w dobrej restauracji w którejś z europejskich stolic, a nie na polarnej pustyni.

Lubiłam również zostawać w Werenusie, gdy wszyscy rozchodzili się do swoich stanowisk terenowych i chatę wypełniała cisza i spokój. Mogłam wtedy po prostu delektować się samym faktem przebywania w tym miejscu. W oczekiwaniu na powrót towarzyszy, zmęczonych i zwykle zmarzniętych, wszystkie zwykłe czynności, tak monotonne i nudne w „normalnym” świecie, jak obieranie ziemniaków, gotowanie, mycie naczyń, czy zamiatanie podłogi, autentycznie cieszyły. Zwłaszcza, gdy potem można było zobaczyć radość w oczach wracających do domu, gdy dostawali porcję ciepłego jedzenia.

Codziennie życie w Werenusie składało się więc z najzwyklejszych czynności. A jednak każda z nich, czy to gotowanie, pranie czy sprząatanie, stawała się w tych arktycznych warunkach prawdziwą celebrazją chwili. Każde wykonywane zadanie, choćby nie wiem, jak bardzo pozornie banalne, stawało się właśnie tym najważniejszym w danym momencie. Najbardziej istotną cechą codzienności w Arktyce, którą zresztą uświadomiłam sobie znacznie później, jest brak pośpiechu. Życie w Werenusie toczyło się jakby w spowolnionym rytmie. Choć tak naprawdę to właśnie ten rytm był naturalny, a tylko w kontraście do ciągłego zabiegania i gonitwy, w jakich większość z nas żyje w świecie „na południu”, wydawało się, że teraz życie uległo spowolnieniu. A ono po prostu się toczyło, niespieszne, uważne, świadome każdej z przeżywanych chwil, pozwalające cieszyć się każdą wykonywaną czynnością. Banalne? Być może. Ale z pewnością daleka od banalności jest głębia spokoju, której można doświadczyć siedząc na ławce przed chatą, z kubkiem gorącej herbaty w ręku, patrząc na bezmiar arktycznej przestrzeni aż po daleki horyzont, z jednej strony zamknięty skalistymi górami, z drugiej – ciemną linią morza. Albo spokój, który odczuwa się, będąc w zgranej wyprawowej ekipie, spędzając wspólnie polarne, jasne „wieczory” na bez troskich pogawędkach przy kuchennym stole.

W kuchni – jadalni, jak w każdym domu, tak i w Werenusie, blisko pieca, koncentrował się główny nurt życia społecznego. To właśnie tu jedliśmy wspólne posiłki, świętowaliśmy wystawnie urodziny bądź imieniny członków naszej ekipy, oglądaliśmy filmy i zdjęcia z laptopa, tu zwykle prowadziło się przeciągające się często do późnych godzin długie rozmowy i „panelowe dyskusje”, tu wspólnie rozwiązywaliśmy niezwykle trudne krzyżówki, którymi zameczał nas Czarek w czasie jednej z wypraw, tu przychodziły nam do głowy najdziwniejsze, ale jakże twórcze pomysły, tu odbywały się „występy śpiewacze”. A ze ścian jadalni, z oprawionych w ramki starych fotografii, pobłażliwie spoglądały na toczące się w niej życie, twarze prekursorów badań w otoczeniu dzisiejszego Werenhusa – Stanisława Baranowskiego, którego imię nosi nasza stacja – stąd „Baranówka” - i Alfreda Jahna, wybitnego profesora Uniwersytetu Wrocławskiego. Obaj wiele swoich badań poświęcili Arktyce. Ich postacie na czarno-białych fotografiach starały się przypomnieć nam o odpowiedzialności i wadze naszej obecności w tym miejscu.

Moje pierwsze spotkanie z niedźwiedziem polarnym też odbyło się w trakcie jednego ze wspólnych posiedzeń przy Werenhusowym stole. Coś jedliśmy, o czymś rozmawialiśmy. I nagle okno, tuż nad stołem, wypełniło się wielką białą masą. Niedźwiedź! Jego tułów zajął prawie całą szerokość okna. Z zainteresowaniem przyglądał się, co też je się w tym małym domku... Od potężnego zwierzęcia dzieliła nas tylko grubość desek ścian chaty i okiennej szyby. Większość zgromadzonych wówczas przy stole osób była po raz pierwszy na Spistbergenie – wszyscy podobnie emocjonalnie zareagowaliśmy więc na spotkanie z niedźwiedziem. Choć nasze dalsze działania okazały się już odmienne. Jak na komendę zerwaliśmy się od stołu i z kuchennych szafek chwyciliśmy najlepszą domową broń na niedźwiedzia: garnki, pokrywki, chochle i patelnie, po czym robiąc nimi okropny hałas, wybiegliśmy przed chatę. Wszyscy, z wyjątkiem Bartka. On jeden zachował zimną krew dokumentalisty i zamiast po patelnię – pobiegł po aparat fotograficzny. Dzięki niemu teraz wszyscy mamy wyjątkowe zdjęcie naszego pierwszego niedźwiedzia, wdzięcznie pozującego przez okno. Portret w naturalnych ramach z okiennej framugi.

Codziennność. Właściwie nie dzieje się nic wielkiego, ani niezwykłego. Wręcz niewiarygodne, że w otoczeniu niezwyklej przyrody, ze świadomością bycia tak blisko bieguna, pochłaniają nas zupełnie przyziemne sprawy, jak remonty, porządki, gotowanie czy pranie. A jednak czas spędzony w Werenhusie pod żadnym względem nie jest zwyczajny. Po prostu zmieniło się dla nas pojęcie codzienności. Uczymy się stopniowo, że to, co naprawdę jest najważniejsze, to sam fakt BYCIA w tym miejscu, tu i teraz. Oczywiście, nasze plany, prace, zamierzenia, działania są jak najbardziej istotne. Ale kwintesencja doświadczania Arktyki tkwi zupełnie gdzie indziej. Jest znacznie szersza i głębsza niż cokolwiek, co możemy uczynić. Istotą jest samo życie, chłonięcie go wszystkimi zmysłami, smakowanie – dzień po dniu – w każdej najzwyczajniejszej czynności. Uważność, jaką poświęca się chwili, pozwala wydobyć z codzienności nieocenione bogactwa. Dopiero to pełne w nich zanurzenie, w codzienności i chwili, przynosi spokój i bezwarunkową akceptację świata i naszego w nim miejsca. I prostą radość istnienia.

Werenhus i radio

— Baza, Baza, Werenhus prosi – mikrofon radionadajnika nieco szumi, gdy przy pomocy radiowej łączności próbujemy nawiązać kontakt z odległą o szesnaście kilometrów Stacją PAN.

— Werenhus, Werenhus, tu Baza, tu Baza. Przejdźmy na „14” – na ogół od razu można rozpoznać po głosie, kto akurat ma dyżur przy radiu w Bazie i kto odpowiedział na nasze wezwanie. Zdarza się czasem, że zakłócenia sygnału są na tyle duże, że trudno wśród trzasków i pisków radia rozpoznać głos nawet dobrze znajomej osoby. Najważniejsze jednak, żeby się zrozumieć, przekazać komunikat, uzyskać informację.

— Jestem na „14” – odpowiadam po wcześniejszym przestawieniu niewielkiego pokrętła w Werenhusowym nadajniku na kanał czternasty. Zwykle na nim prowadzi się rozmowy, zostawiając wolną „16” jako kanał bezpieczeństwa i ogólnego wywołania.

Tak właśnie zaczyna się większość rozmów w Hornsundzie. Choć zmieniają się nazwy wywoływanych i wywołujących miejsc, to schemat pozostaje niezmienny. Jak magiczna formuła, która ma wyłonić z niebytu postać, z którą chcemy nawiązać kontakt. Zakłęcie, które sprawia, że czujemy bliskość innych nawet w najbardziej odludnym i samotnym miejscu. Niby to tylko wiązka elektromagnetycznych fal, a daje poczucie bezpieczeństwa: nie jestem sama. Słyszę i jestem słyszana. Przekazuję i odbieram. Komunikuję i przyjmuję komunikaty.

Przekaz radiowy jest podstawą porozumiewania w arktycznym świecie. W Bazie co prawda jest „wyższa” cywilizacja w postaci internetu czy telefonu satelitarnego, ale wszystkie stacje regionalne i każdy wychodzący do pracy w teren zdany jest na łaskę i niełaskę przenośnych nadajników fal radiowych. A tu niespodziewanie wyładowania atmosferyczne albo przeszkody terenu utrudniające przenikanie fal. Odbiornik terenowy trzeszczy, szumi lub całkiem milknie. I wtedy naprawdę zostajemy odcięci od świata. I tylko pozostaje mocno wierzyć, że nic złego nas nie spotka, że szczęśliwie wrócimy z terenu albo, chociaż w bezpieczny zasięg radiowych fal.

— Dobra, dzięki, to na razie tyle – komunikaty zostały przekazane i ustalenia podjęte. Radiowa rozmowa bardzo dobrze uczy jasnego formułowania myśli, zwięzłego wyrażania pytań i potrzeb. O dobrym zrozumieniu decyduje konkret, a nie rozmywanie znaczeń.

— Ok, bez odbioru. Wracam na „16”.

Zamykamy kanał „14” – kanał rozmowy. Radio pozostaje na nasłuchu na „16”, w nieustannym oczekiwaniu na kolejne sygnały. Otwarte na nowe rozmowy i na niesienie pomocy tym, których głosy mogą tu dotrzeć nawet z daleka.

„Będziemy w kontakcie!” – często w codziennym życiu rzucamy to ogólnikowe hasło, nie zastanawiając się głębiej nad jego wymową. Bo i nie ma po co – w dzisiejszym świecie, w erze internetu, e-maili, telefonów komórkowych, nie ma chyba nic prostszego niż „bycie w kontakcie”. To takie oczywiste. A jednak Arktyka uczy nas odkrywania na nowo jego znaczenia. Na dalekiej Północy nie jest ono już takie jednoznaczne i oczywiste. W Werenhusie nie ma internetu, nie działają komórki, dopiero od niedawna mamy telefon satelitarny, ale jego zasoby są ograniczone, stąd nie służy towarzyskim pogawędkom ze światem, ale przede wszystkim jako zabezpieczenie w razie niebezpieczeństwa, gdy konieczne będzie wezwanie pomocy. Z tej komunikacyjnej pustyni podejmuje się, specjalnie odpowiednio wcześniej zaplanowaną, długą wędrówkę do Bazy, żeby wykonać jeden krótki telefon do kogoś z bliskich. Bo akurat brat ma urodziny, bo wypadają właśnie imieniny żony, bo syn zdawał ważny egzamin. Kilka godzin marszu do cywilizacji w Bazie,

często w mżawce czy mgle, dla tych kilku minut telefonicznej rozmowy. Ogromny fizyczny, a często też i logistyczny wysiłek. Podejmujemy go, właśnie po to, aby przekazać być może najważniejszy z komunikatów: jestem i myślę o tobie, o was; pamiętam. Chcemy po prostu „być w kontakcie” – poznajemy zupełnie nowy wymiar tej na pozór banalnej formułki.

Na początku jednak wcale nie byłam oswojona z radiem. Nie byłam zresztą oswojona z niczym na Spitsbergenie. Pierwsze dni w Werenhusie były dla mnie trudne. Świat wokół był całkiem nowy, a więc jeszcze obcy. Trzeba było pomału poznawać go, porządkować – nie tylko realnie, układając rzeczy na półkach, ale przede wszystkim we własnym umyśle. Nowe warunki pracy terenowej, nowe warunki codziennej egzystencji – oj, to chodzenie ze strzelbą na ramieniu do kibelka nad rwącą rzeką – nowa grupa ludzi wokół mnie, w której dopiero zaczynaliśmy się poznawać, rozpoczynając proces określania swojego miejsca i funkcjonowania w zespole. I jeszcze ciągle mżawka, i mglisto, i wilgoć. Pogoda zdecydowanie nie wspierała mnie przez te pierwsze dni w Arktyce. Zaczęłam nawet z przygnębieniem myśleć, że chyba sytuacja mnie przerosła i że jednak nie nadaję się do tego miejsca i pracy tutaj. Że jest zbyt trudno, zbyt ciężko. I było mi z tego powodu jeszcze bardziej przykro, że jednak okazałam się za słaba, żeby żyć w takich warunkach. Nie wiem, jak ułożyłyby się dalej moje relacje z arktyczną rzeczywistością, gdyby nie jedno wydarzenie, które okazało się przełomowe dla mojego osvajania spitsbergeńskiego świata. A jedną z głównych ról odegrało w nim właśnie radio.

W Werenhusie mieszkaliśmy czteroosobową ekipą od trzech dni. W najbliższym czasie miała jeszcze przybyć kilkuosobowa wyprawa czeskich speleologów wraz z Anką, piątą uczestniczką naszej ekspedycji. Było późne popołudnie, akurat wróciliśmy wszyscy z terenu, przemoknięci siąpiącą od rana mżawką. Suszyliśmy się w Werenhusowej kuchni, gdy cichutki, monotonny szmer włączonego na nasłuchu radia został przerwany wywołaniem skierowanym do nas.

— Werenhus, Werenhus, Baza prosi.

— Baza, Baza, tu Werenhus. Czternaście?

— Tak, czternaście – kilkusekundowa przerwa techniczna na zmianę kanału i słuchamy dalej komunikatu z Bazy.

— Przed chwilą mieliśmy sygnał od Czechów i waszej Anki. „Eltanin”, jacht, którym płyną, powinien dotrzeć do Hornsundu za około dwie godziny. Niestety, nie mogą wpłynąć do portu w Nottinghambukcie – akurat jest odpływ i niebezpieczne byłoby krążenie między szkierami. Planują zacumować przy Hyttvice. I gorąca prośba Czechów do was, aby ktoś z Werenhusa przyszedł pomóc przy rozładunku. Jest sporo bagaży i sprzętu do wyładowania, a przy takiej kiepskiej pogodzie jak dziś, wskazane jest, żeby całą akcję przeprowadzić jak najszybciej. Odbiór.

— Jasne, nie ma sprawy, zaraz wyruszamy do Hyttviki.

— Dobra, to tyle. Powodzenia! Bez odbioru, szesnaście.

Bez marudzenia, Bartek, Czarek i Jasiu zaczęli szykować się do wyjścia. Oczywiście zaczęłam szykować się wraz z nimi – też chciałam przydać się do czegoś i mieć swój udział we wspólnym działaniu.

— Ale nie możemy iść wszyscy. Ktoś musi pilnować husa. Chwila nieuwagi i będziemy mieć białego miśka przy stole... No i trzeba doglądać pieca, żeby nie zgasło.

Słuchając tych męskich wywodów – fakt, całkiem logicznych – już czułam, co się święci.

— Aga, zostań lepiej w domu. Do dźwigania ciężarów i tak nie za bardzo się przydasz, a do opieki nad husem jak najbardziej. No i przyda się także nasłuch przy radiu. Weźmiemy krótkofalówki, to jakby co, będziemy się kontaktować.

Mimo że w duchu musiałam przyznać rację tym argumentom, w pierwszym momencie zrobiło mi się oczywiście bardzo przykro. „No tak, baba. Do niczego się nie nadaje poza siedzeniem w domu. Dlaczego nie pozwalacie mi pokazać, że ja też jestem silna, że też mogę się przydać nawet do ciężkiej fizycznej pracy?!” Całe szczęście te negatywne emocje szybko ustąpiły miejsca kolejnym, bardziej pozytywnym: „Jestem odpowiedzialna za dom. Odpowiedzialna za ogień i ciepło. Za parę godzin, gdy wrócą ci, co teraz są w drodze, właśnie tego ciepła będą najbardziej potrzebować. Nie mogę ich zawieść”. Z tej perspektywy pozostanie w husie, przeciwko czemu jeszcze przed chwilą się buntowałam, nabrało znaczenia Ważnej Misji do spełnienia. Zdumiewające, jak na ten sam, wydawałoby się całkiem prozaiczny fakt – po prostu ktoś musi zostać w husie – można spojrzeć z tylu różnych stron. I tyle całkowicie odmiennych emocji może wzbudzić. Ale ostatecznie to ja wybieram, jak chcę interpretować ten fakt. Wybieram więc „misję” – to znacznie lepsze niż „kobieta i tak się nie przyda, więc niech siedzi w domu”.

Chwilę trwało, zanim silna męska ekipa wyruszyła w stronę Hytteviki. Siedząc w kuchni, jeszcze długo widziałam przez okno coraz to mniejsze postacie przemierzające tundrę w gumofilcach, w zapiętych po szyję kurtkach i nisko nasuniętych kapturach, z pochylonymi głowami, zmagające się z mżawką i wiatrem. Wreszcie zniknęli za dalekimi skałkami u podnóża Gullichsenfjellet. Zostałam całkiem sama. Po raz pierwszy na Spitsbergenie. Przez te kilka dni, które minęły od czasu naszego przyjazdu, wciąż wokół byli ludzie – tłumy w Bazie, potem bardziej kameralnie w Werensusie, ale nieustannie towarzyszyła mi czyjaś obecność. Teraz po raz pierwszy jestem zostawiona sam na sam z tym nowym dla mnie światem, w którym jeszcze nie potrafię się odnaleźć. Opieka nad husem, pilnowanie ognia w piecu, dyżur przy radiu. Niby nic wielkiego. A jednak w tym miejscu, w tej konkretnej sytuacji, nie ma nic ważniejszego. Kolejny raz perspektywa dalekiej Północy uczy postrzegania pozornych błahostek w zupełnie nowym świetle. Poczucie odpowiedzialności ściśle łączy nas ze światem, z ludźmi, za których tę odpowiedzialność podejmujemy. A może odpowiedzialność to jeszcze jeden niepotrzebny balast w naszym życiu? Jeszcze jedno utrudnienie? Wręcz przeciwnie.

Odpowiedzialność nadaje naszej egzystencji pełniejszy wymiar i głębię. Nadaje sens, bo będąc za coś, za kogoś odpowiedzialną – jestem potrzebna. A któż z nas nie odczuwa tego tak naturalnego ludzkiego pragnienia, by po prostu być potrzebnym? W głębi duszy chcemy czuć związek między naszym życiem, otaczającą nas rzeczywistością i życiem innych ludzi, nawet jeśli na zewnątrz zakładamy maski obojętności i dystansu. Odpowiedzialność jest jednym ze sposobów budowania tego związku.

Tych kilka długich godzin, które spędziłam sam na sam z Werenhusem, pozwoliły mi wreszcie poczuć moją prawdziwą obecność w tamtym świecie. Z każdą kolejną godziną czuwania, dokładania węgla do pieca, nasłuchiwanie, czy z trzasków radia nie wyłania się jakiś ważny komunikat, czekania na powrót starych i przybycie nowych domowników, mój dotychczasowy niepokój i niemożność odnalezienia się w otaczającej mnie rzeczywistości – zniknęły. Będąc odpowiedzialną, mając zadanie do wykonania, misję do spełnienia – stałam się temu światu i ludziom wokół potrzebna. Będąc potrzebną – nie ma już miejsca na obcość.

Pierwsze kilka godzin od wyjścia chłopaków minęło spokojnie. Gdy już prze mogłam początkowe uczucie strachu, że oto jestem całkiem sama w razie niespodziewanej wizyty białego czworonożnego gościa, zajęłam się pracą. Miałam do uzupełnienia sporo notatek z terenu, rozłożyłam się więc z papierami i mapami. Przy stole w kuchni oczywiście, bo tu stało radio i mogłam też na bieżąco kontrolować stan ognia w piecu. Na stole, oprócz materiałów do pracy, naszykowałam zapas nabojów, a strzelbę przyniosłam z przedsionka i powiesiłam tuż przy kuchennych drzwiach. Niech będzie blisko pod ręką, tak na wszelki wypadek...

– Werenhus, Werenhus, Eltanin prosi – mimo trzasków odbiornika można było wyraźnie rozpoznać czeski akcent.

Do tej pory zawsze któryś z chłopaków obsługiwał radio, teraz nie było nikogo innego, kto mógłby rozmawiać zamiast mnie. Chwila popłochu – gdzie odebrać, gdzie nacisnąć, którym pokrętelem zredukować szumy, gdzie jest „14”?!

– Eltanin, Eltanin, tu Werenhus, przejdźmy na czternaście – usłyszałam mój własny, ale jakże obcy i poważny głos. Moja pierwsza taka rozmowa w życiu!

– Czternaście. Mamy opóźnienie, fale przy wejściu do fiordu bardzo utrudniły nam rejs. Ale już dopływamy do Hytteviki. Czy ktoś z Werenhusa przyjdzie nam pomóc? Bardzo potrzebne nam będą ręce do pracy! – Pepa płynnie mówił po polsku, jedynie od czasu do czasu wtrącając czeskie słowo.

– Tak, tak, już dawno poszli. Trzech silnych mężczyzn. Z pewnością czekają już na was przy Hyttevice, nie martwcie się!

– O, to dobrze, wielkie dzięki! A ty pewnie jesteś Agnieszka? Anka wspominała o tobie.

– Tak, to ja. Pilnuję husa i czekam na was z herbatą.

– Bardzo miło. Jeszcze prosba. Skontaktuj się z Bazą, daj im znać, że mamy opóźnienie. Dzięki!

I tak zaczęły się moje nocne rozmowy przez radio – najpierw wymiana kilku wiadomości z Bazą, potem jeszcze raz z Pepą. Oswajałam się z tym nowym dla mnie sposobem komunikowania. Werenhuss był niejako stacją pośrednią, przekaznikową między Bazą a Hytteviką – nie można było nawiązać bezpośredniego połączenia, zasięg krótkofalówek na to nie pozwalał. Stałam się więc automatycznie ogniwem w przekazie informacji. Moje siedzenie przy radiu było komuś potrzebne i przydatne. Miało sens. Cieszyła mnie ta nowa rola, jaką mogłam pełnić.

Zbliżała się północ, a horyzont, gdzie powinna wyłonić się wracająca z Hytteviki ekipa, wciąż był pusty. Zerkalam na niego regularnie, coraz bardziej niepokojąc się, że tak długo to trwa. Od pierwszej rozmowy z Pepą minęło już sporo czasu. Próbowałam wywołać Hyttevikę, ale najprawdopodobniej krótkofalówkę mieli wyłączoną, bo nikt nie odpowiedział. Nie było kontaktu. Nie pozostawało mi nic innego, jak cierpliwie czekać, starać się opanować narastający niepokój i po prostu nadal jak najlepiej wykonywać moje zadanie czuwania i pilnowania. Na piecu stał już naszykowany czajnik z wodą na herbatę. W każdej chwili przecież mogą wrócić!

Stopniowo zaczynało ogarniać mnie coraz większe zmęczenie i senność. Ale przecież nie mogę zasnąć! Muszę czuwać! Nie mogę zawieść! Opadanie głowy i zamykanie powiek było coraz trudniejsze do przewyciężenia. Wreszcie postanowiłam jednak się położyć. Ale oczywiście w kuchni, z radiem tuż przy uchu. Zniosłam ze strychu-sypialni śpiwór i rozłożyłam się na niezwykle wąskiej kuchennej ławie, zdecydowanie bardziej nadającej się do siedzenia niż do spania. W tym momencie jednak nie przeszkadzało mi to zupełnie. Nastawiłam budzik na za godzinę – z taką częstotliwością postanowiłam dokładać do pieca. Nie pamiętałam już dokładnie, ile razy wstawałam co godzinę tamtej nocy i dorzucałam kolejne węgle do paleniska. Nie miałam wycucia, czy ogień, który płonął, był wystarczający, aby przetrwać kolejną godzinę i ile kawałków węgla powinnam dołożyć, żeby utrzymać odpowiednią temperaturę. No cóż, mieszkanie w bloku z centralnym ogrzewaniem i kaloryferami nie służy rozwijaniu wiedzy o obsłudze pieca... A wspomnienia węglowego pieca, którym paliło się przed wieloma laty w moim rodzinnym domu, stopiły się w jeden mglisty obraz czasów dzieciństwa, niestety bez przełożenia na praktyczne umiejętności. Ale tamtej nocy bardzo starałam się przejść jak najlepiej szybki kurs rozumienia potrzeb pieca, którego miałam doglądać. Tak mocno obawiałam się, żeby go przez niedopatrzenie nie wygasić, że wołałam na wszelki wypadek dorzucić więcej niż za mało. Miałam przecież być strażniczką husowego ognia, nie mogłam dopuścić, żeby zgasł!

Dopiero nad ranem zobaczyłam pierwsze postacie wynurzające się zza skałkowego horyzontu. Pierwsza trójka, objuczona wielkimi plecakami, stopniowo rosła, w miarę jak zbliżali się do chaty. Za nimi podążała kolejna dwójka. Z tej odległości trudno było jeszcze rozpoznać, kto jest kto. Zwłaszcza, że ekipy czeskiej jeszcze nie znałam.

„Idą!” – widok zbliżających się, choć jeszcze maleńkich, ruchomych punktów sprawił, że poczułam ogromną radość. I ulgę. Tak, jakby czekanie trwało miesiącami, a nie zaledwie parę godzin. Postawiłam w czajniku nową wodę na herbatę, bo poprzednia już zdążyła się wygotować.

Wreszcie usłyszałam charakterystyczne skrzypnięcie drzwi i po chwili Bartek z Czarkiem jako pierwsi weszli do kuchni, zrzucając na ławę ciężkie plecaki wyładowane jedzeniem.

– Ależ saunę tutaj zrobiłaś! No nieźle nahajcowałaś w tym piecu! – usłyszałam na powitanie. Moja „misja” dbania o ogień i poświęcenie całonocnego, cogodzinnego wstawania do pieca, zostały całkowicie niedocenione...

– Chyba ze 40 °C mamy teraz w chacie – chłopcy nie ustawiali w swoich komentarzach.

Fakt, gdy weszłam potem na strych, było tam praktycznie nie do wytrzymania z gorąca. Na dole w kuchni nie czuło się, że temperatura jest aż taka wysoka. Trzeba było na oścież otworzyć okna. No cóż, muszę jeszcze trochę potrenować rolę westalki. Za to gorąca herbata, która zaraz pojawiła się na stole, bardzo przypadła do gustu wszystkim mocno przemarzniętym przybyłym. Cieszyłam się, że mogłam im tę herbatę podać. I że nie przychodzili do pustej, zimnej chaty, ale do domu, w którym ktoś na nich czekał, do domu pełnego ciepła – nawet jeśli to ciepło znacznie przeszło ich oczekiwania...

Po tamtej nocy czuwania przy domu, radiu i piecu zyskałam też jeszcze coś bardzo ważnego dla mnie samej. Oswoiłam nową rzeczywistość. Odnalazłam moje miejsce. Więcej nawet, przywiązałam się do niego bardzo mocno. W końcu, gdy raz stajemy się za coś odpowiedzialni, zostaje to w nas już na zawsze. Od tamtej pory o Werenhusie nie potrafiłam myśleć już inaczej, jak o moim arktycznym Domu. Rozterki i wątpliwości pierwszych dni bezpowrotnie minęły.

Tomasz Łęcarski

W Baranówce. Jedno krótkie wspomnienie

Od mojego pobytu na Spitsbergenie minęło ponad 7 lat. Upłynęło sporo czasu, ale wspomnienia i chęć powrotu ciągle wracają. Niektórzy nazywają to chorobą polarną, z której nie można się wyleczyć, a co najwyżej powstrzymać jej postępy wracając do miejsca gdzie się na nią zapadło. Jedynym skutkiem ubocznym tego lekarstwa jest silne uzależnienie. Ja na razie nie mogę sobie zaaplikować takiej kuracji, ale zawsze zostają jeszcze zdjęcia i filmy.

Miejscem, które darzę szczególnym sentymentem jest niepozorny, drewniany zielony domek przyklejony do moreny lodowca Werenskiolda. Mam na myśli oczywiście „Baranówkę” wybudowaną przez starszych kolegów z Instytutu Geograficznego Uniwersytetu Wrocławskiego. I może to właśnie liczne historie wysłuchane na zajęciach spowodowały, że z wielką ciekawością udałem się tam pierwszy raz z krótką towarzyską wizytą. W końcu zobaczyłem na własne oczy miejsce, o którym tak wiele słyszałem.

W ciągu pobytu na Spitsbergenie, w Baranówce byłem wiele razy, czasem tylko na kilka minut, czasem na kilka dni. W pamięci szczególnie utkwiła mi wrześnie-wa wizyta.

Razem z Arturem i Mariuszem, studentami geodezji, wybrałem się na Lodowiec Werenskiolda w celu wykonania jesiennej inwentaryzacji tyczek ablacyjnych. Pogoda była dobra, więc wcześniej rano wyruszyliśmy przez lodowiec Hansa w kierunku Przełęczy Kosiby. Szybko pokonaliśmy trasę do przełęczy, ale potem zaczęły się trudności. GPS wskazywał kierunek do najbliższej tyczki wprost przez obszar największych szczelin. A że na lodowcu, najprostsza droga rzadko znaczy najkrótszą, zaczęliśmy kluczyć pomiędzy błękitnymi pęknięciami w lodzie. Wykonaliśmy pomiary dwóch tyczek, położonych w górnej części lodowca i udaliśmy się w kierunku kolejnej na bocznym lodowcu Slynghjell. Dochodzimy do celu, GPS wskazuje coraz mniejszy dystans, a tyczki nie widać. Niestety ablacja w tym sezonie była tak duża, że większość tyczek przewracała się. Wędrując tak od tyczki do tyczki nawet nie zauważyliśmy, że na zegarach wybiła godz. 22, a do Baranówki został jeszcze kawał drogi. Powłócząc nogami pokonaliśmy ostatnie przeszkody na lodowcu i pełni nadziei na szybkie zakończenie wędrowki wpakowaliśmy się w błoto. Od razu przypomniała mi się opowieść Jacka Piaseckiego, jak to próbował sobie skrócić drogę na lodowiec przez takie błotka. Mądry doświadczeniem starszego kolegi zawróciłem chłopaków i tym razem suchą, ale dłuższą drogą dotarliśmy koło północy do celu.

Przez pół dnia wymyślaliśmy co sobie zjemy na późny obiad, czy kolację. Zmęczenie wygrało jednak z głodem i po szybkiej herbatce z wafelkiem wgramoliliśmy się na pięterko i błyskawicznie zasnęliśmy w ciepłych śpiworkach.

Następnego dnia niestety nie mogłem sobie pozwolić na błogie lenistwo. Poproszono mnie o pomoc w zbieraniu próbek wody wypływającej z lodowca. A ponieważ miały one służyć do wyodrębnienia materiału organicznego, to musiały być duże (ok. 5 litrów). Dla mnie była to doskonała okazja do bliższego zapoznania się z terenem przedpola Werenskiolda. Tak więc zaraz po śniadaniu, zapakowawszy do plecaków dużą ilość butelek udałem się razem z Agnieszką Mackiewicz z Uniwersytetu Gdańskiego oraz Czechami Staszkiem i Klarą w kierunku lodowca. Szybko dotarliśmy do pierwszych wywierzyisk położonych na południe od moreny środkowej lodowca, gdzie pobraliśmy pierwsze próby. Staszek z Klarą zapakowali do plecaków butelki z wodą i udali się w kierunku Baranówki, a ja z Agnieszką podążyliśmy dalej na północ do dwóch pozostałych punktów. Pomału, omijając lub przeskakując niewielkie przeszkody w postaci różnego rodzaju cieków, kałuż i jeziorek dotarliśmy do wypływu Kvisli. Niestety dobra do tej pory pogoda zaczęła się gwałtownie psuć. Niewinna początkowa mżawka szybko przeszła w silny deszcz, który spowodował gwałtowny przybór wody. Tam gdzie przed dwoma godzinami płynęła płytka kilkumetrowej szerokości rzeczka, teraz było kilkudziesięciometrowe jezioro z rwącym nurtem pośrodku. I tak to z przyjemnej wycieczki zaczęła się walka o powrót do domu. Najpierw próbowaliśmy jakoś przejść przez to jezioro, ale nurt przepływającej przez nie rzeki był zbyt silny i głęboki. Agnieszka miała wodery, ja jedynie buty trekkingowe, które szybko nabrały wody, przestałem więc skakać z kamienia na kamień i zacząłem brodzić po kolana w lodowatej wodzie. Niestety nie udało nam się znaleźć żadnego przejścia. Jedyną alternatywą był lodowiec. A jak wygląda lodowiec w czasie deszczu nie muszę chyba tłumaczyć, jedna wielka szklanka. Dodatkowym utrudnieniem na Lodowcu Werenskiolda są głębokie kaniony kipiące w czasie deszczu wodą. Poruszanie się tam bez raków można porównać do gry w rosyjską ruletkę. A ponieważ w planie mieliśmy jedynie wędrowkę po stałym lądzie, raki jako zbędny balast pozostały w domu. Żeby było jeszcze ciekawiej nie mogliśmy wywołać przez radio Baranówki, którą zasłaniały moreny. Nie pozostało mi nic innego jak wbić pazury w lód i wdrapać się po kamieniach kilkadziesiąt metrów w górę lodowca, gdzie udało mi się nawiązać połączenie z cywilizacją i wezwać pomoc. Po jakichś dwóch godzinach dotarli do nas Staszek z Klarą przynosząc raki i ciepłą herbatę wzmocnioną nieco rumem. Do dzisiaj nie jestem pewien za co byliśmy bardziej wdzięczni, za raki czy herbatkę.

Wzmocniwszy się co nieco, uzbroiliśmy buty w stalowe zęby i żwawym krokiem pomaszzerowaliśmy po szklanej powierzchni lodowca. Już przejście nad pierwszym, wcale nie największym kanionem, utwierdziło nas w słuszności decyzji aby zaczekać na przyjaciół z rakami. Upadek do wezbranej rzeki zakończyłby się utopieniem, a następnie zmieleniem przez niesione nurtem kamienie.

My na szczęście bez większych przeszkód przeszliśmy lodowiec i wkrótce dotarliśmy do Baranówki.

Teraz dopiero mogliśmy odetchnąć w suchym i ciepłym domku. Po zmianie przemoczonej odzieży i szybkiej toalecie mogliśmy się oddać słodkiej rozpuszcie obżarstwa. W tej chwili już nie pamiętam co w siebie „wrzuciłem”, ale na deser był pyszny budyń z sokiem. A że jest to mój ulubiony deser to zjadłem go całkiem sporo. W miłym towarzystwie przy stole pełnym smakołyków czas szybko płynął. W końcu ktoś zauważył, że najwyższa pora iść spać, bo kolejny dzień też będzie pracowity.

Następnego dnia, razem z Arturem i Mariuszem mieliśmy wracać do Hornsundu. Tym razem nasza droga miała prowadzić wybrzeżem. Cekał nas niestety transport wielu litrów wody zebranej poprzedniego dnia. Szczęście się jednak do nas uśmiechnęło, bo reszta geodetów urządziła sobie wycieczkę do Hytteviki i mogli odciążyć nieco nasze plecaki w drodze powrotnej.

Po późnym śniadaniu przyszedł czas na opuszczenie gościnnych progów Baranówki i powrót do codziennych prac w Stacji w Hornsundzie. Niechętnie przygotowywaliśmy się do wyjścia, zwłaszcza, że mżysta pogoda nie sprzyjała długim wędrówkom. Ubranie na szczęście zdążyło wyschnąć nad piecem, ale w butach ciągle było wilgotno. Miało to jednak tą zaletę, że przy przejściu przez rzekę Revelvę nie musiałem tracić czasu i sił na szukanie dogodnej drogi tylko przeszedłem tą najkrótszą. Pożegnaliśmy się z gospodarzami i ruszyliśmy całą grupą w stronę Hytteviki. Tam studenci zabrali resztę swoich rzeczy i poszliśmy dalej w kierunku Stacji.

Później wielokrotnie odwiedzałem jeszcze Baranówkę, ale nie było to już miejsce witające ciepło zmarzniętego przybysza. Najpierw trzeba było ją rozmrozić paląc w piecu. Za to potem dawała nam schronienie przed wiatrem, śnieżycą i chłodem.

Wojciech Ciężkowski

Stan podgorączkowy

We wrześniu 2010 r. na Festiwalu Filmów Górskich w Łądku-Zdroju oglądałem film pt. *Gorączka polarna* Katarzyny Dąbkowskiej. Film przedstawiał polarników związanych ze Spitsbergenem, których działalność, a zwłaszcza emocjonalne zaangażowanie, śmiało można określić słowami jednego z bohaterów filmu – tytułową gorączką. Po dwóch pobytach na Spitsbergenie stan mój określić można nie tyle, jako gorączkę, ale na pewno jako stan podgorączkowy; najciekawsze, że jest to permanentny stan podgorączkowy. Stało się, zachorowałem!

Mój kontakt z problematyką spitsbergeńską zaczął się dość dawno. Będąc związany od odkrycia w 1966 r. z Jaskinią Niedźwiedzią w Kletnie ciągle miałem do czynienia z geomorfologami i klimatologami z Uniwersytetu Wrocławskiego, a więc ze środowiskiem polarników. W trakcie różnych spotkań, a zwłaszcza w ramach Szkół Speleologicznych, zagadnienia badań polarnych prezentowane były bardzo często. Pod koniec lat osiemdziesiątych XX w. prof. Marian Pulina zwrócił się do mnie nawet z propozycją, czy nie podjąłbym się kierowania stacją w Hornsundzie w ramach wyprawy PAN. Odmówiłem wręcz przerażony – byłem zbyt niedojrzały w tym zakresie. Nieco później byłem również zaszczycony zaproszeniem prof. Alfreda Jahna na spotkanie w Kosibówce, na którym w kilka osób radzono nad fatalnym stanem technicznym stacji wrocławskiej – również i wtedy byłem zbyt zielony. Wybudowana w 1971 r. Baranówka, będąca bazą licznych wypraw Uniwersytetu Wrocławskiego, wymagała wówczas pilnej naprawy.

W późniejszych latach nastąpiła intensyfikacja docierania do mnie informacji spitsbergeńskich, dzięki podjęciu tam działalności przez kolegę z Czech Pepę – Josefa Řehaka, który nieraz zatrzymywał się u nas w domu w drodze na lub ze Spitsbergenu. Niezapomniane były jego pokazy przeźroczy w zaciemnionym przedpokoju naszego M-4, gdy całą rodziną z rozdziawionymi buziami poznawaliśmy polarne klimaty. Nieśmiało zacząłem marzyć!

I marzenia się spełniły. Dzięki przychylności Dziekana Wydziału Nauk o Ziemi i Kształtowania Środowiska Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Stanisława Staśki oraz Dyrektora Instytutu Geografii i Rozwoju Regionalnego prof. Piotra Migonia, a także szefów XX (dr Sebastiana Sikory) i XXII Wyprawy UW. (dr hab. Henryka Marszałka) dwukrotnie przebywałem na Spitsbergenie. W 2008 r. – jako zupełny żółtodziób – od 14 lipca do 29 sierpnia, a w 2010 r. – już jako raczkujący polarnik – od 11 lipca do 3 sierpnia.

W 2008 r. członkami wyprawy w trakcie mojego pobytu byli Sebastian Buczyński, Magda Modelska oraz doświadczony polarnik Jasiu Klementowski; później dołączyła do nas Anka Kowalska. Równocześnie z naszym pobytom, w Polskiej

Stacji Polarnej w Hornsundzie (tzw. Bazie) rozpoczęła prace XXXI Wyprawa Polarne PAN kierowana przez Marka Szymochę. W 2010 r. zaś, równocześnie ze mną przebywali Michał Rysiukiewicz i ponownie Jasiu Klementowski. W Bazie przebywało równocześnie większość uczestników dwóch wypraw PAN-owskich – kończącej badania XXXII Wyprawy (kier. Sebastian Sikora) oraz rozpoczynającej działalność XXXIII Wyprawy (kier. Anna Kowalska).

Jasia Klementowskiego, interesującego towarzysza, wieloletniego polarnika, doświadczonego geomorfologa, uroczego gawędziarza, a także niezwyklego kucharza, ośmielałem się nazwać moim nauczycielem Arktyki. Każdy przebywając tam, bez wątpienia w skrajnych warunkach, zewsząd chłonie jak gąbka wszelkie informacje o warunkach i środowisku polarnym. Ale rola Jasia była tu bez wątpienia szczególna. Bardzo mu za to dziękuję.

Ciekawie zakończył się mój drugi pobyt na Spitsbergenie. Do Longyearbyen dolecieli żona, córka i zięć. Przez trzy dni przy pięknej słonecznej pogodzie zwiedzaliśmy Isfjorden i jego sąsiedztwo. To muśnięcie Arktyką nie pozostało i dla nich obojętne.

Oba pobyty na Spitsbergenie tak głęboko wbiły się w mą świadomość, że chciałoby się je opisać chwila po chwili. Wiem, że jest to niemożliwe stąd też przedstawie tylko niektóre aspekty mojego udziału w wyprawach, eksponując przy tym Stację-Jubilatkę.

Arktyka przywitała mnie w dość specyficzny sposób. Po dopłynięciu Horyzontem II do Isbjörnhamny kilkusobową grupę dostarczono na brzeg przy Banachówce. Duży ponton zdrowo się nakombinował, aby bezpiecznie dopłynąć pomiędzy licznymi szkierami i gęstniejącym w oczach pakiem lodowym zaczynającym tarasować wąską, żwirową plażę. Idąc sam do budynku Bazy położonej kilkaset metrów od brzegu nie wiedziałem, że poruszam się w obrębie ochrony swych piskląt przez wydrzyki. Silne i niespodziewane uderzenie dziobem w czubek głowy przez pikującego ptaka, aż mną zachwiało. Na dodatek ptaszysko paskudnie mnie „obrobiło”! Tak więc moje pierwsze wejście do Bazy prowadziło prosto do ubicacji, gdzie dopiero po wymyciu kurtki, mogłem wejść oficjalnie do pełnego ludzi salonu.

Wydarzenie to na samym początku uzmysłowiło mi konieczność czuwania cały czas i posiadania oczu wokół całej głowy, a równocześnie – mam nadzieję – miało miejsce na szczęście.

Choć w trakcie wyjazdów wszystko było interesujące, to Arktyka zaskoczyła mnie dwoma rzeczami.

Pierwszą była niezwykle czystość powietrza. Zwykle poziomo położone chmury swoją podstawę miały na wysokości 300–350–400 m, natomiast widoczność pod nimi sięgała wielu dziesiątków kilometrów. Tak więc oglądane panoramy miały najczęściej wygląd wąskich pasków, ale z olbrzymią głębią.

Drugim zaskoczeniem była budowa wewnętrzna moren środkowej i bocznych lodowców. Znane z różnych ilustracji moreny jawiły mi się wydłużonymi nagromadzeniami fragmentów skał. Ku mojemu zaskoczeniu były one olbrzymimi masami czystego lodu pokrytego jakby posypką, najczęściej tylko kilkudziesięciocentymetrową warstwą kamieniami. Są to tzw. moreny z jądrem lodowym.

Baranówka, Werenhus, Stacja, Domek, czy też oficjalnie Stacja..., była miejscem, w którym spędziłem większość czasu w trakcie spitsbergeńskich wypraw. Ten niewielki domek, który przycupnął u stóp moreny bocznej pozostawionej przez cofający się lodowiec Werenskiöldbreen, nadaje się do zamieszkania praktycznie tylko w okresie arktycznego lata. Jego dzieje i skrajnie trudne warunki północne zapewne przedstawione zostaną przez osoby bardziej kompetentne. Należy jednak stwierdzić, że z powodzeniem służy licznym badaczom dłużej, krócej, czy wręcz incydentalnie w nim przebywającym. Jego magiczna moc emanuje nawet z licznych wpisów gości w kolejnych księgach pamiątkowych. Mam również swój niewielki wkład w przedłużenie jego świetności. Wygospodarowanie w przeszłości przestrzeni pod dachem jako sypialni spowodowało, że strop w położonym pod nią laboratorium zaczął z czasem się uginać. Zaczął aż blokować drzwi, których nie można było zamknąć. Dzięki wcześniejszym staraniom Jasia, po przybyciu w lipcu 2010 r. do Stacji, czekały już tu odpowiednie belki dostarczone wiosną skuterami śnieżnymi z Bazy. Któregoś dnia po dłuższej dyskusji uczonych, jak te belki zamontować, udało się je umieścić w odpowiednim miejscu tak, że zapewne przez dłuższy czas podpieierać będą śpiących na poddaszu polarników, a i drzwi do laboratorium nie będą tylko jego ozdobą. Jednak posadowienie słupów powstałej konstrukcji pokazało, że podłoga w niektórych miejscach jest nieco zbutwiała i wymaga już wzmocnienia.

W 2010 r. flagi powiesiliśmy na morenie górującej nad Baranówką. Na wysokim maszcie umieściliśmy olbrzymią flagę Polski znalezionej w jednej ze skrzyń, poniżej niej mniejszą flagę Norwegii, jako kraju gospodarzy, a poniżej jeszcze flagę Uniwersytetu Wrocławskiego. Niby zwykła czynność, ale uświadamiając sobie miejsce, gdzie to się dzieje, serce podeszło człowiekowi do gardła. Łopocząca biało-czerwona flaga widoczna była z odległości wielu kilometrów znacząc miejsce położenia Stacji i będąc równocześnie dobrym punktem orientacyjnym.

Podstawowym zadaniem pierwszej ekipy w każdym roku jest podłączenie wody do Baranówki. Z opowiadań Jasia wiedzieliśmy, że jest to zadanie mozolne, często dopiero po wielu podejściach kończone sukcesem – lejącą się wodą z kranów w kuchni i łazience. Wodę czerpie się z położonego na morenie jeziorka lodowcowego, z którego woda płynie długim na niecałe 200 m węzłem. Wąż ten, gruby, czarny, o wieku liczonym w dziesiątkach lat, a stąd i sparciałym, porwał się już na kilka kawałków łączonych pomiędzy sobą metalowymi rurkami. Uruchomie-

nie wodociągu polegało dotąd na zalewaniu wodą poszczególnych kawałków węża idąc od dołu i po zalaniu ostatniego odcinka, który przechodząc przez wał otaczający jezioro i opadając do niego, tworzył w końcowym efekcie olbrzymi lewar. Przy klasycznym podejściu do zagadnienia, w 2008 r. żadna chyba z trzykrotnych prób nie zakończyła się sukcesem. Zaproponowałem zatem zalewanie węży od góry – po utworzeniu lewara tylko z najwyżej położonego kawałka woda zaczęła płynąć już za pierwszym razem. Po ustaleniu się przepływu wystarczyło tylko dołączać od góry kolejne fragmenty węża. Poważniejszy problem pojawił się dwa lata później, a zatem i z o dwa lata starszymi wężami. Zaczęły pękać, a drobne nieszczelności skutkowały jego zapowietrzaniem się i w konsekwencji przerwaniem dostaw wody. Wielokrotnie uruchamialiśmy wodociąg, aż w końcu doszedłem do takiej wprawy, że potrafiłem to zrobić w pojedynkę. Akcję taką musiałem wykonać np. w dniu, kiedy odwiedziła nas Anka K., wtedy już szefowa Bazy, która w Baranówce chciała spędzić swe imieniny, a brak wody byłby wówczas chyba niewybaczalny.

Z wężem wodociągu wiąże się też jedna ciekawostka. Pewnego dnia było tak słonecznie, że w słońcu temperatura osiągnęła aż 26 °C. Czarny wąż nagrzał się również i z kranu płynęła woda o temperaturze aż 16 °C – tego dnia myjąc naczynia po obiedzie nie trzeba było grzać wody.

Delikatnie mówiąc gotowanie nie jest moją najmocniejszą stroną. Stąd też dzięki uprzejmości współmieszkańców Baranówki ja robiłem codziennie śniadania wcześniej wstając, a byłem zwolniony z przygotowywania obiadów. W związku z tym z podziwem patrzyłem na kotlety Magdy i Sebastiana czy wyszukane dania Anki i Michała. Ale wszystkich przebijał Jasiu. Wrodzone zdolności kulinarne, poparte długotrwałą praktyką, a do tego widoczne zamiłowanie do pichcenia powodowały, że prawie każda przygotowana przez niego potrawa w tych prawie spartańskich warunkach była wręcz dziełem sztuki. Rozpływały się nam w ustach placki ziemniaczane, dania chińskie, łazanki, ale szczytem rozpusty był obiad z połowy lipca 2010 r., który obejmował przystawkę (plasterek bryndzy, anchois, koniak), zupę (kapuśniak z kiełbasą oraz podsmażonymi ziemniaczkami puree), drugie danie (fasola w sosie pomidorowym) oraz deser (racuchy i herbatka z cytryną)!!!

Należy dodać, że podczas pierwszego pobytu otwieraliśmy jako pierwsi zabezpieczenia Baranówki po przerwie zimowej. Ponieważ do Hytteviki dotarła tylko część naszych beczek z żywnością, przez kilka dni żywiliśmy się zapasami zgromadzonymi przez poprzednie wyprawy z lat ubiegłych; najstarsze z dat widocznych na opakowaniach sięgały 2001 r. Wiele kilogramów potraw znacznie, znacznie starszych zlikwidowano rok przed naszym pobytem.

Nieco marginalnym w relacjach z Baranówki jest problem ubikacji. Choć kilka lat temu zostało dobudowane do domku pomieszczenie mieszcząceabinę prysz-

nicową, umywalkę i muszlę klozetową, to ta ostatnia była używana chyba tylko przez dwa sezony. Ponieważ zawartość muszli spływała do beczki postawionej pod domkiem, którą później trzeba było ręcznie opróżnić wylewając zawartość do przepływającej obok Bratteggelvy, dyżurujący kiedyś w tym zakresie dziekan S. Staško, po wyczyszczeniu beczki zabronił korzystania z tak funkcjonującego udogodnienia (tak przynajmniej głosi powtarzana z roku na rok fama). Od tego czasu w sprawach fizjologicznych korzysta się więc w sposób tradycyjny, tzn. bezpośrednio załatwia się swoje potrzeby w potoku, około 150–200 m poniżej domku tak, że nie jest się już widzianym z okien. Do 2009 r. funkcjonowała drewniana konstrukcja nad wartkim nurtem wody, która była namiastką muszli klozetowej, a od czasu jej zdemolowania przez wody roztopowe, polarnicy wypinając swą krągłą część ciała wypróżniają się wprost do potoku. Kucając, należy się przy tym naprawdę pilnie rozglądać wokół, czy zza którejś ze skałek nie wynurzy się niedźwiedź. Tak więc normalna czynność przynosząca wiele ulgi, jest nieco stresująca – kucając trzyma się opuszczone spodnie, rozgląda się wokół, w ręce trzyma się papier toaletowy, a wszystko to dzieje w takim miejscu, aby w zasięgu ręki znajdowała się przygotowana strzelba. Jak dotąd nie słyszałem, aby kogoś w tak intymnej sytuacji zastał niedźwiedź. Wyjście w to specjalne miejsce sygnalizowane jest przez niektórych – w tym przede mną – nałożeniem na lufę strzelby rolki papieru toaletowego, który powiewa na wietrze w drodze w dół potoku.

W godzinach popołudniowych 19 lipca 2010 r. nastąpiło zdarzenie, które odbiło się echem w skali chyba europejskiej. Michał idąc do Hytteviki zauważył nad jeziorem Pikedammen zdychającego postrzelonego niedźwiedzia. Wieczorem z Jasiem obfotografowaliśmy biedne, widać było, że naprawdę cierpiące zwierzę. Następnie ranka już nie żyło. Po zawiadomieniu radiem Bazy, ta przekazała wiadomość gubernatorowi i do kraju. Przez cały tydzień mieliśmy wizyty policjantów prowadzących śledztwo, helikopterami zawieziono nas na zeznania do Longyearbyen, itd. Wszystko zakończyło się wizją lokalną, niezwykle atrakcyjną w szczegółach, zwłaszcza tych wręcz komediowych. Chyba po raz pierwszy helikoptery całej floty Gubernatora (w liczbie dwóch) lądowały w sąsiedztwie Baranówki i to z taką częstotliwością; porobiliśmy sobie piękne zdjęcia na ich tle, a z nich piękne fotografie wybrzeża aż do stolicy.

Widziałem w sumie pięć niedźwiedzi, w tym jeden, spotkany w okolicach Gnålodden, wyzwolił we mnie takie pokłady energii, że nie wiedziałem, iż tak szybko potrafię się przemieszczać na nogach (czytaj: uciekać).

Niezwykle ciekawą dla mnie była sprawa łączności na tych pustkowiach. Radiostacja z Baranówki pozwalała łączyć się z Bazą i zapewniała stały przepływ informacji, a pracując prawie cały czas w trybie odbioru umożliwiała odsłuchiwanie rozmów prowadzonych w całym rejonie. Wychodząc w teren ekipy brały ze sobą krótkofalówki, które pozwalały na porozumiewanie się w zasięgu kilku

kilometrów pomiędzy sobą, a także ze Stacją. Często słyszeliśmy ostrzeżenia, któredy idzie niedźwiedź; w tym rejonie nie wychodziło się wtedy na badania. Ten system łączności zapewnia pewne bezpieczeństwo, a w moim przypadku sprawdził się znakomicie. W 2008 r. po zakończeniu pobytu w Baranówce trzeba było się przenieść do Bazy. Korzystając z faktu, że do Hytteviki dopłynął ponton dowożąc ekipę na badania, z Jasiem zabraliśmy się nim szczęśliwi w drogę powrotną (alternatywą było przemierzenie 20 km piechotą z bagażami). Pontonem kierował Marek Pencarski, zimownik, z którym razem dopłynąłem do Hornsundu Horyzontem II. Wypłynęliśmy w trójkę – oczywiście ubrani w hellyhanseny – na wody Oceanu Arktycznego jakieś półtora kilometra od brzegu i rażno mknęliśmy ku Bazie. Po minięciu doliny Steinvikdallen silnik nagle zaczął prychać i w końcu zgasł. Nastąpiła przejmująca cisza, w której nasz ponton miarowo unosił się i opadał na powierzchni na szczęście niewzburzonego morza. Po kilku próbach odpalenia silnika i kilku czynności przy jego układzie zasilania Marek, który dopiero zaczynał działalność z tymi pontonami, dał za wygraną. Ze strachem zaczęliśmy spoglądać czy wiatr i fale nie znoszą nas na przybrzeżne szkiery, ale nie, uspokoiłiśmy się. I wtedy sprawdziła się łączność radiowa. Informacja przekazana krótkofalówką do Hytteviki, w której radiostacji zasięgu jeszcze byliśmy, przekazana została przez Jurka Czernego do Baranówki, a stamtąd do Bazy. Po chwili usłyszeliśmy, że z Bazy wypływa już wyprawa ratunkowa. Po około czterdziestu minutach dowiedzieliśmy się, że nie mogą nas znaleźć – okazało się, że pomylili doliny. Przez kilkadziesiąt minut oczekiwania zabijaliśmy sobie czas opowiadaniem, a potem sprawdzaniem szczelności nowego aparatu Optimus Marka, który do głębokości 10 m miał być szczelny. I był, sprawdziliśmy to robiąc zdjęcia na różnych głębokościach. Po niecałej godzinie dwa coraz bardziej powiększające się punkty będące dwoma pontonami z kilkoma osobami dopłynęły do nas. Jeden z pontonów prowadził Mateusz Moskalik, który szybko uruchomił nasz silnik i po niecałej godzinie flotylla trzech pontonów dobiła do Bazy. Okazało się, że u nas zatkał się tylko filtr paliwa, ale w jakiś specyficzny sposób.

W nawet tak odległym i niedostępnym miejscu można spotkać znajomych. Przy pierwszym odwiedzeniu Hytteviki w jej drzwiach pojawił się Przemek Wachniew z AGH, z którym poznaliśmy się w 1993 r. na konferencji izotopowej w Wiedniu, i z którym wtedy w restauracyjce nad Starym Dunajem w większym towarzystwie zjedliśmy niewyobrażalnie duże żeberka. Drugą znajomą była Ela Majchrowska, z którą spotkaliśmy się w 2007 r. na 25. Szkole Speleologicznej w Kletnie. Spała ona wówczas w pokoju z moją młodszą córką, i jak powiedziała „wypiły razem niejedną butelkę, i to nie tylko piwa”; ładnych rzeczy można się dowiedzieć na Spitsbergenie.

W dniu 1.08.2008 r. nałożyło się kilka okazji – był to pierwszy dzień miesiąca, środek wakacji, rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego, no i najważniej-

sze – zaćmienie Słońca. Zaćmienie trwające ponad dwie godziny, o maksimum o godzinie 10⁴¹, objęło prawie 90% powierzchni tarczy słonecznej. Porobiliśmy wspaniałe fotografie, gdyż przyszła na tyle gęsta mgła, że niepotrzebne okazały się specjalnie przygotowane zaczerwione płytki i specjalne filtry.

Tego dnia miała miejsce jeszcze jedna okazja – otwarcie zegara słonecznego. Po drugiej stronie potoku Bratteggelva (w skrócie Bratek) znajduje się niewielkie owalne wzniesienie, w najwyższym punkcie którego stoi kamienny kopczyk, w którym tkwi drąg, na którym zawieszono są flagi polska i norweska. Na kamieniach leżą też silnie zardzewiałe oryginalne raki Stanisława Baranowskiego. Wspomniany drąg wydawał się idealnym gnomonem, wokół którego zacząłem tworzyć słoneczny zegar. Ponieważ obszar położony poniżej Baranówki zbudowany jest z jasnych kwarcytów (nosi zresztą nazwę Kvartsittsletta – Półwysep Kwarcytowy), stąd zebrane białe mniejsze i większe kamienie utworzyły odpowiednie punkty tarczy zegarowej. Wiele problemów stworzyło wyznaczenie punktów poszczególnych godzin, co wynikało z niewielkiej krzywizny drąga, jego wyginania się w trakcie ostrych wiatrów, a także sprawdzenia przy niezbyt często świecącym słońcu zgodności punktów z godzinami pory dziennej i nocnej. Zegar kwarcowy – w pełnym tego słowa znaczeniu – został sfotografowany, lecz wkrótce po moim wyjeździe został zlikwidowany, aby nie zaburzać naturalnego wyglądu tundry.

Pełen wydarzeń pierwszy dzień sierpnia zakończyły snute do późnych godzin przez Jasia – ze znaną mu swadą – opowiadania o arktycznych, i nie tylko, działaniach profesorów Alfreda Jahna i Aleksandra Kosiby.

Udział w pierwszej mej wyprawie miał na celu przyjrzenie się temu co, kto i jak robi w zakresie badań naukowych. Chciałem znaleźć jakąś działkę dla siebie, ale taką, która nie wchodziłaby w zakres czyichś prac, a równocześnie mogła być pomocna innym. Równocześnie pomagałem w realizowanych pracach – np. z Jasiem Klementowskim rąbałem lód odsłaniając jego hydrolakkolity, brałem udział w pomiarach przepływów rzek (Magda i Sebaan; Przemek Wachniew) i badań źródeł, pobierałem próbki wód rzeki lodowcowej do badań zawiesin (Ela Majchrowska), itd., itp., a przede wszystkim chodziłem i patrzyłem, patrzyłem, patrzyłem... W rezultacie wyklarowały mi się trzy propozycje badań:

- badania georadarowe, które mogłyby pomóc w zagłębieniu w lodowce kamieniste, zobrazowałyby może przebieg kanałów doprowadzających wody do olbrzymich źródeł u czoła lodowca Werenskiølda, a także określiły miąższość osadów różnych moren i sandrów. Z racji ograniczeń w transporcie, jakie miały miejsce w 2010 r., nie byłem w stanie dowieźć do Hornsundu georadaru i nie wykonałem takich badań. W tym czasie niektóre z tych zamierzeń wykonała ekipa z Uniwersytetu Śląskiego;
- opisanie zjawisk krasowych u podstawy Gnåla. Penetrując skały węglanowe u stóp olbrzymiej góry wyrastającej wręcz z wód fiordu, znaleźliśmy z Jasiem olbrzymie kotły wyglądające na kotły wirowe, ale znacznego wieku, gdyż

ich gładka powierzchnia zachowała się tylko przy ich dnie, będąc chroniona przez wypełniające kotły drobniejsze osady. Dokładniejsza inwentaryzacja przeprowadzona w tym rejonie pozwoliła na odnalezienie wielu takich kotłów, położonych również poniżej poziomu morza (znaleźliśmy je szukając podczas maksimum odpływu). Zebrane materiały czekają na opracowanie;

- badania termowizyjne, które przyniosły zaskakujące wyniki i które przedstawie nieco szerzej.

W 2010 r. zabrałem ze sobą kamerę termowizyjną. Jej znaczna wartość spowodowała, że bałem się ją nadawać jako bagaż w podróży samolotowej i to z przesiadkami. W związku z tym pojechałem samochodem do Tromsø, a stamtąd już bez przesiadek samolotem do Longyearbyen. W Tromsø zatrzymałem się w polskim klasztorze Karmelitanek Bosych. To zadziwiające i magiczne wręcz miejsce, będące bazą startową w Arktykę dla wielu polskich wypraw, powinno doczekać się szerszego opracowania. Wracając jednak do badań termowizyjnych pozwoliły mi one na stwierdzenie, że mogą być pomocne w wielu zagadnieniach, zwłaszcza przy badaniu dopływów wód. Pięknie widoczne są dopływy różnych wód do jezior przed lodowcem Werenskiölda, a pojedyncze próby przeprowadzone u czoła lodowca Hansbreen nie dały rezultatu ze względu na słoneczną pogodę. Natomiast fotografie w podczerwieni źródła Orvina u podnóża Gnåla, przeszły najśmielsze oczekiwania. Źródło to, opisane szerzej przez Wiesię Krawczyk w pracy z 1996 r., najpewniej o charakterze krasowym, wyprowadza wody o temperaturze ok. 12 °C w zwirowych osadach terasy morskiej tuż nad linią wody. Wykonane o świcie (przepraszam, w godzinach wczesnoporannych, ze względu na świecące tu latem cały czas słońce) zdjęcia w podczerwieni ukazały całą strefę dopływu wód do zwirowych osadów, strefę mieszania się następnie tych wód z wodami morskimi, a także pięknie pokazały, jak nagrzane są od nich wielkie głazy, pod którymi przepływa cieplejsza woda. Zestawienie takich obrazów z obrazami uzyskanymi normalnym aparatem fotograficznym jest zadziwiające. Dla tych kilku zdjęć warto było poświęcić miesięczną wyprawę! Dzięki uprzejmości Szymona Kostki przełączyłem kamerę z jego łodzi dodatkowo około dwóch kilometrów wschodniego podnóża Gnåla licząc na ujawnienie się jakiś cieplejszych wypływów wód, jednak kilkusetmetrowa odległość płynięcia od brzegu (liczne szkiery) była zbyt duża dla rozdzielczości kamery, a liczne kry i góry lodowe z wyjątkowo cielącego się lodowca Paierbreen zmusiły nas w końcu do zaprzestania obserwacji.

Kamera termowizyjna wykorzystana została także i w innych celach. Pozwoliła np. ocenić stan izolacji cieplnej zabudowań spitsbergeńskich. Baranówka w tym względzie jest w miarę szczelna; najsłabszymi fragmentami są tu wszystkie okna oraz ściana poddasza od strony okna. Bardzo słabą izolacją cieplną charakteryzuje się Hyttevika, na której ścianach zewnętrznych w podczerwieni widoczna jest konstrukcja elementów we wnętrzu husa. Pełną szczelnością natomiast charakteryzuje się główny budynek Bazy.

Wielką atrakcją dla polarnego bractwa, zwłaszcza jego męskiej części, były zdjęcia polarniczek w podczerwieni. Szczególną ciekawość wykazywał tu w Bazie przeuroczy Kaziu Zajac, chcąc w taki specyficzny sposób ujrzeć szefową jego kolejnego zimowania.

Wiele głęboko zapadających w pamięci sytuacji wiąże się także z pobytem w Bazie w Hornsundzie. Dwa z nich szczególnie zapadły mi w pamięci i oba związane są z ostatnimi dniami pobytów na Spitsbergenie.

Pierwszą był całodobowy dyżur, który przypadł mi i Jasiowi w pewną niedzielę. Obowiązkowy dyżur w porze letniej czeka tu każdego, kto przebywa w Bazie ponad tydzień. Trwa on od szóstej rano do szóstej rano dnia następnego. W jego trakcie należy posprzątać i wymyć całą Bazę, włącznie z ubikacjami, należy usunąć zużyte puszki, słoiki i inne odpady, należy pomóc kucharzowi w kuchni, należy odbierać rozmowy przez radiostację, itd. W niedzielę jednak porządek jest inny. Kucharz ma w ten dzień wolne i znika najczęściej z Bazy. Na dyżurujących więc zamiast sprzątania przypada obowiązek całodniowego przygotowywania posiłków. Śniadanie nie jest problemem, kolację każdy z polarników przygotowuje sobie sam korzystając z bogatych zapasów, natomiast do obiadu trzeba się było solidnie przygotować. W sobotę wieczorem kucharz, Leszek Witkowski (ciepły i życzliwy mój ziomał z Ziemi Kłodzkiej, o czym się tam dowiedziałem) pokazał nam wielki garnek pozostałego rosółu z radą, aby wykorzystać go do zrobienia zupy pomidorowej. Na drugie zasugerował, żeby zrobić ryż gotowany w torebkach z gulaszem wołowym. Na gulasz pozostawił olbrzymi kawał mięsa, wszak miało to być obiad dla trzydziestu pięciu wygłodniałych polarników. Od rozpoczęcia dyżuru Jasiu zabrał się do krojenia mięsa, ja zaś szykowałem śniadanie. Pokrojone mięso zostało wrzucone do olbrzymiej stołówkowej brytfanny elektrycznej, ale był problem z jej włączeniem. Włącznik na boku brytfanny nie działał. Jej zasilanie odbywało się poprzez stojący pod spodem zasilacz, ale na kręcenie jego przełącznikami brytfanna również nie reagowała. Pozostało tylko sprawdzenie bezpieczników i to było trafienie w dziesiątkę. Włączenie odpowiedniego bezpiecznika w korytarzu Bazy włączało grzanie brytfanny. Nie wiedzieliśmy jednak, że jej włączenie powoduje natychmiast grzanie urządzenia na całą moc. Tak więc pierwsze podniesienie pokrywy w celu pomieszania mięska, spowodowało buchnięcie olbrzymich kłębow pary i dymu z przypalającej się już potrawy. Jasiu rzucił się do wyłączenia bezpiecznika, ja zatrzasałem natomiast drzwi do prawie już pustej stołówki, aby nie najeść się wstydu, i otworzyłem wszystkie okna oraz boczne drzwi gospodarcze. Od tego momentu zacząłem biegać pomiędzy oknami i drzwiami, które trzeba było pilnować, aby nie wszedł czasem nieproszony miś, Jasiu zaś zalewał gulasz wodą skrobiąc dno brytfanny. Najgorsze, że śmierdzący dym nie chciał się rozejść pomimo przeciągu, gdyż nisko położone małe okna nie ułatwiały pozbycia się dymu wypełniającego kuchnię i korytarz wysoko pod sufitem. Po kilku minutach, które ciągnęły się w nieskończoność, pomieszczenia w końcu się przewietrzyły,

obrabianie termiczne mięsa zostało opanowane i wydawało się, że nikt niczego nie zauważył. Obiad udał się doskonale, a kulinarne zdolności Jasia zostały docenione przez wielkie grono kontentych konsumentów.

Pod wieczór wrócił kucharz, który był cały dzień na rybach. Prawie cała grupa wrocławska zebrała się późnym wieczorem w naszym pokoju, gdzie zostaliśmy poczęstowani kanapkami ze świeżutkimi golcami złowionymi tego dnia. W wesołej atmosferze kucharz, który wcześniej pracował na statkach, nagle prostym, marynarskim językiem zapytał: „Wojtek, a co to się k... dziś rano dymiło w kuchni?” Zamarłem, zastanawiając się skąd on o naszej przygodzie mógł wiedzieć, ale rezerolucie odparłem: „Jaki dym, to była PARA! ”. Na to on spokojnie: „Akurat, PARA uczonych to się wzięła za gotowanie! ”.

Drugą sytuacją był ostatni wieczór pobytu w Bazie w 2010 r. Następnego dnia Horyzontem miałem odpłynąć do Longyearbyen z kończącą zimowanie większością XXXII Wyprawy PAN. Obecni już członkowie XXXIII wyprawy zaczynającej prace pod kierownictwem Anki Kowalskiej zorganizowali wieczór pożegnalny. Po zakończeniu swych obowiązków późnym wieczorem wszyscy stawili się na brzegu koło Banachówki, gdzie w cieniu latarni UWE 1 (nazwanej tak na cześć Piotra Głowackiego, ksywa Uwe, kierownika Zakładu Badań Polarnych Instytutu Geofizyki PAN, któremu Baza podlega) rozpalono ognisko, do którego wrzucono ziemniaki w folii, przygotowano mnóstwo kanapek, w hangarze włączono muzykę i zaczęły się wspomnienia, opowiadanie ciekawych historii, a i także było co się napić. W otoczeniu panował niezwykle spokój – woda w fiordzie była zupełnie gładka, a mgła która nadciągnęła na brzeg spowodowała, że nie było widać żadnych granic. Ponieważ było zupełnie jasno powstała więc magiczna atmosfera. I w tej to atmosferze po różnych fazach spotkania, które zaczęło zamierać, wszyscy stali w dużym kręgu kończąc rozmowy, przy dłuższym już braku alkoholu. I wtedy to stojący razem Adam Nawrot (geoekolog z UAM w Poznaniu) i Liliana Keslinka (biolog z Uniwersytetu Gdańskiego) poprosili o chwilę ciszy, bo chcą coś powiedzieć. Adam równocześnie zaczął wyciągać z rękawa półlitrową butelkę wódki. Wszyscy zamarli, jedni patrząc na nich, inni na butelkę. Adam powiedział, że właśnie oświadczył się Lili i oświadczyzny zostały przyjęte. Wybuchły ogólne owacje, wszyscy rzucili się na narzeczonych z gratulacjami. Cała ta sytuacja w zupełnie magicznej scenerii sama stała się magiczna. Gdy opadło pierwsze uniesienie okazało się, że Lila ma na palcu nakrętkę od śruby, jako pierścionek zaręczynowy. I wtedy usłyszeliśmy fajną historię. Adam do oświadczyzny przygotowywał się od dłuższego czasu i chciał swej lubej dać pierścionek wykonany własnoręcznie z rogu renifera! Wtajemniczył w to Kazia Zająca, który miał zdobyć rozmiar palca Lili. Razem padali ze śmiechu opisując, jak wielokrotnie Kaziu niby przypadkowo gładził ją po ręce i dziwnie ścisnął jej serdeczny palec. W wielkiej tajemnicy w warsztacie Kazia Adam szykował szlifując i polerując ten egzotyczny pierścionek. W chwili jego wręczania okazało się jednak, że na szerokość palca jego średnica była dobra, ale za to na jego grubość średnica okazała się zbyt mała; stąd

też zaręczynowy pierścionek zawisł na szyi oblubienicy. Zupełny odjazd. W ciągu następnego roku Para Młoda pobrała się, Adam obronił doktorat i państwo Nawrotowie uczestniczą w XXXIV Wyprawie PAN, oczywiście kierowanej przez Adama.

Podsumowując dwa pobyty na Spitsbergenie muszę stwierdzić, że nie poczuje klimatu Spitsbergenu ten, kto:

- nie przeszedł piechotą ponad dwudziestu kilometrów z Bazy do Baranówki,
- nie przeszedł choć jednego lodowca wzdłuż i wszerz,
- nie przemierzył jego moren,
- nie napił się wody z rzeki supralodowcowej,
- nie słyszał huku cielącego się lodowca,
- nie zapadł się co najmniej po kolana w rozmarzniętej tundrze,
- nie przechodził w bród rzek lodowcowych zamaczając się nawet powyżej „akcentów wielkanocnych” (określenie Jasia),
- nie przeszedł którejś z flyi,
- nie przeżył ataku wydrzyków, a nawet został trafiony dziobem w głowę przez pikującego ptaka,
- nie wisiał z wiadomymi dolegliwościami przewieszony przez liny jachtu El Tanin na Oceanie Arktycznym,
- nie widział arktycznych maków, lepnicy czy różnych skalnic,
- nie widział wierzb polarnych mniejszych niż rosnące obok grzyby,
- nie widział w całej krasie reniferów,
- nie widział śladów niedźwiedzia polarnego, jego samego lub też jego gawry,
- nie widział przepływających stad białuch,
- nie widział zabaw lisków polarnych,
- nie widział starych pułapek na lisy i starych skrzyń samostrzałów na niedźwiedzie,
- nie widział....

Oj, zaczynają stawać w oczach niezwykle widoki, niezwykle środowisko, niezwykle sytuacje, niezwykle ludzie, których tam poznałem. Na początku pisałem o tzw. gorączce polarnej. Widzę, że muszę przerwać, bo stan podgorączkowy zaczyna chyba przechodzić w kolejny atak tej gorączki. Tak więc kończę.

Sebastian Sikora

Długa podróż. W czasie i przestrzeni...

Rok 1984. Od niedawna odkrywam uroki opowiadań zaklętych w papierowych stronicach książek (skończyłem 7 lat i czytanie to umiejętność dopiero, co nabyta). W moje ręce wpada opowieść o radzieckich naukowcach badających podbiegunową krainę pokrytą wiecznym lodem. W tych historiach było coś niezwykle magicznego, co kazało mi wielokrotnie sięgać po tę książkę. Wtedy lodowiec, szczelina lodowa czy skuter śnieżny były dla mnie pojęciami zupełnie abstrakcyjnymi...

Rok 2004. Charakterystyczny warkot dwutaktowego silnika zaburtowego naszej niewielkiej łodzi zagłusza plusk fal Morza Grenlandzkiego, po którym właśnie płyniemy. Rumpel w swej ręce trzyma Szymek – właśnie skończył zimowanie w Polskiej Stacji Polarnej i postanowił poczuć jeszcze raz uroki polarnego lata przedłużając swój pobyt na Spitsbergenie o 3 miesiące. Zmierzamy do Baranówki, czyli Stacji Polarnej im. Stanisława Baranowskiego Uniwersytetu Wrocławskiego. Jestem szczęściarzem – pierwszy raz tę długą drogę pokonuję łodzią. Co prawda jest ona mocno wyposażona sprzętem i jedzeniem przywiezionym na potrzeby uczestników wyprawy polarnej naszego Uniwersytetu, ale rejs nie trwa zbyt długo. Pływanie w tamtejszych warunkach stanowiło dla mnie nie lada wyzwanie – wychowałem się nieopodal Zalewu Sulejowskiego i kontakt z wodą miałem od małego, lecz ogrom morza budził we mnie pewien lęk... Mijamy brzeg usiany skałami i zaczynamy kluczenie pomiędzy szkieletami. Do „portu wrocławskiego” (szumna nazwa niewielkiej zatoczki) dotrzeć można tylko na przypływie (nawet niewielka pomyłka godzin pływów skutkuje brnięciem w mulistych osadach wyniesionych z lodowca Werenskiolda). W końcu dno naszej łodzi szoruje po dnie i rejs zakończony. Szybko wyładujemy rzeczy z łodzi i bierzemy na plecy tyle, ile możemy unieść. Szybkim krokiem (zarówno Szymek jak i ja nie potrafimy chodzić wolno) rozpoczynamy pokonywanie ostatniego fragmentu drogi do naszej Baranówki. I w końcu po 20-to minutowym marszu moim oczom ukazuje się ona: niewielki, zielony, pokryty czerwonym dachem domek – tak drastycznie inny w porównaniu ze stacją w Hornsundzie... Szybko odryglowujemy drzwi, by wejść do środka i posilić się nieco (ja chlebem z pasztetem, a mój kompan chlebem z kiszoną kapustą). W ten sposób rozpoczęła się moja znajomość z Werenshusen. Pierwsze wrażenie było... raczej dziwne: przepiękna okolica mocno kontrastowała z mało wyszukaną bryłą naszego domku. Dopiero kilkutygodniowy pobyt w nim sprawia, że można go uznać za jedną z najwspanialszych konstrukcji na Spitsbergenie (oczywiście, to moja, bardzo subiektywna ocena).

Na Spitsbergen trafiłem dzięki Krzyśkowi, który wówczas kończył kolejne zimowanie (tym razem był kierownikiem) – potrzebny był ktoś do „pociągnięcia” programu badawczego rozpoczętego przez niego rok wcześniej. Kiedy tylko pojawiła się taka możliwość bez wahania zgodziłem się. Moja przygoda ze Spitsbergenem rozpoczęła się raczej mało romantycznie: po tygodniowym rejsie statkiem „Horyzont II” dotarliśmy do celu naszej wyprawy. Lecz 20 km od stacji w Hornsundzie okazało się, że wyjątkowo zwarty pak lodowy uniemożliwił dotarcie do celu naszej podróży. A tymczasem już za dwa dni miały rozpocząć się warsztaty geomorfologiczne prowadzone w oparciu o nasz statek. Dlatego należało „pozbyć się” wszystkich pasażerów. Kolejnym portem miał być Barentsburg. Tuż przed przybiciem do brzegu dostałem propozycję: zostaję tutaj lub w Longyearbyen. Zdecydowałem się na ten pierwszy wariant – profesor Tarasov z Rosyjskiej Akademii Nauk zaproponował mi miejsce w ich budynku. I w ten sposób jadąc na Spitsbergen trafiłem na dwa tygodnie do rosyjskiej miejscowości niczym nie różniącej się od syberyjskich miasteczek (kto był na Wschodzie zna ten „klimat”). Nieco utrudniony kontakt z pozostałą częścią naszej wrocławskiej ekipy, która miała dolecieć samolotem, potęguje niepewność, co do dalszych losów naszej wyprawy. Na szczęście ze statku „zjąłem” sporą część naszych zapasów żywnościowych (w tym ze 40 kg super-wędzonej kiełbasy, nieco już zzieleniałej...) i o zaopatrzenie na najbliższych kilka miesięcy mogłem się nie martwić. Na szczęście po kilkunastu dniach nasz statek ponownie przybił do kei w Barentsburgu, a na pokładzie spotkałem znajome twarze z uniwersyteckich korytarzy. Dotarcie do Hornsundu nie było proste – do ostatniej mili nie było pewne czy uda się naszemu dzielnemu stateczkowi przedrzeć przez zwarte lody paku... Na szczęście w pobliżu znajdował się statek norweskiej Straży Wybrzeża, który zaproponował torowanie nam drogi (była to jednostka o niebo lepiej przystosowana do pływania w wodach arktycznych). Znakomicie skróciło to czas naszego „rozpychania się” między krami. I po paru godzinach nareszcie dotarliśmy. Pobyt w Polskiej Stacji Polarnej IGF PAN w Hornsundzie nie należy do przyjemności w okresie letnim: dziesiątki biegających ludzi, którzy poszukują swego bagażu, albo miejsca dla niego... Sprawia to wrażenie ruchu jak na Marszałkowskiej... Na szczęście kilkanaście kilometrów stąd jest nasza, wrocławska stacja, w której panuje spokój zakłócany tylko szumem przewalającej się w pobliskim strumyczku wody.

Baranówka jest miejscem niemalże idealnie położonym: dość daleko od dobrego kotwicowiska (duże statki wycieczkowe nie mają szansy tu „dostarczyć” turystów), lecz stosunkowo niedaleko jest miejsce, gdzie można dopłynąć łodzią i dostarczyć ekwipunek niezbędny do realizacji zadań stojących przed członkami wyprawy. A najważniejsze: znajduje się tuż u podnóża lodowca Werenskiolda – poligonu badawczego dla naukowców zajmujących się zmianami zachodzącymi w środowisku. Organizowane od lat Wyprawy Polarne Uniwersytetu Wrocławskiego (w 2004 roku jest to XXIV Wyprawa) umożliwiają badanie procesów, które zachodzą na stopniowo odsłanianym przez lodowiec terenie.

Niestety, czterdziestoletnie istnienie „Baranówki” w trudnych warunkach polarnych wyraźnie odcisnęło na niej swoje piętno: wypaczone drzwi, podłoga w fatalnym stanie, szczeliny między deskami elewacji to tylko niektóre z mankamentów wymagających szybkich działań. W najbliższym czasie należy przeprowadzić kompleksowe prace remontowe, które zapobiegą stopniowej degradacji naszej stacji polarnej.

Anna Kowalska

Arktyka – żądza poznania

Jak zwykły był mawiać o Antarktydzie Antoni Bolesław Dobrowolski: *„Nigdzie pojęcie walki nie wcieliło się w tak idealnej postaci. Człowiek nie gnębił tu człowieka. Były to wielkie bitwy – może największe z tych, które żądza poznania stacza z nieznanym (...), jedyna postać walki, jaka ludziom naprawdę przystoi, ich najszczytniejsze powołanie – i obowiązek najszczytniejszy”*. Tak, w tym Duchu nasze oczy i myśli kierują się ku skrawkowi lądu położonemu na północno-zachodnim krańcu wielkiej płyty eurazjatyckiej a nasze stopy zmierzają rokrocznie na Svalbard, archipelag wysp znajdujących się, na mocy Traktatu Paryskiego, pod jurysdykcją Korony Norweskiej. Przyjeżdżamy tu jak do źródła z pragnieniem zacerpnięcia wiedzy o naszej planecie, o istocie zmian klimatycznych dokonujących się obecnie a mających odzwierciedlenie w przeszłości globu, przyjeżdżamy aby rozszerzyć nasze obserwacje o nowe habitaty – niezniszczone ekosystemy, gdzie granica wiecznego śniegu uformowała odrębny Świat, by wspólnie z podobnymi nam ludźmi stworzyć merytoryczny opis tego zakątka Ziemi.

Osobliwe piękno Arktyki odciska piętno na wszystkich, którzy zawitają w te strony. Niegdyś, w początkach minionego stulecia, każdy krok naprzód, każda nowa kreska na mapie, okupione były krwią polarników, zuchwałych badaczy rzucających wyzwanie: wytrwałości, hartowi i męstwu. Dziś od niespodziewanej śmierci chronią nas systemy satelitarne i sprzęty elektroniczne oraz brak przyzwolenia na rutynę nieuchronnie ścigającą badaczy krain polarnych przez lata ich pracy. Nie jest to jednak regułą gdyż haracz ze swojego życia złożył w Antarktyce, ponad trzydzieści lat temu człowiek, którego imię nosi Mały Wrocław – Stacja Polarna Uniwersytetu Wrocławskiego. Stanisław Baranowski – glaciolog, klimatolog, polarnik, uczeń Aleksandra Kosiby, to on właśnie był inicjatorem imponującego przedsięwzięcia, budowy schronienia i laboratorium przyjaznego każdemu kto pragnie badać oraz ująć słowem i liczbą przyrodę Spitsbergenu. Baranówka – bo tak nazywamy wrocławską stację polarną – położona jest, jak stolica Dolnego Śląska, nad piękną, wartko płynącą rzeką Bratteg (Bratteggelva). Baranówka – w myśl marzenia jej Twórcy, spełnia dwa ważne zadania: nieprzerwanie od czterdziestu lat służy Nauce, zyskując dla niej cenne zdobycze oraz łączy ludzi z polskich i zagranicznych uczelni najpromienniejszymi instynktami gromadzkimi.

I Norwegom rezydującym w Longyearbyen miejsce to jest bliskie, odwiedzają je bowiem przemierzając mroźny bezkres, z początkiem każdej wiosny, gdy Słońce po nocy polarnej wreszcie pojawia się nad linią horyzontu, rozświetlając zamarte w biegu akwamarynowe rzeki lodowców. W rozmowach z Norwegami, a bywają

wśród nich ważne dla lokalnej społeczności postaci jak np.: Gubernator Svalbardu, Burmistrz Longyearbyen, Redaktor naczelny lokalnej gazety Svalbardposten, pastor czy lekarz, słyszymy miłe dla ucha określenia „*that small, green, well maintained house*”. Wtedy opowiadamy o Wrocławiu, o naszym Uniwersytecie, o tym nad czym aktualnie pracujemy i o mniej lub bardziej niebezpiecznych przygodach jakie nas spotykają w naszych wędrówkach po Ziemi Wedela-Jarlsberga. Nie trudno dostrzec ile łączy nas z potomkami Wikingów, z pietyzmem strzegących naszego wspólnego dziedzictwa.

Badając strukturę młodych, spitsbergeńskich moren okazuje się, iż ich immanentną cechą jest dynamicznie zachowujące się lodowe jądro (*ice cored moraine*). Otóż zjawisko to czasem wielce doskwiera mieszkańcom Baranówki, którzy tocząc, skazaną na niepowodzenie, męczącą walkę z żywiołem starają się każdego lata ochronić miejsce swojej pracy przed gruzowo-błotnymi potokami kásającymi domek tak boleśnie jak i nieuchronnie. Polacy, Czesi, Luksemburczycy zakasują rękawy swoich flanelowych koszul i tworzą, na przekór naturze, wklęsłe powierzchnie w nieregularnej bryle moreny by po skończonej pracy zasiąść przy ciepłej westfalce z kubkiem kawy w rękę. Gdy morena drzemie a łakome promienie Słońca pochłaniają coraz bardziej lichą pokrywę Lodowca Brattegga (Bratteggbreenn) ulokowanego w pobliskim amfibolitowym karze wtedy mały proglacialny ciek Brattegg prze-radza się w wiodącego bure od zawiesiny wody kolosa chłoszczącego betonowe stopy domku oraz drewnianą podłogę letnim, po-fenowym wezbraniem. Ponownie stajemy razem by ratować dziesiątki prób gruntów, flory i fauny leżących w workach i skrzynkach, w laboratorium. I możemy dywagować, po skończonej pracy, czyż jednak nie jest wspaniałe i potężne tchnienie nieożywionej przyrody!

W pogodne, letnie dni po czaszy lodowca – jednego z obiektów naszych badań, płyną kręte niczym mityczny labirynt Minotaura, głęboko wcięte w lód rzeki. Dla nich lód lodowcowy jest zarazem łóżyskiem jak i źródłem wody. Należy uważać by niechcący nie dostać się w tę kipieli gdyż krótki może okazać się żywot eksploratora albowiem zimna woda powieść może człowieka w głąb krystalicznego cielska, w obszar tuneli in- i subglacjalnych typowych dla lodowców spitsbergeńskich, wyglądających jak kawał szwajcarskiego sera. Zimą, koryta supraglacjalnych rzek i studnie lodowe pokrywa śnieg ułatwiając badaczom przemierzanie przestrzeni na nartach i skuterach śnieżnych. Białe puch obleka dziwny chaos szczelin i rozpadlin w lodzie lodowcowym napawając obserwatora zdumieniem. Na wiosnę wraz z czasem ablacji ponownie uruchamiają się cieki w jedną wielką rzekę zwaną Lodowcową. Lodowcowa opuszcza system Werenskiolda malowniczym przełomem założonym w prekambryjskich łupkach łącząc się z wodami Bratteggelva, w polarnym uścisku, tuż przed ujściem do płytkiej Zatoki Nottingham, widocznej z okna Baranówki. Gdy jesienne zachody Słońca, krwawą łuną, rozświetlają wody Morza Grenlandzkiego a białe *icebergi* oderwane od czoła Lodowca Torella coraz częściej majestatycznie dryfują wzdłuż linii brzegowej, to wtedy właśnie ciężki

od wilgoci, słony wiatr wdzierając się przez laboratoryjne okno do naszej Stacji Polarnej przypomina, iż czas powrotu na kontynent jest bliski.

Dla wielu Arktyka to nie tylko region geograficzny lecz także a może przede wszystkim przedmiot badań: wrogi, zimny i niedostępny. Jednakże gdy się staje obiektem zainteresowania pragnącego gorąco poznać jej tajemnice badacza, wtedy ukazuje ona całe swoje piękno, bujne życie, wtedy przestaje być *terra incognita*...

Marek Kowalczyk

Polarne wspomnienia

Na Spitsbergen trafiłem jako meteorolog XXVIII Wyprawy Polarnej PAN w sezonie 2005/2006. Wtedy też zaczęła się moja przygoda ze Stacją Polarną im. S. Baranowskiego, zwaną potocznie Werenhusem. Do tej pory to miejsce znane mi było tylko ze zdjęć i opowiadań kolegów, którzy mieli przyjemność bywać tam wcześniej. Teraz nadarzyła się okazja, żeby osobiście poznać i poczuć magię tego miejsca. Werenhus miał o tyle duże znaczenie dla mnie, gdyż jako jedyny spośród zimowników XXVIII Wyprawy, byłem związany zawodowo z Uniwersytetem Wrocławskim. Z tego względu, w czasie zimowania, gdy opuścili nas już wszyscy letnicy i „Horyzont” skrył się za horyzontem, poczułem się niejako „gospodarzem” tego miejsca. Tak trochę może na wyrost, ale tak było.

Funkcja meteorologa, jaką pełniłem na stacji, nie sprzyjała dłuższym, kilkudniowym wypadom w teren, mimo to udało mi się kilkakrotnie zajrzeć do Werenhusa. Każde z tych odwiedzin niosło ze sobą jakiś багаż wspomnień.

Pierwsza okazja na dłuższy wypad trafiła się już kilka dni po dotarciu do Stacji w Hornsundzie. Ekwipunek uczestników wyprawy wrocławskiej, który przyплыł z kraju „Horyzontem”, należało przetransportować do miejsca docelowego, jakim była zatoka Hyttevika. Jest to miejsce położone najbliżej Werenhusa, nadające się na wyładunek bagaży drogą morską. Rzeczą całą polegała na tym, aby pontonami przewieźć bagaże ze statku na brzeg. Na szczęście pogoda była łaskawa i przy pomocy dwóch pontonów i jednej łódki cała operacja przebiegła dość sprawnie. Dalszą część trasy z Hytteviki do Werenhusa ładunek musiał być przeniesiony na plecach. Ta „przyjemność” mnie ominęła (przynajmniej tym razem). Wróciliśmy do bazy drogą morską, pontonem „bazowym”. W czasie całej drogi powrotnej towarzyszyła nam mgła, więc nawigacja opierała się tylko i wyłącznie na wskazaniach GPSa. Sztuka polegała na tym, żeby za daleko nie wypłynąć w morze i nie płynąć zbyt blisko brzegu, bo groziło to spotkaniem ze szkieperami. Ciekawa przygoda miała miejsce już w samym Hornsundzie. Płynęliśmy spokojnie w kierunku stacji, gdy niespodziewanie wynurzył się z mgły jakiś żaglowiec. Równie duże zdziwienie było wśród załogi żaglowca. Widok wynurzającego się z mgły pontonu, z kilkoma osobami na pokładzie, ubranymi w hallyhanseny, nie był tym, czego się mogli spodziewać o 5 rano. Okazało się, że był to niemiecki dwumasztowiec „Lovis”, który pływał po okolicy. Zgodnie z polarnym zwyczajem załoga zeszła na ląd, żeby zwiedzić stację, a w rewanżu zaprosili nas na rewizytę. Była więc okazja zwiedzić ten sympatyczny statek.

Natłok zajęć w bazie sprawił, że następna okazja, aby udać się w okolice stacji uniwersyteckiej, trafiła się dopiero miesiąc później, w sierpniu. Trzeba było przewieźć część ekwipunku z bazy do Hytteviki. Były to jakieś bagaże wrocławskie, które przypłynęły drugim rejsem „Horyzontem” i chyba rzeczy czeskiej ekipy, która operowała w okolicach lodowca Werenskiolda. Najszybszą i pozwalającą zabrać jak najwięcej bagażu opcją transportu jest droga morska. I tym razem nie obyło się bez niespodzianek. Po wypłynięciu z Hornsundu na wody Morza Grenlandzkiego, morze, dotąd spokojne, zamieniło się w rozszalały żywioł z białymi grzywaczami. Nasza załadowana po brzegi łódka, napędzana małym silniczkem, ledwo mogła płynąć w takich warunkach. Po pewnym czasie silnik zaczął odmawiać posłuszeństwa. Jakakolwiek naprawa na rozkołysanej łódce nie miała szans powodzenia, więc decyzja mogła być tylko jedna. Przybiliśmy do brzegu. Szczęście w nieszczęściu polegało na tym, że znajdowaliśmy się w pobliżu chyba jedynego miejsca wolnego od szkieł, gdzie można było przybić do brzegu. Na lądzie, już na spokojnie wszystko przemyślawszy, doszliśmy do wniosku, że nasz mały silniczek był za słaby, jak na tak obciążoną łódkę i na taką falę. Walka z żywiołem osłabiała go, przegrzewał się i tracił moc. Postanowiliśmy spróbować płynąć dalej. Żółtym tempem jakoś udało nam się dopłynąć do celu. Po wyładowaniu bagaży w Hyttevice, zostawiliśmy naszą jednostkę pływającą na brzegu i poszliśmy do Werenhusa, aby odsapnąć i nabrać nowych sił do walki z ładunkiem. Wtedy miałem tak na prawdę pierwszy kontakt z polarną stacją Uniwersytetu Wrocławskiego. Po zasłużonym odpoczynku stwierdziliśmy, że należy wykorzystać przypływ i spróbować przewieźć bagaże z Hytteviki łódką do Nottinghambukty, do miejsca zwanego Pepa portem. Nottinghambukta jest o tyle specyficzna, że da się do niej wpłynąć tylko w czasie przypływu, a i tak woda jest wtedy po kolana. Po dwóch czy trzech rejsach cały bagaż już był przetransportowany. Resztę drogi do Werenhusa wszystko musieliśmy przenosić na własnych plecach, a nie była to łatwa droga, bo w większości prowadziła przez podmokłą tundrę. W każdym bądź razie nie było to ani łatwe ani przyjemne. Ale takie są reguły panujące na północy. Kto się z nimi nie zgadza, nie powinien tam przyjeżdżać. Tak się właśnie ujawnił jedyny mankament naszej Stacji Polarnej. Jej położenie powoduje, że transport bagaży w porze letniej to mozolna i wyczerpująca praca, która nikogo nie omija.

Wypraw do „naszej” stacji, czy to drogą morską, lądową, pieszo czy zimą na skuterach (jest to chyba najszybszy sposób dotarcia z bazy do Werenhusa i pozwala przewieźć sporą ilość bagażu za pomocą sań doczepionych do skutera) było kilka. W ich wyniku udało nam się przetransportować nowe materace, zapas węgla na przyszłe lato i butle z gazem do kuchenki. Oprócz wizyt typowo gospodarczych i towarzyskich, moim celem wypadów do Werenhusa była obsługa aparatury pomiarowej, zainstalowanej tam w porze letniej.

Werenhus odwiedziłem jeszcze raz, podczas drugiej mojej wizyty na Spitsbergenie, we wrześniu 2008 r. Byłem krótko, bo raptem dwa tygodnie. Celem mojego pobytu tam wraz z kolegą z pracy – Tymkiem Sawińskim był demontaż aparatury

pomiarowej, pracującej w porze letniej oraz kontrola czujników, które miały zostać na porę zimową. Był to swoisty powrót do przeszłości, do miejsc, które tak dobrze znałem. A zarazem odkryłem miejsca zupełnie dla mnie nowe. Większość czasu spędziliśmy w Werenusie wraz z kolegami z geologii, którzy przebywali tam w tym samym czasie. Znow mogłem zaznać traperskiego, polarnego życia. To był jak do tej pory ostatni mój pobyt w tym, pełnym magii polarnej, świecie. Mam nadzieję, że kiedyś tam wrócę.

Roczny pobyt na Spitsbergenie sprawił, że dane mi było poznać miejsca niezwykle, trwale zapisane w historii wrocławskich wypraw polarnych. Miejsca te świadczą o tym, że pamięć o ludziach, którzy byli pionierami w zdobywaniu wiedzy o tym niezwykłym świecie, nigdy nie zginie.

Piotr Modzel

Pierwszy raz w „Baranówce”

Moje odwiedziny „Baranówki” kojarzą się w większości ze słowem „pierwszy”. Wiadomo wszem i wobec że zawsze jest ten pierwszy raz i w moim przypadku też to nastąpiło. Ale potem już następuje seria odwiedzin i to zawsze z nutką emocji i miłych wspomnień.

Wszystko rozpoczęło się niewinnie – od marzeń i rozmowy z kolegą o pracy na Stacji Polarnej. Zaczytany w okresie dorastania o przygodach ludzi dalekiej północy marzyłem o pobycie poza kręgiem polarnym. A tu naraz zdarza się okazja wyjazdu na roczny pobyt w Polskiej Stacji Polarnej jako zimownik – magnetyk. Teraz dopiero następuje fala szybko przebiegających zdarzeń zmieniających dotychczasowe spokojne życie pracownika oświaty. Wśród załogi XXVII Wyprawy Polarnej PAN byłem jedną z trzech osób, które zimowały po raz pierwszy. Cały czas miałem do czynienia z nowymi doświadczeniami. Inny teren – znany tylko z literatury. Inne warunki pogodowe – wszystko inne niż dotychczas. Czas mija szybko a nowych dodatkowych doświadczeń przybywa. Jednego, czego nauczyłem się bardzo szybko to, że Matka Natura decyduje o tym, kiedy i co będę robił. Nie ma określonego terminu rozpoczęcia i zakończenia pracy. Praca jest zadaniowa a termin wykonania nieznany – uzależniony od warunków pogodowych.. Tutaj siłę Natury poznaje się bardzo szybko.

Podczas jednego z wielu wieczornych a po prawdzie nocnych posiedzeń (dzieje się w czasie trwania nocy polarnej na przełomie grudnia – stycznia) pada pomysł wjazdu na skuterach na wycieczkę rekonesansową. Trasa miała przebiegać wzdłuż wybrzeża z magicznymi dla mnie nazwami jako punktami orientacyjnymi: do Hytteviki, Werenhusa, potem przez lodowiec Werenskiolda, przełęcz Kosi-by, lodowiec Hansa do Bazy. Aby chociaż trochę przybliżyć sobie trasę wycieczki przestudiowałem mapy znajdujące się w Stacji. Wypytałem starszych stażem kolegów o historię odwiedzanych obiektów naszej eskapady.

Celem było sprawdzenie czy husy są w należytym porządku. Czy misie nie dostały się do wnętrza i nie narozrabiały. Podobno wcześniej były przypadki dewastowania domków przez niedźwiedzie polarne. Warunki pogodowe ustabilizowały się, pokrywa śnieżna jaka była od pewnego czasu dawała gwarancję na przejazd wzdłuż wybrzeża do Hytteviki. Przygotowano sprzęt do wyprawy, sprawdzono skutery pod względem technicznym, zatankowano, zabrano podstawowy ekwipunek potrzebny na taki wyjazd.. Ustalono termin wyjazdu i w drogę.

Znowu na usta ciśnie się słowo „pierwszy”. Pierwszy raz wyjazd na dłuższą trasę – wprawdzie to kilkanaście kilometrów ale dla nowicjusza zawsze to robi

wrażenie i podnosi poziom adrenaliny. Pierwszy raz. Niewiele widoków do podziwiania, atmosfera dosyć tajemnicza robi wrażenie. Podróż przebiega w świetle księżyca (po prawdzie to 15 stycznia) i stanowi jedyne źródło światła dla obserwatora. Jedziemy jeden za drugim po śladach prowadzącego kolegi. Pierwszy jedzie Grzesiek i On wyznacza ślad. Za nim jedzie Andrzej, trzeci Arek a ja ostatni.

Grzesiek zatrzymuje się co pewien czas trzymając się zasady aby nikt nie został w tyle i aby były widoczne światła jego pojazdu. Jadąc między pagórkami łatwo zgubić drogę bo ślady skutera nie zawsze są dobrze widoczne. W niektórych miejscach śnieg jest mocno przewiany i odsłonięta jest zmarznięta tundra. Poza tym kiepska widoczność dokłada swoje. Mam kłopoty ze skuterem, słabo ciągnie i nie mogę uzyskać prędkości. Można powiedzieć, że nie ma mocy.

Muszę się zatrzymać, bo jazda traci sens. Zaglądam pod maskę, sprawdzam świece i okazuje się że jedna z dwóch świec jest zalana. Zmieniam na nową, w międzyczasie pojawia się Arek, potem Andrzej. Odpalam skuter i okazuje się że diagnoza była słuszna. Żwawo ruszam z kopyta do przodu. Szybko doganiamy Grzesia. Teraz jadę już jako trzeci aby w razie powtórnej awarii nie zostać samemu. Taka solidarność polarna.

Docieramy do Hytteviki. Robimy odpoczynek. Kilka zdjęć przed husem, kilka w husie. Wpis do książki odwiedzin która znajduje się w chacie. Z zaciekawieniem oglądam wyposażenie chaty wyobrażając sobie życie w takich warunkach. Zresztą później spędziłem kilka dni na „husowaniu” w Hyttevice podczas wykonywania zadania zleconego przez Norsk Polar Insitut. Zadanie wykonane a pobyt tam niezapomniany.

Zbieramy się w dalszą drogę. Teraz przystankiem będzie tajemniczy i znany z opowieści Werenhus. Andrzej z Arkiem jadą wcześniej a ja z Grzesiem zabezpieczamy hus przed wizytą niedźwiedzi polarnych, które zwabione zapachem człowieka będą usilnie starały się sforsować drzwi wejściowe. Drzwi obkładamy dużymi i ciężkimi palami drewna dryftowego stawianego na sztorc tak aby stanowiły zasłonę dla mizernego wejścia do chaty. Mizernego dla niedźwiedzi. Człowiek miałby kłopoty ze sforsowaniem „subtelnych” myśliwskich sposobów zamykania drzwi jakie stosowane są przez traperów. Ruszamy w dalszą drogę. Kilka kilometrów przebywamy dość szybko. Trasa już łatwiejsza i ślady pewne.

Dość szybko docieramy do celu. Przede mną stoi zielony budynek z czerwonym dachem obsypany dookoła śniegiem. Przed wejściem tablica z napisem w języku polskim i angielskim: „Uniwersytet Wrocławski Instytut Geografii i Rozwoju Regionalnego Stacja Polarna im. S. Baranowskiego” Po angielsku brzmi też znajomo. Poniżej oficjalnego napisu przybita jest drewniana tabliczka z osmaganym polarnym wiatrem napisem o swojsko brzmiącej nazwie „Baranówka”. Jesteśmy w domu.

Andrzej z Arkiem są już w środku. Po raz pierwszy przebywam w legendarnej bazie polarnej wrocławskich naukowców. Rozglądam się po chacie, która stanowi miejsce zamieszkania i pracy polarników z Uniwersytetu Wrocławskiego. Wy-

obrażam sobie jakim życiem tętni to miejsce podczas pobytu polarników – ludzi zafascynowanych magicznym klimatem.

Wspomnieć muszę fakt, że podczas mojego pierwszego zimowania (a zaraz potem było drugie) spotkałem dużo koleżanek i kolegów z Uniwersytetu Wrocławskiego. Na przełomie lipca było nas 14 osób, wliczając w to dwóch zimowników. Była to najliczniejsza grupa wrocławska biorąc pod uwagę wszystkie osoby przebywające w tym okresie w okolicach Stacji.

Przy zapalonych świecach wyjmujemy termosy z ciepłą jeszcze herbatą, siadamy, odpoczywamy i rozgrzewamy zziębnięte dłonie. Spoglądam w stronę termometru wiszącego na ścianie. Z niedowierzaniem patrzę na słupek alkoholu zabarwionego na niebiesko. W przyływie impulsu robię zdjęcie. Wyszło -13°C w środku. Czyli nie jest tak źle jak na początek. To ile może być na zewnątrz? – nasuwa się pytanie. Na razie pozostaje bez odpowiedzi. Znajdujemy książkę wizyt. Zapoznajemy się z historią stacji. Czytamy wpisy kolegów, którzy byli tu przed nami w roku ubiegłym a także dużo wcześniej. Sami też dokonujemy stosownych zapisów. Andrzej opowiada historie ze swoich doświadczeń podczas pobytu w Polskiej Stacji Polarnej w Hornsundzie jak i na Antarktydzie. Arek i Grzegorz dokładają kilka swoich wspomnień z ostatniego okresu. Klimat „Baranówki” sprzyja takim opowieściom. Po oględzinach poddasza oraz innych pomieszczeń powoli zbieramy się do dalszej drogi. Czas biegnie nieubłaganie do przodu. Szkoda tak szybko opuszczać miłe dla duszy miejsce ale ustalone wcześniej terminy powrotu zmuszają nas do realizacji ciągu dalszego zaplanowanej trasy.

I tutaj kończy się historia związana ze słowem „pierwszy raz w Baranówce”, bo potem nastąpiły dalsze wizyty i wyjazdy związane z badaniami oraz kontrolą stanu technicznego sprzętu polarników.

Mój kolega K.M. (związany mocno ze środowiskiem polarników) powiedział kiedyś patrząc na mnie, że jeszcze nie raz spotkamy się na Spitsbergenie. I tutaj miał całkowitą rację. Teraz swoim doświadczeniem technicznym wspieram pracę polarników i sam biorę aktywny udział w tych pracach.

Fot. 42. „Baranówka” – rok 1979 (fot. S. Misztal)



Fot. 43. Jesienna powódź w 1986 r. (fot. W. Krawczyk)



Fot. 44. Remont stacji i budowa nowego mostu na rzece Brattegg (fot. J. Řehák jr)

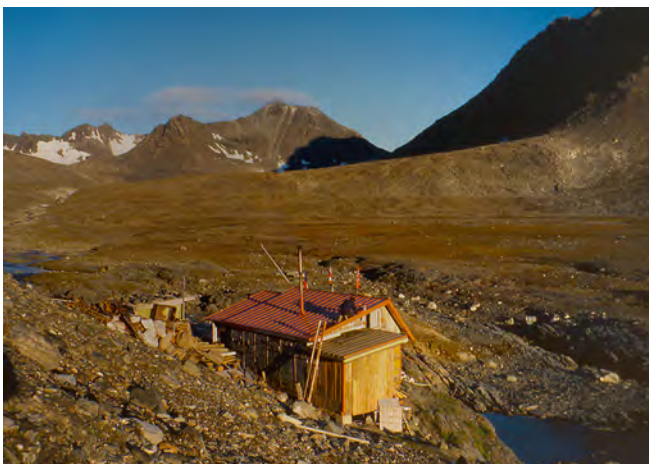




Fot. 45. W oczekiwaniu na malowanie (fot. J. Řehák jr)



Fot. 46. W zimowej szacie (fot. J. Řehák jr)



Fot. 46. Z widokiem na dolinę Brattegg (fot. J. Řehák jr)



Fot. 48. „Baranówka” – zima 2000 (fot. I. Sobota)



Fot. 49. Ekologiczne źródło energii przy „Baranówce” (fot. J. Řehák jr)



*Fot. 50. Lato 2003
(fot. z arch. IGF PAN)*



*Fot. 51. Luty 2005
(fot. P. Modzel)*



*Fot. 52. Wrzesień 2008
(fot. T. Sawiński)*

Anna Geryn

Widziane z daleka...

„Dziabła mnie” – Wojtek Moskal dramatycznie podsumował szybki i zdecydowany atak na swoje czoło. Dziabła bo miała prawo. Wprawdzie Wojtek jest w Ny Alesund nieźle ukorzeniony, ale ptaki założyły tam swoje kolonie dużo wcześniej. Krwawy ślad na czole jest dowodem, że poważnie należy traktować ostrzeżenie wypisane i wyrysowane przy nabrzeżu.

Barentsburg. Czyli Wałbrzych Fabryczna za kołem polarnym. Krowy na ulicach i napis „miru mir” na stoku. Szok tym większy, że chwilę wcześniej byliśmy w sterylnym Logyearbyen, który był naszą bramą wjazdową na Spitsbergen.

Kaffiøyra. Marek Grześ dzięki naszej „japońskiej” wycieczce może na chwilę, po ciężkiej chorobie, wpaść do siebie. Bo, że tu jest jego dom nie ma wątpliwości, gdy się spojrzy jak w czasie kilku godzin w toruńskiej bazie przedstawia sprzęty i ludzi. Sauna na wyposażeniu.

Calypsobyen. Dzięki temu, że robimy przemarsz trzydziestoosobową tyralierą jednej z uczestniczek wyprawy udaje się znaleźć kordzik, który podobno jeszcze z czasów wypraw Barentsa pochodzi. Teraz do zobaczenia w muzeum w Longyer.

Petuniabukta. Tu byliśmy bardzo oczekiwani, bo jednak Horyzont II, którym podróżujemy oznacza kąpiel i różne inne cywilizacyjne wynalazki dla lekko zmęczonych prostotą życia polarników. Pierwsza przygoda ze skalą zjawiska o nazwie Spitsbergen i bolesna wiedza, że lodowiec, który wygląda jakby był na wyciągnięcie ręki po dwóch godzinach wędrówki dalej jest na wyciągnięcie ręki.

Hornsund. Ruch jak na wrocławskim rynku w piątkowy wieczór. Na miejsce dopłynęliśmy amfibią, która wyglądała jakby też Barents ją porzucił, ale w bazie luksusy. Ciepła woda osobno, zimna osobno. 100 kanałów w TV. Na zewnątrz Francuzi – kajakarze przymierzają się do nocowania w namiotach. To ciekawe nikt im nie wspomniał o niedźwiedzim szlaku... Do towarzystwa mają grenlandy z małymi.

Hm. Czyżbym nie wspomniała o Baranówce???? To było to miejsce, gdzie nasza Wyprawa Towarzystwa Geomorfologicznego AD 2003 **NIE DOTARŁA**. Złe warunki atmosferyczne, przybój a czasu mało – tak krótko można zamknąć nasze starania. Słowem byłam niemal wszędzie gdzie się da z wyjątkiem tego kawałka Spitsbergenu, na którym najbardziej mi zależało, o którym słyszałam przez 5 lat studiów (geografia, UWr) i przez lata nagrywania audycji radiowych i programów telewizyjnych. Taki los. Jest po co wracać!

Tymoteusz Sawiński

Baranówka – reminiscencje

O stacji im. Baranowskiego, czyli Baranówce, albo Werenhusie, każdy ze studiujących we Wrocławiu geografów dowiadywał się już na pierwszym roku studiów. *„Jak wyjdziemy na ganek, to po wschodniej stronie ciągnie się piękna dolina z jeziorem, po zachodniej stronie widać morze, za plecami mamy morenę lodowca Werenskiolda, a przed sobą grań, przypominającą trochę Orlą Perc...”* – te opowieści, wraz z bohaterскими ujęciami bywalców, rozpały zawsze wyobraźnię i wywoływały u wszystkich, zarażonych wirusem geografii fizycznej, nabożne „Oooo...”, szeptane w zaciemnionej sali, podczas ilustrowanych slajdami wykładów. Czy opowieści były prawdziwe, a westchnienia uzasadnione, miałem okazję sprawdzić podczas kilkudniowego pobytu na Spitsbergenie, we wrześniu 2008 roku (należy tu zaznaczyć, że sprawdzanie dotyczyło wyłącznie wybranych aspektów – ze względu na krótki czas wizyty, ujęcie monograficzne nie było możliwe). Cóż można powiedzieć... Mimo że nie mam stamtąd żadnych „dramatycznych” wspomnień (te, które mam dotyczą głównie jedzenia, picia, spania, wyjść w teren, drobnych prac gospodarskich oraz, jakżeby inaczej, lekko nerwowego chodzenia „na kwarcyty”...), urok Baranówki potwierdzony został w pełni. I mogę teraz mówić: *„Byłem, widziałem... Po wschodniej stronie dolina, od zachodu zatoka, z tyłu morena, a z przodu...”*

Anetta Drzeniecka-Osiadacz

Spitsbergen 2005

Na Spitsbergen dotarłam w 2005 r., po długiej podróży Horyzontem. Gdy dotarliśmy na miejsce, przywitała nas nietypowa jak na spitsbergeńskie lato pogoda, błękitne niebo, słońce i temperatura sięgająca prawie 10 °C – upał! Był to jedyny mój tam pobyt. Większość czasu spędziłam w Bazie PAN, gdyż tam prowadziliśmy badania. Pewnie niektórzy do tej pory pamiętają sodar i pomarańczowy balon-sterowiec wznoszący się nad Hornsundem. Mimo, że rodzimą naszą stacją jest „Baranówka”, byłam tam zaledwie raz. Zawsze trochę odstraszały mnie spartańskie warunki panujące w terenie. Ci, którzy ze mną przebywali trochę dłużej, wiedzą o czym piszę... Ale wreszcie stwierdziłam, że „wypada” pójść w odwiedziny do kolegów z Wrocławia. Wybraliśmy się w trójkę z Witkiem Kaszkinem i Sebastianem Sikorą. Żeby nie było „nudno”, poszliśmy przez przełęcz Ganpasset, która dla mnie na zawsze pozostanie „Krajiną Mordor”. To bardziej adekwatna nazwa ze względu na panujące tam warunki – wszędzie kamienie, mgła i mżawka. Kontrastem była Hyttevika, zielona tundra „rzuciła” się na nas i wreszcie po kilkudziesięciu minutach trafiliśmy do Stacji pod Werenskioldem. Uff, w miarę szybko, bez większych problemów, dotarliśmy na miejsce i można było odpocząć w miłym towarzystwie. Hmm.. kieliszek cytrynowki na rozgrzanie i o dziwo prysznic w bazie na przywitanie. Krótki odpoczynek (trudno mi w tej chwili przypomnieć sobie, jaka to była pora dnia), a następnie wybraliśmy się z kolegami z geologii na wycieczkę po Lodowcu. I jak zwykle okazało się, że Wrocławianie to prawdziwi gentelmani, bo ktoś inny przenosiłby swoją koleżankę przez strumyki, wypływające spod lodowca.

Byłam tam zaledwie raz. Czy zostawiłam „serce”? Trudno powiedzieć. Natomiast na pewno pozostaje tęsknota za tą inną rzeczywistością, czekającą za kołem podbiegunowym...

Elżbieta Majchrowska

Wspomnienia z lata 2007

Gdy rozpoczynano budowę niewielkiego domku przy zboczu moreny czołowej Lodowca Werenskiolda, gdy nadawano mu imię polskiego glaciologa, klimatologa i badacza polarnego Stanisława Baranowskiego, gdy rozbudowywano, ocieplano i remontowano zaplecza mieszkalne i laboratoryjne, gdy małe schronienie stało się przytulnym i ciepłym domem dla ciężko pracujących i eksplorujących grup glaciologicznych, wtedy, gdy te wszystkie wydarzenia miały miejsce, nie było mnie jeszcze na świecie.

Dopiero w 2007 r. w ramach realizacji mojej pracy magisterskiej będącej częścią międzynarodowego projektu IPY GLACIODYN (IPY269/2006) miałam możliwość dołączyć do grona polarników badających Lodowiec Werenskiolda. Swoją arktyczną przygodę zaczęłam właśnie tu, w Baranówce!

Dostanie się do Stacji Polarnej im. St. Baranowskiego nie jest łatwą sprawą. Zielony Domek zlokalizowany jest w pobliżu lodowca kończącego się na lądzie. Ów lodowiec w okresie lata ulega ablacji. Tworzą się rozliczne cieki odwadniające lodową masę, a płynąca w nich woda niesie spory ładunek rozmytego materiału morenowego, który deponowany jest u ujścia rzeki. Ten wielosezonowy proces doprowadził do utworzenia rozległej delty, która uniemożliwia wpłynięcie do pobliskiej zatoki Nottinghambukta. Trzeba zatem liczyć na własne siły, żeby dostać się do Baranówki.

Dobrze pamiętam, jak bardzo dłużyła mi się pokonywana po raz pierwszy droga z Polskiej Stacji Polarnej do Werenhusa. Prawie 20 km, ale z jakimi przeszkodami! Co krok rybitwy i wydrziki atakujące w obronie swoich gniazd, rwące potoki niwalne wymagające od piechura główkowania, które by tu przejść, czy wreszcie tundra – raz podmokła i wciągająca kalosze, a raz pełna kamieni, o które łatwo się potknąć. Trudy wędrówki wynagradzają widoki! Trasa wiedzie wzdłuż wybrzeża, więc z jednej strony podziwiać można kamieniste terasy zalewane przez fale, a z drugiej majestat „Ostrych Gór” i zachodzące na nich procesy stokowe, a pod nogami całe połacie różowej skalnicy naprzemianlistej. W około porożrzucane poroża i ich właściciele – renifery. „Starzy Wyjadacze” ubarwiają te widoki opowieściami: „Tędy, aż do czoła lodowca Werenskiolda, jeździł słynny Gazik”. Tundra tak łatwo nie wybacza. Ślady po kołach samochodowych widać do dziś. „A to pozostałości łapek na lisy (...) jeszcze 100 lat temu polowano tu na foki, lisy, niedźwiedzie...”. Idę i chłonę. Aż w końcu docieram do miejsca, skąd widać Werenhusa! Czerwony dach i zielona, drewniana elewacja. Ten widok zapada w pamięci. Stąd już tylko parę minut marszu, przejście przez kładkę i chwila zadumy nad

kopczykiem usypanym z kwarcytów ku pamięci St. Baranowskiego, gdzie leżą jego raki i czekam z odbitym piętnem czasu w postaci rdzy.

Dni pobytu w Baranówce płynęły szybko. Każdy dzień uczył mnie czegoś nowego, poznawałam okolice i realizowałam swój program naukowy. W pierwszych dniach zrodził się we mnie pomysł założenia ogólnodostępnego dziennika pokładowego, gdzie mieszkańcy mogliby zapisywać najważniejsze wydarzenia dnia. Pomysł spotkał się z dużą aprobatą i tak wspólnymi siłami uwieczniliśmy LATO 2007. Na początku Wrocławską Wyprawę tworzyli: Jurek Pereyma, Staszek Staśko, Heniek Marszałek, Mirek Wąsik, Agnieszka Latocha, Piotrek Owczarek i ja. Dzięki Jurkowi „zapoznałam się” z Lodowcem Werenskiolda. Ubarwił On moje wyjście rekonesansowe opowieściami z lat 70–80. „Ten ogromny głaz jeszcze w latach 70-tych był wtopiony w lodowiec. Na nim podczas wędrówki do miejsc pomiarowych, robiliśmy pierwszy odpoczynek na herbatkę...” A dziś ten głaz spoczywa już na przedpolu lodowca. „To są pola naledzi...” Długie kryształły lodu narośnięte na przemarzniętym gruncie, utworzone dzięki stałemu zimowemu wpływowi wód z Lodowca Werenskiolda. Tysiące sterczących równiutko obok siebie „igieł lodowych” robi na mnie ogromne wrażenie. Wraz ze Staszkiem zamontowałam łatę hydrometryczną w przełomie Rzeki Lodowcowej, która była moim punktem pomiarowym. To tutaj, w naturalnym zamknięciu całej zlewni Lodowca Werenskiolda pobierałam trzy razy na dobę próbki wody, a następnie filtrowałam i oznaczałam wielkość transportowanego materiału zawiesinowego. Z Baranówki do omawianego miejsca wiedzie wydeptana ścieżka. Przyczyniłam się do jej uwiecznienia, pokonując w jednym sezonie niemalże 600 razy ten odcinek drogi. Z hydrogeologami – Heńkiem i Mirkiem zmierzyłam się z niełatwym zadaniem oszacowania przepływów w Rzece Lodowcowej. Turbulentny ruch sporych ilości wody stanowił nie lada wyzwanie, ale Mirek dzielnie stał w tej zimnej wodzie i cierpliwie odczytywał kolejne wartości, które wskazywał młynek hydrometryczny, a my skrupulatnie odnotowywaliśmy te wyniki.

Z Piotrkim zdobyłam po raz pierwszy pobliskie szczyty, m.in. Angelfjellet. Widok z lotu ptaka na lodowiec i jego przedpole pozwolił mi ogarnąć całą zlewnię i zrozumieć jej funkcjonowanie. Dodatkowo przemierzyłam trasę wzdłuż czoła i poznałam wypływy subglacjalne – miejsca gdzie lodowiec „wypluwa” wraz z wodą żwir, piasek i większe kamienie. Pokonałam także liczne odcinki anastomozujących cieków niosących brunatne wody. Wszystko po to, by lepiej zrozumieć miejsce, które badam.

Sezon ablacji osiągnął swój szczyt na początku sierpnia. W tym okresie przez niecałe dwa tygodnie pozostawałam sama w Werenhusie, obserwując zmiany zachodzące na przedpolu lodowca. Doświadczając zjawiska fenu w warunkach arktycznych, kąpiele w jezioru wytopiskowym na morenie oraz kosztując smaku grozy polarnej. Wkrótce dołączyli do mnie kolejni Wrocławscy Polarnicy: Janek Klementowski, Sebastian Sikora i student Maciek Pinkowski oraz fizycy z AGH: Przemek Wachniew, Edyta Lokas i student Piotrek Mazur. Praca ruszyła pełną

parą. Klemens przemierzał okolice z laską nebeską, badając miąższość rozmarzniętej tundry, Sikor sprawdzał i zaczytywał swoje rejestratory meteorologiczne rozmieszczone w terenie, fizycy pobierali osady do dalszych analiz i pomagali mi zmierzyć się z pomiarami przepływów, tym razem metodą solną. Naszego husa w tym czasie wypełniał aromat „klemensowskiej kawy” i rozświeślał blask lampy naftowej... Pewnego dnia, tą idyllę zaburzył niedźwiedź. Wygłodniały, brudny i chudy czworonożny Król Arktyki upolował renifera na trasie Werenhush-Hyttevika. Rozgościł się tam na kilka dni, oddając się konsumpcji swego zdobycznego. Przy okazji skutecznie odciął drogę łączącą oba husy i dał nam odczuć – kto tu rządzi!

Dzień polarny chylił się ku końcowi... Pod koniec sierpnia spadł śnieg! Z dziecięcą radością urządziliśmy wojnę na śnieżki! To była moja pierwsza zima w sierpniu! Zaraz potem podziwiałam pierwszy od dwóch miesięcy zachód Słońca. Wrażenia nie do opisanania!

Ablacja coraz wyraźniej zmniejszała swoje tempo, a wraz z nią kończył się mój pobyt na Spitsbergenie. Po trzymiesięcznej przygodzie, cytowałam już z pełnym zrozumieniem słowa patrona małej, zielonej chatki: „Będę powracać pamięcią, aż powrócę naprawdę! ”. Złapałam bakcyła polarnego! A myśl o Werenhushie do dziś budzi we mnie pozytywne emocje i rysuje uśmiech na twarzy. Magnetyczną moc ma ten Domek...

Bartosz Korabiewski

Pierwsze kroki do „Baranówki”

Spitsbergen, Hornsund, Baranówka, niedźwiedzie polarne – te słowa wypowiedziane przez prowadzących na zajęciach zawsze robiły na studentach duże wrażenie, zwłaszcza w czasach, gdy nawet wyjazd za najbliższą granicę był wielką wyprawą. Spitsbergen tym bardziej jawił się jako coś nierealnego i nieosiągalnego dla zwykłego śmiertelnika – terenem zarezerwowanym dla wybrańców.

Jako młody pracownik, tuż po studiach w 1995 byłem o włos od realizacji „wyjazdu marzeń”. Niestety los nie był dla mnie łaskawy i mimo opinii promotora mojej pracy magisterskiej prof. Alfreda Jahna wyjazd na zimowanie nie doszedł do skutku. Ale oto prawie 10 lat później, nadarzyła się kolejna okazja. Uniwersytet Wrocławski, po ponad 10 letniej przerwie w 2002, rozpoczął nową serię badań polarnych. Wkrótce dostałem propozycję wzięcia udziału w XVIII Wyprawie Polarnej Uniwersytetu Wrocławskiego w 2004 r. Nie namyślałem się długo z podjęciem decyzji. To na pewno będzie wyprawa mojego życia. I oto lipiec 2004 roku, a ja wraz kolegami i koleżankami stoję na lotnisku we Wrocławiu czekając na samolot. Trasa Wrocław-Warszawa-Oslo-Longyearbyen była wyczerpująca, ale mimo zmęczenia, najbardziej ekscytujący był ostatni etap podróży. Spitsbergen przywitał nas prześliczną, słoneczną pogodą. Stojąc o północy na płycie lotniska w Longyearbyen, oślepieni słońcem, z wypiekami na twarzy chłoniliśmy surowe arktyczne powietrze. Kilka godzin później przy pięknej, słonecznej pogodzie płynęliśmy już statkiem „Horyzont II” w kierunku Hornsundu. Przez kilka godzin podziwialiśmy surowy krajobraz nie chcąc zejść pod pokład. Jednak to co z okien samolotu wyglądało jak białe okruszki na tle granatowej tafli wody, okazało się pakiem lodowym, który w miarę zbliżania się do Hornsundu gęstniał i odgradzał nas od miejsca lądowania. Na wysokości lodowca Torella kra lodowa tworzyła już bardzo zwartą pokrywę. Statek manewrując przeciskał się między ogromnymi taflami lodu, od czasu do czasu wjeżdżając na nie. Czasem lód ustępował, ale coraz częściej to statek się zatrzymywał i zjeżdżał z kry. Po kilku godzinach forsowania lodowego zatoru, kapitan poinformował nas, że musimy się liczyć z tym, że nie wpłyniemy do zatoki, co oznaczałoby dla nas rozwiązanie wyprawy i powrót do domu. To nie mogło się tak zakończyć – nawet przez chwilę nie brałem takiej możliwości pod uwagę. Ale mieliśmy szczęście. Przebywający w pobliżu statek norweskiej straży przybrzeżnej, widząc nasze wysiłki, podpłynął do nas, a następnie utorował nam drogę do wolnego od lodu fiordu. W chwilę potem, na wodzie pojawiły się transportery gąsienicowe i łodzie z Polskiej Stacji Polarnej w Hornsundzie. Przeżyłem wzruszający moment powitania z zimownikami,

którzy po rocznym pobycie mieli wracać do domu. Wśród witających nas, był mój dobry kolega, a szef ustępującej ekipy – dr Krzysztof Migała. Po wyczerpującym rozładunku odpoczęliśmy w przytulnej mesie stacji. Tam też po raz pierwszy przyszło mi się oswajać z bronią, z którą od tej pory miałem się nie rozstawać. Jak się niedługo okazało, musieliśmy z nią chodzić nawet tam, gdzie do tej pory wystarczał tylko papier toaletowy.

Po dniu odpoczynku i przepakowaniu bagaży nareszcie ruszyliśmy pieszo w kierunku NASZEJ stacji, NASZEJ Baranówki – o której tyle już słyszałem. Po kilku godzinach wędrówki widok małej, zielonej chatki z brązowym dachem, ledwo widocznej ze skałek Kvartsittsletty, wywołał nieklamana radość. Byliśmy prawie u celu. Szybko rozgościliśmy się zajmując miejsce na poddaszu. Stacja była nieco zaniedbana, tak więc z miejsca zabraliśmy się do porządkowania. Przegląd żywności ujawnił zapasy sprzed kilku lat. Z plecaków wypakowaliśmy trochę świeżego jedzenia, które przynieśliśmy. Reszta w beczkach miała przyprętnąć nieco później. Byliśmy bardzo dobrze zaopatrzeni. Motywem przewodnim naszej wyprawy stały się jednak wędliny i wyroby mięsne – zakupione w dużej ilości serwowane na każdy prawie posiłek. Jakby tego było mało, wymagały specjalnej opieki – zapakowane w pośpiechu spleśniały po drodze. Aby ich nie stracić, podjęliśmy wysiłek ich systematycznego mycia i suszenia nad piecem. W konsekwencji, pod koniec wyprawy dysponowaliśmy kilogramami „kabanosów”. Dostatecznie szybko przekonałem się, że głównym problemem i bolączką z jaką trzeba się zmagać na Spitsbergenie jest logistyka. Baranówka położona jest ok. 18 km od Polskiej Stacji Polarnej w Hornsundzie, która stanowi zaplecze polskich wypraw regionalnych, w tym i naszej – wrocławskiej. Niestety, położenie Baranówki z dala od coraz płytszej zatoki Nottinghambukta uniemożliwia bezpośredni transport drogą wodną. To sprawia, że cały ekwipunek jak i dziesiątki kilogramów żywności trzeba przenosić na własnych plecach. Najczęściej beczki z prowiantem lądowały na plaży odległej o ok. 2–2,5 km Hytteviki. Czasem udawało się je podrzucić pontonem lub łodzią nieco bliżej do tzw. Pepaportu. Szybko okazało się, że z tego właśnie powodu, dużą część czasu trzeba niestety poświęcić sprawom logistycznym, a nie naukowym. To miejsce nie toleruje tych, którzy o tym zapominają. Jednak otoczenie naszej małej stacji rekompensuje wszelkie niedogodności – z okien rozciąga się widok na zatokę Nottinghambukta, skaliste klify Kvartsittsletty, szczyty Gulliksenfiellet, a po wyjściu z chaty i wdrapaniu się na morenę u podłoża której stoi, oczom mieszkańców ukazuje się przepiękny widok na jezioro lodowca Werenskiolda.

Baranówka vel Werenhus, bo takie nieoficjalne nazwy nosi Stacja Polarna im. Stanisława Baranowskiego, na ponad miesiąc stała się moim domem. Pozbawiona wygod, z daleka od cywilizacji, stwarzała przytulną atmosferę. Jedyne kontakty z cywilizacją zapewniała UKF-ka, przez którą mogliśmy się łączyć z bazą w Hornsundzie. „Werenhus, Werenhus...” to był nasz sygnał wywoławczy, gdy przez radio rozmawialiśmy z „Hornsundem” lub z kolegami będącymi w terenie. Traperskie warunki nie były mi obce, ale w tych okolicznościach smakowały

niesamowicie. Dla nas, którzy byliśmy tu po raz pierwszy wszystko robiło duże wrażenie: przejrzystość powietrza, która sprawiała, że zatracało się poczucie odległości, czy słońce świecące przez całą dobę. Szybko nauczyliśmy się korzystać z tego dobrodziejstwa. Okazało się, że właśnie w nocy, zwykle pochmurne niebo wypogadza się i można wychodzić w teren pracować.

Niestety, był pewien mankament, który wszystkim nowoprzybyłym na początku przeszkadzał – świadomość możliwości spotkania się oko w oko z największym drapieżnikiem Północy – niedźwiedziem polarnym. Mimo różnych luksusów w jakie wyposażona została nasza chatka, takich jak włączany okazjonalnie agregat prądowłórczy, piecyk gazowy, wodociąg czerpiący wodę z jeziora morenowego, Baranówka jednak nie posiadała WC. Wyjście do toalety zorganizowanej nad samą rzeką Brattęgą w odległości prawie 200 m, przynajmniej na początku było przeżyciem. W końcu nie co dzień chodzi się do ubikacji z papierem toaletowym w jednej i nabitą dubeltówką w drugiej ręce.

W tych warunkach najlepiej sprawdzają się znajomości i hartują przyjaźnie. Miesiąc razem, w małym pomieszczeniu, zdani na siebie, zależni od wspólnie podejmowanego wysiłku poznawaliśmy granice swojej wytrzymałości fizycznej i psychicznej, tolerancji i poszanowania. Zżyliśmy się ze sobą bardzo. Czuliśmy jedność grupy i byliśmy dumni, że jesteśmy „ludźmi z Werenhusa”. Atmosfera życzliwości i otwartości jaka u nas panowała, sprawiała, że mieliśmy częste wizyty – gości i „mieszkańców” PPS w Hornsundzie. Wizyta w Werenhusie była niemalże punktem obowiązkowym dla wszystkich, którzy na dłużej gościli w Hornsundzie.

Miewaliśmy również wizyty niezapowiedziane. Do końca życia nie zapomnę jednak dnia, kiedy siedząc w nocy przy stole w salonie i rozmawiając z kolegami zobaczyłem kątem oka białą plamę ruszającą się pod oknem. Pomyślałem, że to niedźwiedź i mówiąc do reszty, że chyba coś widziałem, wziąłem do ręki aparat fotograficzny. Wstałem i przykleiłem twarz do szyby. W tym momencie za oknem, na wysokości mojej twarzy pojawiła się biała głowa z dużym czarnym nosem. Odruchowo odsunąłem się, i z odległości metra zrobiłem zdjęcie. To był piękny niedźwiedź polarny, który oślepiony lampą błyskową szybko zaczął uciekać. Dopiero po zrobieniu powiększenia zauważyłem na jego pysku brązowe ślady gulaszu, który wystawiony na zewnątrz przez naszego kolegę zwabił misia. Siedząc przy stole słyszeliśmy jakieś odgłosy szurania garnkiem, nawet dźwięk pokrywki, ale przypisaliśmy to niezaspokojonemu apetytowi kolegi, który jak się okazało, smacznie spał na gorze.

Spitsbergen, to miejsce, gdzie można poznać najwspanialszych ludzi – trudne warunki sprawiają, że jest to szkoła charakterów i poligon do sprawdzenia nie tylko swojej kondycji fizycznej.

Na Spitsbergen wracałem jeszcze kilkakrotnie: w 2006, 2009 i 2011 roku. Baranówka między nami częściej nazywana Werenhusem zawsze była azylem, z którego niechętnie szło się do bazy i do którego chciało się szybko uciec od zgiełku panującego latem w Hornsundzie. Nigdy nie zapomnę tych tygodni spędzonych z kolegami a czasem samotnie w naszej wrocławskiej stacji.

Dariusz Ignatiuk

Najnowsze badania glaciologiczne na lodowcu Werenskiolda (2008–2011)

Dawno, dawno temu...

Siedzę spięty w dziekanacie Wydziału Nauk o Ziemi na Uniwersytecie Śląskim na kolejnym spotkaniu z ówczesnym Dziekanem profesorem Jackiem Janią. Umówiliśmy się na tą rozmowę prawie rok temu. Przedstawiam mu ponownie zarys projektu naukowego w Tatrach, który chciałybyśmy realizować na studiach doktorskich. Jaka będzie odpowiedź...? Widzę uśmiech, słyszę tak ale... Tak ale nie Tatry lecz Spitsbergen, lodowiec Werenskioldbreen! Nie śmiałem o tym marzyć, a jednak! Tylko co to za lodowiec ten Weren... Weren..., jak mu tam....?

Wiosna 2008

Pierwszy lot samolotem, pierwszy lot helikopterem. I pierwszy skuter, nomen omen legendarny Viking, na którym kolejne pokolenie usiowych naukowców bada lodowce Spitsbergenu. Viking, dzięki któremu na Chrzcie Polarnym nadane mi zostało imię 'Pogromcy Vikinga' ale to już inna opowieść.

Pierwszy wjazd na przełęcz nazywaną potocznie 'kosibą' i spojrzenie w obiekt przyszłych badań dzięki pomysłowości wiosennika, który do bagażnika skutera przymocował plecak z laptopem oraz szklaną butelką, która nie wytrzymała podskakiwania na zastrugach, trwał kilkanaście minut. Kilkanaście minut na pierwsze zdjęcia, na próbę skonfrontowania godzin wpatrywania się w mapę z rzeczywistym wyglądem lodowca. A potem już tylko w dół, do małego zielonego domku, który przycupnął na skraju moreny. Pomachaliśmy łopatomi aby odkopać drzwi, ogrzaliśmy się i ruszyli dalej. Krótkie to było moje pierwsze spotkanie z lodowcem, z Werenhusem... jak spojrzenie przez dziurkę od klucza od mieszkania gdzie zamierza się zamieszkać przez przynajmniej kilka lat.

Wiosna 2009

Kolejna wiosna zaplanowana już bojowo ze skokiem na głęboką wodę. Trafiam do Polskiej Stacji Polarnej w Hornsundzie późną wiosną, jako ostatni wiosennik, sam z ekipą zimującą. A plany są ambitne: tyczki, szurfy, rozkład pokrywy. Tylko jak to wszystko zorganizować jeśli tak naprawdę to lodowiec Werenskiolda znam nadal tylko z mapy, bo co to są te dwie przejażdżki w poprzednim sezonie... Jak to mówi stare przysłowie, prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Pomimo tego, że pierwsza próba wyjazdu skończyła się zakopaniem skuterów pod Tuvą to kolejny wyjazd z Mareckim i Prezesem dostarczył dużo „dobrej nikomu nie potrzebnej roboty” oraz wrażeń. Dzień rozpoczął się z samego rana,

zaraz po obiedzie, uzbrojeni w tyczki, łopaty oraz wiertnię parową ruszyliśmy na lodowiec. Ekipa długo się śmiała gdy powiedziałem, że przy każdej z ośmiu tyczek chcę wykopać szurf... Przestali, gdy przekonali się że jednak nie żartuję. Nie ma to jak fantazja doktoranta. Rozpoczęliśmy maraton, którego owocem było zatopienie jednym ciągiem 8 tyczek. Gdzie byśmy indziej szukali odpoczynku jeśli nie w Werenhuse, dającemu zawsze zasłużoną gościnę po dobrze wykonanej pracy?! I wtedy to właśnie straciłem dziewictwo z Werenhusem, pierwszy mój w nim nocleg przy kominku, smacznej strawie i wspaniałym towarzystwie. Kolejny roboczy dzień na lodowcu dostarczył wiele wrażeń spod znaku potu, machania łopatą oraz kilofem w kopanych kolejno ośmiu szurfach. I tym razem przy ostatnim szurfie dostaliśmy nieoczekiwaną pomoc ze strony zimowników, gdy Eleonorka i Przedszkolak przyjechali pomóc nam w fizycznej pracy. Cóż, nie zawsze co dobrze się zacznie dobrze się kończy... Zjazd z Hansa okupiłem zepsutą płożą w skuterze, dzięki czemu wiem już, jak czują się kaskaderzy szurający twarzą po asfalcie... w moim przypadku był to jednak lodowiec. Pamiętam jak zbierałem się ze śniegu, pierwsza myśl to „o Boże, usiowy skuter”, druga myśl po przetarciu twarzy śniegiem „chyba zdarłem sobie twarz! ”. Cóż, nie było oczywiście tak źle jak by się mogło wydawać. Twarz się zagoiła a w skuterze trzeba było tylko płożę wymienić. No, ale jak to w takim stanie pokazać się na Stacji... przecież jest ten mały zielony domek, który zawsze Cię przyjmie i w którym zawsze można znaleźć schronienie, przecież nic tak nie pomaga na spuchniętą twarz jak zimne arktyczne powietrze w „Zielonym Pokoju”. Rekonwalescencja trwała krótko a praca szła do przodu. A jaki wniosek wyciągnąłem po tym pierwszym samodzielnym sezonie? Jeździć w kasku J!

Lato 2009

Pierwszy letni sezon na lodowcu poprzedzony był papierkową robotą w Polsce, która zaowocowała otrzymaniem przez Agnieszkę Piechotę z Uniwersytetu Śląskiego grantu badawczego MNiSW na prowadzenie badań glaciologicznych, hydrologicznych, kartograficznych oraz meteorologicznych na Wereskioldbrene. Grantu, który pozwolił nam związać się z Werenhusem na najbliższe lata. Jednak tego lata prace terenowe na lodowcu ograniczyły się głównie do drobnego kartowania oraz pomiarów bilansu masy. Prace terenowe to tzw. „30 kilometrowe romantyczne spacerunki między szczelinami i potokami supraglacialnymi z Martą”, gdy mierzyliśmy tyczki oraz kartowaliśmy studnie na lodowcu. Nasz pobyt w Werenhuse nałożył się z pobytem ekipy hydrologów pod batutą Henia, której to gościnność jak dotychczas przez nikogo nie została jeszcze przebita. Słynna zupa miodowo-cytrynowa, przy której trwały dyskusje oraz śpiewy przy gitarze stały się wyznacznikiem odpoczynku po dobrze wykonanej pracy. Pod koniec sezonu byłem na lodowcu ponownie, wtedy jeszcze z magistrantem – Michałem, gdy miałem okazję pierwszy i jak na razie ostatni raz okazję obejrzeć pozostałości po „Kosibówce” (stacji glaciologicznej z 1957 r.). Muszę przyznać, że widok był

przygnębiający... resztki spalonej stacji, stare konserwy, złom porozrzucany na obszarze kilkudziesięciu metrów a wszystko to pomiędzy dwiema dużymi szczelinami. Czy ten śmietnik zostanie wchłonięty przez lodowiec czy będzie się dalej wytapiał... może kolejne ciepłe lato pozwoli na uporządkowanie tego bałaganu.

Wiosna 2010

Plany na samym lodowcu Werenskiolda bardzo ambitne, postawienie dwóch stacji meteorologicznych, wywiercenie dwóch otworów do podłoża lodowca oraz standardowe pomiary glaciologiczne. I co z tego że ekipa była silna (dzięki Piotrowi), co z tego że pogoda dopisywała... jeśli wybuch wulkanu Eyjafjallajökull na Islandii skutecznie zablokował transport lotniczy. Pomimo to plan badań i pomiary w tym sezonie udało się uratować a na samym lodowcu stanęła kolejny tyczka ablacyjna oraz dwie stacje meteorologiczne a Werendus kolejny raz przyjął nas w swych gościnnych ścianach.

Lato 2010

Więcej sprzętu na lodowcu, więcej kilometrów do zrobienia na nogach. I znowu pomagały mi dzielne kobiety Marta i Gosia, które coraz śmielej skaczą przez szczeliny. Sam Werendus stał się dla nas domem na kilkanaście dni, gdy poza pracą na lodowcu Marta wykonywała pomiary geofizyczne w rejonie Hytteviki. Nie ma to jak po 24h pracy w terenie wrócić do dobrze sobie znanego miejsca, tym bardziej gdy zastać tam można takie wspaniałe osoby jak Klemens, który zawsze poratuje człowieka strawą i herbatą po ciężkiej robocie. Pamiętam z tego lata jeden z pobytów na lodowcu, gdy w pobliżu moreny środkowej, znalazłem w materiale wyciskanym z powierzchni ścięcia kłos trawy lub zboża. Już widziałem swoje nazwisko w „Nature” (J) po przebadaniu wieku i gatunku znalezionej okazy, który mógł rosnąć na dnie doliny przed ostatnim awansem lodowca... cóż, brutalnie zostałem sprowadzony na ziemię, gdy kolega Darek uświadomił mi, że w latach 70-tych na lodowcu Werenskiolda używano mat słomianych jako warstwy izolacyjnej w eksperymentach określających tempo wymiany ciepła w procesie ablacji. A było już tak blisko, kolejnego sukcesu polskiej polarystyki...

Wiosna 2011

Co nie udało się w poprzednim roku musiało udać się w roku następnym. Zaciężne wojska wzbogacone o osobę Piotra Modzela z Uniwersytetu Wrocławskiego, postawiły sobie za cel honoru dowierzenie się do dna lodowca Werenskiolda.

Już tradycyjnie, cały pomiarowy „złom” przytargaliśmy z hali do siedziby Kaziu, który niezmiennie się ucieszył się widząc piękny dolnozaworowy silnik (więcej informacji tutaj: http://pl.wikipedia.org/wiki/Silnik_dolnozaworowy, bo chyba tylko Kaziu wie o co w tym chodzi). Po pierwszym rozruchu, Kaziu od razu usłyszał rozregulowany gaźnik, bez którego regulacji jakakolwiek działalność na lodowcu musiała się zakończyć fiaskiem. Co było robić, rozkręciliśmy z Kaziem gaźnik, wy-

czyściliśmy, zrobiłem nową uszczelkę, którą oczywiście Kaziu poprawił, choć nie było tak źle. Przecież wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nie mogło być tak prosto... zabrałem się ochoczo do montowania gaźnika gdy usłyszałem ciche 'pyk'... dyszka w gaźniku, która poprzednio była lekko skrzywiona teraz leżała tam w dwóch częściach. Hmmm, przypuszczam że jesteście sobie w stanie wyobrazić reakcję Kazia. Ze względu na to, iż niniejsza książka będzie czytana przez osoby poniżej 18 roku życia podaruję sobie cytaty. Co tu dużo pisać, powstała w ten sposób kolejna (która to już!) legendarna robota Kazia, który przy pomocy niedoskonałych narzędzi wytoczył doskonałą, precyzyjną tuleję. Po takim początku robota musiał pójść do przodu... Pierwsze wiercenie trwało 27 godzin non-stop, pewnie poszłoby szybciej gdyby nie zerwana na głębokości 100 m głowica, która spowolniła odwiert. Drugie wiercenie przebiegało sprawnie w bardzo dobrych warunkach pogodowych. Do czasu aż zepsuła się nagrzewnica. Po szybkiej akcji naprawczej Bartka i Piotra w Stacji, ręczne próby odpalenia na lodowcu skończyły się pokazami sygnałów dymnych widzialnych chyba z Paierlbreena. Nie zostało nam nic innego jak zwieźć cały sprzęt na do Stacji i spróbować go naprawić. Nasza praca nie mogła jednak zostać zmarnowana, przecież już przygotowano (natopiono) prawie pół basenu wody ... nie będzie najgłębszego otworu w lodowcu to przynajmniej będzie największa kostka lodu na Spitsbergenie, tylko kto załatwi do niej równie wielką butelkę whisky... Kolejny raz Kaziu i Piotr rozpracowali starą, niemiecką technologię i drugie podejście przy bezawaryjnej pracy sprzętu pozwoliło nam osiągnąć magiczną głębokość 230 m.

Werenhus w tym sezonie gościł nas tylko na jedną noc... W ramach ćwiczenia siły woli „Darek” (ja i Darek) postanowili rozdzielić się lodowcem a nawet pasmem górskim lecz okazało się, że magia Werenhusa jest zbyt silna. Bo przecież sezon bez chociaż jednej nocy spędzonej w tym husie należy uznać za sezon stracony.

Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób i zdarzeń nie jest przypadkowe.

Leszek Kolondra

Opracowania kartograficzne Werenskioldbreen i otoczenia

1. Wstęp

Spośród polskich opracowań kartograficznych Svalbardu dwa lodowce posiadają ich najwięcej. Są to Hansbreen oraz Werenskioldbreen, przy czym gdy pierwszy z nich, oprócz kilku map, posiada bogatą dokumentację pomiarową, głównie w postaci serii zdjęć terrofotogrametrycznych, to drugi z wymienionych, częściej był obiektem oddzielnych opracowań mapowych. Werenskioldbreen leży w południowo-zachodniej części Ziemi Wedel Jarlsberga pomiędzy dużym lodowcem Torella a fiordem Hornsund. Nazwa wywodzi się od norweskiego geografa Wernera Werenskiolda, profesora Uniwersytetu w Oslo i uczestnika corocznie organizowanych wypraw topograficznych i geologicznych od 1917 do 1924 roku w ten rejon Spitsbergenu. Także trzy szczyty leżące na północ od przedmiotowego lodowca są toponomastycznie z nim związane: Wernerknatten, Tonefjellet oraz Jens Erikfjellet (córka i syn badacza). Werner Werenskiold jest także autorem trzech odwzorowań kartograficznych WERENSKIOLD I, II oraz III.

Opracowanie jest syntetycznym wykazem map i ortoforomap średnioskalowych oraz innych opracowań kartograficznych obejmujących swym zasięgiem Lodowiec Werenskiolda.

2. Opracowania mapowe

Pierwsze mapy lodowca i jego otoczenia jakie zapewne powstały po serii wypraw, w których uczestniczył Werner Werenskiold nie są mi znane. Pełna bibliografia jego opracowań zawarta jest w Norsk Geografisk Tidsskrift, Vol. 18, No 1–2, 1961–61, p. 8 – 28.

Mapy norweskie

Mapa topograficzna 1:100 000 (oraz robocza wersja 1:50 000)

Mapa – arkusz B12 opracowana fotogrametrycznie, z ukośnych czarno-białych zdjęć lotniczych S 60 wykonanych w 1936 roku przez NPI Oslo kamerą ze stałą

$c_k = 21,71$ mm ujrzała światło dzienne dopiero w 1953 roku. Mianownik skali tych zdjęć, (wykonanych z wysokości ok. 2700 nad terenem przy pochyleniu osi kamery $\omega = \text{ok. } -30^\circ$), zmienia się od 20 000 na horyzoncie przednim, poprzez 50 000 (horyzont główny) do 133 000 na dalekim, jeszcze interpretowalnym horyzoncie tylnym. Lodowiec Werenskiolda można stereoskopowo opracować ze zdjęć o numerach 643–646 z szeregu przebiegającego na zachód od lodowca z kierunku NW na SE. Mapa o wymiarach 48,5×84,0 cm posiada dane siatki geograficznej, aczkolwiek robocza wersja tej mapy (czystorys autogrametryczny) – arkusz E12 posiadał także punkty siatki kilometrowej w stosowanym wówczas przez Norwegów układzie Gaussa-Krügera na elipsoidzie Hayforda 1924, znanej później jako ED- 50. Cięcie warstwiczne obu map 50 m. Kolejne edycje mapy 1:100 000 z lat 1994 oraz 2008 były zaktualizowane w zakresie klifów lodowców ze zdjęć lotniczych S90 oraz zobrazowań LANDSAT'a z 2002 roku, a także uzupełnione o siatkę kilometrową UTM (błędną na edycji 1994) oraz poprawioną w edycji 2008 (UTM WGS-84).

Inne mapy średnioskalowe

Obok najbardziej popularnej w/w mapy Norsk Polarinstitut jest także wydawcą dwóch innych map tematycznych. Są to:

- mapa **1:200 000 KYSTKART SVALBARD, B4 Bellsund** wydana w 1988 roku przy współpracy *Geografisk Institutt, Universitetet i Oslo*. Mapa posiada dane siatki geograficznej oraz siatkę kilometrową układu UTM (ED-50). Cięcie warstwiczne 250 m (w terenie płaskim 25 m oraz 30 m). Klify lodowców zaktualizowane wg zobrazowań LANDSAT'a z 1980 roku
- mapa **1:250 000 FLYKART AERONAUTICALL CHART**, arkusz 1/3, wydana w 1996 roku w odwzorowaniu stożkowym Lamberta. Posiada dane siatki geograficznej oraz kilometrowej UTM WGS-84 (strefy 33X oraz 35X). Cięcie warstwiczne 100 m, wymiary ok. 140×102 cm

Spitsbergeńskie polonica kartograficzne tego rejonu

Podczas prac związanych z realizacją programu II Międzynarodowego Roku Geofizycznego w latach 1957–59 zespoły geodezyjne prowadzone przez Cezarego Lipertę wykonały fotogrametryczne zdjęcia naziemne, których opracowanie w pracowni Zarządu Topograficznego Wojska Polskiego umożliwiło wydanie drukiem w roku 1961 dwóch arkuszy mapy **1:5 000 Lodowiec WERENSKIOLD, Spitsbergen, strefa środkowa**. Arkusze o wymiarach ok. 69×88 cm oraz 79×88 cm posiadają dane siatki geograficznej oraz kilometrowej w lokalnym układzie. Cięcie warstwiczne 1,25 m.

Prace polowe realizowane już w oparciu logistycznym o nowopowstałą w roku 1971, Stację Glacjologiczną Uniwersytetu Wrocławskiego, wtuloną w stok morenowy Lodowca Werenskiolda, zaowocowały opracowaniem przez J. Żyszkowskiego w roku 1978 mapy **1:5 000 WERENSKJÓLD GLACIER marginal area**. Mapa

o wymiarach ok. 68×64,5 cm posiada tylko siatkę kilometrową układu lokalnego. Cięcie warstwicowe 2,5 m. Mapa nie wydana drukiem.

W roku 1978 dwójka szczecińskich fotogrametrów Z. Mechliński oraz Z. Jabłoński wykonali niezbędne prace terrofotogrametryczne do opracowania mapy zatytułowanej **MAPA RZEŻBY strefy marginalnej Lodowca WERENSKIOLD, Spitsbergen, 1:5 000**. Arkusze o wymiarach: 44,2×62,7 cm oraz 44,7×64,2 cm wydane drukiem w nakładzie 300 egz. posiadają tylko dane siatki geograficznej. Cięcie warstwicowe 2,5 m.

W latach 1982–83 podczas kolejnych wypraw Uniwersytetu Śląskiego na Spitsbergen, bazując w Stacji Uniwersytetu Wrocławskiego wykonano (L. Kolondra i J. Jania) naziemne zdjęcia fotogrametryczne, z których opracowane zostały dwie bliźniacze mapy 1:5 000 Frontal part of the WERENSKIOLD GLACIER, Spitsbergen przedstawiające stan z roku 1982 oraz 1983. Mapy o wymiarach ok. 67×88 cm sporządzone i zaopatrzone tylko w siatkę kilometrową w układzie współrzędnych Gaussa-Krügera ED-50. Cięcie warstwicowe 2,5 m. Mapy nie wydane drukiem.

W roku 1984 Cezary Lipert wykonał pomiary fotogrametryczne, z których na zlecenie Uniwersytetu Śląskiego, kierowany przez niego zespół opracował kolejną mapę przedmiotowego lodowca. Dwa arkusze o wymiarach 60×60 cm (plansze aluminiowe oklejone brystolem) mieszczą dwie części mapy **1:10 000 Spitsbergen–WERENSKIOLD oraz CYRK Lodowca WERENSKIOLD**. Mapy (nie zorientowane standardowo do kierunku północy) posiadają dane siatki geograficznej oraz siatkę kilometrową układu UTM ED-50. Cięcie warstwicowe zasadnicze 10 m, dodatkowe 5 m. Mapy nie wydane drukiem.

Norweskie czarno-białe zdjęcia lotnicze S 60 (format 23×23 cm) wykonane w skali 1:50 000 posłużyły, po wykonaniu niezbędnych prac polowych w latach 1983–84 przez geodetów Zarządu Topograficznego WP (Sz. Barna oraz Z. Warchoł), do opracowania i wydania drukiem w 1987 roku dziesięciu arkuszy map topograficznych w skali **1:25 000**, z których jeden zatytułowany jest i obejmuje **WERENSKIOLDBREEN**. Arkusze o wymiarach 77,8×49,3 cm posiadają dane siatki geograficznej oraz siatkę kilometrową układu UTM ED-50. Cięcie warstwicowe zasadnicze 10 m, dodatkowe 5 m. Toponomastykę map uzupełniono o szereg „polskich” nazw, co stało się przyczyną niesnasek z NPI Oslo, aczkolwiek po kilkunastu latach niektóre z nich zostały zaakceptowane przez Norwegów, co znajduje potwierdzenie w *„The Place Names of Svalbard”*, NPI Oslo, 2003.

Liczny zespół autorów kierowany przez A. Karczewskiego przy redakcyjnym wsparciu J. Jani oraz M. Puliny przyczynił się do wydania drukiem w 1984 roku przez Uniwersytet Śląski mapy tematycznej w skali **1:75 000 Hornsund Spitsbergen GEOMORFOLOGIA– GEOMORPHOLOGY**, w której zawarty jest karton **1:20 000 Strefa marginalna Lodowca WERENSKIOLD**. Konstrukcja bazuje na roboczej wersji mapy 1:50 000 (patrz pkt.2.1.1), posiada tylko dane siatki geograficznej.

Wymiary arkusza 85×77 cm. Do mapy dołączona część opisowa (w języku polskim i angielskim) – str. 26.

Autorem bliźniaczej mapy tematycznej, także wydanej przez Uniwersytet Śląski w roku 1990 jest K. Birkenmajer przy współpracy redakcyjnej J. Jani oraz M. Puliny. Mapa **1:75 000 Hornsund Spitsbergen GEOLOGIA–GEOLOGY**, o wymiarach 85×77 cm charakteryzuje się identycznymi danymi z w/w mapą. Posiada także część opisową (w języku polskim i angielskim) – str. 42.

Zespół geologów z Akademii Górniczo Hutniczej w Krakowie (J. Czerny, A. Kieres, M. Manecki oraz J. Rajchel) pod kierownictwem A. Maneckiego przez kilka lat, od 1983 roku kartowali geologicznie otoczenie lodowca Werenskiolda. Swe prace sfinalizowali wydaniem w 1992 roku mapy **1:25 000 zatytułowanej GEOLOGICAL MAP of the SW part of WEDEL JARLSBERGLAND, Spitsbergen**. Mapa o wymiarach 69,5×98,3 cm posiada dane siatki geograficznej, zawiera część opisową w języku angielskim (p. 61 + 16 Fig.).

W wyniku realizacji przez Uniwersytet Śląski oraz Norsk Polarinstitut Tromsø wspólnego projektu pod nazwą „WERENSKIOLDBREEN” opracowano ze zdjęć lotniczych CIR wykonanych w sierpniu 1990 roku w skali 1:50 000 numeryczny model terenu (w regularnej siatce 20×20 m wraz z liniami szkieletowymi rzeźby terenu) oraz wykonano ortorektyfikację 17 zdjęć lotniczych. Ortoobrazy siedmiu z nich posłużyły do wydania drukiem przez Uniwersytet Śląski w roku 2002 cyfrowej ortofotomapy z pikselem wynikowym 0,8 m: **WERENSKIOLDBREEN and surrounding areas, Spitsbergen, Svalbard, Norway 1:25 000**. Ortofotomapa posiada dane siatki geograficznej oraz siatkę układu UTM, WGS-84. Cięcie warstwiczne 25 m. Dokładność numerycznego modelu oceniam jako autor opracowania na 1,5–3,0 m w zależności od rodzaju terenu. Toponomastyka wg mapy NPI w skali 1:100 000, zgodnie z publikacją „*The Place Names of Svalbard*”, NPI Oslo. Wymiary arkusza 72,7×83,7 cm, nakład 1000 egz. Wyniki w/w opracowania posłużyły do sporządzenia kilku pochodnych ortofotomap w skalach większych, w tym także lodowca Werenskiolda. Arkusz o wymiarach 63,5×56,5 cm mieści ortofotomapę **1:10 000 WERENSKIOLDBREEN**. Dane matematyczne opisu ramkowego identycznie jak wyżej. Cięcie warstwiczne 10 m.

Ostatnim autorskim opracowaniem analogowym zdjęć lotniczych S90 wykonanym na instrumencie TOPOKART F był stereogram obejmujący Lodowiec Werenskiolda. W opracowaniu skupiono się na szczegółowej inwentaryzacji form glacialnych (studnie, potoki supraglacialne). Powstała robocza wersja mapy **1:10 000 WERENSKIOLDBREEN draft version**. Mapa posiada tylko siatkę układu UTM WGS-84, Wymiary arkusza 105×86 cm. Mapy nie wydano drukiem.

Ortofotomapy satelitarne

Z zakupionych przez Zakład Teledetekcji Uniwersytetu Śląskiego trzech zobrażeń satelitarnych pozyskanych sensorem ASTER (produkt 14 OTH) w dniach

18 oraz 23 lipca 2005 roku, po dokonaniu mozaikowania oraz po niezbędnych pracach redakcyjnych sporządziłem cyfrową ortofotomapę **1:100 000** obejmującą obszar **od północnej części SØRKAPPLAND'u do fiordu VAN KEULEN**. Ortografotomapa posiada dane siatki geograficznej oraz siatkę kilometrową układu UTM WGS-84. Toponomastyka wg mapy NPI w skali 1:100 000, zgodnie z publikacją „*The Place Names of Svalbard*”, NPI Oslo, 2003. Legenda zawiera 12 wyróżnień rodzajów pokrycia terenu, a ostatnia wersja także wybrane linie zmian położenia klifów lodowców od 1900 roku do 2010.

Te same dane posłużyły do sporządzenia dwóch ortofotomap w skalach **1:50 000** w tym jednej z lodowcem Werenskiolda obejmującej obszar **od fiordu HORNSUND do fiordu VAN KEULEN**.

Inne opracowania kartograficzne

Dane do NMT pozyskane w projekcie „Werenskiold” (pkt. 2.2.10.) posłużyły badaczom kilku ośrodków uniwersyteckich do wykonania różnych analiz. Jedną z nich jest analiza morfometryczna rzeźby lodowca Werenskiolda i jego otoczenia wykonana przez M. Wieczorek z Instytutu Geografii i Rozwoju Regionalnego Uniwersytetu Wrocławskiego.

Nie sposób przy omawianiu lodowca Werenskiolda nie wymienić wyników prac zebranych przez J. Řehaka, jego synów i współpracowników firmy „SPELEO”. „Pepa” zauroczony od 1986 roku Spitsbergenem niemal co roku zgłębiał tajemnice życia lodowców, w tym także Lodowca Werenskiolda. Zbierane skrupulatnie przez niego obserwacje posłużyły do opracowania wektorowych map dotyczących usytuowania studni lodowcowych, potoków supraglacialnych, pojawiania się wywierzyisk, naledzi etc. Wyniki przekształcane były w środowisku programowym AutoCad'a do map wektorowych. „Pepa” korzystając z logistycznego wsparcia Stacji włożył także niemało trudu w jej renowację.

Zakończenie

Przez Stację Uniwersytetu Wrocławskiego im. Stanisława Baranowskiego przewinęło się chyba kilkuset badaczy, w tym także geodetów i fotogrametrów. Jej brak w tym miejscu miałby duży wpływ na mniejszą ilość opracowań kartograficznych, bądź byłyby wykonane przy dużo większym wysiłku, w dłuższym czasie i w zdecydowanie gorszych warunkach.

Bibliografia prac naukowych

1971

1. BARANOWSKI S., 1971. Report on the field work of the Polish Spitsbergen Expedition, summer 1970, Uniwersytet Wrocławski, s. 19.
2. BARANOWSKI S., 1971. Field work: Poland, Ice, s. 3.
3. KOSIBA A., 1971. Field work: Poland, Ice, 36, s. 5–6.

1972

4. BARANOWSKI S., 1972. Polish Spitsbergen Expedition 1970 and 1971, Field work, Polar Record, 16 No 101, s. 261.
5. BARANOWSKI S., 1972. Report on the field work of the Polish Spitsbergen Expedition, Summer 1970, Arctic, 25, No 1, s. 56–57.
6. JAHN A., 1972. Uniwersytet na lodowcu, Poznaj Świat 8, s. 3–6.

1973

7. BARANOWSKI S., 1973. Geyser-like water spouts at Werenskioldbreen, Spitsbergen, w: Symposium on the Hydrology of Glaciers, Cambridge 1969, IASH Publication 95, s. 131–133.
8. BARANOWSKI S., 1973. Polskie Wyprawy na Spitsbergen w latach 1970 i 1971, Czasopismo Geograficzne 44, No 2, s. 217–235.
9. CEGŁA J., 1973. Próba wyjaśnienia genezy gruntów strukturalnych SW Spitsbergenu w świetle teorii układów niestatecznego warstwowania gęstościowego, Czasopismo Geograficzne 2, s. 237–245.

1974

10. BARANOWSKI S., 1974. Report on the field work of the Polish Scientific Expedition to Spitsbergen In 1973, Uniwersytet Wrocławski, s. 29.
11. BARANOWSKI S., 1974. Badania polarne – Spitsbergeńskie sprawozdanie, Problemy 2, s. 45–48.
12. BARANOWSKI S., 1974. Biuletyn meteorologiczny 26/1, cz. B: Materiały, Spitsbergen 1970, Acta Universitatis Wratislaviensis 206, s. 147–161.
13. BARANOWSKI S., 1974. Działalność Zakładu Meteorologii i Klimatologii Uniwersytetu Wrocławskiego w 1971 r., w: Biuletyn Meteorologiczny 26 (1) cz. A, Acta Universitatis Wratislaviensis 206, s. 5–8.
14. BARANOWSKI S., 1974. Problematyka glacialna lodowca Werenskiolda w wyprawach 1970 i 1971 r., w: Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1970 i 1971 r., Materiały Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 6–7 kwietnia 1972 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 9–13.
15. BARANOWSKI S., GŁOWICKI B., 1974. Glacjo-meteorologiczne badania w czasie wypraw 1970 i 1971 r., w: Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1970 i 1971 r., Materiały Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 6–7 kwietnia 1972 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 17–24.

16. BARANOWSKI S., GŁOWICKI B., 1974. Przebieg wybranych elementów meteorologicznych w miesiącach letnich 1970 r. na Spitsbergenie, w: *Biuletyn Meteorologiczny* 26 (1) cz. A, *Acta Universitatis Wratislaviensis* 206, s. 69–73.
17. CEGŁA J., KOZARSKI S., 1974. Geomorfologiczne i sedymentacyjne skutki występowania „nali” na Gashamnoyra, w: *Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1970 i 1971 r.*, Materiały Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 6–7 kwietnia 1972 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 35–37.
18. CEGŁA J., KOZARSKI S., 1974. Grunty strukturalne SW Spitsbergenu w świetle hipotezy nies-tatecznego warstwowania, w: *Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1970 i 1971 r.*, Materiały Sym-pozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 6–7 kwietnia 1972 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 28–29.
19. MARTINI A., 1974. Badania pokryw stokowych w rejonie Hornsundu (SW Spitsbergen), w: *Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1970 i 1971 r.*, Materiały Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 6–7 kwietnia 1972 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 22–24.
20. PULINA M., 1974. Preliminary studies on denudation in SW Spitsbergen, *Bulletin de l'Academie Polonaise des Sciences, Serie des Sciences de la Terre* 22, No 2, s. 83–99.
21. SZPONAR A., 1974. Ablacja wałów lodowo-morenowych i jej morfologiczne skutki na przykładzie lodowców okolic Hornsundu, w: *Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1970 i 1971 r.*, Materiały Sym-pozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 6–7 kwietnia 1972 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 14–16.

1975

22. BARANOWSKI S., 1975. Report of the field work of the Polish Scientific Expedition to Spitsbergen in 1974, Uniwersytet Wrocławski, s. 13.
23. BARANOWSKI S., 1975. *Biuletyn meteorologiczny* nr 27/2, cz. B: Materiały, Spitsbergen 1971, *Acta Universitatis Wratislaviensis* 287, s. 199–217.
24. BARANOWSKI S., 1975. Działalność Zakładu Meteorologii i Klimatologii Uniwersytetu Wrocławskiego w 1972r., w: *Biuletyn Meteorologiczny* 27 (2) cz. A, *Acta Universitatis Wratislaviensis* 287, s. 5–10.
25. BARANOWSKI S., 1975. Glaciological investigations and glaciomorphological observations made in 1970 on Werenskiöld Glacier and its forefield, w: *Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974*, (1), *Acta Universitatis Wratislaviensis* 251, s. 69–94.
26. BARANOWSKI S., 1975. Morfologiczne skutki zmiany bilansu masy i energii lodowców spitsbergeńskich na przykładzie lodowca Werenskiölda, w: *Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1972 i 1973*, Materiały Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 29–30 marca 1974 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 27–32.
27. BARANOWSKI S., 1975. Organizacja i program polskiej wyprawy naukowej na Spitsbergen w 1973 r., w: *Materiały z Sympozjum Spitsbergeńskiego*, Wrocław, 29–30 marca 1974 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 9–15.
28. BARANOWSKI S., 1975. Organization of the Polish Scientific Expedition to Spitsbergen in the summer of 1970, w: *Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expedition 1970–1974* (1), *Acta Universitatis Wratislaviensis* 1, No 251, s. 7–13.
29. BARANOWSKI S., 1975. The climate of West Spitsbergen in the light of material obtained from Isfjord Radio and Hornsund, w: *Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expedition 1970–1974* (1), *Acta Universitatis Wratislaviensis* 1, No 251, s. 21–34.
30. BARANOWSKI S., GŁOWICKI B., 1975. Meteorological and hydrological investigations in the Hornsund region made in 1970, w: *Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expedition 1970–1974* (1), *Acta Universitatis Wratislaviensis* 1, No 251, s. 35–59.
31. BARANOWSKI S., GŁOWICKI B., 1975. Przebieg wybranych elementów meteorologicznych ciągu lata 1971 r. na Spitsbergenie, w: *Biuletyn Meteorologiczny* 27 (2) cz. A, *Acta Universitatis Wratislaviensis* 287, s. 95–99.
32. BARANOWSKI S., PEREYMA J., PIASECKI J., 1975. Warunki meteorologiczne i hydrologiczne lodowca Werenskiölda i jego przedpola w sezonach 1972 i 1973 r., w: *Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1972 i 1973 r.*, Materiały z Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 29–30 marca 1974 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 35–40.

33. BARANOWSKI S., SZYMAŃSKI J., 1975. Prace remontowe i konstrukcyjne oraz niektóre problemy techniczne wypraw na Spitsbergen w 1971 i 1973 r., w: Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1972 i 1973 r., Materiały z Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 29–30 marca 1974 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 17–22.
34. BIEROŃSKI J., PULINA M., 1975. Zjawiska krasowe masywu Sofiekammen i Hilmarfjellet obserwowane w 1972 i 1973 r., w: Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1972 i 1973 r., Materiały z Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 29–30 marca 1974 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 47–50.
35. FABISZEWSKI J., 1975. Migracja roślinności na przedpolu lodowca Werenskiolda (Spitsbergen Zachodni), w: Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1972 i 1973 r., Materiały z Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 29–30 marca 1974 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 81–88.
36. GŁOWICKI B., 1975. Ozone observations at Hornsund, w: Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974 (1), Acta Universitatis Wratislaviensis 251, s. 195–196.
37. GŁOWICKI B., 1975. Snow and firn patches between Hornsund and Werenskiold Glacier, w: Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974 (1), Acta Universitas Wratislaviensis 251, s. 139–146.
38. KLEMENTOWSKI J., 1975. Morfologia torfowisk spitsbergeńskich, w: Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1972 i 1973 r., Materiały z Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 29–30 marca 1974 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 59–64.
39. MARTINI A., 1975. Slope cover deposits of selected mountains areas in Hornsund region, SW Spitsbergen, w: Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974 (1), Acta Universitas Wratislaviensis, 251, s. 147–185.
40. MARTINI A., 1975. The weathering of beach pebbles in Hornsund, w: Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974 (1), Acta Universitas Wratislaviensis 251, s. 147–185.
41. OLSZEWSKI A., SZUPRYCZYŃSKI J., 1975. Charakterystyka strukturalno-teksturalna osadów morenowych Lodowca Werenskiolda, w: Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1972 i 1973 r., Materiały z Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 29–30 marca 1974 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 41–45.
42. OLSZEWSKI A., SZUPRYCZYŃSKI J., 1975. Charakterystyka terasy czterometrowej nad Nottinghambukta, w: Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1972 i 1973 r., Materiały z Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 29–30 marca 1974 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 23–27.
43. OLSZEWSKI A., SZUPRYCZYŃSKI J., 1975. Texture of rock particles of the basal transport in the contemporary frontal zone of the Werenskiold Glacier, Bulletin de l'Academie Polonaise des Sciences, No 1, s. 59–67.
44. PEREYMA J., PULINA M., 1975. Przepływ rzeki lodowcowej Werenskiolda i rzeki Brattegg jako funkcja niektórych parametrów klimatycznych w 1972 roku, Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1972 i 1973 r., Materiały z Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 29–30 marca 1974 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 67–72.
45. PULINA M., 1975. Intensywność niektórych współczesnych procesów geomorfologicznych na SW Spitsbergenie na podstawie badań z lat 1972 i 1973, w: Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1972 i 1973 r., Materiały z Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 29–30 marca 1974 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 31–34.
46. SZPONAR A., 1975. Ablation of ice-moraine Bridges and its morphological effects with Glacier of the Hornsund region as example, w: Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974 (1), Acta Universitas Wratislaviensis 251, s. 101–125.
47. SZPONAR A., 1975. The marginal zone of the Arie glacier, w: Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974 (1), Acta Universitas Wratislaviensis 251, s. 127–138.
48. ZABAWSKI J., ŻURAWSKA M., 1975. Mikroflora pierwotnych gleb rejonu Hornsundu i lodowca Werenskiolda, Zachodni Spitsbergen, w: Polskie Wyprawy na Spitsbergen 1972 i 1973 r., Materiały z Sympozjum Spitsbergeńskiego, Wrocław, 29–30 marca 1974 r., Uniwersytet Wrocławski, s. 101–105.

1976

49. BARANOWSKI S., KARLEN W., 1976. Remnants of Viking age tundra in Spitsbergen and Northern Scandinavia, *Geografiska Annaler*, series A, No ½, s. 35–40.
50. KARCZEWSKI A., 1976. Morainic sediments of the marginal zone of the Werenskiöld Glacier (SW Spitsbergen) sedimentological characteristics, *UAM, Geografia* 12, s. 99–107.

1977

51. BARANOWSKI S., 1977. Changes of Spitsbergen glaciation at the end of the Pleistocene and in the Holocene, *Quaestiones Geographicae* 4, s. 5–27
52. BARANOWSKI S., 1977. Naled type of ice in front of some Spitsbergen glaciers, w: *Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974* (2), *Acta Universitas Wratislaviensis* 387, s. 85–89.
53. BARANOWSKI S., 1977. Results of dating of the fossil tundra in the forefield of Werenskiöldbreen, w: *Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974* (2), *Acta Universitas Wratislaviensis* 387, s. 31–36.
54. BARANOWSKI S., 1977. Subpolarne lodowce Spitsbergenu na tle klimatu tego region, *Acta Universitas Wratislaviensis*, No 393, s. 1–157.
55. BARANOWSKI S., 1977. The subpolar glaciers of Spitsbergen seen against the climate of this region, w: *Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974* (3), *Acta Universitas Wratislaviensis* 410, s. 1–94.
56. BARANOWSKI S., 1977. Zmiany zlodowacenia region Hornsundu w holocenie w świetle datowań resztek tundry odsłanianej przez lodowiec Werenskiölda, w: *Polska Wyprawa na Spitsbergen w 1974 roku, Materiały Sympozjum Spitsbergeńskiego*, Wrocław, 11–12 kwietnia 1975, Uniwersytet Wrocławski, s. 29–33.
57. BIEROŃSKI J., 1977. Właściwości chemiczne wód okolic Horsundu, w: *Polska Wyprawa na Spitsbergen w 1974 roku, Materiały Sympozjum Spitsbergeńskiego*, Wrocław, 11–12 kwietnia 1975, Uniwersytet Wrocławski, s. 39–45.
58. CEGŁA J., KOZARSKI S., 1977. Sedimentary and geomorphological consequences of the occurrence of naled gheets on the outwash plain of the Gls Glacier, Sorkapland, Spitsbergen, w: *Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974* (2), *Acta Universitas Wratislaviensis* 387, s. 63–84.
59. CZAJKOWSKI R., 1977. Próba określenia grubości lodowca i jego ruchu za pomocą pomiarów sejsmicznych prowadzonych w latach 1971 i 1972, w: *Polska Wyprawa na Spitsbergen w 1974 roku, Materiały Sympozjum Spitsbergeńskiego*, Wrocław, 11–12 kwietnia 1975, s. 35–37.
60. JAHN A., 1977. Periglacial forms produced by shore ice at Hornsund (Spitsbergen), w: *Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974* (2), *Acta Universitas Wratislaviensis* 387, s. 19–29.
61. JANKOWSKA-LUCERSKA K., BARANOWSKI S., 1977. Charakterystyka warunków pogodowych w rejonie Hornsundu w ciągu lata 1974 r., w: *Polska Wyprawa na Spitsbergen w 1974 roku, Materiały Sympozjum Spitsbergeńskiego*, Wrocław, 11–12 kwietnia 1975, Uniwersytet Wrocławski, s. 37–39.
62. KARCZEWSKI A., WIŚNIEWSKI E., 1977. Rzeźba strefy marginalnej lodowca Torella, *Sprawozdanie PTPN* 93, s. 35–37.
63. KARCZEWSKI A., WIŚNIEWSKI E., 1977. The relief of the marginal zone of the Torell Glacier (Austre Torell) in terms of its recession (SW Spitsbergen), w: *Results of Investigations of the Polish Scientific Spitsbergen Expeditions 1970–1974* (2), *Acta Universitas Wratislaviensis* 387, s. 37–62.
64. KLEMENTOWSKI J., 1977. Morfologia torfowisk SW Spitsbergenu, w: *Polska Wyprawa na Spitsbergen w 1974 roku, Materiały Sympozjum Spitsbergeńskiego*, Wrocław, 11–12 kwietnia 1975, Uniwersytet Wrocławski, s. 59–64.
65. PULINA M., 1977. Uwagi o zjawiskach krasowych w południowej części Spitsbergenu, *Kras i Speleologia* 1, No 10, s. 104–129.

1978

66. JAHN A., 1978. Les expeditions scientifiques polonaises au Spitsbergen, *Inter-Nord* 15, s. 211–218.

1979

67. KARCZEWSKI A., WIŚNIEWSKI E., 1979. Granulometric analysis of sediments from the marginal zone of the Werenskiöld glacier SW Spitsbergen, *Quaestiones Geographicae* 5, s. 35–53.

1980

68. CHMAL H., 1980. Prace badawcze wyprawy Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergenie w 1979 r. (Streszczenie), w: VII Sympozjum Polarne Kraków-Osieczany, 24–27 kwietnia 1980.
69. CHMAL H., CHACHAJ J., SOBIK M., 1980. Morfologia przedpola lodowca Werenskiölda a niektóre cechy płynięcia lodu lodowcowego (Streszczenie, w: VII Sympozjum Polarne Kraków-Osieczany, 24–27 kwietnia 1980.
70. OLSZEWSKI A., SZUPRYCZYŃSKI J., 1980. Texture of recent morainic deposits of a terminal zone of the Werenskiöld Glacier (Spitsbergen), *Polish Polar Research* 1, No 2–3, s. 45–74.

1981

71. CEGŁA J., 1981. Badania szczelin z wysychania na przedpolu lodowca Werenskiölda, w: Jahn A., Jania J., Pulina M., (red.), VIII Sympozjum Polarne, Sosnowiec, s. 147–154.
72. CEGŁA J., KIDA J., 1981. Procesy degradacyjne na morenie czołowej lodowca Werenskiölda, w: Jahn A., Jania J., Pulina M., (red.), VIII Sympozjum Polarne, Sosnowiec, s. 143–146.
73. CEGŁA J., KIDA J., 1981. Przebieg VII Wyprawy Polarnej Uniwersytetu Wrocławskiego "Spitsbergen 1980", w: Jahn A., Jania J., Pulina M., (red.), VIII Sympozjum Polarne 1, Sosnowiec, s. 15–16.
74. CHMAL H., 1981. Ruch Lodowca Werenskiölda w świetle datowań ruchów fosylnych, w: Jahn A., Jania J., Pulina M., (red.), VIII Sympozjum Polarne 1, Sosnowiec, s. 63–68.
75. CZAJKOWSKI R., 1981. Radarowe pomiary miąższości Lodowca Werenskiölda, w: Jahn A., Jania J., Pulina M., (red.), VIII Sympozjum Polarne 1, Sosnowiec, s. 53–62.
76. KIDA J., 1981. Badania procesów i form eolicznych na Ziemi Wedel-Jarlsberga (Spitsbergen), w: Jahn A., Jania J., Pulina M., (red.), VIII Sympozjum Polarne 2, Sosnowiec, s. 36–37.
77. PEREYMA J., 1981. Pokrywa śnieżna w rejonie fiordu Hornsund na Spitsbergenie, w: Jahn A., Jania J., Pulina M., (red.), VIII Sympozjum Polarne 1, Sosnowiec, s. 7–20. (GLAC, MET).
78. PEREYMA J., 1981. VI Wyprawa Polarna Uniwersytetu Wrocławskiego, w: Jahn A., Jania J., Pulina M., (red.), VIII Sympozjum Polarne 2, Sosnowiec, s. 13–14.
79. SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., 1981. Opady atmosferyczne i parowanie w okolicy Lodowca Werenskiölda, w: Jahn A., Jania J., Pulina M., (red.), VIII Sympozjum Polarne 1, Sosnowiec, s. 33–42.
80. SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., 1981. Warunki biometeorologiczne na przedpolu Lodowca Werenskiölda w lecie 1980, w: Jahn A., Jania J., Pulina M., (red.), VIII Sympozjum Polarne 1, Sosnowiec, s. 43–48.

1982

81. BARANOWSKI S., 1982. Development of glaciation in subarctic archipelago, w: Results of Investigation of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (4), *Acta Universitas Wratislaviensis* 525, s. 9–10.

82. BARANOWSKI S., 1982. The origin of drumlins as an ice-rock interface problem, w: Results of Investigation of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (4), Acta Universitas Wratislaviensis 525, s. 5–7.
83. BARANOWSKI S., PĘKALA K., 1982. Nival-eolian processes in the tundra area in the nunatak zone of the Hans and Werenskiöld Glaciers (SW Spitsbergen), w: Results of Investigation of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (4), Acta Universitas Wratislaviensis 525, s. 11–27.
84. FELLMANN J., 1982. Uwagi i spostrzeżenia dotyczące zakładania osnowy sytuacyjno-wysokościowej dla pomiaru terrofotogrametrycznego czoła Lodowca Werenskiolda, w: Sympozjum, Prace Geodezyjne w Polskich Wyprawach Polarnych 1932–1982, Warszawa, s. 32–51.
85. GŁOWICKI B., 1982. Some hydrological phenomena observed in the outflow from the Werenskiöld Glacier basin, w: Results of Investigation of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (4), Acta Universitas Wratislaviensis 525, s. 49–56.
86. JAHN A., 1982. Soil thawing and active layer of permafrost in Spitsbergen, w: Results of Investigation of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (4), Acta Universitas Wratislaviensis 525, s. 57–75.
87. KOSIBA A., 1982. Glacio-hydrodynamic processes and changes on Werenskiöld Glacier and Hans Glacier, SW Spitsbergen, w: Results of Investigation of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (4), Acta Universitas Wratislaviensis 525, s. 133–152.
88. LIEBERSBACH J., 1982. The results of preliminary investigations on the actual recharge of atmospheric water in West Spitsbergen, w: Results of Investigation of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (4), Acta Universitas Wratislaviensis 525, s. 165–172.
89. MIGAŁA K., SOBIK M., 1982. Discovery of thermal springs in the Raudfjellet region, Polar Research 2, s. 109–110.
90. SZPONAR A., 1982. Earth slides of ablation type ice-moraine ridges, w: Results of Investigation of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (4), Acta Universitas Wratislaviensis 525, s. 255–263.

1983

91. PEREYMA J., 1983. Climatological problems of the Hornsund area, Spitsbergen, w: Results of Investigation of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (5), Acta Universitas Wratislaviensis 714, s. 134.
92. PEREYMA J., 1983. Klimat obszaru Hornsundu, Spitsbergen Zachodni, w: Streszczenie prac habilitacyjnych i doktorskich, Instytut Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN, Warszawa, s. 45–48.
93. PEREYMA J., CHMAL H., 1983. Dorobek ośrodka wrocławskiego w badaniach polarnych w latach 1970–1982, w: Olszewski A., Wójcik G. (red.), X Sympozjum Polarne, Toruń, 19–21 maja 1983, Polskie Badania Polarne 1970–1982, Rozprawy UMK, Toruń, s. 121–130.

1984

94. JANIA J., LIPERT C., MECHLIŃSKI Z., 1984. The ice mass loss in the front zone of the Werenskiöld Glacier from 1985 to 1978 determined using terrestrial photogrammetry, Polish Polar Research 5, No 3–4, s. 207–216.
95. KRAWCZYK W.E., PULINA M., 1984. Hydrochemical investigations in the Werenskiöld Glacier basin, w: Field Investigations Performed During the Glaciological Spitsbergen Expedition in 1983, Interim Report, Uniwersytet Śląski, Katowice, s. 15–18.
96. MIGAŁA K., SOBIK M., 1984. Deflation and niveo eolian phenomena observed under conditions of congelation in the forefield of the Werenskiöld Glacier, SW Spitsbergen, w: Zeitschrift für Gletscherkunde und Glazialgeologie 20, s. 197–206.
97. PEREYMA J., PIASECKI J., 1984. Meteorological conditions in the Werenskiöld Glacier basin, w: Field Investigations Performed During the Glaciological Spitsbergen Expedition in 1983, Interim Report, Uniwersytet Śląski, Katowice, s. 12–14.

98. PEREYMA J., SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., 1984. Biometeorological conditions in Hornsund from July 1979 through June 1980, w: Sympozjum "Spitsbergen 1984" – Referaty i sprawozdania, Instytut Ekologii PAN, Dziekanów Leśny, s. 14–15.
99. PULINA M., PEREYMA J., KIDA J., KRAWCZYK W., 1984. Characteristic of the polar hydrological years 1979–80 in the basin of the Werenskiöld Glacier, SW Spitsbergen, Polish Polar Research 5, No 3–4, s. 165–182.

1985

100. CHMAL H., 1985. Sprawozdanie z wyprawy Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergen 1984, w: XII Sympozjum Polarne, Szczecin, 19–21 września 1985, s. 140–143.
101. MIGAŁA K., SOBIK M., 1985. Deflation and nival eolia phenomena observed under conditions of congelation in the forefield of the Werenskiöld Glacier (SW Spitsbergen), Zeitschrift für Gletscherkunde und Glazialgeologie 20, s. 197–206.
102. OLSZEWSKI A., SZUPRYCZYŃSKI J., 1985. Tekstura współczesnych osadów morenowych strefy czołowej lodowca Werenskiolda (Spitsbergen, Przegląd Geograficzny 57, No 4, s. 645–670.

1986

103. CEGŁA J., 1986. Investigation into the desiccation processes in the Werenskiöld glacier forefield (West Spitsbergen), w: Results of Investigation of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (6), Acta Universitas Wratislaviensis 966, s. 5–24.
104. CZERNY J., KIERES A., LIPIEŃ G., MANECKI A., PIESTRZYŃSKI A., 1986. Komunikat wstępny z badań mineralizacji kruszcowej występującej na przedpolu Werenskioldbreen, Spitsbergen Zachodni, w: XIII Sympozjum Polarne, Gdańsk, 23–24 marca 1986.
105. JAHN A., 1986. Periglacial structures in Svalbard (Spitsbergen) as indicators of central European climate during the last glaciation, w: Quaternary Research Center, „Periglacial Indicators of Former Climates”, 27–28 maj 1986, Uniwersytet w Washingtonie, s. 2.
106. KIDA J., 1986. Eolian processes in Werenskiöld, Nann and Torell glacier forefields (Wedel-Jarlsberg Land, SW Spitsbergen), w: Results of Investigation of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (6), Acta Universitas Wratislaviensis 966, s. 25–43.
107. KUBIAK J., MANECKI A., 1986. Analiza mineralogiczna szliczków z rzek i strumieni przedpola Werenskioldbreen, Bratæggdalen i Steinvikdalen, Spitsbergen Zachodni (Streszczenie), w: XIII Sympozjum Polarne, Gdańsk, 23–24 marca 1986.
108. MANECKI M., 1986. Petrografia i geochemia dolerytów z Bratæggdalen i Vimsodden, Spitsbergen Zachodni (Streszczenie), w: XIII Sympozjum Polarne, Gdańsk, 23–24 marca 1986.
109. MARTINI A., 1986. Contemporary periglacial weathering processes of the mountain massifs in the Hornsund area (SW Spitsbergen), w: Results of Investigation of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (6), Acta Universitas Wratislaviensis 966, s. 45–73.
110. MIGAŁA K., PEREYMA J., SOBIK M., 1986. Akumulacja śnieżna na południowym Spitsbergenie (Streszczenie), w: XIII Sympozjum Polarne, Gdańsk, 23–24 marca 1986.
111. PEREYMA J., PIASECKI J., 1986. Przebieg wybranych elementów meteorologicznych w miesiącach letnich 1972 na Spitsbergenie, w: Biuletyn Meteorologiczny 28 (3) cz. A, Acta Universitas Wratislaviensis 569, s. 49–55.
112. PIASECKI J., SZMYRKA A., BRAZDIL R., PROSEK P., 1986. Warunki hydrometeorologiczne w sezonie letnio-jesiennym 1985 w rejonie lodowca Werenskiolda na SW Spitsbergenie – zróżnicowanie topoklimatyczne, hydrologia glacialna (Streszczenie), w: XIII Sympozjum Polarne, Gdańsk, 23–24 marca 1986.
113. SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., 1986. Parowanie terenowe w świetle warunków mikroklimatycznych w rejonie Lodowca Werenskiolda w lecie 1985 r., w: XIII Sympozjum Polarne, Gdańsk.

114. SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., PIASECKI J., BRAZDIL R., PROSEK P., 1986. Warunki hydrometeorologiczne w rejonie Lodowca Werenskiolda w sezonie letnio-jesiennym 1985 r., w: XIII Sympozjum Polarne, Gdańsk
115. SZMYRKA A., PIASECKI J., BRAZDIL R., PROSEK P., 1986. Badania hydrometeorologiczne w rejonie lodowca Werenskiolda w sezonie letnio-jesiennym 1985 – Straty wody na parowanie z powierzchni gruntu oraz jego termika, w: XIII Sympozjum Polarne, Gdańsk, 23–24 marca 1986.

1987

116. CHMAL H., 1987. Pleistocene sea level changes and glacial history of the Hornsund area, Svalbard, *Polar Research* 5, s. 269–270.
117. JAHN A., 1987. Polskie badania wieloletniej zmarzliny, ich historia, stan obecny i perspektywy, w: XIV Sympozjum Polarne, Aktualne Problemy Badawcze w Arktyce i Antarktyce, Lublin, s. 10–13
118. KLEMENTOWSKI J., 1987. Geneza i procesy degradacyjne hydrolakkolitów w rejonie Hornsundu (Spitsbergen), w: XIV Sympozjum Polarne, Aktualne Problemy Badawcze w Arktyce i Antarktyce, Lublin, s. 116–118.
119. KROPKA J., REHAK J., 1987. Badania hydrologiczne i glaciokrasowe zlewni lodowca Werenskiolda w 1986 r., w: XIV Sympozjum Polarne, Aktualne Problemy Badawcze w Arktyce i Antarktyce, Lublin, s. 280.
120. LIPERT C., 1987. Photogrammetric work in the Werenskiold Glacier area, Spitsbergen, *Polish Polar Research* 8, No 1, s. 47–55.
121. PEREYMA J., SOBIK M., 1987. Wpływ podłoża na zróżnicowanie warunków topoklimatycznych na przykładzie lodowca Werenskiolda, w: XIV Sympozjum Polarne, Aktualne Problemy Badawcze w Arktyce i Antarktyce, Lublin, s. 281–282.

1988

122. BRAZDIL R., PIASECKI J., PROSEK P., 1988. The flows of the Glacier and Brattegg rivers and the characterization of the Brattegg river catchment in the summer-autumn season of 1985, w: Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985, Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno, s. 210–228.
123. CHMAL H., 1988. Późno-czwartorzędowe zmiany poziomu morza i historia glacialna rejonu Hornsundu, w: Jahn A., Pereyma J., Szczepankiewicz-Szmyrka A. (red.), XV Sympozjum Polarne, Wrocław, 19–21 maja 1988, Stan Obecny i Wybrane Problemy Polskich Badań Polarnych, Uniwersytet Wrocławski, s. 109–114.
124. CHMAL H., SOBIK M., 1988. Glaciology, In: Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985, Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno, s. 49–55.
125. JAHN A., 1988. Periglacial soil structures in Spitsbergen and in central Europe, w: V International Conference on Permafrost, Trondheim, Norway, 1988, Proceedings 1, s. 769–800.
126. KIDA J., CHMAL H., KONECNY M., TRACZYK A., 1988. Geomorphological Map of the Werenskiold Glacier Region, w: Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985, , Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno.
127. KIDA J., KONECNY M., 1988. Some aspects of nival morphology on the border of the terminal moraine of the Werenskiold Glacier, w: Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985, Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno, s. 254–271.
128. KIDA J., PIASECKI J., 1988. Some problems of hydrology of the Brattegg River and Werenskiold glacier catchments (SW Spitsbergen), w: Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985, Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno, s. 69–87.
129. KLEMENTOWSKI J., BRAZDIL R., 1988. Organization and activity of the geographical expedition “Spitsbergen 85”, w: Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985, , Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno, s. 11–25.

130. KLEMENTOWSKI J., BRAZDIL R., 1988. Physical-geographical conditions of the Werenskiöld glacier region, w: Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985, Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno, s. 86–114
131. KLEMENTOWSKI J., CHMAL H., MIGAŁA K., 1988. Thermal currents of active layer in Hornsund area, Spitsbergen, w: V International Conference on Permafrost, Trondheim, Norway 1988, Proceedings 1, s. 44–49.
132. KLEMENTOWSKI H., KONECNY M., 1988. Genesis and development of the hydrolaccoliths in the region between Werenskiöld and Hans Glaciers during 1974–1985, w: Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985, Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno, s. 272–284.
133. KROPKA J., LESZKIEWICZ J., 1988. Wstępna charakterystyka odpływu ze zlewni lodowca Werenskiölda (Spitsbergen) w sezonie letnim 1986, w: Jahn A., Pereyma J., Szczepankiewicz-Szmyrka A. (red.), XV Sympozjum Polarne, Wrocław, 19–21 maja 1988, Stan Obecny i Wybrane Problemy Polskich Badań Polarnych, Uniwersytet Wrocławski, s. 169–177.
134. MIGAŁA K., 1988. Wpływ pokrywy śnieżnej na warstwę aktywną zmarzliny w rejonie Hornsundu, SW Spitsbergen, w: Jahn A., Pereyma J., Szczepankiewicz-Szmyrka A. (red.), XV Sympozjum Polarne, Wrocław, 19–21 maja 1988, Stan Obecny i Wybrane Problemy Polskich Badań Polarnych, Uniwersytet Wrocławski, s. 230–239.
135. PEREYMA J., 1988., Climatology, w: Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985, Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno, s. 55–68.
136. PEREYMA J., 1988. Termika pokrywy śnieżnej na tundrze w zlewni Fugleberget na Spitsbergenie, w: Jahn A., Pereyma J., Szczepankiewicz-Szmyrka A. (red.), XV Sympozjum Polarne, Wrocław, 19–21 maja 1988, Stan Obecny i Wybrane Problemy Polskich Badań Polarnych, Uniwersytet Wrocławski, s. 226–229.
137. PEREYMA J., LUCERSKA K., 1988. Warunki meteorologiczne na Spitsbergenie w sezonach letnich 1970–1974, ze szczególnym uwzględnieniem lat 1973 i 1974, w: Biuletyn Meteorologiczny 29 (4) cz. A, Acta Universitas Wratislaviensis 738, s. 159–164.
138. PEREYMA J., PIASECKI J., 1988. Warunki topoklimatyczne i hydrologiczne w rejonie lodowca Werenskiölda na Spitsbergenie w sezonie letnio-jesiennym 1983 r., w: Wyprawy Polarne Uniwersytetu Śląskiego 1980–1984, Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego 910, nr 2, s. 107–122.
139. PEREYMA J., SWERPEL S., WĘŚLAWSKI J.M., 1988. Roczne zmiany warunków klimatycznych, oceanograficznych i biologicznych w rejonie południowego Spitsbergenu, w: Jahn A., Pereyma J., Szczepankiewicz-Szmyrka A. (red.), XV Sympozjum Polarne, Wrocław, 19–21 maja 1988, Stan Obecny i Wybrane Problemy Polskich Badań Polarnych, Uniwersytet Wrocławski, s. 203–206.
140. PEREYMA J., SWERPEL S., WĘŚLAWSKI J.M., 1988. Year to year changes in climatic, hydrographic and biological phenomena in the South Spitsbergen area, w: Rapp P.-V. Renn. International Council for the Exploration of the Sea 188, Kopenhaga, s. 13–14.
141. PIASECKI J., BRAZDIL R., PROSEK P., SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., 1988. Characterization of season of the Feather conditions in the summer-autumn 1985 in the Werenskiöld Glacier region, w: Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985, Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno, s. 115–141.
142. PIASECKI J., BRAZDIL R., PROSEK P., SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., 1988. Temperature conditions and energy balance of the active surface of moraine and maritime terrace in the Werenskiöld area (Spitsbergen), w: Results of Investigations of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (7), Acta Universitas Wratislaviensis 1069, s. 5–43.
143. PIASECKI J., BRAZDIL R., PROSEK P., SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., 1988. Temperature conditions and energy balance of the active surface of moraine and maritime terrace in the Werenskiöld area (Spitsbergen), w: Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985, Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno, s. 152–187.
144. PIASECKI J., BRAZDIL R., PROSEK P., SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., 1988. The topoclimatic differentiation of the Werenskiöld Glacier and the Bratteg Valley, w: Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985, Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno, s. 187–210.

145. PIASECKI J., BRAZDIL R., PROSEK P., SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., 1988. Variation of global and reflected radiation in the area of Werenskiöld Glacier (SW Spitsbergen) in the summer to autumn season of 1985, *Scripta Facultatis Scientiarum Universitatis Purkyne, Brno*, s. 3–20.
146. SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., 1988. Biometeorological conditions in the summer-autumn period of 1985 in the Werenskiöld Glacier region, w: *Results of Investigations of Geographical Research Expedition Spitsbergen 1985*, Uniwersytet J.E. Purkyne, Brno, s. 142–152.

1989

147. BRAZDIL R., PIASECKI J., PROSEK P., SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., 1989. Temperature conditions and energy balance of the active of a moraine and a maritime terrace in the Werenskiöld area (Spitsbergen), w: *Results of Investigations of Polish Scientific Spitsbergen Expeditions (7)*, Acta Universitas Wratislaviensis 1069, s. 5–44.
148. KLEMENTOWSKI J., 1989. Kriogeniczne ruchy gruntu w Hornsundzie, w: Olszewski A. (red.), XVI Sympozjum Polarne, Toruń, 19–20 września 1989 r., *Dorobek i Perspektywy Polskich Badań Polarnych*, Rozprawy UMK, Toruń, s. 138–141.
149. LESZKIEWICZ J., REHAK J., 1989. Odpływ ze zlewni zlodowaczonej rzeki lodowcowej Werenskiölda i niezlodowaczonej potoku Fuglebekken (Spitsbergen) w okresie lata i jesieni 1988 r., w: Olszewski A. (red.), XVI Sympozjum Polarne, Toruń, 19–20 września 1989 r., *Dorobek i Perspektywy Polskich Badań Polarnych*, Rozprawy UMK, Toruń, s. 209–211.
150. MIGAŁA K., 1989. Klimatyczna determinacja poziomu aktywnego zamarzliny w rejonie Hornsundu, SW, w: Olszewski A. (red.), XVI Sympozjum Polarne, Toruń, 19–20 września 1989 r., *Dorobek i Perspektywy Polskich Badań Polarnych*, Rozprawy UMK, Toruń, s. 136–137.

1990

151. KRAWCZYK W.E., GŁOWACKI P., PULINA M., 1990. Hydrochemical diurnal cycle on the turn of summer and autumn in the glacial River of Werenskiöld, SW Spitsbergen, w: *Spitsbergen Geographical Expeditions of M. Curie-Skłodowska University, Materiały Sesji Polarnej "Periglacial Phenomena of Western Spitsbergen"*, UMCS Lublin, s. 189–202.
152. MIGAŁA K., 1990. Active layer of permafrost in the light of Hornsund climatic conditions, SW Spitsbergen, w: *Spitsbergen Geographical Expeditions of M. Curie-Skłodowska University, Materiały Sesji Polarnej "Periglacial Phenomena of Western Spitsbergen"*, UMCS Lublin, s. 215–226.

1991

153. MIGAŁA K., 1991. Effect of the winter seasons and snow cover on the active layer of permafrost in the region of Hornsund (SW Spitsbergen), w: *Wyprawy Geograficzne na Spitsbergen. Materiały Sesji Polarnej "Arctic Environment Research"*, UMCS Lublin, s. 241–256.
154. MIGAŁA K., 1991. Rola stosunków opadowych w kształtowaniu warstwy aktywnej zamarzliny a problem pionowej stratyfikacji cykli regulacji gruntu w warunkach klimatycznych Spitsbergenu, w: XVIII Sympozjum Polarne, Szczecin-Świnoujście, 10–12 maja 1991, *Streszczenia*, s. 29, 70.
155. PEREYMA J., 1991. Climatic conditions of outflow ablative waters from Werenskiöld Glacier in Spitsbergen, w: I International Symposium of Glacier Caves and Karst in Polar Regions, *Proceedings*, Madrid, s. 135–150.
156. PEREYMA J., 1991. Warunki klimatyczne odpływu wód ablacyjnych z lodowca Werenskiölda na Spitsbergenie, w: XVIII Sympozjum Polarne, Szczecin-Świnoujście, 10–12 maja 1991, *Streszczenia*, s. 33, 74.
157. WACH J., 1991. Zawartość węglanów wapnia w osadach na przedpolu lodowca Werenskiölda, w: *Zjazd Geomorfologów Polskich*, UAM Poznań, s. 41–43.

1992

158. CZERNY J., LIPIEŃ G., MANECKI A., PIESTRZYŃSKI A., 1992. Geology and ore mineralization of the Heckla Hoek succession (Precambrian) in front of Werenskioldbreen, South Spitsbergen, w: Geological Results of the Polish Spitsbergen Expeditions. Pt. 15, *Studia Geologica Polonica* 98, s. 67–113.
159. KRAWCZYK W.E., 1992. Chemical characteristic of water circulating in the Werenskiold Glacier (SW Spitsbergen), w: Proceedings 2nd International Symposium of Glacier Caves and Karst in Polar Regions, Sosnowiec, s. 65–80.
160. KIERES A., PIESTRZYŃSKI A., 1992. Ore-mineralization of the Hecla Hoek Succession (Precambrian) around Werenskioldbreen, South Spitsbergen, w: Geological Results of the Polish Spitsbergen Expeditions. Pt. 15, *Studia Geologica Polonica* 98, s. 115–151.
161. PEREYMA J., 1992. Bilans masy lodowców polarnych w świetle wybranych czynników klimatycznych, *Problemy Klimatologii Polarnej* 2, s. 69–76.
162. PEREYMA J., 1992. Polar glacier mass balance in the light of some climatic factors, w: Spitsbergen Geographical Expeditions of M. Curie-Skłodowska University, UMCS Lublin, s. 23–31.
163. PIROŻNIKOW E., GÓRNIĄK A., 1992. Changes in the characteristics of the soil and vegetation during the primary succession in the marginal zone of Werenskiold glacier, *Polish Polar Research* 13, nr 1, s. 19–29.
164. PULINA M., 1992. Werenskioldbreen (some results of glaciological research), w: Glaciological Research in Svalbard, Current Problems. Field Workshop at the Polish Polar Station Hornsund, Spitsbergen, 26–30 kwiecień 1992, Uniwersytet Śląski, s.V/43-V/52.
165. SZCZEPANKIEWICZ-SZMYRKA A., PEREYMA J., 1992. Biometeorological conditions in Hornsund, in 1979–1980, w: Opaliński K.W., and Klekowski R.Z. (red.), *Landscape, Life World and man in High Arctic*, Instytut Ekologii PAN, Dziekanów, s. 103–111.

1993

166. KRAWCZYK W.E., WACH J., 1993. Winter outflows of waters from the Werenskiold Glacier in the hydrological year 1985/1986, w: Repelewska-Pękalowa J., Pękała K. (red.), *XX Polar Symposium, Man Impact on Polar Environment*, Lublin, 3–5 czerwiec 1993, s. 403–411.

1994

167. KRAWCZYK W.E., OPOŁKA-GĄDEK J., 1994. Suspended sediment concentrations in Waters of the Werenskiold Glacier basin in 1986, w: Zalewski S.M. (red.), *XXI Polar Symposium, 60 Years of Polish Research of Spitsbergen*, Warszawa, 23–24 września 1994, s. 215–224.
168. MIGAŁA K., 1994. Cechy warstwy aktywnej wieloletniej zmarzliny w warunkach klimatycznych Spitsbergenu, *Acta Universitas Wratislaviensis 1590, Prace Instytutu Geografii C1*, s. 79–111.

1995

169. KIDA J., 1995. Procesy eoliczne na wybrzeżach SW Spitsbergenu, w: Pereyma J., Piasecki J. (red.), *XXII Sympozjum Polarne, Zamek Książ, 27–28 września 1995, Jedność Środowiska Przyrodniczego Arktyki i Antarktyki*, s. 41–48.
170. KRAWCZYK W.E., LESZKIEWICZ J., 1995. An attempt to model outflow from the Werenskiold Glacier Basin (SW Spitsbergen), w: *Actes du 3e symposium international Cavites Glaciares et cryokarst en regions polaires et de l'universite de Besancon no 561, serie Geographie no 34*, M. Griselin (red.), Besancon, s. 55–60.

1996

171. LESZKIEWICZ J., PULINA M., 1996. Comparison of the outflow from the glacier and karst massif based on the studies of the basin of the Werenskiöld Glacier River (Spitsbergen) and the streams Ancon and Canilla (West Cuba, Pan de Guajaibon), w: Spitsbergen Geographical Expeditions, Polar Session "Problems of the Contemporaneous and Pleistocene Periglacial Zone", UMCS Lublin, s. 93–112.
172. PIROŻNIKOW E., 1996. Dynamika populacji *Saxifraga oppositifolia* L. w toku sukcesji pierwotnej na morenie dennej lodowca Werenskiolda (Spitsbergen), w: Mirek Z., Wójcik J.J. (red.), Szata roślinna Polski w okresie przemian, Instytut Botaniki im. Szafera PAN, Kraków, s. 309.

1997

173. KRAWCZYK W.E., 1997. Procesy fizykochemiczne w małych zbiornikach wodnych na morenie czołowej Lodowca Werenskiolda, XXIV Sympozjum Polarne 26–27 września 1997, Warszawa, Materiały konferencyjne: 41.
174. KRAWCZYK W.E., PULINA M., REHAK J., 1997. Similarity between the hydrologic system of the Werenskiöld Glacier (SW Spitsbergen) and a karst. w: Proceedings of the International Congress of Speleology 1, Szwajcaria, s. 493–496.
175. REHAK J., REHAK J., MARKOWA L., 1997. Odwodnienie lodowców Werenskiolda i Torella. Rekonstrukcja Stacji im. S. Baranowskiego, XXIV Sympozjum Polarne, poster.

1998

176. BIRKENMAJER K., OLSSON I.U., 1998. Radiocarbon dating of high-level marine shells at Werenskiöldbreen, south Spitsbergen, w: Głowacki P., Bednarek J. (red.) XXV Międzynarodowe Sympozjum Polarne, 16–17 września 1998, Warszawa, Materiały konferencyjne: 17.
177. BIRKENMAJER K., OLSSON I.U., 1998. Radiocarbon-dated Late Pleistocene and Early Holocene marine shells at Werenskiöldbreen, south Spitsbergen, Bulletin of the Polish Academy of Sciences. Earth Sciences, nr. 1 (46), s. 21–34.
178. MANECKI M., HOLM D.K., CZERNY J., LUX D., 1998. Thermochronological evidence for late proterozoic (Vendian) cooling in southwest Wedel Jarlsberg Land, Spitsbergen, Geological Magazine 135 (1), s. 63–69.
179. RAJCHEL J., 1998. Wystawa "Polarne wyprawy badawcze. Historia i teraźniejszość" w Akademii Górniczo-Hutniczej, Biuletyn Polarny 6, nr 105.

1999

180. BIRKENMAJER K., 1999. Alfred Jahn (22.IV.1915–1.IV.1999), Biuletyn Polarny 7, s. 9–10.
181. BIRKENMAJER K., 1999. Alfred Jahn (1915–1999). Polish Polar Research 20, nr 2, s. 175–176.
182. CZERNY J., 1999. Petrogenesis of metavolcanites of the southern part of Wedel Jarlsberg Land (Spitsbergen), Prace Minearologiczne 86, s. 7–83.
183. PEREYMA J., Alfred Jahn 1915–1999, Biuletyn Polarny 7, s. 55.
184. PEREYMA J., 1999. Stanisław Szczepankiewicz 1913–1999, Biuletyn Polarny 7, s. 59.
185. PEREYMA J., 1999. Wspomnienie o Stanisławie Baranowskim, Biuletyn Polarny 7, s. 64–66.
186. PEREYMA J., 1999. Andrzej Martini 1940–1998, Biuletyn Polarny 7, s. 62.
187. PULINA M., KOLONDRA L., REHAK J., 1999. Charting of Cryokarst Forms on Werenskiöld Glacier (SW Spitsbergen). w: Polish Polar Studies, 26th Polar Symposium, Lublin, s. 235–241 + 1 mapa.
188. WIŚNIEWSKA B., 1999. Ice conditions in Nottinghambukta during 1993–1998 seasons, w: Repelewska-Pękalowa (red.), Polish Polar Studies, 26th International Polar Symposium, Lublin, s. 323–328.

2000

189. WIŚNIEWSKA B., 2000. Nottinghambukta Bay – changes of salinity and temperature between spring and summer of 2000, w: Polish Polar Studies 381, 27th International Polar Symposium, Toruń, poster.
190. WIŚNIEWSKA B., 2000. Nottinghambukta – changes of salinity and temperature between spring and summer of 2000. w: Polish Polar Studies 381, 27th International Polar Symposium, Toruń, poster.
191. WIŚNIEWSKA B., 2000. Nottinghambukta – zmiany zasolenia i temperatury zatoki na przełomie wiosny i lata 2000, XXVII Międzynarodowe Sympozjum Polarne, Streszczenia referatów (materiały konferencyjne), Toruń, s. 74.

2001

192. WIŚNIEWSKA B., 2001. Perennial fluctuation of Harpacticoida inhabiting Nottinghambukta (South Spitsbergen) with careful consideration for their wintering strategies, międzynarodowe sympozjum "Functioning of Coastal Ecosystems in Various Geographical Regions", Book of Abstracts, Gdynia, s. 73–74.

2002

193. JANIA J., 2002. Profesor Alfred Jahn (1915–1999), Dolny Śląsk 10, s. 340–344
194. JANIA J., KOLONDRĄ L., AAS H.F., 2002 Orthophotomap 1:25000, WERENSKIOLDBREEN and surrounding area, Wydział Nauk o Ziemi, Uniwersytet Śląski and Norsk Polarinstitut, Tromsø-Sosnowiec, druk „Djaf” Kraków – „Dial” Bielsko-Biała.
195. KOLONDRĄ L., 2002. Orthophotomap 1:10000, WERENSKIOLDBREEN, Spitsbergen, nieopublikowane
196. KOLONDRĄ L., 2002 Cyfrowa ortofotomapa – nowa forma danych kartograficznych w badaniach glaciologicznych (na przykładzie lodowców Werenskiöld i Nann, S. Spitsbergen), w: Kostrzewski A., Rachlewicz G. (red.), Funkcjonowanie i Monitoring Geoekosystemów Obszarów Polarnych, Polish Polar Studies, s. 173–186.

2003

197. BAZARNIK J., MANECKI M., CZERNY J., 2003. Warunki PT metamorfizmu metapelitów. formacji Elveflya Spitsbergen Zachodni, w: Olech M.A. (red.), The Functioning of Polar Ecosystems as Viewed Against Global Environmental Changes, XXIX International Polar Symposium, 19–21 września 2003, Kraków, s. 149–150.
198. PALLI A., MOORE J.C., JANIA J., KOLONDRĄ L., GŁOWACKI P., 2003. The drainage pattern of Hansbreen and Werenskiöldbreen, two polythermal Glacier in Svalbard, Polar Research 22, nr 2, s. 355–371.
199. PEREYMA J., 2003. Lodowiec Werenskiolda-Kvartsittsletta, w: Kostrzewski A., Zwoliński Z. (red.), Warsztaty Geomorfologiczne Spitsbergen, Funkcjonowanie dawnych i współczesnych geoekosystemów Spitsbergenu, Stowarzyszenie Geomorfologów Polskich, Poznań – Logyearbyen, 10–21 lipca 2003, s.VI.85–VI.87.
200. PEREYMA J., 2003. V International Symposium on Glacier Caves and Cryokarst in Polar and High Mountain Regions, Courmayeur, 15–18 kwietnia 2000, Biuletyn Polarny 11, s. 44–45.
201. PULINA M., BUCZKOWSKA-JANIA E., JANIA J., GŁOWACKI P., KRAWCZYK W., REHAK J., PEREYMA J., KOSTRZEWSKI A., KARCZEWSKI A., BURZYK J., BURZYK M., 2003. Hornsund-Isbjornhamna. w: Kostrzewski A., Zwoliński Z. (red.), Warsztaty Geomorfologiczne Spitsbergen, Funkcjonowanie dawnych i współczesnych geoekosystemów Spitsbergenu, Stowarzyszenie Geomorfologów Polskich, Poznań-Longyearbyen, 10–21 lipca 2003, s.VI.119–VI.145.

2004

202. GŁOWACKI P., 2004. Polskie tradycje w badaniach Arktyki, w: Kostrzewski A., Pulina M., Zwoliński Z. (red.) Warsztaty Glacjologiczne Spitsbergen 2004 – Glacjologia, geomorfologia i sedimentologia środowiska polarnego Spitsbergenu. Stowarzyszenie geomorfologów Polskich, Sosnowiec-Poznań-Longyearbyen, s.V-15.
203. GUTERCH A., GAŹDZICKI A., GŁOWACKI P., GRAD M., 2004. Polskie ślady w wiecznych lodach, *Sprawy Nauki* 12, nr 105, s. 24–25
204. PEREYMA J., 2004. Ekspansja cywilizacyjna a naturalne środowisko Arktyki, *Roczniki Naukowe PWSZ w Wałbrzychu*, tom VI Turystyka, s. 49–56.
205. REHAK J., REHAK J., REHAK S., 2004. Cofanie się czół lodowych Zachodniego i Wschodniego Lodowca Torella (SW Spitsbergen), *Problemy Klimatologii Polarnej* 14, s. 87–94.
206. WIŚNIEWSKA-WOJTASIK B., STYSZYŃSKA A., 2004. Zagadnienie przemarzania osadów dennych w Nottinghambukta (SW Spitsbergen), w: Styszyńska A, Marsz A.A. (red.), *Polish Polar Studies*, XXX Międzynarodowe Sympozjum Polarne, Katedra Meteorologii i Oceanografii Nautycznej AM, Gdynia, s405–413.
207. WIŚNIEWSKA-WOJTASIK B., STYSZYŃSKA A., 2004. Zagadnienie występowania zmarzliny dennej w Nottinghambukta (SW Spitsbergen), w: Styszyńska A, Marsz A.A. (red.), *Polish Polar Studies*, XXX Międzynarodowe Sympozjum Polarne, Katedra Meteorologii i Oceanografii Nautycznej AM, Gdynia, s. 206–208.
208. WITKOWSKI A., KALETA K., KURYSZKO J., KUSZNIERZ J., 2004. Historical structure of the skin of Arctic charr, *Salvelinus alpinus* (L.) from Spitsbergen, *Acta Ichthyologica et Piscatoria* 32, nr 2, s. 241–251.

2005

209. LATOCHA A., 2005. Przebieg i uwarunkowania degradacji dawnych klifów morskich w środowisku peryglacjalnym Południowego Spitsbergenu, Józwiak M., Kozłowski R. (red.), *Polish Polar Studies*, XXXI Sympozjum Polarne, Kielce 12–14 września 2005, s. 101–114.
210. LATOCHA A., 2005. Przebieg i uwarunkowania procesów degradacji fosylnych klifów morskich w środowisku peryglacjalnym; przykład z Południowego Spitsbergenu, Józwiak M., Kozłowski R. (red.), *Funkcjonowanie obszarów polarnych oraz jego współczesne i reliktowe cechy w krajobrazach*, XXXI Sympozjum Polarne, Kielce, 12–14 września 2005, Streszczenia s. 77–79.
211. LATOCHA A., 2005 Rzeźba fosylnych klifów morskich na północnych wybrzeżach fiordu Hornsund, Spitsbergen, w: Kotarba A., Krzemień K., Święchowicz J. (red.), *Współczesna ewolucja rzeźby Polski*, VII Zjazd Geomorfologów Polskich, Kraków, s. 259–264.
212. MIGAŁA K., SIKORA S., PUCZKO D., 2005. Klimat odczuwalny południowo-zachodniego Svalbardu w świetle biotermiczno-meteorologicznej typologii pogód, Józwiak M., Kozłowski R. (red.), *Funkcjonowanie obszarów polarnych oraz jego współczesne i reliktowe cechy w krajobrazach*, XXXI Sympozjum Polarne, Kielce, 12–14 września 2005, Streszczenia s. 97–100.
213. MIGAŁA K., PUCZKO D., SIKORA S., 2005. Warunki bioklimatyczne strefy polarnej na przykładzie południowo-zachodniej części Svalbardu, w: XV Ogólnopolskie Seminarium Meteorologii i Klimatologii Polarnej, Gdynia 6–7 maja 2005: <http://julia.univ.gda.pl/geokmk/sempolar/streszczenia/sikora2.pdf>
214. PEREYMA J., 2005 Badania polarne, w: Główne kierunki badań geograficznych ośrodka wrocławskiego, Wydawnictwo GAJ, Wrocław, s. 171–182.
215. PRZYBYŁAK R., ARAŻNY A., GLUZA A., HOJAN M., MIGAŁA K., SIKORA S., SIWEK K., ZWOLIŃSKI Z., 2005. Porównanie warunków meteorologicznych na zachodnim wybrzeżu Spitsbergenu w sezonie letnim 2005 r., w: *Problemy Klimatologii Polarnej* 16, s. 125–138.
216. WIŚNIEWSKA-WOJTASIK B., WALCZAK A., 2005. Meiofauna i makrofauna wybranych zbiorników moreny lodowca Werenskiölda, Józwiak M., Kozłowski R. (red.), *Funkcjonowanie obszarów polarnych oraz jego współczesne i reliktowe cechy w krajobrazach*, XXXI Sympozjum Polarne, Kielce, 12–14 września 2005, Streszczenia s. 151–153.

217. WIŚNIEWSKA-WOJTASIK B., WALCZAK A., 2005. Mezo- i makrofauna wybranych zbiorników przedpola lodowca Werenskiolda, w: Józwiak M., Kozłowski R. (red.), Polish Polar Studies, XXXI Sympozjum Polarne, Kielce, 12–14 września 2005, s. 181–197.
218. PEREYMA J., 2006. Wyprawy Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergen w latach 2003–2004, Biuletyn Polarny 12–13, s. 44–46.

2007

219. SIKORA S., MIGAŁA K., DRZENIECKA-OSIADACZ A., PUCZKO D., 2007. Zmienność klimatu odczuwalnego Arktyki na przykładzie SW Spitsbergenu, w: Abiotyczne Środowisko Spitsbergenu w latach 2005–2006 w warunkach globalnego ocieplenia, Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, s. 113–130.
220. POPIOŁEK M., SZCZĘSNA J., KOTUSZ J., KUSZNIERZ J., WITKOWSKI A., 2007. The level of infection with gastro-intestinal nematodes in Svalbard reindeers from Hornsund area, Spitsbergen. w: Polish Polar Research 28, nr 4, s. 277–282.
221. WOJTUŃ B., 2007. The first documented record of *Sphagnum riparium* (Bryophyta: Sphagnaceae) from Spitsbergen. w: Polish Polar Research 28, nr 4, s. 269–276.

2008

222. KABAŁA C., ZAPART J., 2008. Reliktowe i fosylie gleby w rejonie zatoki Nottinghambukta, SW Spitsbergen, w: Środowisko przyrodnicze obszarów polarnych, Wrocław, s. 28–37.
223. KLEMENTOWSKI J., 2008. Rozwój form glacywotopiskowych na Ziemi Wedela Jarlsberga jako wskaźnik współczesnych zmian klimatycznych, w: Środowisko przyrodnicze obszarów polarnych, Wrocław, s. 38–49.
224. KUSZNIERZ J., KOTUSZ J., KAZAK M., POPIOŁEK M., WITKOWSKI A., 2008. Remarks on the morphological variability of the Arctic charr, *Salvelinus alpinus* (L.) from Spitsbergen w: Polish Polar Research 29, nr 3, s. 227–236.
225. KOWALSKA A., SROKA W., 2008. Sedimentary environment of the Nottinghambukta delta, SW Spitsbergen. w: Polish Polar Research 29, nr 3, s. 245–259.
226. MIGAŁA K., NASIÓŁKOWSKI T., PEREYMA J., 2008. Topoclimatic conditions in the Hornsund area (SW Spitsbergen) during the ablation season 2005. w: Polish Polar Research 29, nr 1, s. 73–91.
227. SMYRAK A., MAZUR S., 2008. Regionalnych rozmiarów strefa ścinania w południowej części Ziemi Wedela Jarlsberga – granica terranów w kaledońskim podłożu Spitsbergenu? w: Środowisko przyrodnicze obszarów polarnych, Wrocław, s. 64–70.
228. SZYMANOWSKI M., KRYZA M., MIGAŁA K., SOBOLEWSKI P., KOLONDRA L., 2008. Modelling and validation of the potential solar radiation for the Hornsund region – application of the r.sun model, *Annals of Geomatics* 6, nr 2, Warszawa, s. 107–112.
229. WOJTUŃ B., MATUŁA J., PEREYMA J., 2008. Kolonizacja przedpola lodowca Werenskiolda (Spitsbergen Zachodni) przez sinice i rośliny, w: Środowisko przyrodnicze obszarów polarnych, Wrocław, s. 228–236.
230. WITKOWSKI A., KOTUSZ J., POPIOŁEK M., KUSZNIERZ J., 2008. Summer dynamics of density and biomass of the Arctic charr, *Salvelinus alpinus* (L.), in a polar stream (SW Spitsbergen). w: Polish Polar Research 29, nr 3, s. 237–243.

2009

231. ARAŻNY A., MIGAŁA M., SIKORA S., BUDZIK T., PUCZKO D., 2009. Warunki meteorologiczne i biometeorologiczne w rejonie Hornsundu w cieplej porze roku 2007 i 2008, *Problemy Klimatologii Polarnej* 19, s. 203–222.

232. KABAŁA C., ZAPART J., 2009. Recent, relic and buried soils in the forefield of Werenskiöld Glacier, SW Spitsbergen. w: Polish Polar Research 30, nr 2, s. 161–178

2010

233. ARAŻNY A., MIGAŁA K., SIKORA S., BUDZIK T., 2010. Meteorological and biometeorological conditions in the Hornsund area (Spitsbergen) during the warm season, Polish Polar Research 31, nr 3, s. 217–238.
234. KRYZA M., SZYMANOWSKI M., MIGAŁA K., PIETRAS M., 2010. Spatial information on total solar radiation: Application and evaluation of the r.sun model for the Wedel Jarlsberg Land, Svalbard, w: Polish Polar Research 31, nr 1, s. 17–32.
235. SIKORA S., ARAŻNY A., BUDZIK T., MIGAŁA K., PUCZKO D., 2010. Warunki meteorologiczne i biometeorologiczne okolic Hornsundu (Spitsbergen Zachodni) w roku 2009. Cechy biotermiczno-biometeorologiczne środowiska arktycznego na przykładzie SW Spitsbergenu, Problemy Klimatologii Polarnej 20, Wydawnictwo AM w Gdyni, s. 83–101.

2011

234. KRYZA M., SZYMANOWSKI M., MIGAŁA K., 2011. Zastosowanie modelu r.sun do określenia dobowych sum promieniowania rzeczywistego na Lodowcu Werenskiölda, SW Spitsbergen, Prace i Studia Geograficzne 47 s. 435–442.

Spis treści

Zamiast wstępu...	— 5
Stanisław Baranowski, Z listów ze Spitsbergenu do żony i córki	— 7
Jerzy Pereyma, Stacja Polarna im. Stanisława Baranowskiego Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergenie	— 13
Jerzy Pereyma, Książki Stacji im. Stanisława Baranowskiego	— 19
Marek Górski, Baranówka – Hornsund 1970	— 23
Ryszard Czajkowski, Wyruszyłem na Spitsbergen...	— 25
Krzysztof Birkenmajer, Z wizytą na Stacji Baranowskiego	— 29
Janusz Kida, Magiczne miejsce w Arktyce	— 33
Jacek Piasecki, 1972 – wspomnienia neofity	— 41
Wiesława Ewa Krawczyk, Najpiękniejsze miejsce na Spitsbergenie	— 49
Jan Klementowski, Baranówka w moich wspomnieniach 1974–2011	— 65
Mieczysław Sobik, Jak polarny neofita z życiem uszedł	— 71
Adam Krawczyk, Syndrom Værenhusa	— 73
Wiesław Ziaja, Moje wspomnienia z Baranówki	— 79
Krzysztof Migala, Trzynastego grudnia 1981 w Værenhusie	— 83
Stanisław Misztal, Jaskiniowcy czyli glacijspeleolodzy w Værenhusie	— 87
Josef Řehák jr, Stanislav Řehák, Werenhus oczami czeskich speleologów	— 91
Barbara Wojtasik, Werenhus – nieoceniona baza dla hydrobiologów	— 129
Andrzej Traczyk, Dziennik XIV Wyprawy Polarnej Uniwersytetu Wrocławskiego na Spitsbergen	— 131
Tadeusz Bryś, Skałki i moje spitsbergeńskie spotkania	— 147
Andrzej Witkowski, Takie sobie – moje spitsbergeńskie wspominki	— 153
Stanisław Staśko, Moja wyprawa na Spitsbergen	— 159
Ireneusz Sobota, ...pierwszy raz	— 165
Piotr Migoń, Kilka wspomnień ze Spitsbergenu	— 167
Agnieszka Latocha, Codziennosc w Werenhusie	— 171
Tomasz Łęcarski, W Baranówce. Jedno krótkie wspomnienie	— 183
Wojciech Ciężkowski, Stan podgorączkowy	— 187
Sebastian Sikora, Długa podróż. W czasie i przestrzeni...	— 199
Anna Kowalska, Arktyka – żądza poznania	— 203
Marek Kowalczyk, Polarne wspomnienia	— 207
Piotr Modzel, Pierwszy raz w „Baranówce”	— 211
Anna Geryn, Widziane z daleka...	— 215
Tymoteusz Sawiński, Baranówka – reminiscencje	— 217
Anetta Drzeniecka-Osiadacz, Spitsbergen 2005	— 219
Elżbieta Majchrowska, Wspomnienia z lata 2007	— 221

Bartosz Korabiewski, Pierwsze kroki do „Baranówki” — 225

Dariusz Ignatiuk, Najnowsze badania glaciologiczne na lodowcu Werenskiolda
(2008–2011) — 229

Leszek Kolondra, Opracowania kartograficzne Werenskioldbreen i otocze-
nia — 233

Bibliografia prac naukowych — 239